

JAK DALEKO POSUNIESZ SIĘ, BY ZASŁUŻYĆ NA DRUGĄ SZANSĘ?



Matthew
KLEIN
Zamiana



MATTHEW KLEIN

Filozofia życiowa Timothy'ego van Bendersa, właściciela funduszu inwestycyjnego, jest nadzwyczaj prosta. Zarabianie pieniędzy to łatwizna, wystarczy, że nie poświęcasz temu zbyt dużo uwagi. Idź z trendem. Rzykuj. Nie bój się porażki. Do niedawna ta taktyka sprawdzała się w stu procentach. Ale gdy obliczona na spadek kursu jena zagrywka nieoczekiwanie nie wypała i fundusz traci 24 miliony dolarów, robi się niewesoło. Inwestorzy zadają niewygodne pytania, firma staje na progu bankructwa, a bajecznie piękna żona Timothy'ego skacze w przepaść. Samobójstwo? Nikt w nie nie wierzy. Ani van Benders, ani policja. Przed śmiercią Katherine dzwoniła do męża, aby się pożegnać, zapewniała go, że wszystko będzie dobrze. Co miała na myśli? Na szyi Timothy'ego coraz silniej zaciska się pętla, stworzona przez jakiegoś nieznanego przeciwnika, lub jego własne słabości. Nieoczekiwanie na progu domu staje seksowna sekretarka Tricia, twierdząc, że jest zmarłą małżonką. Jak udało się jej pokonać śmierć? Czy rzeczywiście można „zapisać umysł w ciele innego człowieka?”



Matthew
KLEIN
Zamiana

Z angielskiego przełożył ARTUR LESZCZEWSKI



Tytuł oryginału: SWITCHBACK

Copyright © Matthew Klein 2006 All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2009

Polish translation copyright © Artur Leszczewski 2009

Redakcja: Lucyna Lewandowska

Ilustracja na okładce:

Wojciech Zwoliński www.dream-traveler.deviantart.com

Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

Skład: Laguna

ISBN 978-83-7359-761-7

Dystrybucja

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk

05-850 Ożarów Maz. 35-0557,

022-721-3011/7007/7009 www.olesiejuk.pl

Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe

www.merlin.pl

www.empik.com

www.ksiazki.wp.pl

WYDAWNICTWO ALBATROS

ANDRZEJ KURYŁOWICZ

Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

2009. Wydanie I Druk: B.M. Abedik S.A., Poznań

Laurze

PROLOG

Stojąc nad zwłokami dziewczyny, detektyw pomyślał, że wszystko idealnie pasuje. Sprawa była właściwie rozwiązana. Jak również zupełnie banalna: historia bogatego faceta, który ma wszystko, ale chce jeszcze więcej. Opowieść o konsekwencjach naginania reguł.

Ciało dziewczyny leżało w kuchni milionera, jej czaszka została zgnieciona marmurową rzeźbą. Krew spłynęła na podłogę i zebrała się przy jej ustach jak dymek z komiksów — jakby dziewczyna chciała powiedzieć coś bardzo ważnego i zaznaczyła to na czerwono. Jednak z jej oczu wyzierała martwa pustka i detektyw uznał, że już raczej nie powie niczego ważnego.

Podszedł do niego umundurowany policjant i przyjrzał się zwłokom.

— Ładna — stwierdził.

Dziewczyna miała na sobie czarną wieczorową sukienkę i mimo że między włosami widać było mózg, śmierć nie zniszczyła jej urody.

— Znaleźliście coś? — zapytał detektyw.

— W zlewie są trzy kieliszki i trzy nakrycia. Zjedli steki z tym... no, jak się nazywają takie jadalne zielone liście?

— Sałata.

— Rukola — powiedział policjant, jakby od początku znał odpowiedź. — Stek z rukolą. To właśnie zjedli.

Detektyw przyglądał się krwawym śladom na podłodze: męskie buty. Przy ciele dziewczyny była rozmazana czerwona plama przypominająca odcisk kolana. Zastanawiał się, skąd się wzięła. Może milioner zabił tę dziewczynę w szale namiętności, a potem pożałował tego, co zrobił, więc ukląkł, żeby ją przeprosić?

Z kieszeni kurtki detektywa odezwały się dźwięki uwertury 1812 Czajkowskiego. Wyjął komórkę i otworzył ją.

— Znaleźliście go? — zapytał.

Głos w słuchawce był niewyraźny, przerywany trzaskami.

— Tylko samochód. Czarne bmw.

— Gdzie jesteś?

— W Wells. Mule Kanion.

— To samo urwisko?

— Dokładnie.

— A on?

— Nadal go szukamy.

— Dobra, zaraz do was jadę — powiedział detektyw. — Pewnie będę za jakieś dwie godziny.

Zamknął telefon i schował go do kieszeni, po czym odwrócił się do policjanta.

— Znaleźli jego samochód, więc ciało pewnie jest gdzieś w pobliżu.

Mundurowy kiwnął głową.

— To już dwoje — stwierdził. Przez chwilę czekał na reakcję detektywa, a kiedy ten nic nie odpowiedział, wyjaśnił, o co mu chodzi: — Trzy komplety talerzy. Trzy kieliszki. On i ta dziewczyna — wskazał głową zwłoki — to dwoje.

— No tak — mruknął detektyw.

Przez chwilę zastanawiał się nad czymś, a potem poszedł obejrzeć resztę domu.

1

O wpół do dziesiątej rano w czwartek Timothy van Bender dowiedział się, że stracił dwadzieścia cztery miliony dolarów.

Zdejmując plastikowe wieczko z kubka z kawą, którą trzymał nad biurkiem, żeby nie zaplamić spodni, podniósł wzrok i zobaczył Dzieciaka stojącego w drzwiach.

— Timothy... — zaczął chłopak. Był bardzo blady. — Gdzie byłeś?

Nie było to oskarżenie, tylko jęk rozpacz. Chłopak był cały mokry. Jego biała koszula przesiąkła potem pod pachami.

Timothy upił łyk kawy i odstawił kubek. Spojrzał na zegarek.

— Dopiero w tej chwili wszedłem. Kolejki w kafejce... — Pokręcił z irytacją głową.

Od piętnastu lat codziennie rano wpadał do kawiarni University o 9.10, czyli dziesięć minut po tym, gdy reszta jego współpracowników zasiadła już za swoimi biurkami. Przez piętnaście lat pozwalało mu to szybko kupić kawę i obwarzanek przed pojawieniem się w pracy. Jednak niedawno Kalifornia uległa przeobrażeniu, każdy dwudziestoparoletni programista z długimi włosami i poważnymi brakami w

higienie osobistej mógł stać się milionerem na papierze, a jeśli miał biurko i skrawek wynajętej przestrzeni biurowej, mógł sam ustalać swoje godziny pracy. Oznaczało to, że kolejki po kawę przesunęły się z 8.55 na 9.25. Miało to nieprzyjemne skutki dla prawdziwych milionerów, takich jak Timothy, których majątek pochodził jeszcze sprzed czasów bumu internetowego. Kapitał Timothy'ego van Bendera nie był ulokowany w jakichś efemerycznych akcjach internetowego handlarza gaciami, które w każdej chwili mogły stracić wartość, ale w prawdziwej gotówce.

Już miał powiedzieć, że powinno się coś zrobić z kolejkami w kafejce albo z wiekiem, w którym ludzie mogą mieć Nielimitowany czas pracy, kiedy zauważył kroplę potu wiszącą na podbródku chłopaka. Krople potu zrosiły także jego czoło.

Dzieciak obejrzał się przez ramię i zamknął drzwi na korytarz, po czym podszedł do biurka.

— Mamy problem.

Timothy wyjął obwarzanek z torebki, odwinął go z serwetki, rozpostarł ją na stole, położył na niej obwarzanek i przeciął go na pół plastikowym nożem.

— Jaki problem?

— Z jenem — odparł chłopak. — Słyszałeś już?

Sądząc z tonu jego głosu, Timothy powinien słyszeć o tej sprawie. Niestety, nie słyszał. Dom, w którym mieszkał w Palo Alto, znajdował się jakieś dziesięć przecznic od biura. Droga do pracy zajmowała mu dokładnie dziewięćdziesiąt sekund — tylko tyle potrzebował na przejechanie samochodem kilku ulic i szybki zjazd do parkingu mieszczącego się pod biurowcem. Za mało czasu, żeby włączyć radio, więc nie słuchał porannych wiadomości.

— Mów — powiedział, nie zdradzając, że zupełnie nie wie, o co chodzi.

— Kurs poszedł w górę. Tak wysoko nie stał od... —

Dzieciak wzruszył ramionami i potrząsnął głową. — Nigdy jeszcze nie stał tak wysoko.

— Jak teraz stoi?

— Nie wiem. Kiedy ostatnio sprawdzałem, było siedemdziesiąt pięć. Ale cały czas szedł w górę. Bank japoński ogłosił, że zamierza wykupić wszystkie swoje obligacje. Chcą zwiększyć ilość pieniędzy w obiegu. To jakieś nowe zarządzenie. Minister finansów zwołał antykryzysową konferencję i... Jezu, nawet nie wiem, od czego zacząć.

Timothy miał lekki zamęt w głowie. Inflacja, deflacja... kupno obligacji, sprzedaż obligacji. Miał kłopoty ze zrozumieniem, jak te wszystkie poczynania — a raczej zapowiedzi działań, ogłoszone w jakimś ministerialnym gabinecie w zatłoczonym Tokio, dziewięć tysięcy kilometrów stąd — mogły wpłynąć na jego życie w słonecznym Palo Alto.

Prowadził swój fundusz hedgingowy bez oglądania się na to, co ich hermetyczni Japończycy czy ktokolwiek inny deklarował. Jego strategia inwestowania była prosta, ale zawsze skuteczna: kupować, kiedy cena idzie w górę, i sprzedawać, kiedy spada. Łatwizna. Sprawdzało się to w dziewięćdziesięciu procentach. Tylko w ten sposób można było wysunąć się przed peleton. Inni zaharowywali się na śmierć, czytając wydruki, analizując wykresy i łamiąc sobie głowy nad tajemniczymi komentarzami zagranicznych urzędników. Zupełnie bez sensu. Robienie pieniędzy było proste, jeśli człowiek nie zaprzętał sobie głowy drobiazgami i nie pracował zbyt ciężko. Wystarczyło wiedzieć, w jakim kierunku to wszystko zmierza. No i pamiętać o tym, że nie warto walczyć z wiatrakami.

— Słuchaj, Dzieciak — zaczął, ale zaraz się poprawił: — Jay, posłuchaj... nie walcz z wiatrakami. Musisz tylko pamiętać, że trend to nasz przyjaciel...

Miała to być lekcja dla Dzieciaka, który musiał się trochę zahartować. Timothy wyłowił go ze Stanford Business School.

Jay Strauss był bystrym małym Żydem o ciemnej karnacji i czarnych włosach. Potrafił się jednak ubrać, no i miał głowę na karku. Miał także dyplom z ekonomii na Harvardzie i po ukończeniu szkoły pracował w Salomon Smith Barney w Nowym Jorku.

Tak się składało, że prezesem tej firmy był Smith Calhoun, kumpel Timothy'ego z czasów studiów na Yale. Smith był świetnym gościem i jednym z pierwszych inwestorów Timothy'ego. Popijając drinka w Four Seasons, rzucił od niechcienia: „Powinieneś poznać tego małego Żyda; kończy właśnie Stanford. Sam bym go wziął, ale sprawy tak się poukładały, że to nie byłoby w porządku”. Wkrótce po tej rozmowie Timothy miał drugiego stałego pracownika w swoim funduszu.

Dzieciak wykonywał całą czarną robotę. Nadał sobie ksywkę „Kwant”, natomiast Timothy był „Bużką” — facetem, który spotykał się z inwestorami, biznesmenami i różnymi innymi zamożnymi ludźmi. Kiedy Timothy miał pomysł (na przykład, żeby ustawić jena na krótkiej pozycji), Dzieciak mówił mu, w jaki sposób można go zrealizować. Jaką sumę ustawić, z którymi brokerami się skontaktować, jak określić limity i jak duży powinien być depozyt. Timothy uważał, że to idealny podział obowiązków, ponieważ pozwala każdemu z nich rozwijać własne talenty: jego asystent zajmował się cyframi, a on ludźmi.

Spojrzał na Dzieciaka, żeby sprawdzić, czy jego słowa go uspokoiły, ale chłopak wydawał się jeszcze bledszy. Zauważył też, że drżą mu ręce.

— Ile straciliśmy? — zapytał.

— Dwadzieścia cztery.

— Tysiące?

— Miliony — odparł Dzieciak i żeby rozwiać wszelkie wątpliwości, dodał: — Dolarów, nie jenów.

— Aha... — wymamrotał Timothy.

Poczuł nagły zawrót głowy i zrobiło mu się niedobrze. Fundusz Osiris II, którym zarządzał, rozpoczął rok, mając jakieś sto milionów dolarów na koncie. Tak więc od wczorajszego obiadu do chwili, gdy Timothy wypił pierwszy łyk kawy tego ranka, fundusz stracił jedną czwartą posiadanych zasobów. Kiedy Timothy jadł tuńczyka i kraby w sosie Tamarine, Pinky Dewer, jeden z pierwszych i najważniejszych inwestorów w funduszu, stracił jakieś osiem milionów. Sam Timothy, który wsadził w fundusz pięć milionów dolarów, stracił ponad milion, gdy rozkoszował się deserem.

— Dwadzieścia cztery miliony? — powtórzył.

— Chciałeś, żebym dużo postawił — odparł Dzieciak, przechodząc nagle do defensywy. — Sam powiedziałaś: „Postaw dużą sumę”... — urwał i cofnął się. — Właśnie tak powiedziałaś — powtórzył z naciśkiem.

Timothy kiwnął głową.

— Tak — przyznał.

Dzieciak stał w milczeniu, czekając na jego decyzję.

Odkąd Timothy pamiętał, wszyscy traktowali go jak przywódcę. Częściowo zawdzięczał to swojej postawie. Dzięki ciągłemu gderaniu ojca nigdy się nie garbił, nigdy nie kulił się pod ciężarem obowiązków. W pewnej mierze zawdzięczał to także genom; był przystojnym mężczyzną o miłej twarzy i przyjaznym uśmiechu i ludzie lubili z nim rozmawiać. Jednak przede wszystkim zawdzięczał to samemu sobie. Już dawno temu zrozumiał, że w świecie można dojść do czegoś, jeśli człowiek odważa się zabierać głos nawet wtedy, kiedy nie jest zupełnie pewny swoich racji. Wszyscy ludzie sukcesu z czasem poznają ten sekret, ale rzadko chcą się nim dzielić: trzeba decydować, umieć podejmować ryzyko. Lęk przed porażką zwykle paraliżuje większość ludzi. Ale tacy jak Timothy wiedzą, że porażka nigdy nie jest ostateczna. Zawsze ma się kolejną szansę.

Kiedy uświadomił to sobie po raz pierwszy? Może przez cały czas to czuł, może tkwiło to gdzieś w jego podświadomości. Ale chyba było to trzydzieści lat temu w Exeter. Pewnej nocy dyrektor Tillinghast w swoich okularach ze szklami jak denka od butelek, z obwisłym podbródkiem i workami pod oczyma wmaszerował do akademika dla pierwszoroczników, zebrał wszystkich i oznajmił, że zostaną ukarani. Wykonując naprawy elektryczne w świetlicy akademika, woźny Mickey znalazł trawkę ukrytą za podwieszanym sufitem. Jeśli uczniowie chcą uniknąć kary, winowajca musi sam się zgłosić do dyrektora. W nocy rozgorzała dyskusja. Niektórzy woleli wydać prawdziwego winowajcę — Martina Adamsa, chudzielca o smutnych oczach — niż ryzykować wyrzucenie ze szkoły. Kilku uczniów płakało, przerażonych konsekwencjami dla ich kariery, sprawieniem zawodu rodzicom i wstydem przed całą rodziną. Groźba relegowania nie była pustą groźbą: zaledwie miesiąc wcześniej Tillinghast wyrzucił ze szkoły Chaza Dominicka, który pojawił się na lekcji łaciny po kilku głębszych. Kilku uczniów gotowych było podjąć walkę i zmienić uczelnię albo jakoś inaczej zaprotestować przeciwko tak rażącej niesprawiedliwości.

Dyskusja do niczego nie prowadziła, więc w końcu wszyscy skierowali spojrzenie na Timothy'ego, który mimo że miał dopiero piętnaście lat, zawsze zdawał się mieć odpowiedź na wszystko i potrafił z przekonaniem przedstawić swoje zdanie.

— Powiem wam, co musimy zrobić — oświadczył, choć wcale nie wiedział, co powinni zrobić. — Zrobimy tak... — zaczął i po chwili właściwe słowa same wypłynęły z ust. Rankiem wysłął do gabinetu Tillinghasta trzech uczniów, którzy staną na baczność, ubrani w niebieskie blezery i szkolne krawaty, i przyznają ze spuszczoneymi głowami, że wiedzą, kto ukrył narkotyki pod sufitem, i z zalem donoszą na swojego kolegę, ale z poszanowania praw szkoły muszą powiedzieć, że to Chaz Dominick jest winowajcą.

Nie miało znaczenia, że wszystko to wymyślił na poczekaniu ani że zrzucanie winy na nieobecnego kolegę, który nie mógł się bronić, nie było w porządku, ani nawet to, że chłopak był niewinny. Liczyło się tylko to, że miał pomysł, wiedział, co trzeba zrobić, i był absolutnie pewny siebie.

Tysiące razy w życiu widział wyraz bezradności i oczekiwania, które teraz malowały się na twarzy Dzieciaka: była to gotowość podążenia za każdym pomysłem, jaki ktoś podsunie. Całe życie Timothy'ego było doskonałym dowodem na to, że pewność siebie jest najlepszym pomysłem. Pewnością siebie można uciszyć dziewięćdziesiąt procent wątpliwości. A mocny uścisk dłoni i porządny garnitur poradzą sobie z pozostałymi dziesięćoma procentami.

Podobnie było w Yale. Timothy nigdy nie zarwał nocy na naukę. Za dużo było pokus dookoła: przyjęcia, koktajle, balangi z kolegami. Ale mimo to nie miał złych ocen. Szybko zrozumiał, że jego talent polegał na zajmowaniu najlepszego miejsca przy minimalnym nakładzie pracy.

Jednak jak każdy talent także i ten wymagał wycucia, pewnego szczególnego zmysłu, podobnego do zmysłu malarza, który za pomocą małej plamki potrafi ożywić cały obraz. Czasami Timothy zdobywał dobre oceny dzięki częstemu udzielaniu się, zgłaszaniu do odpowiedzi przed innymi, wymyślaniu podobieństw łączących różne postacie, na przykład Hamleta z Thomasem Jeffersonem — i to bez czytania choćby jednej strony omawianych dzieł. Na innych zajęciach jego strategia była dokładnie odwrotna: wtapiał się w tło i siedział nieruchomo, ledwo śmiejąc odetchnąć. Jeszcze kiedy indziej sprawę załatwiała butelka dwunastoletniego macallana, którego uwielbiał profesor łaciny, albo obiad w restauracji Mory. Pasma jego sukcesów, począwszy od Exeter przez Yale, Nowy Jork i wreszcie na Osirisie skończywszy, nie było wynikiem oszukiwania ludzi czy ich przekupywania. Odnosił sukcesy, ponieważ zawsze dawał ludziom to, czego

chcieli: właściwe odpowiedzi.

A teraz Dzieciak, który przed chwilą powiedział mu o stratach w wysokości dwudziestu czterech milionów i który z pewnością martwił się o własną przyszłość, o to, czy nie dostanie wilczego biletu zamykającego mu drogę do świata finansów, stał przed nim spocony jak mysz. Ciemne plamy pod jego pachami robiły się coraz większe, jego oliwkowa cera poszarzała, a nogi drżały. Tak, on też oczekiwał od niego właściwej odpowiedzi.

Wziął kubek i łyknął kawy. Potrzebował sporo siły, żeby nie okazać, jak bardzo trzęsą mu się ręce. Odstawił kubek, zakrył go plastikowym wieczkiem i zawinął nie zjedzoną połówkę obwarzanka w papierową serwetkę.

— Mam plan — oznajmił, czekając, aż ten plan pojawi się w jego umyśle. — Zrobimy tak...

Następnie wyłożył swój plan Dzieciakowi, który wychłęptał go ochoczo jak kotek mleko i przyznał, że to świetny plan, wdzięczny, że dostał nowe zadanie do wykonania. Obojętnie jakie, ale zadanie — i to od człowieka, który potrafił z uśmiechem na twarzy przyjąć informację o utracie dwudziestu czterech milionów dolarów.

2

Plan Timothy'ego — jeśli w ogóle można było go nazwać planem — polegał na tym, żeby znowu postawić na jena, jednak tym razem dwa razy więcej.

Jen skoczył na siedemdziesiąt pięć (co oznaczało, że za jednego dolara można było dostać siedemdziesiąt pięć jenów), ale ta cena nie mogła się utrzymać. Od trzech lat jen spadał. Z poziomu stu piętnastu poleciał na łeb na szyję, przebijając psychologiczną barierę stu, a później osiągnął dziewięćdziesiąt, osiemdziesiąt i wreszcie siedemdziesiąt, gdzie się na chwilę zatrzymał.

Wszyscy byli pewni, że będzie dalej spadał, dopóki nie osiągnie poziomu pięćdziesięciu. Właśnie dlatego Timothy postawił jena na krótkiej pozycji sześćdziesięciu dziewięciu, zakładając, że wkrótce spadnie poniżej tego poziomu. Osiris sprzedał trzy tysiące kontraktów terminowych Chicago Mercantile Exchange. Gdyby jen spadł do poziomu pięćdziesięciu, fundusz zarobiłby siedemdziesiąt pięć milionów dolarów.

Jednak założenie to okazało się błędne. Dzień po tym, jak Osiris sprzedał kontrakty terminowe, jen poszedł w górę, zatrzymując się na siedemdziesięciu pięciu. No cóż, nie ma co panikować, powiedział

Timothy Dzieciakowi. Takie rzeczy się zdarzają i właśnie w takich chwilach można odróżnić mężczyzn od chłopców. Jeśli dokładnie się temu przyjrzeć, to jest nawet szansa na zarobienie. Kiedy wszyscy będą szukali dróg ucieczki, upłynniając aktywa i godząc się z poniesionymi stratami, Osiris wykorzysta nieprzewidywalność rynku. Sprzedadzą sześć tysięcy kontraktów zamiast trzech i w ten sposób fundusz odrobi straty, a może nawet nieźle się obłowi.

Mówiąc cicho i szybko, Timothy wydawał polecenia Dzieciakowi niczym generał adiutantowi. Po pierwsze, należy upłynnić wszystkie aktywa, żeby móc zwiększyć depozyt. Następnie trzeba się skontaktować z Refco, Bear Stearns, Barclays i Citigroup, a potem podzielić kontrakty pomiędzy czterech brokerów — tak, żeby nikt się nie zorientował.

— Aha, i jeszcze jedno... — dodał.

Dzieciak, który stał już przy drzwiach z ręką na klamce, zatrzymał się, gotów biec i wypełniać nowe zadania, składać zamówienia i znowu zarabiać pieniądze.

— Nie możemy wypłoszyć naszych inwestorów — oświadczył Timothy.

Chłopak zdjął rękę z klamki i kiwnął głową, ale na jego czole pojawiła się zmarszczka.

— Nie możemy im mówić o naszych kłopotach — wyjaśnił Timothy. — A przynajmniej jeszcze nie teraz. Najpierw musimy odrobić straty. Kiedy jen zacznie spadać i wyjdziemy na prostą, wtedy im powiemy.

— Przecież musimy im podać nasze wyniki — zaprotestował Dzieciak. — Za dwa tygodnie trzeba będzie wysłać zestawienia za sierpień.

— Zgadza się, ale dwa tygodnie to szmat czasu. To prawie cała wieczność. Wiesz, co się może zdarzyć przez dwa tygodnie? Absolutnie wszystko. Za dwa tygodnie to zrobimy, ale teraz nie powinniśmy

denerwować ludzi takimi szczegółami.

— W porządku — mruknął Jay.

— Rozumiesz chyba, że jeśli nasi klienci dowiedzą się o utracie dwudziestu czterech milionów, niektórzy z nich mogą spanikować — mówił dalej Timothy. — Mogliby nawet wycofać swoje pieniądze. Gdyby tak się stało, nie mielibyśmy środków na dalszą działalność i nie moglibyśmy sprzedać sześciu tysięcy kontraktów. Rozumiesz? — zapytał.

— Chyba tak — odparł chłopak.

— Chodzi o to, że wtedy nie moglibyśmy odrobić strat pozostałych klientów. A przecież musimy być w porządku wobec wszystkich.

— Masz rację — przyznał Dzieciak.

— Musimy być w porządku wobec pozostałych klientów — powtórzył Timothy.

To była ważna lekcja.

— Jasne — powiedział Jay.

— Dlatego na razie nikomu ani słowa. Żadnych telefonów. Żadnych spotkań. Absolutna cisza — dodał Timothy, przesuwając palcami po ustach, jakby zamykał zamek błyskawiczny.

— W porządku, szefie.

Timothy uśmiechnął się i mrugnął do niego.

— To dla ciebie bezcenna lekcja. Powinieneś się nauczyć, jak pewne sprawy wyglądają w realnym świecie.

Dzieciak kiwnął głową i wyszedł z gabinetu.

3

Kiedy Timothy skończył jeść obwarzanek, udał się do sekretariatu. Był w pracy niecałe pół godziny, ale już czuł zmęczenie.

Osiris zajmował dwudzieste trzecie piętro wieżowca Bank of America, jedyne drapacza chmur w Palo Alto. W pogodny dzień Timothy mógł obserwować cały swój świat, nie ruszając się z miejsca. Dziesięć przecznic dalej stał jego dom — stary tudor otoczony drzewami morelowymi i klombami ozdobnych traw. Na wschodzie ciągnęły się budynki Stanfordu z hiszpańskimi dachami z czerwonej dachówki i murami o słonecznych, pastelowych kolorach. Siedzieli tam ludzie projektujący programy komputerowe, wykorzystywane przez Timothy'ego do zarabiania pieniędzy. Na południu ciągnęła się Sand Hill Road z kancelariami prawniczymi, finansistami i górami pieniędzy. W niskich biurwach, przy eleganckich biurkach, inwestorzy z uśmiechem na twarzy słuchali jego prezentacji reklamujących inwestowanie w Osirisie. Ze swojego okna mógł zobaczyć most San Mateo i międzynarodowe lotnisko — bramę do Manhattanu. Za osiemset dolarów mógł nie tylko dolecieć pierwszą klasą niemal pod

drzwi hotelu Four Seasons, ale także wypić tyle wyśmienitego caber-
neta, ile tylko zdołał w ciągu pięciu godzin lotu.

Oparł się głową o przeszkloną ścianę biura. Przez zamgloną wła-
nym oddechem szybę patrzył na zatokę i brzydki walec mostu San
Mateo, kryjącego się we mgle unoszącej się znad oceanu.

— Piękna pogoda — powiedziała Tricia Fountain.

Była sekretarką Osirisa i siedziała pod ścianą, na której znajdował
się napis z miedzianych liter: „Osiris LP”.

Timothy zatrudnił ją pół roku wcześniej, po przeprowadzeniu roz-
mów kwalifikacyjnych z kilkoma innymi kandydatkami. Wśród nich
była Murzynka w średnim wieku z dwójką dzieci, Chińczyk po Stan-
fordzie (Timothy podejrzewał, że jest gejem) oraz dwie otyłe kobiety,
których życiorysów nawet nie przeczytał.

Żadna z nich nie miała takich kwalifikacji jak Tricia. Po pierwsze,
miała dwadzieścia trzy lata. Po drugie, miała bystre niebieskie oczy,
ciemne włosy i ładną cerę. Po trzecie i ostatnie, potrafiła się ubrać.
Dzisiaj miała na sobie granatową marynarkę założoną na niebieski
kaszmirowy sweter, przylegający do ciała i dyskretnie podkreślający
jej wspaniałą figurę. To zupełnie tak, jak z pierścionkami zaręczyno-
wymi na wystawie u Tiffaniego, pomyślał Timothy, kiedy pierwszy
raz na nią spojrział — nie ma potrzeby ich reklamowania, bo ich wy-
gląd mówi sam za siebie.

— Piękna? — powtórzył machinalnie.

Tricia pochodziła z Orange County i pod blezerami Ralfa Laurena,
eleganckimi okularami i modnym lokami z dumą obnosiła głupotę,
typową dla mieszkańców południa stanu. Przykładem tej głupoty był
choćby sposób, w jaki wymawiała słowo „zajebisty”, dyskutując o
kwestiach, których w ogóle nie rozumiała. Albo jej wyznanie, że nie
ma pojęcia, czym Timothy i Osiris się zajmują, i że wcale jej to nie

ciekawi. Albo jej częste wpatrywanie się we własne odbicie w polerowanych literach logo Osirisa na ścianie za nią.

Timothy'ego wcale to nie dziwiło, bo przecież wcześniej chciała zostać aktorką. Ojciec zawsze przestrzegał go przed tym zawodem. Jej opowieść o tym, jak trafiła do Doliny Krzemowej po skończeniu studiów na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles, miała wiele niejasnych punktów. Czterdziestosiedmioletni mężczyzna musi jednak zachować pewien dystans podczas rozmowy kwalifikacyjnej z dwa razy od niego młodszą dziewczyną. Nie może jej za bardzo wypytywać o sprawy osobiste, zwłaszcza jeśli grozi mu pozew do sądu z Komisji do spraw Równouprawnienia w Zatrudnieniu. A szkoda, bo kilka szczegółów, które jej się przypadkiem wymknęły, brzmiało bardzo interesująco. Wspomniała coś o ojcu, który zmarł, kiedy miała dwanaście lat, o swoich marzeniach o karierze aktorskiej, które się nie ziściły, i o podróży na północ z chłopakiem, który miał pociąg do narkotyków. Ten chłopak rozwiął się później gdzieś we mgle nad zatoką. Na koniec opowiedziała o popołudniu w Stanford Coffe House, gdzie wpadł na nią Dzieciak i zaproponował, żeby przyszła do biura na rozmowę wstępną.

Bez względu na to, w jaki sposób znalazła się w Osirisie, dla Timothy'ego najważniejsze było, że jest ładna i nie ma kompleksów. Teraz każdego ranka jego droga do pracy była brzemienne nadzieją, a dreszczyk podniecenia na widok Tricii sprawiał, że dni spędzane w biurze stawały się mniej nudne.

Odwrócił się do niej.

Dziewczyna spojrzała na leżący na biurku różowy notatnik z zapisanymi dla niego informacjami.

— Było kilka telefonów, kiedy miał pan spotkanie — oświadczyła, zrywając pierwszą kartkę. — Dzwonił Tran. Nie może dziś przyjść, bo ma do dokończenia zlecenie u innego klienta. Będzie w poniedziałek.

Tran był ich konsultantem komputerowym na ćwierć etatu, który wpadał raz w tygodniu, żeby naprawić szkody, jakie szef Osirisa zdołał wyrządzić przez poprzednie siedem dni.

— W porządku — odparł Timothy.

— Potem dzwonił Pinky Dewer — ciągnęła Tricia. — Powiedział, że to nic ważnego. Chciał tylko się dowiedzieć, co słychać.

Pinky był największym inwestorem w Osirisie (i stracił najwięcej pieniędzy), więc Timothy musiał go unikać do czasu, aż fundusz odrobi straty. Nie chciał kłamać. Musi jakoś zgubić wiadomość od Pinky'ego pod stertą papierów albo w koszu na śmieci.

— Daj mi to. — Wyciągnął rękę ponad biurkiem, chcąc wyjąć jej z ręki kartkę z wiadomością, ale Tricia ją przytrzymała i uniosła brwi.

— Był jeszcze jeden telefon — powiedziała. — Dzwoniła pańska żona.

Timothy opuścił rękę.

— Tak?

— Przypomina o piątku. Big Sur.

Razem z Katherine zaplanowali długi weekend w gospodzie Ventana, żeby uczcić dwudziestą rocznicę swojego ślubu. Z początku jego żona chciała spędzić dwa tygodnie na Hawajach, ale w końcu Timothy'emu udało się ją namówić na trzydniowy urlop zaledwie sto pięćdziesiąt kilometrów od domu.

Jeszcze wczoraj miał wątpliwości co do tego pomysłu, jednak dzisiaj nie potrafił myśleć o nim bez przerażenia. Oczywiście bardzo kochał swoją żonę i nie wyobrażał sobie życia bez niej. Ale miłość to jedno, a dać się zamknąć na trzy dni w wiejskiej chałupie to zupełnie coś innego. Od kiedy to obchody rocznicy ślubu stały się wyrokami?

Niemal widział, jak będzie wyglądał ich wyjazd: trzy dni nadąsanych

min i małych uszczypliwości oraz wymuszonych uśmiechów i udawania, że wszystko jest w porządku. Jakby tego wszystkiego było mało, fundusz znalazł się na krawędzi przepaści, a jego reputacja i cała kariera zależała od tego, czy ta hałaśliwa gromada skośnookich żółtków z Tokio wstanie jutro z łóżka prawą nogą.

— Żona prosiła, żeby nie zapomniał pan zabrać ze sobą wszystkich niezbędnych materiałów — dodała Tricia.

W piątek rano mieli wyjechać do Big Sur, gdzie zaczną się ich trzydniowy weekend.

— Dobrze, dzięki.

— Nie zabrzmiało to zbyt entuzjastycznie — zauważyła Tricia.

— Ależ skąd — zaprzeczył z ponurą miną.

— Chciałabym, żeby mnie też ktoś zabrał do Big Sur — powiedziała Tricia, spoglądając na niego znad okularów i odsuwając kosmyk włosów z twarzy.

— Chętnie bym cię tam zabrał — odparł Timothy — ale co by na to powiedziała moja żona?

— A musiałyby o tym wiedzieć?

Flirtowali już tak wiele razy, ale zawsze tylko platonicznie. To była tylko taka zabawa, urozmaicająca nudną pracę.

— Muszę o tym pomyśleć — mruknął, po czym zabrał jej kartkę z wiadomościami (tym razem nie protestowała) i skierował się do swojego gabinetu, żeby zająć się kursem jena.

4

Kiedy wrócił do domu o czwartej po południu, jen, dzięki Bogu, spadł do poziomu siedemdziesięciu czterech dolarów. Katherine siedziała na patio z tyłu domu i popijała chardonnay. Oba te fakty napawały go optymizmem. Z jenem kierującym się we właściwą stronę czuł, że może ma szansę na udany weekend. A fakt, że Katherine delectowała się winem, zamiast czekać na niego niczym kotka na mysz, wskazywał, że może być w dobrym humorze. To też dobrze wróżyło ich wyjazdowi.

Otworzył szklane drzwi wychodzące na ogród i podszedł do żony. Nie odwróciła się.

— Późno wracasz z pracy — stwierdziła, nadal na niego nie patrząc.

Podążył za jej spojrzeniem, próbując odkryć, co przykuło jej uwagę. Cokolwiek to było, zafascynowało ją bardziej niż on, gdyż minęło pół minuty, a ona wciąż nie odwracała się w jego stronę. Ale widział jedynie drzewo morelowe, mimo tylu lat od zasadzenia wciąż bez owoców, kępę ozdobnej trawy za sześćdziesiąt dolarów z hodowli Arestrado oraz skalny ogródek z powtykanymi tu i ówdzie kępami

mchu, który wyglądał „bardzo interesująco”, jak zapewnił ich projektant.

Westchnął ciężko, po czym odstawił teczkę na pokrytą łupkiem podłogę, pochylił się i pocałował Katherine w szyję.

— Wszystkiego najlepszego z okazji rocznicy.

Odwróciła się w końcu i spojrzała na niego.

— Pamiętałeś.

— No cóż... dzwoniłeś do mnie do biura.

— Ale to było kilka godzin temu — odparła.

Na jej ustach błąkał się ciepły uśmiech.

— Nie mam kwiatów — powiedział, wychodząc z założenia, że lepiej mieć to od razu z głowy, niż rozczarować ją później. — A twój prezent... dam ci go w Big Sur.

— Jakie to spontaniczne — mruknęła.

Nie było to oskarżenie i nie mówiła tego w złości. Po prostu była trochę rozczarowana. To słowo pasowałoby do epitafium na jej nagrobku, pomyślał.

Katherine van Bender

1958—

Rozczarowana

Nie zawsze tak było. Poznali się, kiedy Timothy studiował na Yale, a Katherine była na Smith. Na roku Timothy'ego wprowadzono koedukację. Po pierwszym zachłyśnięciu się możliwościami, jakie dawało zniesienie segregacji płciowej, Timothy i jego koledzy przeżyli gorzkie rozczarowanie. Dziewczyny, które przyjmowano do Ivy League, były wybierane na podstawie szkolnych wyników i zdolności intelektualnych, a nie urody. Studentki z pobliskiego Smith, o modnych fryzurami i wesołym usposobieniu, były znacznie bardziej otwarte. Tak więc przez całe studia Timothy i jego koledzy regularnie wpadali do Smith (czasami raz czy dwa razy w miesiącu) na przyjęcia

— albo żeby przetestować szczególnie obiecującą podwójną czy potrójną randkę.

Właśnie ten sposób poznał Katherine. Pewnego weekendu razem ze swoim współlokatorem Chaunceyem pojechali do Northampton, ponieważ kolega zaprosił ich na odbywające się poza kampusem party, obiecując, że zapamiętają je do końca życia. Ten weekend rzeczywiście zapadł im w pamięć, choć wcale nie z powodu przyjęcia. W nocy się rozpadało i złapała ich ulewa, jakiej nie pamiętali najstarsi mieszkańcy Nowej Anglii. Kiedy oldsmobile Timothy'ego złapał gumę, powiedział, że może lepiej będzie, jeśli Chauncey zostanie w wozie.

— Nie ma sensu, żebyśmy obaj mokli — oświadczył, mając jednocześnie nadzieję, że kolega pierwszy sięgnie do klamki.

Jednak Chauncey nie kwapił się z wyciąganiem ręki. Schylony nad podnośnikiem, na ciemnym poboczu drogi w Massachussets, z przemoczonym swetrem i wodą spływającą strużkami z włosów, Timothy sam zmienił koło. Pół godziny później, w butach pełnych wody i mokrej koszuli przywierającej do grzbietu, wszedł razem z Chaunceyem na przyjęcie. Bardzo szybko jednak stwierdził, że wcale nie bawi się dobrze. Był przemarznięty do szpiku kości, a z butów przy każdym kroku wyciekała woda, jakby były zrobione z gąbki.

Wyniósł się więc po cichu z przyjęcia i pojechał do najbliższej knajpki, gdzie miał zamiar napić się gorącej kawy i poczekać, aż Chauncey dojrzeje do powrotu do domu. I właśnie tam ją zauważył. Siedziała naprzeciw niego przy sąsiednim stole, popijając gorącą czekoladę i czytając książkę (była to Rebeka Daphne du Maurier). Na pierwszy rzut oka można było poznać, że jest ze Smith: jej ubranie (wiejska spódnica i bluzka z dekoltem) miało być symbolem buntu, ale takiego grzecznego buntu, z dobrym smakiem i pieniędzmi.

Blondynka o piegowatej twarzy, zadbana, z wypięłgnowanymi paznokciami i włosami równo przedzielonymi pośrodku głowy i spiętymi z tyłu spinką.

Jednak w odróżnieniu od innych dziewczyn ze Smith nie spuściła wstydliwie wzroku, tylko spojrzała na niego, przekrzywiła lekko głowę, jakby rozważała jakąś ważną kwestię, i nie przerywając kontaktu wzrokowego stwierdziła:

— Wyglądasz jak kupa nieszczęścia.

— Jeszcze przed sekundą rzeczywiście byłem kupą nieszczęścia — odparł Timothy, demonstrując przeciwczony wcześniej rozbrajający uśmiech.

— Dobry Boże... to najbardziej nieudolny podryw, o jakim słyszałam — stwierdziła.

Była bezpośrednia, inteligentna, otwarta i potrafiła usadzać face-tów bez żadnego ostrzeżenia.

Tej nocy zaprosiła go do swojego mieszkania (co było bardzo odważne) i zaproponowała mu suchy sweter i spodnie jakiegoś mężczyzny, którego nazwiska nie podała. Miał nadzieję na coś więcej, przynajmniej na pocałunek, ale wręczając mu ubranie, dodała tylko:

— Nie musisz tego zdejmować przez całą noc.

Powiedziała to jednak z uśmiechem i to wystarczyło.

Możliwe, że właśnie w tym momencie poczuł, że go oczarowała. Była zagadką i nic z nią nie było proste. Wszystko w niej było jakieś dziwne, poczynając od sposobu mówienia (wymawiała bardzo wyraźnie każdą zgłoskę), po rysy twarzy (bardzo ładne, ale jej nos był trochę garbaty, a podbródek zbyt wysunięty i profil przypominał dziób okrętu). Nawet jej pozycja społeczna była zagadką — a to akurat miało szczególne znaczenie dla Timothy'ego. Ubierała się, wystawiała i zachowywała, jakby pochodziła z zamożnej rodziny, ale co jakiś czas zdarzały jej się drobne potknięcia i miał uczucie, jakby patrzył na

dziedziczkę wielkiej fortuny, która schylając się na balu, ukazała starą i porwaną bieliznę.

W początkowym okresie ich zalotów pewnego popołudnia zwiedzali Muzeum Sztuki Metropolitan w Nowym Jorku. Trzymając się za ręce, krążyli po salach z francuskimi malowidłami. Zatrzymali się przed pastelą Ducreux, przedstawiającą portret księcia Bougainville'a. Katherine przeczytała podpis pod obrazem, ale zamiast powiedzieć „bu-żę-wij”, powiedziała „bou-żę-wile”.

Najgorsze jednak nie było to (Timothy nie mógł tego zapomnieć nawet po dwudziestu latach), że źle mówiła po francusku lub może знаła ten język tylko biernie, więcej czytając niż mając okazji do rozmowy, ale że poprawił ją tam w muzeum, przy innych ludziach.

— Wymawia się „bużęwój” — powiedział.

Jego francuski był bardziej niż perfekcyjny i mimo że powiedział to z uśmiechem, natychmiast tego pożałował, ponieważ był to atak, subtelna szpila, i oboje to wiedzieli. Kiedy później analizował tę sytuację, zastanawiając się, co go skłoniło do poprawienia jej wymowy, uznał, że to wina Katherine, wina jej nieustępliwości; przypominała stromą ścianę góry, która nie daje wspinaczowi nawet chwili odpoczynku. Dlatego usadził ją, kiedy tylko nadarzyła się okazja.

Była to także okazja do uświadomienia jej, że choć była czarującą enigmą, ładną dziewczyną o ciętym języku, która potrafiła się ubrać i zachować, to on był van Benderem. Pochodził z rodziny, w której klasę przekazywano z pokolenia na pokolenie, a nie zdobywano na uczelni w Massachusetts.

Tego dnia w muzeum, kiedy powiedział: „To się wymawia bużęwój”, Katherine zacisnęła usta. Być może inni zwiedzający mogli widzieć w tym uśmiech wdzięczności, ale Timothy wiedział, że to grymas bólu. Przez resztę wieczoru prawie się do niego nie odzywała.

Może to był pierwszy znak, że ich związek nie będzie prosty.

Później były inne znaki. W noc przed ślubem pojawiła się pierwsza rysa na ich związku, mniej więcej w tym samym czasie, co pierwsi goście zjeżdżający na uroczystość. Siedzieli w gabinecie na piętrze w domu ojca Timothy'ego w Menlo Park. Na dole były ich obie rodziny. Wszyscy krewni Katherine przyjechali tego wieczoru z Bostonu: matka i ojciec, siostra oraz babka (musiała mieć jakieś dziewięćdziesiąt lat), wraz z tuzinem innych gości. W ogrodzie ustawiono dwa biało-zielone namioty.

Timothy poprosił Katherine o podpisanie intercyzy.

Jak wyjaśnił, pozwalało to zachować rodzinny majątek na wypadek rozwodu, do którego zresztą i tak nie dojdzie. Jego ojciec na to nalegał, nie on. Na pewno może to zrozumieć.

Ale oczywiście nie mogła.

Z dołu dobiegały odgłosy przygotowań do obiadu: skrzypienie przesuwanych krzeseł, brzęk kostek lodu w szklankach, stukot talerzy, nagłe wybuchy śmiechu i podniesione głosy. Gdzieś w tle leciała transmisja meczu baseballowego w telewizji.

Katherine przez chwilę patrzyła na jednostronicową umowę, a potem odwróciła kartkę i spojrzała na pustą stronę na jej odwrocie.

— To tylko jedna strona — powiedział Timothy.

— Nie chodzi o to, ile to stron — odparła. — Nie w tym rzecz.

Ugłaskanie jej zabrało mu piętnaście minut, ale kiedy podpisywała kontrakt, jej wąskie usta były tak zaciśnięte, że widział tylko białą kreskę. Przez następne dwadzieścia lat ich małżeństwa żadne z nich nie wspomniało o intercyzie.

Czasami zastanawiał się, jak udało im się przetrwać ze sobą tak długo. Przez te wszystkie lata Katherine była tak smutna, że dziwił się, iż nie spakowała walizek, kiedy był w pracy, i nie wyjechała bez

pożegnania. Potrafił nawet wyobrazić sobie tę scenę, widział sam siebie, jak chodzi z pokoju do pokoju z teczką w rękę, wołając ją i zastanawiając się, gdzie może być. Może poszła do sklepu albo odwiedzić sąsiadkę, Ann Beatty? Kiedy dotarłoby do niego, że odeszła na zawsze? Czy zdałby sobie z tego sprawę już pierwszej nocy, budząc się bez niej?

Znał sekret, na którego odkrycie inni nowożeńcy potrzebują wielu lat: kluczem do wytrzymania w związku jest wyobrażenie sobie życia po jego zerwaniu. Często próbował wyobrazić sobie, jak wyglądałoby jego życie bez Katherine — najczęściej zdarzało się to wtedy, gdy słyszał o kolejnym rozwodzie przyjaciół. Zazwyczaj wiadomość o tym przekazywał mu jakiś wspólny znajomy. Czasem, gdy siedział w swoim gabinecie, nie myśląc o niczym, nagle uświadamiał sobie, że zaledwie kilka metrów dalej siedzi dwudziestotrzyletnia Tricia Fountain, otwarta na wszelkie propozycje. Zastanawiał się wtedy nad tym, co mógłby robić, gdyby był singlem. Czy flirtowałby z kobietami? Może sprzedałby dom w Palo Alto i przeniósł się do apartamentu, czegoś odpowiedniego dla kawalera, na przykład gdzieś w pobliżu akademików Stanfordu, gdzie miałby do dyspozycji mnóstwo młodych, opalonych ciał. A może poderwałby Tricię? Albo tę wysoką skośnooką kelnerkę z Tamarine, która zawsze posyłała mu znaczący uśmiech, kiedy Katherine tego nie widziała.

Jak długo musiałby czekać, zanim mógłby się pokazać z inną kobietą? Czy mógłby przyprowadzić ją do Circus Club? Czy mógłby grać w każdą sobotę w golfa i bez wyrzutów sumienia pływać w niedzielę jachtem?

Jednak te wszystkie marzenia, z początku tak ekscytujące, szybko przeradzały się w koszmar. Spróbował sobie wyobrazić wspólny czas z Tricią. Co mogliby razem robić po seksie? O czym by rozmawiali? Czy rozmowa z jakakolwiek kobietą poza Katherine mogłaby być

satysfakcjonująca? Kto potrafiłby się z nim przekomarzać tak jak ona? Kto nie pozwoliłby mu się nadymać i zmuszał go do składania datków na kościoły?

Kto tak cierpliwie znosiłby jego słabości i jednocześnie naśmiewał się z jego arogancji i egotyzmu? Kto potrafiłby żartować z jego utykania, nakłaniając go przy znajomych, żeby opowiedział o ranie odniesionej w czasie wojny w Wietnamie, choć w rzeczywistości kontuzji kolana doznał trzydzieści lat temu na korcie do squasha w Yale. („Kuśtyk — mówiła zawsze Katherine teatralnym szeptem przy stole na jakimś przyjęciu — opowiedz, co się stało z twoją nogą tamtej nocy na polu ryżowym”).

Kto by mu przypominał, co lubi jeść, kiedy byli w restauracji? Kto by z nim rozmawiał o pracy, doradzał mu, jak uspokoić drażliwego klienta, i dodawał mu wiary w siebie? Kto by pakował jego rzeczy przed wyjazdem? Z kim leżałby w łóżku, rozmawiając o wszystkim i o niczym: analizując plotki o parze wprowadzającej się do domu przy ich ulicy, rozważając, dlaczego syn sąsiadów wyrósł na ćpuna, i zastanawiając się, kto rozwalił ich samochód na drodze 101.

Marzenia o życiu singla zawsze kończyły się tym samym. Utwierdzały go w wierze w ich związek i przypominały mu, że mimo smutku i rozgoryczenia Katherine kochał ją bardziej niż kogokolwiek innego na świecie. Po dwudziestu latach małżeństwa wiedział, że nie będzie w jego życiu drugiej kobiety i że pewnie umrze przed nią, wciąż ją kochając.

Stojąc za nią na patio, oparty o krzesło, na którym siedziała, powiedział:

— Trudno być spontanicznym po dwudziestu latach. To szmat czasu.

— Jesteś mną zmęczony? — zapytała.

— Trochę — przyznał. — Ale na tym to polega, prawda? To naturalne, że jesteśmy sobą trochę znużeni. Jednak to znaczy, że nasz związek

przetrwiał próbę czasu. Nieustanne podniecenie jest dobre dla nowożeńców.

Spojrzała na niego, mrużąc oczy przed słońcem, które wyzierało zza jego ramienia.

— Nie wiem, czy to najmiłsza, czy najokropniejsza rzecz, jaką od ciebie usłyszałam.

— Najmiłsza — odparł. — Jesteś moją żoną, kocham cię bardziej niż kogokolwiek innego na świecie i zamierzam spędzić z tobą wszystkie moje dni.

— No, no... Co w ciebie wstąpiło?

Po raz pierwszy nie usłyszał w jej słowach ironii ani goryczy. Miał wrażenie, że jej oczy trochę się zaszkliły, ale nie mógł być tego pewien.

— Od kiedy to jest przestępstwem być zakochanym we własnej żonie? — zapytał.

— Nie jest przestępstwem — odparła. — Ale to trochę nietypowe.

— W mojej bajce małżeństwo jest do końca.

— W zdrowiu i chorobie? — zapytała.

— Właśnie.

— Na dobre i na złe?

— Zgadza się.

— W dostatku i biedzie?

— Nie przesadzajmy...

Uśmiechnęła się, ujęła jego dłonie i położyła je na swoich ramionach. Wspaniale było znowu znaleźć się w jej objęciach i być porządnym mężem, nawet jeśli trwało to tylko parę minut. Pomyślał, że może jednak czeka ich udany weekend.

5

Big Sur to pas wybrzeża ciągnący się przez sto sześćdziesiąt kilometrów pomiędzy Carmel i San Simeon. Pierwsi hiszpańscy osadnicy w Monterey nazwali ten kawałek ziemi przylegający do Pacyfiku „Big South”, ponieważ wszystko było tu ogromne i dramatyczne: fale przyboju, rozbijające się o skalne klify, ciągnące się kilometrami plaże, moczary i mroczne lasy, w których rosły stuletnie sekwoje.

Jazda zajęła im dwie i pół godziny. Jechali swoim czarnym bmw coupe, najpierw serpentynami Route 17 na wschód przez góry Santa Cruz, a później skręcili na południe drogą 85. Timothy siedział za kółkiem, natomiast Katherine spała przez większość drogi.

Zatrzymali się na lunch w restauracji Grasing w Carmel. Kiedy Katherine zajmowała miejsce przy stole, Timothy wymówił się obowiązkami zawodowymi.

— Muszę zadzwonić do firmy — wyjaśnił.

Minął kierownika restauracji, który mu się uklonił, i wyszedł na zewnątrz. Na ulicy wyjął telefon komórkowy i zadzwonił do Dzieciaka. Jen znowu spadał i osiągnął poziom siedemdziesięciu trzech. Osiris zarobił jakiś milion w jeden dzień, przynajmniej na papierze. Zostało

jeszcze dwadzieścia trzy, pomyślał Timothy.

— Wydzwania do mnie Pinky Dewer — powiedział na koniec jego asystent.

Timothy stał na ulicy Mission, przed restauracją. Z telefonem przy uchu skierował się na zachód, w stronę ulicy San Carlos.

— Zrobiłem tak, jak mi kazałeś — dodał Dzieciak. — Nie odbieram jego telefonów. Ale dzwonił już trzy razy. Trochę głupio udawać, że cały czas jestem na spotkaniach. Nie jestem aż tak ważny w firmie.

— Dla mnie jesteś ważny — zapewnił go Timothy.

Przeszedł na drugą stronę San Carlos i szedł dalej na zachód Sixth w stronę Dolores. Po drodze minął galerie i bistro. Było słoneczne piątkowe popołudnie w szczycie sezonu i Carmel roiło się od turystów oglądających wystawy i siedzących w kawiarnianych ogródkach.

W końcu znalazł to, czego szukał. Nad witryną był napis: „Michael Sherman — biżuteria artystyczna”.

— No dobra, Jay — powiedział. — Muszę kończyć. Dzwon, gdyby coś się działo. Widzimy się w poniedziałek.

— Miłego weekendu, szefie.

Timothy zamknął komórkę i schował ją do kieszeni blezera, po czym wszedł do sklepu. W środku panował lekki półmrok, a klimatyzacja zapewniała miły chłód. Małe halogenowe lampki oświetlały szklane lady, na których leżały pierścionki z diamentami oprawionymi w platynę.

Za kontuarem stała niewysoka kobieta po pięćdziesiątce. Miała ciemne włosy, oliwkową cerę i drobne rysy. Skóra na jej twarzy była mocno napięta — efekt zbyt wielu operacji plastycznych.

Podeszła do niego.

— Dzień dobry — powiedziała i uśmiechnęła się.

Timothy nie miał czasu na ceregiele.

— Przejdźmy od razu do rzeczy — oświadczył. — Żona czeka na mnie w restauracji i pewnie jest już wściekła jak diabli, że zostawiłem ją samą. Właśnie obchodzimy dwudziestą rocznicę ślubu, a ja nie mam prezentu. Potrzebuję czegoś okazałego i drogiego, czegoś, co sprawi, że wybaczy mi wszystkie moje błędy, także te, o których nic nie wiem. Proszę mi poradzić, co powinienem wybrać. — Wyciągnął z tylnej kieszeni portfel, wyjął z niego czarną kartę American Express i położył ją na ladzie. — Mam jakieś piętnaście tysięcy i sześćdziesiąt sekund, żeby je wydać.

Kobieta uniosła brwi.

— To dwadzieścia sekund więcej, niż pan potrzebuje — stwierdziła.

Wzięła kartę i podprowadziła go do innej lady. Pochyliła się nad nią, wyjęła klucz z kieszeni i otworzyła szklane drzwiczki. Wyjęła ze środka naszyjnik na czarnej filcowej podstawie i położyła go przed nim. Naszyjnik był wysadzany diamentami, coraz większymi bliżej środka, w którym znajdował się duży wisiorek z szafiru, diamentów i ze złota. W świetle punktowych reflektorków migotał biało-niebieskimi promykami.

— Osiemnastokaratowe białe złoto — powiedziała sprzedawczyni. — Sto pięć niemal zupełnie bezbarwnych diamentów. Wisiorek zrobiony jest z jednokaratowego diamentu i jednokaratowego szafiru. Całkowita waga diamentów to dziewięć i pół karata. I kosztuje dokładnie piętnaście tysięcy.

— Co za zbieg okoliczności — mruknął Timothy. — Biorę go.

Sprzedawczyni uśmiechnęła się i przesunęła jego kartę przez magnetyczny czytnik umieszczony na ścianie, a potem wbiła kod. Z głośniczka dobiegł komputerowy odgłos wybierania numeru i po chwili

na wyświetlaczu pojawił się napis: ZATWIERDZONE.

— Zakładam, że nie ma pan czasu na pakowanie, więc włożę ten naszyjnik do ładnego pudełeczka — zaproponowała kobieta.



Katherine zamówiła kieliszek wina i wypiła już połowę, zanim Timothy wrócił do restauracji i zajął miejsce naprzeciw niej.

— Cały się spociłeś — zauważyła. — Tak gorąco?

— Śpieszyłem się do ciebie.

— Wszystko w porządku w firmie?

— W jak największym — odparł. — Jay prosił, żeby cię pozdrowić.

— A co mówiła Tricia?

— Też kazała cię pozdrowić — powiedział Timothy, starając się zachować neutralny ton.

— Jestem o nią trochę zazdrosna — przyznała Katherine.

Popatrzył na nią ze zdziwieniem.

— Spotkałaś ją w ogóle kiedyś?

— Nie — odparła Katherine. — I właśnie dlatego jestem zazdrosna. Kilka razy rozmawiałam z nią przez telefon. Jak ona wygląda?

— Jest bardzo pospolita — mruknął Timothy.

— Młodsza ode mnie?

— Tak.

Spojrzał na jej nagie ramiona i zobaczył, że jej skóra powoli traci jędrność. To było coś nowego, nie zauważył tego wcześniej. Poczł nagły przypływ czułości.

— Ładniejsza? — dopytywała się dalej Katherine.

— Nie.

— Kłamca.

— Masz zamiar sabotować naszą rocznicę? — zapytał.

— Nie — odparła.

Podczas dwudziestu lat ich małżeństwa Timothy trzy razy ją zdradził, ale Katherine wiedziała tylko o jego jednym skoku w bok. Traktował te przygody tak samo jak swoich partnerów w biznesie czy woźnego na basenie w klubie. Zawsze starał się być dżentelmenem.

Ograniczał swoje wypadki do jednorazowych podbojów w odległych miastach, nigdy nie zdradzał partnerkom swojego nazwiska i zawsze używał prezerwatywy; bardzo dbał o to, żeby nie pozostawić żadnych śladów — niczego, co kochanka mogłaby wykorzystać przeciwko niemu.

W ciągu dwudziestu lat popełnił tylko jeden błąd. Przytrafiło mu się to przy ostatnim romansie. Był to siedemnasty rok ich związku. Pojechał wtedy do Palm Beach na dwa dni, żeby zebrać pieniądze na fundusz Osiris IV. Przy okazji odwiedził swojego dawnego kolegę z Exeter, Macka Gładwella, który w jakiś niewytłumaczalny sposób ze skąpego potomka fortuny Gładwellów przeobraził się w wiecznie naćpanego właściciela studia nagraniowego. Mack nie miał pieniędzy na inwestycje, ale zaoferował Timothy'emu coś równie cennego: nocny wypadek w miasto „w stylu Gładwella”, jak to ujął.

Odwiedzili tej nocy trzy knajpy. Timothy, który wypił zdecydowanie za dużo, stał się nieostrożny i wylądował w domu ładnej kelnerki. Wiele z tej nocy nie pamiętał, ale był pewien, że nie zdradził jej swojego prawdziwego nazwiska i nic o sobie nie opowiadał.

Dopiero następnego ranka, gdy z potężnym kacem usiłował dostać bilety na samolot do San Francisco, stwierdził, że zostawił portfel w mieszkaniu tamtej kobiety. W portfelu było prawo jazdy i wizytówki, a to oznaczało, że kelnerka poznała jego tożsamość i łatwo mogła go odszukać.

Nie omieszkała też tego zrobić. Zadzwoiła do jego domu w Palo Alto,

gdy siedział na pokładzie samolotu. Telefon odebrała Katherine. Kelnerka (wściekła i pijana) powiedziała, że chce rozmawiać ze swoim „chłopakiem” Timothy. Następnie z detalami opisała jego ciało, w tym także pieprzyk z tyłu uda i pozycje, jakie lubił w łóżku.

Kiedy Timothy wrócił tej nocy do domu, był pewien, że Katherine zamierza go zostawić. Jego rzeczy były spakowane, a ona spokojnym tonem oświadczyła, że ma się wynieść do hotelu Hyatt Rickey. Musiał tam mieszkać przez tydzień, a gdy próbował do niej dzwonić, nie odbierała telefonów. Kiedy któregoś dnia pojechał do domu i zadzwonił do drzwi, nie otworzyła, tylko zawołała ze środka, że wezwie policję, jeśli natychmiast nie odejdzie.

Jednak po siedmiu dniach, gdy był już pewien, że ją stracił, że rozwód jest nieunikniony, nieoczekiwanie zastukała do jego drzwi i powiedziała: „Wracaj do domu”.

Wrócił więc i nigdy już nie wspomnieli o jego zdradzie.

Ale teraz, kiedy siedzieli w restauracji w Carmel i rozmawiali o jego sekretarce, incydent z Mackiem Gladwellem i kelnerką pływał tuż pod powierzchnią niczym rekin ludojad. Timothy zawsze tak sterował rozmową, żeby omijała niebezpieczne wody. Należało unikać wszelkich dyskusji o innych kobietach i zazdrości — a przede wszystkim o Palm Beach. I zawsze powinien powtarzać Katherine, że ją kocha.

— Kocham cię — powiedział.

— Wiem o tym. — Otworzyła menu i po chwili spojrzała na niego.

— Mają duszone żeberka — oświadczyła. — Takie, jakie najbardziej lubisz.

— Czemu mi przypominasz, co powinienem zamówić?

— No cóż, po dwudziestu latach...

Wiedział, co ma na myśli.



Podczas deseru powiedziała:

— Chciałam cię o coś poprosić.

Kelner, niski mężczyzna o rozjaśnionych włosach i talii baletmistrza, postawił przed nimi dwie kawy. Dla niego czarna, dla niej ze śmietanką i z cukrem. Zawsze piła słabą i słodką.

Odczekała, aż kelner się oddali. Ukłonił się lekko i odszedł szybkim krokiem.

— Trochę mi głupio... — zaczęła.

Timothy zmarszczył brwi. Odbyli już wcześniej kilka nieprzyjemnych rozmów, ale nigdy ich nie zapowiadała. Wszystkie ich kłótnie zaczynały się jakąś niewinną uwagą czy żartem i pojawiały się na horyzoncie niczym monsunowa burza, gwałtowna i niespodziewana.

— O co chodzi? — zapytał.

— Potrzebuję jakiegoś zajęcia — powiedziała. — Muszę czymś wypełnić sobie czas, kiedy ty jesteś w biurze.

— Oczywiście — odparł.

— Zastanawiałam się, czemu jestem ciągle taka przygnębiona, i doszłam do wniosku, że to przez nadmiar wolnego czasu. Wiesz, zbyt dużo rozmyślania i przetrawiania wszystkiego. Zawsze muszę wszystko przeanalizować i poukładać sobie w głowie. Kiedy ty jesteś w firmie, siedzę sama w domu i pewnie dlatego robię się trochę szurnięta. Więc może gdybym miała jakieś zajęcie...

— Na przykład jakie?

— Nie wiem, ale to chyba bez znaczenia. Chodzi tylko o to, żeby się czymś zająć. Muszę sobie jakoś zapełnić czas.

— Jasne — zgodził się.

Było oczywiste, że coś już sobie upatrzyła.

— Wpadłam na pomysł, że można by odnowić dom. No wiesz, trochę go odświeżyć, żeby był bardziej... — przez chwilę szukała odpowiedniego słowa — współczesny.

— W porządku.

— Wynajęłabym architekta wewnątrz. Mogłabym pracować razem z nim. To by mi świetnie wypełniło czas.

— W porządku — powtórzył.

— Chciałabym jednak, żeby to był mój projekt. Nie chcę cię ciągle prosić o zgodę, podsuwać ci czeki i czekać na pieniądze. Chciałabym sama decydować, rozumiesz?

— O jakiej sumie mówimy? — zapytał.

Wszystko zawsze sprowadzało się do pieniędzy. Ktoś od kogoś zawsze chce pieniędzy.

— Nie martw się, to nie będzie nic szalonego. Ale kiedy uzgodnimy koszty, chciałabym, żebyś pozwolił mi samej wszystkim pokierować.

— Podaj mi sumę.

— Dwieście tysięcy — odparła.

— Na remont? To szaleństwo.

— No, może rzeczywiście trochę drogo. Ale to byłby maksymalny budżet. Postaram się wydać znacznie mniej. Jest bardzo dużo do zrobienia. Mamy tyle niewykorzystanej przestrzeni: salon, pokój jadalny. Można je tak przebudować, żeby dom zrobił się znacznie przytulniejszy.

— Chcesz, żebym przelał na twoje konto dwieście tysięcy dolarów i pozwolił ci je wydać wedle własnego uznania?

— Sprawiłbyś mi tym największą przyjemność.

— Chciałbym, żebyś była szczęśliwa, ale to naprawdę przesada — odparł.

— Timothy, proszę... — Sięgnęła ponad stołem po jego rękę. — Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy.

Spojrzał jej w oczy. Wciąż były to te same śliczne niebieskie oczy, w które spojrzał po raz pierwszy dwadzieścia lat temu. Teraz jednak były podkrążone i otoczone siateczką kurzych łapek. Także wokół jej ust zarysowały się pierwsze ostre linie. Może miała rację, może naprawdę potrzebowała czymś się zająć, zrobić coś, co byłoby tylko jej

dziełem i wypełniło pustkę. Od tak dawna siedziała sama w domu, podczas gdy Timothy cieszył się życiem, podróżował, pracował, przychodził i wychodził, kiedy chciał. Dwieście tysięcy było olbrzymią sumą dla innych ludzi, ale dla niego była to miesięczna prowizja z funduszu. Jedna udana transakcja.

— A, co tam. Tylko nie wydawaj pieniędzy jak pijany marynarz.

Uśmiechnęła się.

— Dzięki, Timothy. Myślę, że to nam bardzo pomoże.

— Zajmę się tym w poniedziałek.

— Kocham cię.

— Kiedy już jesteśmy przy temacie pieniędzy i miłości, to mam coś dla ciebie — powiedział, po czym wyjął z kieszeni pudełeczko z naszyjnikiem. — Wszystkiego najlepszego z okazji rocznicy — dodał, podsuwając je Katherine.

Przyłożyła dłoń do ust. Widział, że jej ręka drży. Otworzyła pudełeczko i spojrzała na naszyjnik. Diamenty i szafir migotały w promieniach słońca.

— O Boże... — wyszeptała.

— Gdybym wiedział o tym pomyśle z remontem domu... — zaczął. Nawet nie zwróciła na niego uwagi.

— Timothy, to jest przepiękne!

— No cóż, po dwudziestu latach zasługujesz na coś godnego ciebie. — Rozejrzał się po sali, szukając kelnera. Miał ochotę na jeszcze jedną kawę. — Miałem nadzieję, że ci się spodoba. — W końcu wypatrzył kelnera i wskazał mu swoją pustą filiżankę. — Myślę, że to będzie udany rok... udany dla nas obojga — powiedział. — Nasz najlepszy rok.

Wtedy stało się coś dziwnego, coś, czego zupełnie się nie spodziewał: jego żona rozplakała się. Młoda para siedząca przy sąsiednim stoliku rzuciła jej szybkie spojrzenie.

— Katherine, co się stało? — zapytał zaskoczony Timothy.

Ale ona potrząsnęła tylko głową, ocierając łzy z twarzy. Inni goście także zaczęli zwracać na nich uwagę. Chlipnęła jeszcze raz i przestała płakać. Otarła oczy serwetką. Kelner, który podszedł do ich stolika z dzbankiem kawy, był wyraźnie zakłopotany.

— Katherine, co się stało? — zapytał ponownie Timothy.

Znowu potrząsnęła głową, a on uznał, że to z nadmiaru emocji: elegancka restauracja, weekend, jego zgoda na remont, naszyjnik. Dopiero później, kiedy przypomniał sobie tę scenę, uświadomił sobie, że chodziło o coś innego — o coś, czego nigdy w życiu by się nie domyślił. Teraz jednak zastanawiał się tylko nad tym, czy dostanie jeszcze kawy.

6

Mimo początkowych obaw dobrze się bawił. Poza domem, tylko z nim, z dala od wszystkiego, co przypominało jej, jak bardzo jest niešťeśliwa, Katherine była zupełnie inną osobą (taką, jaką była kiedyś). Tych kilka dni przypomniało Timothy'emu, co tak bardzo w niej kochał: jej chłodny intelekt i sposób, w jaki potrafiła patrzeć na innych ludzi i opowiadać ich historie.

— Spójrz tylko na nich — mówiła cicho podczas sobotniego obiadu w restauracji Ventana, wskazując mu parę siedzącą przy sąsiednim stoliku. — On jej nienawidzi. Nawet nie spojrzy na nią. Pewnie się jej wstydzi.

Albo:

— Widzisz tę parę? To ich trzecie małżeństwo. Ona jest zbyt młoda, żeby być jego pierwszą żoną, a on ją za bardzo ignoruje, żeby była drugą.

Dzięki zdrowej, czystej cerze wyglądała bardzo korzystnie w porównaniu z innymi kobietami w jej wieku. Podobało mu się też, że nie ukrywała swoich piegów pod tonami pudru. Lubił jej sarkazm — sposób, w jaki potrafiła wyszydzić menu Spa, zawierające organiczną

maskę z morskich enzymów („Mewie kupy” — wycedziła przez zaciśnięte zęby, gdy masażysta rozsmarowywał jej to coś na twarzy), porady astrologiczne czy analizę energii barw — cokolwiek miało to znaczyć.

W sobotę wybrali się na wycieczkę po parku Point Lobos. Zostawili samochód na małym parkingu i przeszli spacerkiem półtora kilometra. („Ruszaj się, Kuśtyk — zawołała przez ramię — bo przez tę ranę z wojny zostajesz z tyłu!”). Na plaży zdjęli buty i grzęznąc w piasku, ruszyli wzdłuż morza, zostawiając ślady mokrych stóp między wodorostami i wyrzuconymi na brzeg meduzami. Był właśnie odpływ i w powietrzu unosił się zapach soli. W zasięgu wzroku nie było nikogo innego.

Plaża kończyła się skalnym cyplem, potężną ścianą głazów o wysokości trzydziestu metrów wchodzącą w morze. Na początku ścieżki znajdował się napis „Zachowaj ostrożność” z rysunkiem przedstawiającym figurkę człowieka wychylającego się poza nawis skalny.

Wzrok Katherine powędrował w górę.

— Myślisz, że dasz radę?

Nie był pewien, czy tylko go podpuszcza, czy rzeczywiście chce tam wejść. Tak czy inaczej, nie mógł okazać słabości.

— Oczywiście.

Zaczęli wspinać się po ścieżce, prowadzącej od wody w górę. Już sam początek był stromy, a im wyżej, tym było gorzej. Po paru metrach ścieżka zamieniała się w małe schodki wykute bezpośrednio w skale. Był to efekt programu masowego zatrudnienia z czasów, gdy ręczne polerowanie piaskowca było uznawane za dobrą pracę, a po darmową zupę ustawiały się kolejki.

Po kilku pierwszych stopniach Timothy'ego zaczęło boleć kolano. Spojrzał w dół i zobaczył, że przebył zaledwie pięć metrów. Zostało jeszcze dwadzieścia pięć.

Kiedy stopnie się skończyły, znowu znaleźli się na piaszczystej ścieżce, wijącej się serpentynami w górę. Od strony oceanu wzdłuż ścieżki rozciągnięto łańcuch, zabezpieczający wspinaczy przed upadkiem.

Po dziesięciu minutach dotarli na szczyt, który okazał się płaskim kawałkiem skały. Spojrzeli w przepaść. Trzydzieści metrów pod nimi, poniżej ścieżki, o poszarpane skały rozbijały się fale, wyrzucając w powietrze fontanny piany.



Przez jakiś czas stali w milczeniu na skraju przepaści. Timothy objął Katherine od tyłu i trzymał ją mocnym uchwytem pod pachami. Patrzyli, jak ocean napiera na klif i cofa się.

— Jak tu pięknie! — zawołała Katherine, przekrzykując łoskot fal.

Ujęła jego dłonie i położyła je na swoim brzuchu.

— Pusto — stwierdziła.

Wiedział, o czym mówi. Było to największe źródło jej smutku — fakt, że nie mogli mieć dzieci. I była to też kolejna dziwna cecha jej charakteru: za każdym razem, kiedy patrzyła na coś pięknego, napaśla ją to smutkiem, a nie radością — jakby ciągle musiała rozdrapywać stare rany.

Wiele razy próbowali mieć dzieci. Pierwsze poronienie nastąpiło trzy miesiące po ślubie. Oczekali trochę do kolejnej próby, ale półtora roku później Katherine znowu poroniła, tym razem w czwartym miesiącu ciąży. Była niepokieszona. Wszystkie kobiety wśród ich znajomych — przyjaciele z kościoła, koleżanki szkolne, znajome z supermarketów, sąsiadki — miały już dzieci. Wiele jej rówieśniczek urodziło już drugie dziecko i na wspólnych spotkaniach często rozmawiano o tym, o czym Katherine nie miała pojęcia: o ząbkowaniu, pierwszych krokach, przedszkolu, dziecięcych chorobach, współzawodnictwie bliźniaków.

Kiedy minął kolejny rok, Timothy namówił ją, by ponownie spróbowali. Tym razem donosiła ciążę do szóstego miesiąca, więc byli pewni, że się uda. Wybrali nawet imiona: dla chłopca Connor, po jej dziadku, a dla dziewczynki Lisa, po jej babce.

Pod koniec szóstego miesiąca Katherine była pewna, że to chłopiec, i oboje często rozmawiali o Connorze. Zastanawiali się, jak będzie wyglądał, wyobrażali go sobie, jak idzie do szkoły, a potem jako nastolatka. W siódmym miesiącu poroniła.

Potem przez wiele dni nie wychodziła z domu i nie chciała się z nikim widzieć. Timothy nie miał pojęcia, jak się zachować. Współczuć jej czy starać się zminimalizować to, co się stało? Rozpaczać razem z nią czy być silnym? Nie potrafił się zdecydować, więc po prostu czekał, aż jej przejdzie.

W końcu depresja minęła. Kiedy Timothy uświadomił sobie, że nigdy nie będą mieć dzieci, ogarnęło go rozczarowanie, ale tak naprawdę czuł ulgę. Mógł wieść takie życie jak dawniej: chodzić do biura, pracować sześć godzin dziennie, latać do Nowego Jorku na spotkania z inwestorami, grać w weekendy w tenisa w Circus Club i co roku jeździć na wakacje do St. Bart.

Na początku zastanawiali się, czy nie podjąć leczenia albo nie zdecydować się na adopcję, ale Katherine szybko odrzuciła te pomysły i wkrótce w ogóle przestała rozmawiać o dzieciach. Temat został odłożony do lamusa, gdzie zbierali wszystkie rozczarowania ich małżeństwa.

— Rzeczywiście bardzo tu pięknie — potwierdził Timothy, patrząc na fale przyboju uderzające o skały. — Kocham cię.

Było to jedyne, co mógł powiedzieć w takiej chwili.



Tego wieczoru w hotelu okazało się, że mają kilka niezaplanowanych godzin przed kolacją. Katherine zasugerowała, że Timothy

powinien wziąć masaż (żeby przynieść ulgę swoim żołnierskim kolanom). zaproponował, by poszli tam razem, ale stwierdziła, że chce pobyć trochę sama.

— Przyda mi się chwila spokoju — oświadczyła.

Timothy nie protestował. Czuł, że też potrzebuje kilku godzin dla siebie. Idąc do pokoju masaży, próbował wyobrazić sobie swoją masażystkę. Uznał, że najbardziej odpowiadałyby mu młoda Szwedka z silnymi dłońmi. Znajomość angielskiego nie była najważniejsza.

Był rozczarowany, kiedy recepcjonista poinformował go, że skoro nie był umówiony, może zaproponować mu tylko jedną osobę, i że jest to dżentelmen o imieniu Tony.

Może i mógłby uchodzić za dżentelmena, pomyślał Timothy, rozciągnięty na stole i ugniatający olbrzymimi dłońmi masażysty, gdyby mięśniacy w dresach otwierali kobietom drzwi swoich samochodów. Tony był wysokim Murzynem, przystojnym i potężnie zbudowanym. Miał krótko obcięte włosy i ciągnącą się przez całą szczękę bliznę. Timothy miał nadzieję, że nie powstała w wyniku masażu.

Z początku był nieco zawstydzony faktem, że leży nagi i jest masowany przez mężczyznę (w dodatku przez faceta, który prawdopodobnie oberwał w pojedynku na noże), jednak szybko się zrelaksował i pięćdziesiąt minut później, pod koniec zabiegu, ze zdziwieniem stwierdził, że zasnął.

— Mam nadzieję, że odpowiadał panu masaż, panie van Bender — powiedział Tony.

— I to bardzo — odparł Timothy. — Ma pan rewelacyjne dłonie. — Uświadomił sobie, że jego uwaga ma homoseksualny wydźwięk, więc szybko dodał: — O wiele lepsze niż dłonie mojej żony.

Tony uśmiechnął się, ale jego spojrzenie mówiło: „Nie pochlebiaj sobie”.

— Proszę się ubrać — powiedział i wyszedł z gabinetu.

Timothy ubrał się, wrócił do recepcji i kazał dodać koszt masażu do rachunku. Zostawił też w małej kopercie pięćdziesiąt dolarów dla Tony'ego.

Potem skierował się do swojego pokoju.

Szedł hotelowym korytarzem, pogwizdując arię z Pucciniego i machając ramionami, rozkoszując się swoim wymasowanym i zrelaksovanym ciałem. Kiedy dotarł do pokoju, przekręcił klucz w zamku i otworzył drzwi. Katherine siedziała ze skrzyżowanymi nogami na łóżku, odwrócona do niego plecami. Pochylała się nad grubym czarnym notatnikiem, w którym coś pisała, nie zwracając uwagi na Timothy'ego.

Była wyjątkowo płodną pamiętnikarką. Odkąd pamiętał, każdego dnia skrupulatnie zapisywała wszystko, co się wydarzyło, oraz wszystkie swoje uczucia i pragnienia. Miała tak drobne pismo, że jego odczytanie niemal wymagało szkła powiększającego. Często po kłótni z Timothyem wycofywała się do swojej sypialni jak nadąsana pannica i pisała. Dwa lata po ślubie, kiedy któregoś dnia wyszła z domu, zakradł się do jej szafki i znalazł półkę z pamiętnikami, identycznymi notatnikami oprawionymi w czarną skórę, ułożonymi starannie między swetrami i torebkami. Nie mógł się oprzeć pokusie, więc wyjął ostrożnie jeden z nich, otworzył na pierwszej lepszej stronie i zaczął czytać.

Było to dziwne doświadczenie. Katherine cechowała obsesyjna drobiazgowość — zawsze zapisywała, co zjadła na śniadanie („musli z chudym mlekiem, połówka grejpfruta, tost z dżemem”), w co się ubrała („założyłam niebieską sukienkę w kwiatki od Ralphi Laurena i słomkowy kapelusz”), gdzie była, kogo spotkała na ulicy („w Gristede widziałam Berty, a później spotkałam Nancy Stanton na parkingu”). Pomiędzy tymi monotonnymi zapiskami znajdowały się złośliwe uwagi, które rozświetlały tekst niczym błyskawice niebo w bezksiężycową noc. Szczególnie jeden akapit zapadł mu w pamięć. Była to

uwaga na temat zdarzenia, które miało miejsce w czasie ich wspólnego wypadu do opery w San Francisco: „Kiedy policjant nas zatrzymał, Timothy uśmiechnął się i próbował go przekupić. Zrobił to tak zrećznie, że wcale nie wyglądało to, jakby dawał łapówkę. To takie dla niego typowe. Co on sobie myśli, że jest ponad prawem, że wszystko mu wolno? Prawdopodobnie ludziom, z którymi pracuje, daje to poczucie bezpieczeństwa: zawsze sprawia wrażenie, że pewnie stoi u steru i potrafi przeprowadzić ich przez wszystkie burze. Ale według mnie jest to ohydne”. Podkreśliła słowo „ohydne” dwukrotnie, tak mocno, że przy drugiej kresce długopis zostawił rysę w papierze, niemal dziurawiąc go na wylot.

Czytając ten fragment, Timothy poczuł zawrót głowy. Przypomnił sobie tamto zdarzenie, kiedy udało mu się wymigać od mandatu za przekroczenie szybkości. Zapamiętał ten wypadek jako swój mały sukces, który zawdzięczał swojemu opanowaniu, i fakt, że Katherine mogła to postrzegać zupełnie inaczej, zaszokował go. Zamknął dziennik i odłożył go na półkę. Położył go dokładnie tak samo, jak leżał wcześniej: jeden róg trochę nierówno, wystający odrobinę poza resztę notesów, rękaw żółtego swetra na krawędzi skórzanej oprawy.

Jakim cudem zorientowała się, że czytał jej pamiętnik? Nigdy się tego nie dowiedział, ale w jakiś sposób to poznała. Kiedy wróciła do domu, zdziwiła się, widząc go w kuchni. Poszła do swojej sypialni, ale po chwili wybiegła z niej czerwona jak pomidor, z pulsującą żyłą na czole.

— Jak śmiałeś?! To najohydniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłeś! — krzyknęła, po czym dodała tonem, w którym zabrzmiała groźba: — A wiem dobrze, ile świństw zrobiłeś.

Nie przyznał się, że zaglądał do jej pamiętników. Był pewien, że go tylko sprawdza, chce, żeby przyznał się do winy. Wiedział jednak,

że bez względu na to, jak bardzo była wściekła, przyznanie się do winy tylko pogorszyłoby sprawę, więc uparcie trzymała się swojej wersji: nie miał pojęcia, o co go oskarża. W końcu pokręciła głową.

— Typowe — mruknęła, jakby dobrze wiedziała, którą stronę czytała. — To takie typowe.

Wybiegła z kuchni i przez następne dni nie odzywała się do niego. Timothy w dalszym ciągu udawał zranionego i obrażonego — jak śmiała go oskarżać o taką podłość? — ale jego protesty nie brzmiały zbyt przekonująco. Bardzo chciał, żeby cały ten incydent poszedł w zapomnienie.

W końcu udało im się o tym zapomnieć. Timothy nigdy więcej nie zajrzał do jej dzienników. Obawiał się, że zainstalowała w szafce jakiś sekretny system ochrony, jakieś ślady talku lub światło ultrafioletowe. Jednak jeszcze bardziej bał się tego, co mógłby w nich wyczytać — może ten przeczytany akapit to tylko wstęp do czegoś większego, uwertura potężnej symfonii. Czasami lepiej nie znać prawdy.

Podszedł do żony. Musiała słyszeć, jak wchodzi, ale nie przerywała pisanie, jakby czuła się przy nim zupełnie bezpieczna. Kiedy dookończyła zdanie, podkreśliła jakieś słowo i postawiła kropkę, po czym założyła nasadkę na pióro, zamknęła pamiętnik i położyła go na łóżku obok siebie. Dopiero wtedy obejrzała się przez ramię i popatrzyła na Timothy'ego.

— Jak masaż? — zapytała.

— W porządku — odparł.

— Ładna?

— Kto?

— Masażystka.

— Śliczna — potwierdził.

Kiwnęła głową, jakby takiej właśnie odpowiedzi się spodziewała.

Usiadł obok niej. Pod jego ciężarem w materacu zrobiło się wgłębienie i skórzany notatnik zsunął się, dotykając jego uda. Odsunął go ostrożnie — obchodził się z nim jak z naładowaną bronią.

— Ale to ciebie kocham, Katherine — dodał. — Kocham cię bardziej niż moją piękną szwedzką masażystkę. Bardziej niż moją młodą, napaloną sekretarkę. Bardziej niż kogokolwiek na świecie. Kocham cię.

Rzuciła mu dziwne spojrzenie, którego nie potrafił zrozumieć. Przez chwilę myślał, że to smutek, zaraz jednak uświadomił sobie, że to coś innego — może żal? Nie. W końcu doszedł do wniosku, że to musi być miłość. Śmieszne, pomyślał, po dwudziestu latach miłość jest tak ulotna, że trudno ją wyczytać w oczach własnej żony.

— Ruszmy się — powiedział. — Trzeba przygotować się do obiadu.



Poza masażami i pieszymi wędrówkami spędzali czas na odwiedzaniu małych galerii (mniej chodzenia, co bardzo mu odpowiadało), w których kupili zegar z kurantem i dwa abstrakcyjne akrylowe obrazy. Timothy'emu się nie podobały, ale Katherine zdecydowała, że będą doskonale pasować do odnowionego salonu. Zatrzymywali się w przydrożnych restauracjach, gdzie Timothy zachwycał się smażonymi w mące kukurydzianej ostrygami („Nie znajdziesz takich w Palo Alto” — stwierdził), a Katherine zamawiała krwiste, niedosmażone steaki.

W niedzielę, ostatniego dnia ich wakacji, postanowili wymeldować się z hotelu i odwiedzić kilka galerii położonych przy Route 1, zanim wyruszą w powrotną podróż do Palo Alto. W Crabbe Gallery Katherine spodobała się jedna rzeźba i Timothy zdecydował się kupić ją dla

niej. Była to kolejna abstrakcja, dwa przeplatające się marmurowe kształty w formie litery U.

— Będzie pasowała do korytarza — powiedziała Katherine, a Timothy uznał, że pięćset dziewięćdziesiąt pięć dolarów to niewielka cena za zakończenie weekendu w przyjemnej atmosferze.

Kiedy stali przy kasie, czekając, aż właściciel galerii zapakuje rzeźbę w papier, zaczęła grzebać w swojej torebce.

— Niech to diabli! — zaklęła.

— Co się stało? — zapytał Timothy. Podpisywał właśnie rachunek i nie mógł na nią spojrzeć.

— Moje okulary przeciwsłoneczne. Musiałam je zostawić w pokoju.

Timothy starał się nie okazać zniecierpliwienia. Będą musieli zawrócić i jechać piętnaście minut do hotelu. Przez swoją nieuwagę Katherine wydłużyła ich powrót do domu o pół godziny.

— Nic się nie stało — powiedział w końcu. — Wrócimy do hotelu i na pewno je znajdziesz.

Wręczył sprzedawcy podpisany rachunek i odebrał od niego ciężki pakunek.

Kiedy wyszli ze sklepu i ruszyli do bmw, Katherine zatrzymała się nagle i dotknęła jego ramienia.

— Co jest? — zapytał.

Uśmiechnęła się.

— To wciąż nasz jubileuszowy weekend?

— Jasne — potwierdził.

— Przez cały czas byłeś dla mnie bardzo miły.

Pomyślał, że chce go przeprosić za te okulary.

— Nie ma sprawy, kochanie.

— Chciałam cię jeszcze o coś prosić... — Wskazała na galerię. — Mogę tam jeszcze trochę pomyszkować?

— Przecież mieliśmy wracać do hotelu.

Nagle dotarło do niego, o co jej chodzi. Miał sam pojechać do hotelu i poszukać okularów, a ona tymczasem kontynuowałaby zakupy w galerii.

— Aha, rozumiem — mruknął. Promienie sierpniowego słońca paliły go w głowę, rzeźba ciążyła mu w rękach. Poczul, że na karku zbiera mu się pot, i zachciało mu się siku. Miał ochotę warknąć, że chyba żartuje, jednak zamiast tego dodał tylko z uśmiechem: — Nie ma problemu, kochanie.

Idąc do wozu, pomyślał, że to typowe dla niej. Ułożył rzeźbę na tylnym siedzeniu. Katherine zawsze próbowała przycisnąć go do ściany, sprawdzić jego wytrzymałość, zobaczyć, czy uda jej się zamienić miły weekend (który rzeczywiście był bardzo miły) w kłótnię. Ale tym razem nie zamierzał dać się sprowokować.

— Zaraz wracam — powiedział. Obszedł samochód i usiadł za kierownicą.

— Timothy...

— Co?

— Twoja American Express... Możesz mi ją zostawić? Nie będę wyrzucała pieniędzy, obiecuję.

Sięgnął spoconą dłonią do tylnej kieszeni i wyjął portfel.

— Proszę — powiedział, wręczając jej kartę.

— Kocham cię, Kuśtyk.

— Ja ciebie też — odparł.



Dwadzieścia minut później zaparkował przed głównym wejściem, pod werandą z napisem: „Dla nowo przybyłych”. Gонец hotelowy, miły chłopak o okrągłej buzi, podbiegł do samochodu i powiedział:

— Witamy w Ventana Inn. Zamierza się pan u nas zatrzymać?

Timothy wysiadł i pokręcił przecząco głową. Przede wszystkim musiał skorzystać z toalety.

— Nie — odparł. — Moja żona i ja właśnie się stąd wymeldowaliśmy.

Chłopak zajrzał do samochodu, żeby sprawdzić, czy nie trzeba pomóc żonie Timothy'ego przy wysiadaniu, ale siedzenie pasażera było puste.

— Nie, nie ma jej tutaj. Wysłała mnie, bo zostawiła coś w pokoju, a sama wolała robić zakupy, niż jechać ze mną — wyjaśnił Timothy i wyrócił oczy, jakby chciał powiedzieć: „Nie żeń się, chłopcze”.

Goniec patrzył na niego, nic nie rozumiejąc. Małżeństwo było dla niego czystą abstrakcją, nic o nim nie wiedział.

— Nieważne — mruknął Timothy. Wyciągnął portfel, wyjął z niego dwadzieścia dolarów i wręczył je chłopakowi. — Muszę iść do toalety, a potem zajrzę do recepcji. Zostawię tu samochód, dobrze?

— Oczywiście, proszę pana — odparł goniec. Choć nie bardzo wiedział, co Timothy chciał mu dać do zrozumienia, dwadzieścia dolarów nie wymagało tłumaczenia.

— Wracam za pięć minut — rzucił Timothy przez ramię.



Wyszedł z toalety w znacznie lepszym nastroju, ale jego dobry humor nie trwał długo. Przed recepcją wiała się długa kolejka, a dwóch zaganianych recepcjonistów ledwo nadążało z obsługą wymeldowujących się gości. Jakaś para wyklócała się o rachunek, gwałtownie protestując przeciwko kosztom telefonu, które uznali za „absurdalne”, i grozili, że hotel pożałuje, iż próbował ich wykorzystać.

Timothy poczuł, że wzbiera w nim złość. Nie zamierzał stać w kolejce, żeby pozwolono mu poszukać okularów Katherine. To jej okulary, nie jego. Co on tu w ogóle robi?

Poza tym ile takie okulary mogły być warte? Dwieście dolarów? Cztery? Szkoda nerwów. Podczas trzydziestu lat podróży po kraju i

nocowania w hotelach Timothy nigdy niczego nie zostawił w swoim pokoju. Dlaczego jej musiało się to zdarzyć?

— Mam to gdzieś — wymamrotał pod nosem, po czym wyszedł na zewnątrz i wsiadł do samochodu.



Kiedy wrócił do galerii, miał już przygotowaną historyjkę: zapytał w recepcji o jej okulary, a nawet przekupił sprzątaczkę, żeby wpuściła go do pokoju, ale nigdzie ich nie znalazł.

Okazało się, że niepotrzebnie tracił czas na jej wymyślanie, bo Katherine czekała na niego na parkingu z zapakowanym w gazetę obrazem pod pachą i okularami przeciwsłonecznymi na nosie.

Gdy zatrzymał samochód obok niej, pochyliła się i oparła łokciami o otwarte okno.

— Miałam je w kieszeni — oznajmiła, dotykając palcem okularów. Timothy pokręcił głową.

— Jesteś na mnie wściekły? — zapytała.

— Wsiadaj — powiedział tylko.

Przez trzydzieści kilometrów w ogóle nie odzywali się do siebie, ale wjeżdżając do Monterey, Timothy uznał, że może już przerwać ciszę, i spytał ją, co chciałyby zjeść na obiad.

Kiedy pojawił się w pracy za piętnaście dziewiąta w poniedziałek, Tricii nie było w sekretariacie. Zza jej biurka wystawał męski zadek w niebieskich dżinsach.

— Dzień dobry — powiedział Timothy.

— Auu! — jęknął mężczyzna, kiedy wstając, uderzył głową o biurko. Był to Tran, ich technik komputerowy, chudy Wietnamczyk który wyglądał, jakby miał siedemnaście lat. — Cześć, Timothy.

— Co słyhać w świecie technologii komputerowej? — zapytał go Timothy, nieco zawiedziony, że po powrocie z weekendu nie wita go Tricia.

— Katastrofa — mruknął Tran. — Plan awaryjny.

— Rozumiem — odparł Timothy, kiwając głową. — Nie będę ci przeszkadzał. Widziałeś może Tricię?

— Poszła na kawę — poinformował go Tran i znowu wszedł pod biurko.

Gdy Timothy skierował się do swojego gabinetu, na korytarzu pojawił się Jay.

— Cześć, szefie — przywitał go. — Jen spadł do siedemdziesięciu dwóch, dzięki Bogu. A jak ci się udał weekend?

— Super — odparł Timothy. Nie miał ochoty opowiadać o swoim wyjeździe. Wszedł go swojego gabinetu, zostawiając otwarte drzwi. Kiedy chłopak wszedł do środka, zamknął je za sobą. — Słuchaj, co właściwie robi Tran? Nigdy nie rozumiem ani słowa z tego, co mówi.

— Rozmawialiśmy o tym w zeszłym tygodniu i dałeś mu zielone światło. Instaluje program wykonujący zapasowe kopie danych. Wiesz, na wypadek jakiejś katastrofy, jak pożar czy włamanie. Wszystko, co jest na komputerach, każdej nocy będzie kopiowane i raz w tygodniu te kopie będą wynoszone z firmy. Gdyby coś się przydarzyło, najwyżej stracimy dane z ostatnich kilku dni. Obowiązek ich zabezpieczenia wynika z umowy z Granite Partners.

— Jasne, w porządku — odparł Timothy.

Technologia była działką Dzieciaka, nie jego.

Zdjął marynarkę i powiesił ją na wieszaku przy drzwiach.

— Powiedz mi, jak przedstawia się sytuacja z jenem.

— Słyszałem, że bank japoński skupuje dolary. Nagle zaczęli się martwić, że ich eksport przestał być konkurencyjny z powodu drogiego jena.

— Rozumiem — mruknął Timothy.

Interesowało go jedynie to, że jen spadał. Próbował szybko obliczyć, ile Osiris zarobił przy kursie siedemdziesiąt dwa.

— Zarobiliśmy trzy miliony — powiedział Jay, jakby czytał w jego myślach.

— Dobry początek — stwierdził Timothy.

— Jedynym problemem jest to, że nie mamy żadnych wolnych środków — dodał Jay. — Absolutnie żadnych. Jeśli jen pójdzie w górę albo któryś z klientów zechce wycofać fundusze, leżymy na obu łopatkach.

— Kto mówi o wycofywaniu funduszy? — zdziwił się Timothy.

— Nikt — odparł Dzieciak. — Po prostu tylko się zastanawiam.

Na biurku Timothy'ego zadzwonił telefon. Było to wewnętrzne połączenie, co oznaczało, że to Tricia. Timothy włączył głośnik.

— Tak?

— Cześć, Timothy — powiedziała Tricia.

— Cześć — odparł.

Trudno było flirtować, rozmawiając przez głośnik, zwłaszcza kiedy obok stał Dzieciak. Podniósł słuchawkę.

— Co tam u ciebie? — zapytał, starając się zachować neutralny ton.

— Mam Pinky'ego Dewera na linii — oświadczyła. — Jest w mieście.

— Powiedz mu, że jestem na spotkaniu, i poproś, żeby zostawił wiadomość.

— Dobrze, Timothy — odparła i rozłączyła się.

— Pinky Dewer jest w mieście — wyjaśnił Dzieciakowi.

— Jak długo możemy go unikać?

— To zależy... Musimy się dowiedzieć, kiedy wraca do domu.

Dzieciak kiwnął głową i wyszedł z pokoju. Timothy pochylił się i włączył komputer. Począł, aż system się załaduje, i wyświetlił wykres kursu japońskiego jena. Zielone linie kierowały się w dół. Każde ich załamanie oznaczało milion dolarów. Taką technologię Timothy rozumiał.



Przed lunchem telefon na jego biurku ponownie cicho zadzwonił. Na wyświetlaczu pojawił się napis: „Sekretariat”. Timothy odebrał.

— To znowu ja — powiedziała Tricia. — Masz Mike'a Kelly'ego na linii. Z działu prywatnych rachunków Union Bank.

— Dobrze, połącz mnie z nim.

Rozległo się ciche kliknięcie i zamiast głosu Tricii usłyszał męski głos, flegmatyczny i ochryply.

— Pan van Bender?

— Cześć, Mike. Mów mi po imieniu, bardzo proszę.

Mike Kelly obsługiwał go w Union Bank, zajmował się jego wszystkimi sprawami: czekami podróznymi, kartami kredytowymi, liniami kredytowymi, hipoteką. Timothy zadzwonił do niego z samochodu, jadąc do pracy, i polecił mu przelać dwieście tysięcy na konto żony, żeby mogła zająć się remontem domu.

— Załatwiłeś ten przelew dla mojej żony? — zapytał.

— Tak — odparł Mike. — Właśnie w tej sprawie dzwonię — dodał. W jego głosie słychać było wahanie i niepewność.

Timothy spotkał się z nim dwukrotnie. Pierwszy raz rok temu, gdy bankier przyjechał do biura, żeby Timothy mógł złożyć nowy wzór podpisu, i drugi raz przed Bożym Narodzeniem, kiedy Mike przywiózł mu wielki kosz z szampanem, ciastem i kawiozem. Bankierzy potrafili okazać wdzięczność, jeśli otrzymywali jeden i dwadzieścia pięć setnych procenta od wszystkich transakcji.

— Chciałem się tylko upewnić, czy jest pan świadom jednej rzeczy — dodał po chwili Mike. — Trochę mi niezręcznie poruszać ten temat, ale muszę to zrobić jako przedstawiciel Union Bank.

— W porządku — mruknął Timothy. Jeszcze chwila tej bankierskiej gadki i zaśnie ze słuchawką przy uchu. — O co chodzi?

— Przelaliśmy pieniądze z pana głównego konta na konto zero osiem dwanaście, według pana instrukcji. Dziesięć minut później otrzymaliśmy polecenie od pana żony, żeby przelać tę sumę na inne konto.

— Jakie?

— Tego nie wiem — odparł Mike Kelly. — To konto w Citibanku. Przelew na rachunek... już sprawdzam... Armistice LLC.

Podał Timothy'emu numer rachunku.

— Armistice LLC? Co to takiego?

— Nie mam pojęcia.

— Ile żona przelała?

— Sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

— Jezus Maria... — jęknął Timothy.

A przecież obiecała, że nie będzie szastać pieniędzmi.

— Panie van Bender, chciałbym wyjaśnić jedną kwestię. Ponieważ oboje państwo jesteście upoważnieni do dysponowania tym kontem, poinformowanie pana o tej transakcji nie jest sprzeczne z naszą polityką. Szczycimy się dyskrecją i mamy bardzo wyraźnie sprecyzowane zasady dotyczące tego, co możemy ujawnić. Traktujemy te zasady bardzo poważnie. Mam nadzieję, że nie przekroczyłem żadnej granicy.

— O co chodzi? — zapytał Timothy, zastanawiając się, na co Katherine mogła wydać tyle pieniędzy w kilkanaście minut.

— Ponieważ oboje państwo jesteście upoważnieni do dysponowania tym kontem, poinformowanie pana o tym...

— Oczywiście — odparł szybko Timothy. — Jasne, rozumiem. Wszystko w porządku.

— Czy chce pan, żebym skontaktował się z naszym działem przelewów i sprawdził, czy da się jeszcze zatrzymać tę operację? Jest szansa, że moglibyśmy ją zastopować.

Timothy westchnął.

— Nie... nie. — Milczał przez chwilę. — Jestem przekonany, że to nic strasznego.

Prawdopodobnie to pieniądze dla architekta wewnątrz albo wykonawcy. A jeśli nie, to pewnie Katherine znowu jest po uszy w długach u swojego bukmachera w Londynie.

Bankier nic na to nie odpowiedział.
— Oczywiście żartuję — dodał szybko Timothy.
Mike zachichotał.
— Dziękuję, że mnie o tym powiadomiłeś — powiedział Timothy.
— Jak tylko wrócę do domu, stłukę żonę na kwaśne jabłko.
Mike roześmiał się.
— Jasne, panie van Bender... jasne, Timothy. Powinieneś jej przy-
lać.
— Na razie — pożegnał go Timothy.
— Do widzenia, panie van Ben...
Timothy rozłączył się, zanim Mike Kelly skończył zdanie.
Zadzwoił do Katherine, ale nie odebrała telefonu. Gdzie mogła
być? Pewnie w Spago, może właśnie funduje lunch architektowi, pod-
czas gdy on siedzi przy biurku i zastanawia się, czy nie grozi mu fi-
nansowa ruina.
Ktoś zastukał do drzwi.
— Proszę! — zawołał Timothy.
Do pokoju weszła Tricia, trzymając w ręku kartonową tackę z
dwoma kubkami.
— Przyniosłam ci kawę — oznajmiła i zamknęła za sobą
drzwi, popychając je ramieniem.
Timothy natychmiast zapomniał o swoich niepokojach związanych
z Katherine.
— Dzięki — powiedział.
Miała na sobie obcisłe czerwone spodnie i czarny golf ozdobiony
srebrnym naszyjnikiem.
— Jak tam weekend? — spytała.
Zdjęła z tacki kubek z kawą i postawiła go przed nim na biurku.
Kiedy się zastanawiał, dla kogo przyniosła drugi kubek, uniosła go i
upiła łyk. Druga kawa była dla niej. Najwyraźniej przyszła poplotko-
wać ze swoim szefem. To bardzo odważne z jej strony, pomyślał, czując

jednocześnie poruszenie w spodniach, ucisk w gardle i drobne igiełki na ramionach. Tricia oparła się o krawędź biurka i jej obciste czerwone spodnie znalazły się parę centymetrów od niego. Pijąc kawę, zapytała:

— Udało ci się ponownie rozpalić uczucia żony?

Potrzebował chwili, żeby zorientować się, że pyta go o rocznicowy weekend.

— Kupiłem jej w prezencie kosztowny naszyjnik z diamentami. Wspaniale załagodził wszystkie nieporozumienia.

— Biżuteria doskonale się do tego nadaje.

— Skąd ci przyszło do głowy, że nasz związek wymaga ponownego rozpalenia uczuć?

Uśmiechnęła się i odsunęła kosmyk włosów za ucho.

— No wiesz, po prostu pomyślałam, że po piętnastu latach razem...

— Po dwudziestu — poprawił ją.

— Dwadzieścia? No, no. To szmat czasu.

— Hmm... — mruknął Timothy.

Tricia wsunęła się głębiej na biurko i usiadła na nim wygodnie. Przez cały czas popijała kawę.

— A co u ciebie? — zapytał Timothy. Czuł się jak uczeń, skrępowany momentami niezręcznej ciszy. — Jak tam twój chłopak?

— Jaki chłopak? — zdziwiła się Tricia.

— No wiesz... ten, z którym przyjechałaś z San Francisco. Albo z LA. Wspominałaś o nim.

— Naprawdę? — Przez moment miała zdumioną minę, zaraz jednak przybrała obojętny wyraz twarzy i oświadczyła: — Już go nie ma.

— Nie ma?

Co to mogło znaczyć? Opuścił ją? Rzuciła go?

— Nie ma — powtórzyła.

Upiła łyk kawy, patrząc przed siebie nieruchomym wzrokiem.

Timothy spojrzął na jej kark. Był alabastrowy i gładki jak kark dziecka. Trójkąt delikatnych jasnych włosków kierował się w dół jej pleców. Czyżby farbowała włosy?

— Przykro mi to słyszeć — mruknął.

— Czyżby?

— Nie — odparł. — Chyba nie.

Założyła nogę na nogę i zaczęła bujać stopą, a potem rzuciła mu promienne spojrzenie przez ramię.

— Idziemy wieczorem ze znajomymi na drinka do BBC — powiedziała. — Może do nas dołączysz?

— Mam być czymś w rodzaju przyzwoitki?

— Będzie wesoło — dodała, ignorując jego pytanie. — To bardzo sympatyczni ludzie.

— A co powie na to moja żona?

— Wcale nie musi o tym wiedzieć — odparła Tricia.

Timothy nie miał pojęcia, czy to rada, czy obietnica.

— Sam nie wiem... — mruknął. — Zobaczę, jak wszystko się ułoży.



Ale wszystko ułożyło się fatalnie.

O trzeciej po południu Timothy oglądał wykres kursu jena na monitorze, używając wszystkich swoich telepatycznych sił do skłonienia go do dalszego spadku. Wynosił teraz tylko niewiele ponad siedemdziesiąt jeden, co oznaczało, że ryzykowna gra się opłaciła. Osiris zarobił trzy i pół miliona dolarów. Jeśli jen nadal będzie spadał w tym tempie, za tydzień lub dwa fundusz odrobi straty i nawet na tym zarobi, a żaden z inwestorów nie zorientuje się, co się stało.

Zadzwoił telefon na wewnętrznej linii.

— Mam tu Pinky'ego Dewera — poinformowała go Tricia.

— Powiedz mu, żeby zostawił wiadomość — polecił jej Timothy.

— Nie — szepnęła do słuchawki. — On jest tutaj, w sekretariacie.

Timothy rozłączył się, złapał marynarkę i włożył ją szybko. Poprawił spinki od mankietów i krawat.

W łańcuchu pokarmowym świata finansów był drapieżnikiem. Miał więcej pieniędzy niż większość ludzi, z którymi miał do czynienia. Był bogatszy od kelnera, który każdego ranka podawał mu kawę w kafejce University. Był bogatszy od Franka Arnheima, nowobogackiego prawnika z Perkins Coie, który harował przez piętnaście lat, żeby zostać współnikiem w kancelarii. Był bogatszy od swojej pięknej sekretarki Tricii i swojego młodego asystenta Jaya. Był bogatszy od swojej żony (dzięki intercyzie). Był bogatszy od wszystkich ludzi, których spotykał, z którymi rozmawiał czy o których tylko myślał. To właśnie oznacza zamożność: bez względu na to, do czyjego pokoju wejdiesz i z kim rozmawiasz przez telefon, możesz wydać więcej niż ten ktoś i dzięki temu zawsze możesz postawić na swoim.

Ale Pinky Dewer to zupełnie inna liga. Obaj odziedziczyli miliony po swoich ojcach i to ich ze sobą łączyło. Jednak różnica polegała na tym, że Pinky wszystkie swoje pieniądze, jakieś czterdzieści milionów, pomnożył piętnaście razy dzięki tajemnej finansowej alchemii, z której Timothy nic nie rozumiał. Miało to coś wspólnego z siłą dźwigni i zyskiem spekulacyjnym, z kupowaniem państwowych firm i przekształcaniem ich w prywatne przedsiębiorstwa lub może odwrotnie. Natomiast to, co Timothy robił ze swoim majątkiem, ograniczało się do zwiększania jego wartości o jakieś pięć procent rocznie. W sprawach seksu i pieniędzy van Bendorowie byli zawsze konserwatywni. Wszystko, co miało związek z tymi dwiema sprawami, powinno odbywać się w sposób, o którym bez wstydu można opowiedzieć dzieciom.

Kiedy więc Pinky pojawił się u niego w firmie, Timothy pojął, że

chwilowo został zdegradowany do roli ofiary. Nie był przyzwyczajony do grania takiej roli, ale Pinky ze swoimi dwudziestoma czterema milionami był największym i najważniejszym inwestorem Osirisa. Dzięki wynoszącej jeden procent prowizji Timothy co roku zarabiał dwieście czterdzieści tysięcy dolarów za samo trzymanie pieniędzy Pinky'ego. Prawie dwadzieścia tysięcy dolarów miesięcznie.

Wyszedł do sekretariatu z wyciągniętą ręką i mocno uściśnął dłoń gościa.

— Pinky! — zawołał.

— Timothy, stary druhu! — powitał go Pinky, ujmując jego dłoń.

— Jak się masz? — Timothy chciał oswobodzić rękę, ale Pinky nie przestawał nią potrząsać. — Dobrze cię widzieć, stary.

— Ciebie też — odparł Timothy.

Pinky wciąż potrząsał jego dłonią, uśmiechając się i patrząc na niego. Miał niebieskie, śmiejące się oczy.

Timothy również się uśmiechał i ścisnął dłoń gościa. Nie było sensu próbować się wyswobodzić. Pinky nie zamierzał go puścić.

Pinky Dewer był potężnym mężczyzną o posturze niedźwiedzia. Jego włosy, niegdyś płomiennorude, teraz nabrały kasztanowego odcienia i były gęsto poprzątkane siwizną. Miał na sobie zielone spodnie, różową koszulę i skórzane mokasyny, a jego twarz była czerwona i pomarszczona. Odkąd Timothy pamiętał, czyli od czasu wspólnych studiów w Yale, Pinky zawsze miał czerwoną twarz. Prawdopodobnie był to wynik żeglowania na katamaranie po Atlantyku, nadmiernego opalania się i picia zbyt dużej ilości ginu z tonikiem — a czasami robienia tego wszystkiego jednego dnia przed południem.

— Cieszę się, że znalazłeś czas, żeby się ze mną spotkać — powiedział

Pinky. Nie było w tym ironii, co trochę Timothy'ego zdziwiło. — Przepraszam, że wpadam nie umówiony, ale wylatuję dziś wieczorem i chciałem się tylko przywitać.

— Cała przyjemność po mojej stronie — zapewnił go Timothy. — Zawsze jesteś miłym gościem — dodał, nadal ściskając dłoń gościa.

Przez jego ramię zobaczył, że Tricia obserwuje go zza biurka.

Pinky nagle wypuścił jego dłoń i Timothy przez chwilę ścisnął powietrze.

— Mogę ci postawić lunch? — zapytał Pinky.

— Raczej nie — odparł Timothy. — Ale może przyjmiesz moje zaproszenie?

Pinky roześmiał się.

— Chętnie. Gdzie? — zapytał, obejmując Timothy'ego.

— Chodźmy — powiedział Timothy, pozwalając mu zaprowadzić się do wind.

Nie chciał się odwracać, żeby nie zobaczyć wzroku Tricii. Był zadowolony, że może się wymknąć z biura, uciec przed jej wzrokiem i ukryć swoją służalczość. Było mu wstyd, że musi grać taką rolę. Bycie ofiarą wcale nie było przyjemne.

8

Zabrał Pinky'ego Dewera na lunch do Menlo Circus Club.

Był to ekskluzywny klub położony w Atherton, w samym sercu Doliny Krzemowej. Przyjeżdżający tu podczas bumu internetowego ludzie wyobrażali sobie, że znaleźli nowe, zaawansowane technicznie Shangri-la. Miała to być doskonała zasługokracja, w której ludzie mieszkali, pracowali i jedli to, co chcieli — i tam, gdzie im się podobało, bez względu na nazwisko i kolor skóry. Do pewnego stopnia było to prawdą, ale nowi członkowie klubu nie spostrzegli, że Circus Club po cichu zaczął odłączać się od Doliny Krzemowej. Jego dwudziestohektarowy teren był placem zabaw bogatych białych, na którym trzymano konie, grano w polo i przed grą w tenisa sączono tanceray. Czarni byli tu akceptowani tylko w kelnerskich frakach. Na szczęście kelnerzy nigdy nie ubiegali się o członkostwo.

Kiedy Timothy zawiózł tam Pinky'ego swoim bmw, przemknęli po terenie klubu, mijając boisko do polo, na którym osiem koni kłusowało w popołudniowym słońcu, żeby rozgrzać się przed meczem. Gdy zatrzymali się na brukowanym podjeździe przed recepcją, do samochodu podszedł lokaj.

— Witamy, panie van Bender — powiedział.

— Cześć, John — odparł Timothy. — Jaką macie dzisiaj zupe?

— Z homara, panie van Bender.

— Doskonale, John — mruknął Timothy.

Pomógł Pinky'emu wysiąść z samochodu. Pinky wysunął nogi, wstał i podciągnął pasek spodni na swoim pękatym brzuchu. Rozejrzał się dokoła.

— Pięknie tu — stwierdził, poprawiając złotą sprzączkę paska. — Grasz w polo?

— Robię tylko zakłady — odparł Timothy.

— Jasne, stary! — zawołał Pinky i walnął go w plecy. — Wyobraź nas sobie na koniach! To dopiero byłby widok!

Timothy wyobraził sobie Pinky'ego niepewnie balansującego na koniu. Rzeczywiście, to byłby niesamowity widok.

Wprowadził go do klubu. Budynek został zbudowany na planie ośmioboku i miał szklane ściany ze wszystkich stron. Od strony północnej widać było korty tenisowe otoczone azaliami. Od zachodniej były stajnie i boisko do polo. Na stronie wschodniej olimpijski basen z leżakami i białymi parasolami.

— Może zjemy na zewnątrz? — zaproponował.

— Świetny pomysł — zgodził się Pinky.

Kiedy usiedli na werandzie naprzeciw boiska i zamówili drinki, zaczął się pierwszy czaker polo i konie pogalopowały po trawie w pogoni za czerwoną drewnianą piłką.

— Szkoda, że wcześniej mnie tu nie zabrałeś — powiedział Pinky.

— Mogę przywozić cię tu zawsze, kiedy będziesz w mieście — odparł Timothy. — Nie miałem pojęcia, że lubisz konie.

Niebieski gracz zepchnął zielonego z toru piłki.

— Zawróć! Zawróć! — zaczęli krzyczeć koledzy z drużyny.

Gracz podniósł mallet i z łoskotem walnął nim w piłkę, posyłając ją w stronę bramki przeciwnika.

W tej samej chwili drzwi na werandę otworzyły się i weszła para, w której Timothy rozpoznał Michaela S. Stanton'a wraz z żoną numer dwa, której imię zawsze wylatywało mu z pamięci. Stanton był wcześniej prezesem ambitnej firmy medycznej produkującej plastikowe rurki używane przy operacjach serca. Przez pięć lat firma odnotowywała rekordowe przychody. Niestety, w październiku ubiegłego roku wyszło na jaw, że było to wynikiem machlojek i rekordowe zyski okazały się pięciuset milionami dolarów strat. Dwa miesiące temu Michaelowi S. Stantonowi postawiono zarzuty o oszustwo finansowe. Jego proces miał rozpocząć się za dwa tygodnie.

— Miło cię widzieć, Michael — przywitał go Timothy — Co słychać?

Pytanie było na tyle ogólne, żeby Stanton mógł powiedzieć o swoim zdrowiu, samochodzie, żonie — a nawet o swojej rozprawie, która mogła się zakończyć wyrokiem od dziesięciu do piętnastu lat w Pelican Bay.

— Cześć, Timothy — powiedział Michael, podchodząc do ich stolika. — Piękna pogoda, prawda?

— Kalifornijskie marzenie — przyznał Timothy. Ucisnęli sobie dłonie. — Pozwól, że ci przedstawię Pinky'ego Dewera. Chodziliśmy razem do Yale.

Michael uśmiechnął się.

— W czasach, gdy w akademikach były jeszcze żarówki, co?

— Właśnie — roześmiał się Timothy.

— Miło cię poznać — powiedział Michael do Pinky'ego.

— Mnie ciebie też — odparł z roztargnieniem Pinky. Właśnie podano mu drinka i bardziej był zainteresowany zroszonym kieliszkiem niż Michael'em Stantonem i jego żoną numer dwa.

— Pamiętasz moją żonę Susan? — zapytał Michael Timothy'ego.

Timothy był wdzięczny, że przypomniał mu jej imię. Pamiętał wszystko na temat żony Michaela poza jej imieniem. Pamiętał, że była ładną blondynką i miała trzydzieści lat, co czyniło ją dwadzieścia pięć lat młodszą od Michaela Stantona. Pamiętał, jak wyglądała na korcie, ubrana w krótką białą spódniczkę i obcisłą bluzkę, pamiętał, jak jej skóra błyszczała od potu, a spod spódnicy widać było majtki, kiedy pochylała się, by odebrać serw. Pamiętał także, jak pojawiła się w Circus Club tydzień po rozwodzie Michaela Stantona z elegancką, ale niestety starą Nancy Stanton, i jak ludzie plotkowali za ich plecami przez kilka dni. Potem zaczęła pojawiać się na przyjęciach, mając na sobie tę samą biżuterię, którą nosiła pierwsza żona (Czyżby Michael zerwał ją z Nancy, wybiegając z domu? — zastanawiali się znajomi). Po pewnym czasie przestano się dziwić różnicy wieku i Susan została bywalczynią klubu. Starsi członkowie lubili sobie na nią popatrzeć, a Michael Stanton, mimo prawdopodobnego wyroku więzienia i niepochlebnych artykułów w prasie, stał się obiektem zazdrości.

— Oczywiście — odparł Timothy. — Pamiętam panią doskonale.

— Bardzo mi miło — powiedziała Susan.

— Jak tam interesy w świecie funduszy hedgingowych? — zapytał Michael.

— Właśnie spotkaliśmy się z Pinkym, żeby o tym pogadać — powiedział Timothy. — Jest fantastycznie. Prawda, Pinky?

— Jasne — przytaknął Pinky.

— No to wspaniale — stwierdził Michael Stanton. — Kiedy tylko uporam się z moimi drobnymi kłopotami — machnął ręką, jakby opędzał się od komarów — zadzwonię, żeby pogadać o tym, jak mógłbym zainwestować w twoim funduszu.

— Bardzo się cieszę — odparł Timothy, jednocześnie myśląc, że Michaela Stantona czeka mnóstwo drobnych kłopotów.

— No to na razie — powiedział Michael, po czym wziął swoją żonę numer dwa za rękę i odeszli. Przez ramię zawołał jeszcze do Pinky'ego: — Miło było cię poznać!

— Mnie też — mruknął Pinky, zwracając się do swojego pustego kieliszka.

— Zamówię ci następnego drinka — zaoferował się Timothy. Z przezroczystego pojemnika stojącego na stole wyjął karteczkę i napisał na niej numer swojej karty członkowskiej. — Jeszcze raz wódka z sokiem cytrynowym?

— Brzmi świetnie, stary — stwierdził Pinky.

Na jego twarzy pojawiły się wypieki. Timothy zastanawiał się, czy to od alkoholu, czy od słońca. Napisał na kartce „gimlet” i pomachał nią w stronę młodego kelnera.

Chłopak podszedł do ich stolika.

— Już podaję, panie van Bender — powiedział, kiedy Timothy złożył zamówienie, i odwrócił się, zamierzając odejść.

— Niech pan da podwójną! — zawołał Pinky. — On prowadzi — dodał, wskazując Timothy'ego.

— Tak jest, proszę pana — odparł kelner i pospiesznie odszedł do baru.

Timothy i Pinky siedzieli przez chwilę w milczeniu, przyglądając się meczowi polo. Dwóch graczy zapędziło się w róg boiska w pogoni za piłką, jednocześnie unieśli kije do uderzenia i niechcący splątali je. Skorzystał z tego inny gracz, który podjechał do nich od tyłu i odebrał im piłkę. Rozległy się oklaski.

— Pozwól, że ci wyjaśnię cel moich odwiedzin — powiedział w końcu Pinky, przerywając milczenie.

Timothy miał wrażenie, że to drink rozwiązał mu język. Siedział zgarbiony w fotelu, mrużąc oczy przed promieniami słonecznymi. Od

strony boiska dobiegały okrzyki widzów, a potem usłyszeli głucho uderzenie i gwizdek sędziego: zieloni zaliczyli kolejny punkt.

— Oczywiście — odparł.

— Jak wiesz, stary, zawsze byłem twoim największym zwolennikiem. Ile zainwestowałem w Osirisa, kiedy go otwierałeś?

— Dwadzieścia cztery miliony — odparł Timothy. Nagle ogarnęły go złe przeczucia.

— Tak, dwadzieścia cztery miliony — powtórzył Pinky. — Dwadzieścia cztery miliony dolarów. To wyraz zaufania, prawda?

— Bardzo to doceniam. Twoje wsparcie wiele dla mnie znaczy.

— Wiem, wiem. Właśnie dlatego chciałem z tobą porozmawiać osobiście, a nie przez telefon.

— O czym?

— Timothy, wiesz, że zawsze byłem zadowolony, że zainwestowałem w Osirisa. Masz świetne wyniki. Gdybym zamierzał żyć z odsetek, trzymałbym pieniądze w twoim funduszu.

Pojawił się kelner z drinkiem, ale zanim zdołał go postawić na stole, Pinky zabrał go z tacy.

Urodzony biznesmen, pomyślał Timothy. Zawsze wyeliminuje pośrednika.

— Wygląda na to, że masz inne plany związane ze swoimi pieniędzmi — powiedział po chwili.

— Masz absolutną rację! — zawołał podekscytowany Pinky. — Absolutnie! — Siedzący kilka metrów dalej Stantonowie obejrzeni się na tego dziwnego gościa o czerwonej twarzy, ubranego w zielone spodnie i różową koszulę, rozchlapującego swojego drinka i mówiącego zbyt głośno. — To właśnie chciałem powiedzieć, stary druhu.

Mam inne plany związane z tymi pieniędzmi. — Ostatnie słowo wymówił bardzo wolno i wyraźnie, jakby mu się bardzo spodobało. — Widzisz, mam na oku pewien interes, więc muszę zebrać wszystkie środki. To będzie mój największy biznes.

— Rozumiem, Pinky — odparł Timothy. — Nie musisz mi się tłumaczyć. To twoje pieniądze, a ja tylko inwestuję je dla ciebie. Jeśli masz jakieś inne plany, to nie moja sprawa.

— Bardzo się cieszę, że tak to widzisz.

— Ile z tych dwudziestu czterech milionów chcesz wycofać?

— Wszystko — oznajmił Pinky, ale po chwili pokręcił głową i dodał: — Nie, zostaw ze sto tysięcy, nie chcę zamykać za sobą drzwi.

— Doskonale — powiedział Timothy.

Pinky właśnie podpisał wyrok śmierci na Osirisa. Wszystkie fundusze były ulokowane w jednej hazardowej zagrywce na jena. Żeby móc zwrócić jakiegokolwiek pieniądze, Timothy musiałby uznać swoją porażkę i ogłosić, że nie jest w stanie odrobić strat. Dla funduszu oznaczałoby to pewny upadek, a dla Timothy'ego zawodową katastrofę. Kiedy tylko powiedziałaby o stratach, inwestorzy uciekliby od niego, zabierając wszystkie swoje pieniądze. Jego reputacja ległaby w gruzach i nigdy już nie miałyby szansy na powrót do świata finansów. Pinky właśnie przekazał mu jedną z najgorszych wiadomości, jakich mógł się spodziewać.

— Jak szybko potrzebujesz pieniędzy? — zapytał.

— Na jutro.

— Na jutro? — powtórzył z przerażeniem Timothy. — Pinky, to niemożliwe. Te pieniądze są zainwestowane. Nie mam teraz płynności.

W jednej chwili opary alkoholowe otaczające Pinky'ego zniknęły. Spojrzał na Timothy'ego swoimi zimnymi niebieskimi oczami.

— Coś tam pamiętam z naszej umowy inwestorskiej, stary... Ponieważ byłem twoim pierwszym klientem, zrobiłeś dla mnie wyjątek. Pieniądze na żądanie w ciągu dwudziestu czterech godzin. Czyżbym się mylił?

— Nie, nie, oczywiście — odparł Timothy.

Pinky się nie mylił. Miał zagwarantowany zwrot inwestycji w każdej chwili.

— Masz jakieś problemy? — zainteresował się Pinky. — Czemu nie masz płynności?

— Nie mam żadnych problemów — zapewnił go Timothy. — Najmniejszych. Po prostu wolałbym zamknąć pozycje tak, jak zaplanowałem.

— Przykro mi, stary — powiedział Pinky i upił duży łyk swojego gimleta. — Taką już masz pracę. Ale muszę mieć pieniądze na mój nowy biznes. Coś ci powiem. Co tam jakieś umowy prawnicze między starymi kumplami. Potrzebujesz trochę czasu? Dam ci parę dni. — Uśmiechnął się machnął ręką. — Powiedzmy, że przelejesz mi pieniądze, no... sam nie wiem. W środę? Masz mnóstwo czasu, żeby zakończyć spokojnie wszystkie operacje. Chyba nie postawiłeś całego funduszu na jedną pozycję, co?

— Oczywiście, że nie — odparł Timothy.

— No to jesteśmy umówieni — stwierdził Pinky. Znowu był miły i lekko wstawiony. Spojrzał na konie galopujące po boisku. — Nawet nie wiesz, jak mi się tu podoba. — I zaraz dodał: — Co powiesz na jeszcze jedną kolejkę?



Timothy odwiózł go na lotnisko, na samolot o szóstej trzydziści. Po wysadzeniu Pinky'ego przed terminalem wyjechał na 101 North i ugrzązł w korku. Po lewej, ponad łąkami i solnymi jeziorami, nad przystaniami i billboardami, zachodziło słońce. Timothy wcisnął

sprzęgło. Była to jedyna część samochodu, która poruszała się w godzinie szczytu na drodze 101.

Zaczął rozważać wszystkie możliwości. Po pierwsze, Pinky i jego żądanie wycofania pieniędzy z Osirisa. Oczywiście nie mógł do tego dopuścić. Musi grać na zwłokę. Kiedy minie środa, a on nic nie zrobi, Pinky zacznie wydzwaniać, coraz bardziej wściekły, ale Timothy będzie nieosiągalny. Mógł to ciągnąć przez tydzień czy dwa, aż Pinky zagrozi procesem. Pinky Dewer jako przeciwnik w sądzie to poważna groźba, jednak alternatywa była jeszcze gorsza: zwrot pieniędzy i przedwczesne zamknięcie pozycji na jenie, zanim fundusz odrobi straty. A także przyznanie się przed wszystkim inwestorami, nie tylko przed Pinkym, lecz również przed wszystkimi innymi dwudziestoma czterema zamożnymi i wpływowymi biznesmenami, że Osiris zbankrutował, a on stracił ich pieniądze. Spotkanie się w sądzie z Pinkym Dewerem będzie koszmarem i nadszarpnie jego reputację, ale z tego mógł się jakoś wytłumaczyć (zawsze potrafił tłumaczyć się z niewygodnych faktów). Mógł zrzucić to na karb nieporozumienia albo zasugerować, że Pinky jest wspaniałym gościem, jednak nie panuje już nad wszystkim jak dawniej. Najważniejsze to nie stracić kontroli, zatrzymać pieniądze tak długo, jak długo będzie ich potrzebował, no i nie panikować. Tę lekcję robienia interesów dał swojemu synowi Gabriel van Bender: „Nigdy nie trać głowy”.

Tak więc problem z Pinkym Dewerem nie był żadnym problemem, ponieważ Timothy nie miał wyboru. Mógł zrobić tylko jedną rzecz: zatrzymać jego pieniądze i czekać na dalsze spadanie jena, bez względu na to, ile razy Pinky będzie dzwonił.

Druga kwestia, w której musiał podjąć decyzję, była o wiele trudniejsza. Spojrzał na zegar na tablicy rozdzielczej samochodu. Było już kilka minut po szóstej. Tricia siedziała pewnie w tej chwili w chłodnej

ciemnej knajpce, popijając z przyjaciółmi i rzucając spojrzenia w stronę drzwi.

Próbował wyobrazić sobie, co będzie, jeśli się tam pojawi. Prawdopodobnie będzie mógł pójść z nią do łóżka. Ale co potem? Jak by wyglądał następny dzień w pracy? Czy Tricia zaczęłaby się z nim spoufalać? Czy wypaplałaby wszystko Jayowi? A może niechcący zdradziłaby ich sekret, gdyby Katherine zadzwoniła do biura? Katherine potrafiła czytać w ludziach lepiej od niego. Zawsze na niej polegał, kiedy chciał sprawdzić, czy współpracownicy go nie oszukują. Zawsze potrafiła wyłapać niespójności w ich historyjkach i wyczuć napięcie w ich głosach. Była to jedna z rzeczy, które w niej podziwiał: jej uliczny spryt. To było coś, czego on sam nigdy nie opanował; coś, czego dorastając w kokonie van Benderów w Atherton, Exeter, Yale i East Side na Manhattanie nie musiał się nigdy uczyć. Jediną jego umiejętnością radzenia sobie w trudnych sytuacjach była wiedza, gdzie zaparkować beemkę w dzielnicy Mission, żeby nie porysowano mu lakieru.

Różowe odbłaskowe światła zwięzały ruch na 101. z trzech pasm w jedno. Trochę dalej Timothy zobaczył przyczynę korka: wypadek. Mały roadster bmw, identyczny jak jego, nawet w tym samym kolorze, dachował i rozbił się o betonową barierę. Obok stały karetki pogotowia i wozy policyjne z migającymi światłami syren. Timothy wychylił się, żeby zajrzeć do rozbitego samochodu i zobaczyć, co się stało z kierowcą, ale nic nie dostrzegł. Przód i tył bmw były zgniecione w harmonijkę jak akordeon, a przednia szyba zwisała z ramy, otoczona srebrnymi i białymi paskami. Sanitariusze stali obojętnie przy karetce. Ich zachowanie wszystko tłumaczyło — nie było się już do czego spieszyć.

Timothy minął miejsce kraksy i przyspieszył. Nagle przypomniał sobie Tricię. Zobaczył, jak wyglądała tego ranka: w obcisłych czerwonych spodniach, czarnym golfie przylegającym do ciała i ze srebrnym

wisiorkiem na szyi. Przypomniawszy sobie, jak usiadła na jego biurku parę centymetrów od niego i mógł przyglądać się jej piersiom z profilu. Co takiego wtedy powiedziała? Że jego żona nie musi wiedzieć o ich spotkaniu poza pracą? A skąd niby mogłaby się o tym dowiedzieć?

Nacisnął guzik na kierownicy z napisem „wybieranie głosowe” i powiedział:

— Zadzwoń do domu.

W głośniku odezwał się dźwięk wybieranego numeru. Miał nadzieję, że nikt nie odbierze, że Katherine gdzieś wyszła i będzie mógł odłożyć na półkę swój upieczony w oparach testosteronu i alkoholu plan. Jednak jego żona była w domu.

— Słucham?

— Katherine, to ja — powiedział. — Nie uwierzysz, co się stało.

— Co takiego? — zapytała.

Zastanawiał się, gdzie teraz jest. Siedzi na patio i pisze? Przekłada zakupy do lodówki z telefonem przyciśniętym ramieniem do ucha? Może gotuje obiad? A może leży po ciemku w swojej sypialni, przeczekując jeden ze swoich częstych ataków migreny?

— Nic strasznego — uspokoił ją Timothy. — Nic poważnego. Ale zgadnij, kto jest w mieście?

— Kto?

— Pinky Dewer.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Nie powiedział jej o jenie i utracie zysków ani o tym, że stoi na krawędzi przepaści, ale wiedziała, że unika Pinky'ego i nie odbiera jego telefonów. W końcu powiedziała:

— Żartujesz.

— Nie, właśnie przyjechał — odparł.

Jego plan był już sprecyzowany i wyraźny. Wiedział, że się pojawi, zanim jeszcze wykonał ten telefon.

— Jadę do Circus Club, żeby spotkać się z nim na drinka.

Mimo pewnego przesunięcia w czasie był to dobry plan, ponieważ dawał mu alibi. Było to solidne alibi, bo rzeczywiście widziano go w Circus Club. Jeśli ktoś by napomknął o tym Katherine, z pewnością nie wspomniałby, o której godzinie tam był, a jedynie powiedziałby, że widział, jak popijali na werandzie.

Pozostał jeszcze tylko jeden szczegół, żeby plan był całkowicie dopracowany.

— Może dołączysz do nas? Będziemy siedzieć przy basenie.

Miało to załatwić dwie sprawy. Po pierwsze, Katherine nienawidziła siedzieć w upale przy basenie, pomiędzy matronami z Atherton w plażowych kapeluszach i jednoczęściowych kostiumach. Mała szansa, żeby przyjęła zaproszenie. Po drugie, zapewniał sobie w ten sposób ubezpieczenie na wypadek, gdyby złożyła niezapowiedzianą wizytę w klubie. Mógłby jej później powiedzieć, że siedzieli z Pinkym na werandzie i musiała ich przeoczyć.

Czekał na odpowiedź, licząc na to, że powie, iż nie ma ochoty dołączyć do nich na drinka przy basenie, jednak w słuchawce panowała cisza.

— Katherine? — zapytał. Nie chciał nalegać, ale musiał pozorować, że ją prosi. — Masz ochotę wpaść do nas?

Znowu milczenie. Czyżby go testowała? A może próbowała odkryć prawdziwy powód zaproszenia?

— Sama nie wiem... — zaczęła w końcu z wahaniem. — Chyba mogę.

— Pinky bardzo się ucieszy — zapewnił ją Timothy, mimo że ogarnęła go panika. Musiałby porzucić swój plan i wrócić do Circus Club, poczekać tam na nią i wyjaśnić, że Pinky się rozmyślił albo musiał niespodziewanie wrócić wcześniej do San Francisco.

— Timothy... — powiedziała po chwili zmęczonym głosem. — Nie pogniewasz się, jeśli się wymigam?

— Czemu miałbym się gniewać? — Przełknął ślinę. — Oczywiście, że nie.

Westchnęła.

— To nic takiego — dodała. — Po prostu jestem trochę zmęczona i nie czuję się najlepiej.

— Chcesz, żebym przyjechał do domu?

— Nie, nie — zaprotestowała. — Wszystko w porządku. Musisz się spotkać z Pinkym. Wiem, że to dla ciebie ważny klient.

— Najważniejszy — odparł Timothy.

— Więc powinieneś pójść.

— Dobrze — zgodził się.

Na myśl o tym, co go czeka, zaczęło mu walić serce. Wcisnął sprzęgło i wrzucił piąty bieg. Oczami wyobraźni widział już Tricie, jak przekrzywia głowę i odsuwa kosmyk ciemnych włosów za ucho. Po raz pierwszy spróbował wyobrazić ją sobie nagą: jej jędrne zgrabne uda, włosy łonowe, pośladki.

— Kocham cię, Timothy — powiedziała Katherine. — Wiesz o tym, prawda?

Wiedział i doceniał jej miłość. Ale w tym momencie, kiedy jechał drogą numer 101 z zapachem słonej bryzy w nozdrzach i słońcem na twarzy, jej słowa wydawały mu się nieważne i nic nieznaczące. Gdy niespodziewanie się rozłączyła, nie trudził się, żeby zadzwonić do niej ponownie.

9

British Bankers Club lub BBC, jak nazywali go mieszkańcy półwyspu, mieścił się w starym budynku banku na El Camino Real. Bank powstał w czasach, kiedy ludzie mieli zwyczaj chować swoje pieniądze w materacu lub zakopywać w ogródku pod drzewem jałowca. Budynek bankowy miał być reklamą mającą na celu rozproszenie wątpliwości sceptycznych wieśniaków. Ta reklama mówiła: jestem masywny, a moje marmury, kamienie i stal przetrwają tysiąc lat.

Jednak Pacific Bank na El Camino Real przetrwał zaledwie dwadzieścia trzy lata, czyli do wielkiego kryzysu gospodarczego, podczas którego jego marmurowe kolumny stały na straży pustych skarbców. Trzeba było trzydziestu lat, żeby otrzymał bardziej odpowiednie zadanie. Stał się miejscem zabaw milionerów internetowych i tych, którzy dla nich pracowali, pisząc programy wykorzystywane przez banki, w których wieśniacy teraz bardzo chętnie trzymali pieniądze.

BBC był anachronizmem, staromodnym kamiennym grobowcem, stojącym obok punktu ksero, w samym centrum najbardziej zaawansowanych technologicznie przedmieść na świecie. Także jego wystrój

miał oszukać czas. Wypolerowane mosiądze i drewno oraz pufiaste sofy i fotele nadawały mu wygląd londyńskiego pubu z lat trzydziestych. Na ścianach wisiały brytyjskie flagi, a w miejscu, gdzie kiedyś był skarbiec, stały stoły do bilardu i wisiały tablice do rzutków. Przy drzwiach wejściowych znajdował się wyblakły napis: „Uprasza się dżentelmenów o niesikanie do stojaków na parasole”.

Timothy wszedł do klubu. Ciężkie zielone zastony były szczelnie zaciągnięte, a na stołach migotały świece. Rozejrzał się po sali, omiatając wzrokiem mężczyzn w ciemnych spodniach i białych koszulach (biznesmeni lub kelnerzy — Timothy nigdy nie potrafił ich odróżnić), sekretarki ubrane w obciste legginsy do połowy łydki lub spódnice z falbankami oraz gęsty tłum przy barze. Poniedziałkowy wieczór w Dolinie Krzemowej. Wszędzie było za dużo pieniędzy, stały się zbyt demokratyczne i ludzie z prawdziwymi pieniędzmi musieli chronić się w górach, uciekając do miejsc, gdzie komórki i e-maile nie mogły ich osiągnąć. Dopiero tam mogli założyć nowe kastowe społeczeństwo oparte na nadziei, że jeszcze zajmą należne im miejsce.

W końcu wypatrzył Tricię — siedziała z tyłu sali z grupą mężczyzn, którzy otaczali ją niczym trutnie królową. Jedna z twarzy była znajoma. Jay Strauss, Dzieciak. Timothy zauważył coś, co mu wcześniej umknęło: chłopak był zakochany w Tricii. Widać to było wyraźnie po sposobie, w jaki się do niej uśmiechał. Był po uszy zakochany.

Dziewczyna zauważyła Timothy'ego, kiedy był w połowie sali. Jej reakcja była dokładnie taka, jak sobie wyobrażał — uśmiechnęła się i pomachała mu ręką. Podekscytowana, powiedziała coś do siedzących obok niej chłopców. Jay podniósł wzrok i na ułamek sekundy spochmurniał, ale zaraz się uśmiechnął. Był to jednak wymuszony i bolesny uśmiech.

— Timothy! — zawołała Tricia.

Podszedł do ich stolika.

— Witam, panie i panowie.

— Zajebiście, że przyszedłeś! — ucieszyła się Tricia. — Przedstawiam wam mojego szefa, Timothy'ego. Przepraszam, pana van Bendera.

— Mów mi po imieniu — zaproponował.

— To jest Rachel — powiedziała Tricia, wskazując pulchną brunetkę o wielkim biuście, ubraną w letnią sukienkę bez rękawów. — A to Jack — dodała, wskazując chłopaka z kręconymi włosami i w okularach w drucianych oprawkach, który pomachał mu na powitanie. — Jaya oczywiście znasz.

— Oczywiście — potwierdził Timothy.

— Cześć — przywitał go Jay, wyraźnie przybity. Przybył szef.

— Cześć, Dzieciak — powiedział Timothy i zaraz skarcił się w myślach. Przy znajomych chłopaka powinien zwracać się do niego po imieniu. — Cześć, Jay — poprawił się.

— Właśnie mówiliśmy o pracy — poinformowała go Tricia i wskazała sąsiedni stół. — Weź sobie coś do siedzenia.

Timothy przysunął do stolika dębowy fotel i usiadł naprzeciwko Tricii, która usadowiła się pośrodku czerwonej kanapy, z Jackiem i Rachel po obu stronach. Biedny Jay ledwo mieścił się razem z nimi, jego udo co chwila zsuwało się z krawędzi kanapy.

— Wszyscy twierdzą, że nie znoszą swojej roboty, a ich szefowie to dupki... — powiedziała Tricia. — Poza mną oczywiście.

— I mną — dodał Jay.

Timothy zignorował go i skupił się na Tricii.

— Naprawdę?

— Opowiadałam im właśnie, jakiego mam wspaniałego szefa. I kto wchodzi w tym momencie? Mój szef! — Uśmiechnęła się. — Co za niesamowity zbieg okoliczności.

— Rzeczywiście niesamowity — przyznał Timothy. Do stolika podeszła kelnerka, więc zamówił dalmore z lodem. Tricia poprosiła o

cosmopolitan, mimo że nie skończyła jeszcze poprzedniego. Rachel, Jack i Dzieciak wzięli piwo.

— Przejeżdżałem obok i pomyślałem, że wpadnę — powiedział Timothy. — Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

Spojrzał na Tricię. Wyglądała jakoś inaczej niż w pracy, chociaż miała na sobie te same czerwone spodnie i obcisły golf. Pomyślał, że może to szminka, którą nałożyła, wyglądająca jak krew na piasku.

Nagle uświadomił sobie, że chodzi o okulary. Nie miała swoich bibliotekarskich okularów w czarnej oprawce. Czyżby wieczorem zamieniała je na szkła kontaktowe? A może były tylko modnym ozdobnikiem, zwykłym rekwizytem? Ale kto nosi okulary, mając dobry wzrok?

— Czym pan się zajmuje? — zapytała Rachel, dziewczyna w letniej sukience. — Tricia zawsze bardzo ogólnikowo opowiada o swojej pracy.

Tricia roześmiała się.

— Powiedziałam im, że nawet nie bardzo wiem, czym się zajmujesz — przyznała z bezmyślną dumą.

Timothy poczuł ciarki na plecach. Dlaczego wszystkie śliczne dziewczyny muszą być takie głupie? Jak taka kobieta mogła przemknąć przez życie tylko dlatego, że miała jędrne ciało i twarz Wenus?

— Moja praca polega na zarządzaniu pieniędzmi — wyjaśnił. — Ludzie dają mi sto dolarów, a ja im oddaję po roku sto dwadzieścia.

— Ale dają ci znacznie więcej niż sto dolarów, prawda? — wtrąciła Tricia, chcąc Timothy'emu pomóc zrobić wrażenie na swoich znajomych.

Timothy i Dzieciak wymienili spojrzenia.

— Zgadza się — odparł Timothy. — Mówimy o milionach dolarów. Dokładnie o stu milionach.

— Nieźle — mruknął Jack, chłopak o kręconych włosach i okularach

w metalowych oprawkach na nosie. Miał w sobie coś z hipisowskiej bezpośredniości człowieka, który wspiera gospodarkę Meksyku, popalając trawkę. — Sto milionów to kupa kasy.

— A nie mówiłam?! — zawołała Tricia, zwracając się do przyjaciół. — Czy to nie najfajniejszy szef pod słońcem? Wpadł do nas na drinka w normalny dzień. Zajebicie! — Mówiąc to, położyła rękę na udzie Timothy'ego, który natychmiast poczuł znajome poruszenie w spodniach. Erekcja.

Jezu, ależ ona jest śliczna, pomyślał. Te niebieskie oczy, czerwona szminka, obcisły sweter. Jej dłoń przesunęła się trochę wyżej po jego udzie. Była teraz tylko parę centymetrów od jego krocza. Bał się spojrzeć w dół, bo gdyby to zrobił, musiałby przyznać, że wie, co się dzieje. Na razie można było to uznać za zwykłe nieporozumienie: „Och, to twoja dłoń na moim penisie? Przepraszam, nie zauważyłem”.

— Ja też pracuję u Timothy'ego — pochwalił się Dzieciak.

Jesteś beznadziejny, pomyślał Timothy. Zanotował w pamięci, że musi wziąć go na bok i dać mu lekcję, jak się robi wrażenie na kobietach. Pojedynek o Tricię. Niestety, Dzieciak musi przegrać, ale po wszystkim Timothy chętnie będzie mu służył radą. Pewnego dnia chłopak dorobi się pieniędzy, co do tego nie było wątpliwości. Był bystry i miał w sobie zadatki na rekina. Jako jego mentor Timothy był mu winien wsparcie. Musi pomóc chłopakowi wejść do świata, gdzie o sukcesie decydują pieniądze. Ale jeszcze nie dzisiaj.

Rozejrzał się jeszcze raz po sali. Przyglądał się twarzom ludzi tłoczących się przy barze i siedzących przy stolikach. Ktoś znajomy? Jacyś przyjaciele Katherine? Ktoś z klubu? A może z kościoła? Małe szanse, ponieważ było to miejsce spotkań młodych ludzi, a większość jego znajomych nie zaliczała się do tej kategorii. Musiał się jednak upewnić.

Uspokojony, zapytał w końcu:

— Gdzie się podziały nasze drinki?

Wstał i poszukał wzrokiem kelnerki, a kiedy siadał z powrotem, przysunął swój fotel tak blisko kanapy, że siedział prawie pomiędzy nogami Tricii. Dziewczyna rozsunęła je, sięgnęła po jego fotel i przysunęła go jeszcze bliżej, aż kolana Timothy'ego oparły się o wewnętrzną stronę jej ud. Ujął jej dłonie. Ich skóra była miękka i sucha, a palce chłodne. Splotła je z jego palcami. Teraz już wiedział, że będzie jego, że ją posiadzie, że pieniądze zawsze są górą.



Wkrótce znajomi Tricii zostawili ich samych. Najpierw pożegnał się Dzieciak, który wymamrotał „Cześć”, zanim się ulotnił. Pięć minut później wstał Jack i oświadczył:

— Muszę lecieć.

Tricia go nie zatrzymywała. Ponieważ Jack zwolnił miejsce obok niej, pociągnęła Timothy'ego na kanapę. Kiedy się przesiadł, przysunęła się i przytuliła do jego boku. Przez materiał koszuli czuł jej pierś.

Rachel sprawiała wrażenie skrępowanej.

— No cóż — powiedziała po chwili. — Chyba ja też się już pożegniam.

— Do zobaczenia — rzuciła Tricia.

Rachel pochyliła się i przycisnęła policzek do jej policzka, całując powietrze.

— Miło było pana poznać — dodała, żegnając się z Timothyem.

— Mnie ciebie też — odparł Timothy i objął Tricię ramieniem.

W nozdrzach miał zapach szamponu, cytryny i rozmarynu, a na brodzie czuł włosy dziewczyny, delikatne jak jedwab.

Kiedy Rachel odeszła, siedzieli w milczeniu, nie poruszając się. Klub był pełen młodzieży, która wpadła tu, by odreagować po pracy,

i robiła się coraz bardziej hałaśliwa. Przy stole do bilardu zebrała się grupa atletycznie zbudowanych chłopaków w czapkach baseballowych, przekrzykując się nawzajem.

— Ciekawie tu — mruknął Timothy.

Jednak Tricia nie była typem osoby skłonnej do refleksji.

— Chodźmy do mnie — zaproponowała.

— Doskonale.

Wstał, wyjął portfel i rzucił na stół sto dolarów. Opuścili klub i wyszli razem w noc.



Pojechali swoimi samochodami.

Timothy podążał za żółtą celiką Tricii. Wyjechał za nią z parkingu przed BBC na Ravenswood Drive i dalej na Middlefield i Willow, aż znalazł się na drodze 101. Przez dwadzieścia minut jechali na południe. Nieruchomości w Palo Alto osiągały najwyższe ceny na półwyspie, ale tutaj było „z górki”. Każdy kilometr na południe obniżał średnią cenę za posiadłość o dziesięć tysięcy dolarów. Jadąc, Timothy patrzył, jak czerwone hiszpańskie bungalowy i rozległe rancza ustępują miejsca drewnianym domom, a te z kolei zastępują betonowe blokowiska wznoszące się nad otwartymi parkingami. W końcu wyjechali na Route 85, korytarz, którym każdego ranka i każdej nocy dojeżdżali do Palo Alto asystenci, sekretarki, strażacy i policjanci. Była to tylna arteria półwyspu.

Tricia zjechała z autostrady, więc Timothy ruszył za nią. Jechali teraz ulicą o nazwie Strumyk Stevensa, choć strumyk już dawno temu zniknął pod samochodowymi komisami, ozdobionymi balonikami i neonowymi reklamami obiecującymi zerowe odsetki. Z ulicy Stevensa dziewczyna skręciła w lewo, a potem w prawo, i Timothy pomyślał, że nie da rady trafić stąd do domu.

W końcu podjechała do krawężnika na jednej z wysadzanych drzewami

ulic i zatrzymała się. Timothy zaparkował za nią i wysiadł z samochodu.

— Jesteśmy na miejscu — oświadczyła, wskazując stary żółty bliźniak po drugiej stronie ulicy. Na dwóch balkonach stały ruszty do grilla, a na trzecim rachityczne drzewko pomarańczowe w glinianej donicy.

— Miło tu — mruknął Timothy.

— Trochę inny świat niż ten, do którego jesteś przyzwyczajony, co?

— Sam kiedyś tak zaczynałem — skłamał.

Zaprowadziła go na górę. Idąc po schodach, gapił się na jej pupę. Na końcu schodów były drzwi oznaczone plastikową literą D. Górny gwóźdź mocujący literę musiał wypaść, bo D odwróciło się do góry nogami. Tricia wyjęła z torebki pęk kluczy i wybrała właściwy. Przekręciła go w zamku, jednocześnie popychając drzwi ramieniem. Nawet nie drgnęły.

— Zawsze się zacinają — wyjaśniła.

Jeszcze jedno pchnięcie i drzwi ustąpiły. Weszli do środka i Tricia zapaliła światło.

W środku było o wiele czyszej, niż można było się spodziewać, sądząc po wyglądzie budynku i klatki schodowej. Miękki brązowy dywan i świeżo odnowione białe ściany. Klimatyzator w oknie ustawiono na maksimum i w pokoju było lodowato. Przesuwane szklane drzwi prowadziły na balkon. Przy wejściu znajdowała się niewielka kuchnia.

— Ładnie tu — powiedział.

Zauważył, że Tricia rozgląda się po mieszkaniu. Czego szukała?

— Sama tu mieszkasz? — zapytał.

— Zazwyczaj — odpowiedziała.

Sprawiała wrażenie nieco zakłopotanej. Może wyłączyła klimatyzację, wychodząc rano do pracy. Ale jeśli tak, to ciekawe, kto ją włączył?

— Chodźmy do sypialni — zaproponowała.

— Na pewno?

Wzięła go za rękę i zaprowadziła do znajdującego się na końcu korytarza pokoju. Łóżko było zasłane, brzegi niebieskiej narzuty starannie upchnięto pod materacem. Czemu posłała łóżko? Czyżby spodziewała się go wieczorem? Czy już wtedy wiedziała, że wróci do mieszkania razem z nim?

Zamknęła drzwi i przekręciła klucz w zamku.

Sypialnia była mała i zupełnie przeciętna. Pod ścianą stał bukowy stolik, prawdopodobnie z IKEI. Na nim komputer. Na stole ani na szafkach nie było żadnych zdjęć, żadnych pamiątek.

— Jak długo tu mieszkasz? — zapytał.

Przytuliła się do niego, objęła go za szyję i przyciągając jego głowę, pocałowała w usta. Czuł, jak jej szminka rozmazuje mu się na wargach.

— Czemu cię to interesuje? — wymruczała.

Czuł na twarzy jej oddech i jedwabiste włosy. Jej usta smakowały miętą i szampanem. Pocałowała go ponownie, wsuwając mu język do ust. Całowała ostro, drapieźnie. Poczul jej zęby na wargach. Jej dłoń znalazła się na jego udzie i zaczęła sunąć w górę. Objęła jego penis.

— Chciałam cię wyruchać już od pierwszego dnia, kiedy tylko cię poznałam — oświadczyła.

Zaszokowało go to. Nigdy nie był z kobietą, która używałaby takich słów. Nawet prostytutki, u których czasem bywał, miały więcej klasy.

— Chcę poczuć w sobie twojego kutasa — szepnęła. Wsadziła mu język do ucha i popchnęła go na łóżko. Upadł na materac z głową w połowie długości łóżka i stopami w butach Cole Haan Carnegies na podłodze. Wspięła się na niego, objęła nogami i wcisnęła krocze w jego penis. — Chcesz mnie przelecieć?

— Tak — odparł, ale miał ochotę dodać: „Wolałbym, żebyś przestała gadać”.

Rozpięła mu rozporek. Jej dłoń przesunęła się po jego brzuchu i wsunęła pod gumkę majtek. Timothy złapał ją za rękę i zatrzymał.

— Hej! — zawołała ze zdziwieniem. — Co jest?

Oparł się na łokciach i zsunął ją z siebie. Zeszła z łóżka i stanęła przed nim.

— Nic — odparł. — Tylko... — Nie bardzo wiedział, co powiedzieć, ponieważ nie miał pojęcia, co było nie tak. Coś jednak było. Nie chciał tego ciągnąć. Zdradzał już wcześniej żonę i nie miał z tym problemu, ale teraz z jakiegoś powodu nie mógł tego zrobić. W końcu wymamrotał: — Jestem żonaty.

— To będzie nasz sekret — odparła Tricia, uśmiechając się do niego porozumiewawczo, jak zawsze, kiedy mówiła o jego żonie.

— Ale... — zaczął, gorączkowo szukając jakiegoś wytłumaczenia, które mógłby jej podać. Jednak nic mu nie przychodziło do głowy. Chciał jej powiedzieć o Katherine; o tym, że choć potrafi mu czasem dopiec, bardzo ją kocha; o tym, jak jej zmiany nastrojów zmieniały ich związek w piekło i jak nauczył się sobie z nimi radzić; o tym, jak bardzo czasami się nienawidzili — a także o tym, że po każdej kłótni, choć brzmiało to niewiarygodnie, kochał ją jeszcze bardziej.

Może to przez ich jubileuszowy weekend, podczas którego, dotykając Katherine, uświadomił sobie jej kruchość — tak samo jak mały chłopiec, trzymający w ręku polną mysz, może poczuć, jak delikatne ma kości, zobaczyć, jak bardzo jest przerażona, i uświadomić sobie, że mocniejszy uścisk by ją zabił. Może musiał pojechać do mieszkania Tricii, znaleźć się o krok od zdradzenia Katherine, żeby zrozumieć, ile dla niego znaczy i jak bardzo powinien ją chronić.

Chciał to wszystko powiedzieć, ale w głowie miał mętlik i zanim zdecydował, od czego powinien zacząć, Tricia odwróciła się od niego.

Wstał z łóżka, schował koszulę do spodni i zapiął rozporek.

— Jesteś niezwykle piękną i ponętą kobietą. Bardzo chciałbym tu zostać i... — nie chciał używać słowa „ruchać” — ...kontynuować. Ale to nie jest w porządku.

— Więc po co tu przyszedłeś? — zapytała, wyzywająco wysuwając podbródek.

Miał jednak wrażenie, że jest bliska płaczu.

— Nie wiem — przyznał. — Bardzo mi się podobasz, ale jak to sobie wyobrażasz? Jaki masz plan? — Zawsze lubił mieć plan, a tu nie widział żadnego. — Mam prawie pięćdziesiąt lat.

— Nie masz jeszcze pięćdziesięciu — zaprotestowała, jakby tych parę brakujących do pięćdziesiątki lat miało jakieś znaczenie.

— Mam żonę — powtórzył. — Nie jestem święty. Nigdy nie byłem. Ale ona czeka na mnie w domu, na miłość boską. Nie mogę jej tego zrobić. — Podeszedł do lustra wiszącego nad komódką i starł ślady szminki z twarzy, a potem przygładził włosy i poprawił kołnierzyk. Odwrócił się do Tricii. — Słuchaj, widzimy się rano w pracy. Zachowujmy się, jakby nic się nie stało. Jesteś wspaniałą dziewczyną i nie chcę cię stracić. — Żeby uniknąć nieporozumień, dodał szybko: — Oczywiście jako mojej asystentki. Dobrze?

Nic na to nie odpowiedziała. Zastanawiał się, czy już kiedyś została odtracona przez mężczyznę — i to po tym, jak trzymała jego penisa. Może było to dla niej zupełnie nowe doświadczenie.

— Dobrze? — zapytał znowu.

Nie czekał jednak na odpowiedź. Musiał wrócić do domu. Wyszedł z sypialni i wybiegł z mieszkania, zanim zdążył się rozmyślić.

10

Starał się wyjechać z Cupertino tak szybko, jak tylko ruch na drodze numer 85 na to pozwalał. Zegar na desce rozdzielczej wskazywał dwudziestą trzydzieści. Powtórzył sobie wszystko, co chciał powiedzieć Katherine. Zamierzał oprzeć się na rzeczywistych wydarzeniach tego wieczoru, przesuając je tylko w czasie o dwie godziny i eliminując z nich Tricię. O osiemnastej spotkał się z Pinkym Dewerem w Circus Club. Kiedy byli przy drugim kieliszku, Pinky zadzwonił z komórki na lotnisko i dowiedział się, że jego lot do Nowego Jorku został odwołany. Timothy nie miał zamiaru podawać Katherine żadnych szczegółów, takich jak nazwa linii lotniczych czy powód odwołania lotu. Nic, co mogłaby sprawdzić, gdyby nabrała podejrzeń.

Budował dalej swoją opowieść. Tak więc Pinky został uwięziony w mieście na noc. Timothy był zły, ale nic na to nie mógł poradzić. Pinky był jego najważniejszym klientem i musiał się nim zająć. Opuścili Circus Club i przenieśli się trzy kilometry dalej wzdłuż El Camino, z Atherton do Menlo Park, do BBC. Wypili tam kilka kolejnych drinków, a potem Pinky jeszcze raz zadzwonił na lotnisko, żeby złożyć skargę.

I co się okazało? Znaleźli mu miejsce w pierwszej klasie, więc Pinky popędził z BBC na lotnisko, żeby zdążyć na samolot.

Nie była to najlepsza z jego opowieści, ale tym razem musi wystarczyć. Jego alibi miało kilka słabych punktów, parę szczegółów było niedopracowanych. Katherine na pewno go zapyta, czemu do niej nie zadzwonił przed przeniesieniem się do BBC. Przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią i wymyślił, że padła mu bateria w telefonie. Wyjął komórkę z kieszeni marynarki i jedną ręką otworzył przykrywkę aparatu. Gdy litowa bateria wypadła mu na kolana, wrzucił ją do schowka na rękawiczki. Załatwione, pomyślał z ulgą.

Kiedy zjechał ze 101. przy University Avenue, była już za kwadrans dwudziesta pierwsza. Ruszył przez wschodnie Palo Alto do Waverly i dalej na północ, do starego Palo Alto.

Pięć przecznic dalej zwolnił i wjechał na swój podjazd. Dziedziniec był zaniedbany, zarośnięty brązową trawą i polnymi kwiatami. Po lewej stronie rosły drzewa morelowe. Dom zbudowano w latach trzydziestych w stylu Tudorów. Miał wysokie szczyty, a jego białe mury przecinały potężne czarne belki. Okna pod stromym dachem były wąskie i wysokie, z szybami ze staromodnego ołowiowego szkła.

Timothy pospiesznie przeszedł wyłożoną płytkami ścieżką do drzwi wejściowych. Noc była ciepła i sucha. Z ogrodu dochodziło cykanie świerszczy. Nacisnął guzik dzwonka i wyjął klucze. Wokół lampy na ganku krążyły ćmy. Przekręcając klucz w zamku, miał nadzieję, że Katherine otworzy mu drzwi. Nie zrobiła tego jednak, więc sam je otworzył. Przywitał go pusty korytarz.

Zamknął za sobą drzwi i zapalił światło.

— Katherine?

Przez chwilę nasłuchiwał, czy nie dobiegnie go odgłos wody płynącej w starych rurach — znak, że akurat bierze kąpiel. Nic. Cisza.

— Wróciłem! — zawołał.

Wszedł do holu, stukając obcasami na ceramicznych płytkach. Przed wprowadzeniem się wyburzyli niemal całe wnętrze i odbudowali je w nowoczesnym stylu, który Katherine bardzo się podobał, ale według Timothy'ego był zimny i mało przytulny. Na czarnym stole pod ścianą stała abstrakcyjna rzeźba, którą żona kupiła w Big Sur.

— Katherine? — zawołał znowu z lekkim niepokojem.

Nie spodziewał się tego. Przyzwyczał się, że zawsze napadała na niego, gdy tylko otworzył drzwi, zmuszając go do odparowywania jej pytań. Teraz jednak przywitała go cisza i ciemność. Wytrąciło go to z równowagi i czuł się jak żołnierz na warcie, który nagle wyczuł niebezpieczeństwo.

Ale atak nie nadchodził. Ruszył korytarzem, zapalając po drodze światła. W całym domu słychać było tylko jego kroki, odbijające się echem od pustych ścian.

Wspiął się po wyłożonych chodnikiem schodach i wszedł do sypialni. Nie było tam Katherine. Olbrzymi telewizor stojący przy łóżku był wyłączony. Zajrzał do łazienki. Pusto.

Zastanawiał się, gdzie mogła się podziać. Spojrzał na zegarek. Była prawie dwudziesta pierwsza. Nic nie wspominała, że ma jakieś plany. Kiedy ostatnio rozmawiali, leżała w łóżku z migreną. Jednak teraz łóżko było puste i zasłane.

Zszedł na dół i zajrzał do kuchni. Czasami zostawiała mu wiadomości na lodówce. Ale poza przekrzywionym magnesem z napisem: „Pomyśl, zanim zjesz” nic na niej nie było.

Minął kuchnię i otworzył boczne drzwi prowadzące do garażu. Zapalił światło i zszedł na dół. W środku nie było samochodu Katherine, dwuletniego lexusa sedana.

Wrócił do sypialni i sprawdził pocztę głosową na swojej komórce,

a potem na telefonie w biurze. Jedyna wiadomość pochodziła od Dzieciaka, który podpitym głosem poinformował go, że jen spadł do poziomu sześćdziesięciu ośmiu, ale potem znowu zaczął się wspinać. Jay musiał się nagrać zaraz po wyjściu z BBC, żeby pokazać, że nie czuje urazy i w dalszym ciągu jest przykładnym pracownikiem.

Timothy usiadł na krawędzi łóżka i poluzował krawat. Próbował zrozumieć, co oznacza nieobecność Katherine. Prawdopodobnie podejrzewała, że ją zdradza, i wściekła wybiegła z domu.

Nie było jej samochodu, więc gdzieś pojechała. Może chciała tylko pojeździć po okolicy, żeby się wyładować. Może wpadła do którejś z koleżanek, żeby się poskarżyć, jakim dupkiem jest jej mąż.

Zadzwoił do informacji i poprosił o połączenie z Ann Beatty, która mieszkała przy ich ulicy. Była to czterdziestodwuletnia rozwódka mieszkająca samotnie w ogromnym domu, należącym kiedyś do szefa Apple, Steve'a Jobsa. Jej mąż, który kupił ten wielki dom, po rozwodzie musiał się przeprowadzić do San Jose, do małego domku zjedna sypialnią. Jedyne kontakty Timothy'ego ze Steve'em Jobsem ograniczały się do mijania reklamy Apple w czasie godzinnej podróży do pracy drogą 101.

— Słucham — odezwała się Ann Beatty.

— Cześć, Ann. Mówi Timothy van Bender, twój sąsiad.

— Och, cześć, Timothy — odparła.

Jej głos mógł zamrozić wodę.

— Przepraszam, że dzwonię tak późno, ale szukam Katherine. Nie było jej u ciebie?

— Twojej żony?

Wyobraził sobie, jak stoi ze słuchawką przy uchu i uśmiecha się złośliwie. Miała małe oczka oraz krótko ostrzyżone siwe włosy i

przypominała zakonnicę. Pomyślał, że Katherine musiała jej naopowiadać o nim różnych nieprzyjemnych rzeczy. Niemal słyszał pogardę w jej głosie.

— Nie — odparła po chwili. — Nie było jej tutaj. Nie widziałam jej od czasu waszego wyjazdu do Big Sur. Mam nadzieję, że wszystko w porządku?

Ton jej głosu mówił jednak, że podejrzewa, iż nic nie jest w porządku.

— Jestem pewien, że tak — powiedział Timothy. — Pewnie po prostu się minęliśmy. Jeśli ją zobaczysz albo gdyby do ciebie zadzwoniła, powiedz jej, że jestem w domu i czekam na nią.

— Oczywiście, Timothy.

— Dzięki, Ann.

Spojrzał na zegar na nocnym stoliku. Było dziesięć po dwudziestej pierwszej. Siedział na łóżku, czekając na Katherine. Nasłuchiwał, czy nie dobiegnie go stukot jej obcasów na ścieżce, zgrzyt otwieranego zamka albo jej głos odbijający się echem od ścian holu. Ale w domu panowała cisza, słychać było jedynie świerszcze w ogródku i jego nierówny oddech.

11

Spał mocno i obudził się o siódmej rano. Promienie słoneczne padały na jego twarz. Zapomniał wczoraj zaciągnąć zasłony.

Kiedy otworzył oczy, wydarzenia z ostatniej nocy napłynęły skłębione i tak pogmatwane, że przez chwilę miał wrażenie, iż są częścią snu. Spojrzał na lewą stronę łóżka, stronę Katherine, ale jej tam nie było. Łóżko było posłane. Zasnął w ubraniu na narzucie.

Miał porządnego kaca. Nie zdawał sobie sprawy, ile wczoraj wypił. Najpierw były drinki, które pili z Pinkym w Circus Club, a potem trzy kolejki dalmore, wypite w BBC w towarzystwie Tricii i jej przyjaciół.

Przypomniało mu się, jak jechał za dziewczyną do jej mieszkania z odwróconą literą D na drzwiach. Pamiętał ich pocałunek i szminkę Tricii rozmazaną na ustach, pamiętał też, jak usiadła na nim i rozpięła mu spodnie.

Wstał zbyt gwałtownie i pokój zawirował wokół niego. Opadł na łóżko, wziął głęboki oddech i znowu spróbował wstać. Kiedy udało mu się dotrzeć do łazienki, przyjrzał się swojemu odbiciu w lustrze. Dostrzegł ślady szminki na kołnierzyku, więc zdjął koszulę, włożył

kołnierzyk pod kran i zaczął szorować go mydłem, aż plama zniknęła. Potem zwinął koszulę i wrzucił ją do kosza z brudnymi rzeczami.

Rozpiął spodnie i z jedną ręką opartą na biodrze zaczął sikać.

W tym momencie zadzwonił telefon, więc przerwał i podciągnął slipy. Mocz pociekł mu po nodze. Ze spodniami zwiniętymi wokół kostek przebiegł przez sypialnię i podniósł słuchawkę.

— Halo?

— To ja, Katherine.

Jej głos brzmiał, jakby dochodził z bardzo daleka, a w tle słychać było rytmiczny szum, wznoszący się i opadający, na przemian głośny i cichy.

— Gdzie jesteś?

— Posłuchaj mnie... muszę ci powiedzieć coś ważnego.

Timothy poczuł, że zaciska mu się żołądek. Czyżby dowiedziała się o jego wizycie u Tricii? Chciała go zostawić? Czyżby zniszczył dwadzieścia wspólnych lat jedną głupią pomyłką?

— Umieram, Timothy — wyznała Katherine. — Nie zostało mi wiele czasu.

— Umierasz? — Nic z tego nie rozumiał. — O czym ty mówisz?

— Jej słowa nie pasowały do obrazu, który powstał w jego głowie. Wściekła Żona Odchodzi od Żałosnego Męża, który Ją Zdradza.

— Nie chciałam ci nic mówić, żebyś nie odszedł, ale wiem o tym już od jakiegoś czasu.

— Gdzie jesteś? — Było to jedyne pytanie, które mu przyszło do głowy.

— W Big Sur. Przy skałach. — I po chwili dodała: — Tak będzie prościej.

W słuchawce słyszał szum, raz głośny, raz cichy, wznoszący się i opadający. Nagle zrozumiał, co to takiego. Fale oceanu uderzające o skały.

— Co będzie prościej? — zapytał, choć w głębi ducha znał odpowiedź. Poczł zawrót głowy i zrobiło mu się niedobrze. — Katherine, co ty chcesz zrobić? — zapytał słabym głosem.

— Kocham cię, Timothy. Wszystko będzie w porządku. Przekonasz się.

— Katherine...

Chciał krzyknąć do słuchawki, lecz z jego gardła wydobył się tylko ochryply jęk. Kiedy się rozłączyła, serce stanęło mu w gardle i poczuł metaliczny smak na języku. Upuścił słuchawkę i rzucił się do łazienki, ale nie zdążył. Zwymiotował żółcią i flegmą na posadzkę. Stał pośrodku pokoju z wymiocinami ściekającymi po brodzie i czuł się zupełnie bezradny. Nigdy jeszcze w ciągu czterdziestu siedmiu lat swojego życia nie czuł się taki słaby i bezbronny.

Wydział policji Palo Alto przysłał do niego detektywa Neiderhoffer'a. Policjant był niskim, dobrze zbudowanym mężczyzną o krótko przyciętych włosach, gęsto przetykanych siwizną, i małym czarnym wąsiku przypominającym gąsienicę.

Podatek od nieruchomości w Palo Alto pozwalał na zakup najlepszych usług w całym hrabstwie San Mateo. Miasto podpisało umowę z telewizją kablową, która emitowała HBO i Showtime oraz rozkopała chodniki w całym mieście i światłowodami podłączyła do Internetu każdego, kto sobie tego życzył. Palo Alto było również jedynym w kraju współwłaścicielem elektrowni. Miało też wydział policji, którego pracownicy nazywali mieszkańców „klientami” i który co roku rozsyłał ankietę, badającą „zadowolenie klientów z poziomu usług”.

Detektyw Alexander „Ned” Neiderhoffer awansował dwukrotnie w ciągu ostatnich czterech lat (jego pensja wzrosła z czterdziestu pięciu do osiemdziesięciu tysięcy rocznie) głównie dlatego, że potrafił zadowolić swoich klientów. Miał dwie zasady: zawsze zwracał się do swoich rozmówców per pan i pani oraz traktował każdego mieszkańca

Palo Alto jak milionera, ponieważ były duże szanse na to, że rzeczywiście ma do czynienia z milionerem.

Kiedy przybył do domu van Benderów, Timothy zaprowadził go do kuchni. Policjant usiadł przy stole, podczas gdy Timothy chodził tam i z powrotem przed drzwiami wychodzącymi na patio. Wyglądał także co chwila przez okno do ogródka, jakby Katherine mogła w każdej chwili pojawić się na porośniętym żółtą turzycą trawniku, w zapiaszczonym ubraniu i z wodorostami na butach.

— Panie van Bender, wiem, że to dla pana bardzo trudne chwile — powiedział Neiderhoffer. — Ale powinien pan teraz ze mną współpracować. Muszę poznać wszystkie szczegóły.

Położył na stole notatnik, otworzył go i przewrócił kilka kartek. Wyjął z kieszeni marynarki długopis.

— Chcę zadać panu kilka pytań. Na niektóre z nich mógł pan odpowiedzieć już wcześniej, rozmawiając z moimi kolegami, ale proszę pana o cierpliwość.

— W porządku — odparł Timothy.

— No dobrze... Kiedy widział pan żonę po raz ostatni?

— Wczoraj rano. Przed wyjściem do pracy.

Neiderhoffer zapisał to w notatniku, mrucząc do siebie:

„Poniedziałek rano”, a potem znów spojrzał na Timothy'ego.

— Jakie sprawiała wrażenie?

— Wrażenie? — Timothy wzruszył ramionami. — Normalne.

— Czy pana żona pracuje?

— Nie.

— Miała wczoraj jakieś umówione spotkania?

— Nie, nie sędzę.

Neiderhoffer zajrzał do notatnika.

— Zgłosił pan na policji, że żona zadzwoniła do pana dziś rano.

— Tak, koło siódmej.

— Czy mówiła, skąd dzwoni?

— Z Big Sur. Chciała... myślę, że chciała popełnić samobójstwo.

— Panie van Bender, czy żona powiedziała panu, że zamierza popełnić samobójstwo?

Timothy musiał się zastanowić, żeby sobie przypomnieć, co dokładnie Katherine powiedziała w czasie rozmowy. Wydawało się, że to było tak dawno.

— Nie. Oświadczyła tylko, że jest bardzo chora i że zataiła przede mną swój stan. A potem dodała: „Tak będzie prościej”. Ale znam moją żonę. Miała na myśli samobójstwo.

Neiderhoffer znowu zapisał coś w notatniku, po czym zapytał:

— Czemu w Big Sur?

— Nie rozumiem... Detektyw spojrzał na niego.

— To dosyć daleko. Jechać taki kawał drogi, żeby popełnić samobójstwo? Mogła to zrobić w wielu innych, bliższych i wygodniejszych miejscach. Na przykład w domu. Nie sądzi pan?

Timothy pokręcił głową.

— Nie sądzę. Byliśmy tam podczas weekendu, żeby uczcić rocznicę ślubu. Katherine kocha to miejsce. Uwielbia ocean, skały, klify. — Spojrzał na zegarek. Katherine dzwoniła do niego dwie godziny temu. Może jeszcze tam jest, może chodzi po brzegu oceanu. — Myślę, że powinienem tam pojechać...

— Panie van Bender, proszę się uspokoić. Już zawiadomiłem policję w Big Sur i strażników leśnych w Point Lobos. Właśnie jej szukają. Jeśli tam jest, na pewno ją znajdą.

— Co to ma znaczyć: „Jeśli tam jest”? A gdzie miałyby być?

— Nie wątpię w pana słowa, panie van Bender. Możliwe, że tam

jest. Ale może nie jest tak źle, jak pan sądzi. Może żona pojechała tam tylko po to, żeby trochę pana nastraszyć. Może jest w hotelu i właśnie się zdrzemnęła. A może wcale nie pojechała na południe. Może jedzie w tej chwili na północ drogą dwieście osiemdziesiąt, żeby odwiedzić jakąś swoją przyjaciółkę w Modesto. Gdzie mieszka jej rodzina?

— W Bostonie.

— Rodzice żyją?

— Tylko matka.

— Będzie pan musiał podać mi jej numer telefonu — oświadczył detektyw i po chwili spytał: — Czy żona była na pana o coś wściekła, panie van Bender?

— Wściekła? Nie bardziej niż zazwyczaj.

Neiderhoffer zapisał to w swoim notatniku.

— Czy kłóciliście się ostatnio... bardziej niż zazwyczaj?

— Nie.

— Może zrobił pan coś, co mogło wyprowadzić ją z równowagi?

— Nie.

— W sprawach takich jak ta w dziewięciu przypadkach na dziesięć wszystko kończy się pomyślnie. Zazwyczaj jest to wynik kłótni. Albo jedno z małżonków... — urwał, ale Timothy domyślił się, co miał na myśli.

— Albo jedno z małżonków postanawia odejść — dokończył za niego.

— Rozwody są dość powszechne, panie van Bender.

— Moja żona się ze mną nie rozwodzi.

— Gdybyśmy mieli wybierać między rozwodem a samobójstwem, chyba obaj wybralibyśmy to samo, prawda? — Spojrzał na Timothy'ego, ale nie czekał na odpowiedź. — Czy pańska żona próbowała już kiedyś popełnić samobójstwo?

— Nie.

— Czy leczy się u psychiatry?

— Nie.

Neiderhoffer odłożył notatnik i zamknął długopis.

— No dobrze. Jeśli pan pozwoli, chciałbym jeszcze rozejrzeć się po domu. Może wpadnie mi coś w oko... coś, co osobie mieszkającej w domu wydaje się zupełnie normalne. Wysłałem także dwóch policjantów, żeby obeszlili sąsiadów ze zdjęciem pana żony. Oficer Karp-sky sprawdza taksówki, linie autobusowe, pociągi i linie lotnicze. Sprawdzimy także hotele i motele w okolicach Big Sur. Wysłałiśmy komunikat do tamtejszych posterunków i drogówki, żeby zwrócili uwagę na zielonego lexusa. Jestem gotów się założyć, że znajdziemy pana żonę całą i zdrową. Proszę więc, żeby zachował pan spokój. Dobrze?

— Dobrze — odparł Timothy.

— Aha, i jeszcze jedno. Kiedy pańska żona dzwoniła, powiedziała, że jest bardzo chora. Zna pan nazwisko jej lekarza?

Timothy pogrzebał w pamięci. Jak on się nazywał? Miał to nazwisko na końcu języka.

— Doktor Charles jakiś tam. Z kliniki w Palo Alto.

— Doskonale — stwierdził Neiderhoffer. — To tylko rzut kamieniem stąd. Zaoszczędzę na benzynie.



Ranek, pełen nadziei rozbudzonych obietnicą szybkiego i szczęśliwego zakończenia poszukiwań, wkrótce zamienił się w beznadzieję i rozpacz. Timothy siedział sam w domu, przeważnie w kuchni, czekając na telefon. Żeby przestać nieustannie rozmyślać o żonie, spróbował zaparzyć sobie kawę, ale była to jedna z rzeczy, które zawsze robiła Katherine (wstając rano, zastawał już pełen dzbanek), i nie był pewien, czy dobrze odmierzył proporcje wody i kawy w ekspresie.

Wyszła mu siekiera, gorzka i kwaśna. Nie zważając na to, wypił cały dzbanek. Oczywiście zrobiło mu się niedobrze i dostał rozwolnienia, ale dopiero za czwartym razem udało mu się do końca wypróżnić.

Telefon zadzwonił o pierwszej. Timothy wybiegł z łazienki do kuchni i złapał słuchawkę. Miał nadzieję, że dzwoni Katherine, jednak był to tylko detektyw.

— Panie van Bender, tu Ned Neiderhoffer. Nie chcę pana niepokoić, ale nie mam żadnych wiadomości.

— Czy sprawdzaliście okolice Point Lobos, jak prosiłem? Znaleźli chociaż jej samochód?

— Właśnie rozmawiałem z policją w Big Sur. Nic nie mają, lecz nie przestają szukać. Dzwonię tylko po to, żeby nie denerwował się pan, czekając przy telefonie. Czy mogę coś jeszcze dla pana zrobić?

— Musi pan odnaleźć moją żonę.

— Oczywiście, panie van Bender. Wiemy, jak postępować w takich sytuacjach.

Timothy zastanawiał się, iloma przypadkami zaginięć czy samobójstw zajmował się wydział policji w Palo Alto. Wydawało się, że ich specjalnością są jedynie kosze na śmieci stojące za długo na trawniku przed domem, zbyt głośne zabawy studentów i zaginione koty. Kobiety skaczące z klifów do oceanu raczej nie figurowały w CV Neiderhoffera.

— Proszę, żeby pan zachował spokój — powiedział detektyw. — Niech pan nie wychodzi z domu, bo żona może do pana zadzwonić jeszcze raz.

— Oczywiście.

Kiedy Neiderhoffer się rozłączył, Timothy poszedł do salonu i włączył telewizor. Zaczął przeglądać kanały, przerzucając programy o remontach domów oraz poradniki kucharskie i ogrodnicze. W końcu trafił na relację z wyścigów Nascar. Spodobała mu się bezmyślność

programu, jego rozmazane kolory, ryk silników i owacje publiczności, wciąż jednak myślał o Katherine. Czy to możliwe, że już nie żyła? Rozmawiając z nią o siódmej przez telefon był tego pewien. Po jej głosie poznał, co zamierza zrobić. Niemal czuł smak soli w powietrzu, drobne kropelki wody na ramionach. Ale po rozmowie z Neiderhofferem, który sprawiał wrażenie niezbyt przekonanego co do miejsca pobytu jego żony, kiedy siedział przed telewizorem i gapił się na śmigające gdzieś na dalekim Południu samochodziki, śmierć Katherine wydawała mu się nieprawdopodobna.

Co takiego Neiderhoffer powiedział? Trochę daleko, jechać taki szmat drogi, żeby popełnić samobójstwo. Pewnie miał rację. Czy Katherine jechałaby sto pięćdziesiąt kilometrów, żeby się zabić? Jeździła tylko do odległego o siedem kilometrów supermarketu, żeby zrobić zakupy. Więc może raczej chciała go ukarać, podreźczyć go, pokazać, jak bardzo jest mu potrzebna. Może za godzinę jak gdyby nigdy nic stanie w drzwiach wejściowych? Wyobrażając sobie jej zadowolony uśmiech w czasie rozmowy telefonicznej, Timothy poczuł, że robi mu się gorąco, i ogarnęła go złość.

Rozległ się dzwonek do drzwi wejściowych, więc poszedł otworzyć. Na progu stał Dzieciak z pudełkiem pączków i dwoma kubkami kawy.

— Dostawa cholesterolu — oznajmił z uśmiechem. — Pomyślałem, że przyda ci się coś do jedzenia.

— Dzięki, stary — mruknął Timothy. — Wchodź.

Odsunął się, żeby go wpuścić, a potem zaprowadził go do pokoju dziennego. Dzieciak spojrział na ekran telewizora.

— Oglądasz Nascar? My, Żydzi, nie rozumiemy wyścigów. To zupełnie bez sensu jeździć w kółko.

— Zgadzam się z tobą — odparł Timothy, po czym wziął pilota i ściszył telewizor.

Na ekranie fani z Południa — chłopcy w baseballówkach z prostymi

daszkami i mężczyźni z puszkami piwa w dłoni — wiwatowali w milczeniu.

Jay położył pudełko z pączkami na stoliku do kawy. Timothy wskazał mu sofę, ale Dzieciak pokręcił głową.

— Nie mogę zostać. Wpadłem tylko zobaczyć, czy czegoś nie potrzebujesz.

— Usiądź na chwilę — powiedział Timothy.

Uświadomił sobie, że nigdy wcześniej nie zapraszał Dzieciaka do domu. Wydawało mu się, że pokazywanie innym swojego prywatnego świata — pokoi, po których chodził w piżamie, ubikacji, w której załatwiał się przed wyjściem do pracy — jest nie na miejscu. Był to także pewien rodzaj słabości. Poza tym mieszanie życia zawodowego i domowego niosło ze sobą różne niebezpieczeństwa. A gdyby Dzieciak przypadkiem powiedział coś o Tricii przy Katherine?

— Brakuje nam ciebie w firmie — oświadczył Dzieciak. — Nie mogę uwierzyć, że coś takiego mogło się zdarzyć. A Tricia... — Pokręcił głową. — Jest oczywiście załamana — dodał i rzucił Timothy'emu ukradkowe spojrzenie.

Oczywiście? Co to miało znaczyć? — zastanawiał się Timothy. Może chłopak chciał zobaczyć, jak zareaguje. Może liczył na to, że zdradzi jakieś szczegóły na temat wczorajszego wieczoru w BBC po tym, jak ich zostawił. Co Tricia mu powiedziała? Czy wyjawiała mu, że Timothy pojechał do jej mieszkania?

— Słyszałem o wczorajszym wieczorze — dodał Dzieciak.

Timothy nie uwierzył mu. Chłopak był zbyt ciekawy, za bardzo chciał wy badać, co się wydarzyło. Jeśli Tricia mu o tym opowiedziała, pewnie były to same ogólniki. Puszczalskie kobiety nie odtrącają nikogo, pomyślał. Niech nawet ostatnia ofiara życiowa myśli, że ma szansę.

— No cóż... — mruknął.

Otworzył pudełko i wyjął pączek z polewą z syropu klonowego.

— Dobry wybór — stwierdził. — Klonowe to moje ulubione. — Ugryzł kęs i wierzchem dłoni otarł usta. — Jak się dzisiaj mają nasi japońscy przyjaciele?

Dzieciak pokręcił głową.

— Niestety, jen znowu poszedł w górę. Teraz jest na siedemdziesięciu pięciu, jak poprzednio. To kasuje wszystkie nasze zyski. No i znowu dzwonił Pinky Dewer. Mówił, że rozmawiał z tobą. Chce wycofać wszystkie pieniądze, pozostawiając tylko sto tysięcy. Co mam zrobić?

— Nic. Zupełnie nic — odparł Timothy i uśmiechnął się. Nawet teraz, kiedy jego żona mogła nie żyć, kiedy jego kariera wisiała na włosku, a cały jego świat mógł lec w gruzach, potrafił okazać pewność siebie. Nigdy nie wolno zdradzać słabości. — Nic nie zmieniamy — oświadczył. — Zatrzymamy te pieniądze i zostawimy je na krótkiej pozycji jena. Pieprzyć Pinky'ego Dewera, pieprzyć Japończyków i pieprzyć jena.

Jay pokiwał głową, ale Timothy zauważył jego lekko zmrużone oczy i cień niepewności na twarzy. Po raz pierwszy Dzieciak wątpił w jego słowa. Kto by go za to winił, pomyślał, patrząc na bezgłośny wyścig, a potem na swoją rozchełstaną koszulę i wymięte spodnie.



Dzień dobiegał końca.

Neiderhoffer zadzwonił po południu o wpół do szóstej, żeby powiedzieć Timothy'emu, że nie ma żadnych wiadomości i że nie znaleziono samochodu Katherine. Obiecał mu, że policja z Big Sur wznowi poszukiwania rankiem. Kazał mu zachować spokój, nie tracić nadziei i przespać się trochę.

Timothy posłuchał tej rady. Zjadł miskę spaghetti, które zostało z zeszłego czwartku. Potem nalał sobie pełną szklankę dalmore, dwudziestoletniej whisky, i usiadł przed telewizorem. Po kilku godzinach

gapienia się w ekran nalał sobie jeszcze jedną szklanę i poszedł na górę.

Wybiła dwudziesta druga. Rozebrał się do slipów, położył na niepościelonym łóżku i zgasił lampkę na nocnym stoliku. Sierpniowy księżyc oświetlał sypialnię. Timothy'emu zakręciło się w głowie, a łóżko zakotłowało się, jakby unosiło się na falach oceanu. Odwrócił głowę, wciskając policzek w poduszkę, i popatrzył na stronę łóżka, na której zawsze spała Katherine. W półmroku wszystko pozbawione było ostrych konturów. Z początku widział tylko ciemne wgłębienie w łóżku, ale kiedy ciemność zgęstniała, mógł sobie wyobrazić, że ktoś tam leży. Mógł sobie wyobrazić śpiącą Katherine leżącą w ciemności z ręką na czole i otwartymi ustami. Wyciągnął rękę ku ukrytemu w mroku kształtowi, ale natrafił tylko na chłodną pościel.

Co ja najlepszego zrobiłem? — pomyślał. Co ja zrobiłem? W końcu jednak dalmore ulitował się nad nim i zapadł w sen.

Kiedy się obudził, ogolił się, założył jasne spodnie i niebieską koszulę, po czym zszedł do kuchni. Na podwórzu było już widno. Słońce wspinało się po niebie, zapowiadając kolejny letni dzień, upalny, duszny i męczący.

Spróbował ponownie przygotować kawę. Tym razem zmienił proporcje, łyżka kawy na filiżankę wody, i włączył ekspres.

Zadzwoił dzwonek do drzwi. Był to detektyw Neiderhoffer.

— Żadnych wiadomości — oznajmił od progu.

Timothy zaprosił go do kuchni.

— Właśnie szykuję kawę.

— Wspaniale — ucieszył się Neiderhoffer.

Usiadł przy kuchennym stole i wyjął z kieszeni marynarki notatnik. Przewrócił kilka kartek. Timothy usiadł naprzeciwko niego.

— Skontaktowałem się dziś rano z doktorem Charlesem z kliniki Palo Alto — zaczął detektyw. — Miał pan rację. Jest lekarzem pana żony.

Timothy kiwnął głową.

— Gdy żona dzwoniła do pana wczoraj, powiedziała, że jest śmiertelnie chora, czy tak?

— Tak.

— Doktor Charles twierdzi, że nie widział pana żony od roku. Ostatni raz była u niego... zobaczymy. — Przewrócił kolejną kartkę w notesie. — W czerwcu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego. Nic jej wtedy nie dolegało. — Spojrzał na Timothy'ego. — To dziwne, jeśli rzeczywiście była chora.

— Chyba tak — przyznał Timothy.

Próbował przypomnieć sobie, kiedy Katherine ostatni raz wspominała coś o swoim zdrowiu albo o wizycie u lekarza. Pamiętał, że było kilka wizyt u ginekologa i okresowe badania u okulisty. Nigdy nie mówiła, że jest poważnie chora.

— Oczywiście to jeszcze nic nie znaczy — dodał Neiderhoffer. — Może po prostu zmieniła lekarza i nie poinformowała pana o tym. Jak się domyślam, mieliście przed sobą sekrety, prawda?

Timothy patrzył na niego w milczeniu. Detektyw gładził swoje wąsiki i spoglądał na niego z przyjaznym uśmiechem. Czyżby go sprawdzał? Do czego zmierzał?

Z kieszeni Neiderhoffera dobiegł elektroniczny dzwonek, uwertura 1812 Czajkowskiego w komputerowym wykonaniu. Policjant wyjął telefon, spojrzął na wyświetlacz i podniósł palec, jakby chciał powiedzieć: „Na ten telefon czekaliśmy”.

Otworzył komórkę i rzucił do mikrofonu:

— Neiderhoffer.

Przez chwilę słuchał rozmówcy na drugim końcu linii i kąski jego ust się napięły. Kiedy zamknął oczy, Timothy poczuł, jak zaciska mu się żołądek.

— Dobrze — powiedział w końcu detektyw. — Właśnie u niego jestem. — Kiwnął głową i dodał: — Jasne. Oczywiście.

Zamknął telefon i odłożył go na stół.

Dzwonił sierżant Billings z posterunku w Big Sur — oświadczył.

— Niestety, mam złe wieści, panie van Bender. Znaleźli lexusa pańskiej żony. Stał przy Mule Canyon, niedaleko Wells. Był zaparkowany na występie skalnym nad oceanem. Dokładnie tak, jak pan to wczoraj opisał. — Pogłodził wąsy. — Na klifie znaleziono kobiece ubranie, starannie złożone w kostkę. Pasuje do opisu ubrania pana żony. Musiała się rozebrać, zanim... — nie dokończył.

— Zanim co?

Neiderhoffer zignorował to pytanie i powiedział:

— Na skałach poniżej klifu były ślady krwi. Oczywiście przeprowadzimy badania. Musimy się upewnić, czy to krew pańskiej żony.

Timothy patrzył na ogród, ponad kępami trawy i poskręcanymi pniami drzew morelowych. Słońce świeciło jasno, na niebie nie było ani jednej chmurki.

— Panie van Bender, nie znaleziono ciała. Możliwe, że nigdy nie uda się go odnaleźć. Jeśli żona skoczyła w czasie odpływu, prąd mógł wynieść ją na ocean. Oczywiście będziemy szukali, już powiadomiliśmy straż przybrzeżną. — Przerwał, czekając na reakcję Timothy'ego.

— Panie van Bender?

Timothy zamknął oczy.

— Tak? — wymamrotał.

— Dopóki nie znajdziemy ciała, nie możemy uznać tego za samobójstwo. Do tego momentu musimy prowadzić dochodzenie w sprawie zaginięcia. Ale będę z panem szczerzy: szanse na to, że pańska żona żyje, są raczej niewielkie.

Timothy położył ramiona na stole i oparł na nich głowę. Chciał się roztopić w ciemności rękawów koszuli i panującej wokół ciszy. Co ja zrobiłem? — pomyślał. Wszystko zrujnowałem. Ale dlaczego nie czuję smutku, tylko użalam się nad sobą? Co ze mną jest nie tak?

14

Palo Alto Daily News, 19 sierpnia 1999 roku

Zaginienie mieszkanki

Palo Alto — prawdopodobne samobójstwo

Policja Palo Alto poinformowała nas o zaginięciu Katherine van Bender, zamieszkałej przy Waverly Drive w Palo Alto. Samochód pani van Bender został znaleziony w Wells, nieopodal Big Sur, sto pięćdziesiąt kilometrów od jej domu. Mimo że nie odnaleziono ciała, policja sądzi, że było to samobójstwo. Jak poinformował nas detektyw Alexander Neiderhoffer, pani van Bender cierpiała na depresję. Znaleziono także ślady pozwalające przypuszczać, że skoczyła do morza ze skały, przy której zostawiła samochód. Straż przybrzeżna pomaga policji w poszukiwaniu zwłok, ale jak dotąd bez efektu.

Katherine van Bender miała 43 lata. Pozostawiła męża, Timothy'ego van Bendera, który jest właścicielem Osiris Capital Management w Palo Alto, i matkę, Faith Sutter, lat

66, zamieszkałą w Cambridge Massachusetts. Rodzina zamówiła mszę na sobotę, na godzinę jedenastą, w Alta Mesa Memorial Park na Arestradero Drive, w Palo Alto. Zamiast kwiatów krewni proszą o przekazywanie datków na Szpital Dziecięcy Lucille Packard w imieniu Katherine van Bender.

Faith Sutter przyleciała do San Francisco w czwartek rano. Timothy czekał na nią na dole przy podajniku bagaży.

Pojawiła się wraz z tłumem pasażerów, między biznesmenem ubranym w garnitur od Armaniego, który jedną ręką poprawiał krawat, a drugą spryskiwał usta odświeżaczem w aerozolu, oraz sikhem w niebieskim turbanie. Timothy podszedł do niej i przytulił ją.

— Tak mi przykro, Faith.

Rozpłakała mu się na ramieniu.

Odsunęła się od niego i spojrzała mu w oczy. Była przystojną kobietą o ufarbowanych na blond włosach, niebieskich oczach i cienkim orlim nosie — takim samym jak nos Katherine. Przez dłuższą chwilę patrzyła na Timothy'ego, najwyraźniej zamierzając coś powiedzieć, ale powstrzymała się. Pokręciła głową i znowu się do niego przytuliła. Stali w objęciach pośrodku sali odpraw, a inni pasażerowie mijali ich pośpiesznie zajęci własnymi sprawami.



Jazda do domu zabrała im godzinę i piętnaście minut i po drodze Timothy odkrył, że Faith go nienawidzi.

Nigdy wcześniej tego nie zauważył. Spotykali się dosyć rzadko, dwa razy do roku, na Boże Narodzenie i w czasie wakacji. Katherine i Timothy często zapraszali ją do siebie i byli nawet gotowi pokryć koszty podróży, ale Faith pracowała jako nauczycielka w liceum w Cambridge, co uniemożliwiało jej wyjazd w czasie roku szkolnego. Natomiast lato wołała spędzać we własnym domu, doglądając pomidorów w ogródku.

Kiedy się spotykali, traktowała Timothy'ego życzliwie, choć nieco chłodno. Timothy również zachowywał pewien dystans, na pozór po to, żeby Katherine mogła spędzić więcej czasu z matką. Z biegiem lat Faith stawała mu się coraz bardziej obca. Podejrzewał, że Katherine powiedziała matce, jak bardzo jest nieszczęśliwa, i właśnie jego obarczyła za to winą.

Gdy dojechali na miejsce, pomógł Faith wysiąść z samochodu i poprowadził ją ścieżką do domu. Przed schodkami spróbował wziąć od niej walizkę.

— Pomogę ci — zaofiarował się.

— Sama wniosę — warknęła. — Wystarczy to, co do tej pory zrobiłeś.

Timothy cofnął się. Nie spodziewał się takiej wrogości.

— Faith... o co chodzi? — zapytał.

— Katherine zwierzała mi się — odparła. — Wiem wszystko na twój temat.

Co takiego Katherine jej powiedziała?

— Faith, kochałem twoją córkę — powiedział po chwili. — Była moją żoną i kochałem ją bardziej niż kogokolwiek na świecie, bez względu na to, co sądzisz.

Potrząsnęła głową.

— Zawsze potrafiliście ładnie mówić. Ale liczy się to, co masz w

sercu. — Podniosła walizkę, odwróciła się i weszła na schody. Na trzecim stopniu zatrzymała się i obejrzała — Każdy dostaje to, na co zasłużył. Zapamiętaj moje słowa.



Dopóki nie znaleziono ciała, policja nie mogła wydać świadectwa zgonu, nawet jeśli podejrzewano samobójstwo. Jednak, jak delikatnie zasugerował Neiderhoffer, zwłoki mogły nigdy nie zostać odnalezione — w Big Sur były bardzo silne prądy. Dlatego, mimo braku podstaw do uznania Katherine za zmarłą, rodzina ma prawo do pożegnalnej ceremonii.

Ann Beatty, przyjaciółka Katherine mieszkająca na tej samej ulicy, podjęła się zorganizowania nabożeństwa żałobnego. Timothy dał jej numery telefonów i adresy przyjaciół i znajomych, o których sobie przypomniał, a ona obiecała wszystkim się zająć. Chęć udziału w uroczystości zgłosiło ponad sto osób i Timothy był zdumiony liczbą osób, którzy pojawili się na nabożeństwie.

Ceremonia odbyła się w Alta Mesa Memoriał, na ładnym cmentarzu w pobliżu Foothill Park. Zebrali się w kaplicy, której wystrój nie nawiązywał do żadnego wyznania. Ławki były zwrócone w stronę końca sali, gdzie Ann ustawiła na sztaludze duże zdjęcie Katherine i dwa duże bukiety (białe gladiole, stokrotki i róże) po jego obu stronach. Na fotografii, bardzo ziarnistej z powodu dużego powiększenia, Katherine uśmiechała się, mrużąc oczy przed słońcem. Timothy pamiętał, jak robił to zdjęcie dziesięć lat temu w czasie wakacji na wyspach San Juan. Były to szczęśliwe czasy. Płynęli wtedy promem z Bellingham na wyspę Orcas. Katherine, młodsza o dziesięć lat, stała oparta łokciami o metalową balustradę, spoglądając na morze. W jej oczach nie było jeszcze smutku i wyglądała jak duch z zaświatów, zatrzymany w czasie.

Podczas ceremonii żałobnej Timothy siedział sam w pierwszej

ławce. Przez witraże wpadały promienie słoneczne, przenikając przez abstrakcyjne kształty przypominające ptaki lub kwiaty. Pierwszy zabrał głos wielebny Clark, proboszcz kościoła pod wezwaniem Wszystkich Świętych. Przedstawił Katherine jako pełną życia kobietę, kochającą żonę i człowieka wielkiej wiary. Powiedział, że pozostanie w pamięci wszystkich, którzy ją znali, i stwierdził, że członkowie kościoła i przyjaciele rodziny wesprą Timothy'ego w tak trudnej dla niego chwili. Na koniec dodał:

— Z pewnością Timothy van Bender chciałby teraz powiedzieć kilka słów o swojej żonie.

Timothy wstał. Nie przygotował żadnej mowy, ale wiedział, że jak zawsze, słowa same się znajdują. Skinął wszystkim głową i podszedł do stojącej wśród kwiatów sztalugi ze zdjęciem Katherine.

— Przede wszystkim chciałbym podziękować wszystkim za przybycie — zaczął cicho. — Fakt, że moja żona odeszła, jeszcze do mnie nie dotarł. Cały czas mam uczucie, że to tylko sen i zaraz się z niego przebudzę. Ale pewnie tak się nie stanie.

Rozejrzał się po sali. Faith Sutter, z zaciśniętymi ustami, w kapeluszu z szerokim rondem i koronkową woalką opuszczoną na twarz, siedziała naprzeciw niego. Obok niej zajęła miejsce Ann Beatty w czarnej garsonce. W następnym rzędzie rozpoznał członków Circus Club: Mike'a Stantona z młodą żoną numer dwa oraz Greenhillów. Rozpoznał także swojego prawnika, Franka Arnheima, pulchnego łysego mężczyznę o błyszczącej jajowatej głowie i podwójnym podbródku. W ostatnim rzędzie, spośród osób, których nie znał, wyłowił jedną znajomą twarz: detektyw Neiderhoffer. Policjant miał na sobie ciemny garnitur z chusteczką w butonierce. Obok niego siedział Dzieciak i Tricia Fountain. Dziewczyna miała na sobie obcisłą czarną

sukienkę. Skinęła mu głową, kiedy zobaczyła, że na nią patrzy. Co to miało oznaczać? Przyznanie się do współudziału?

— Bardzo kochałem moją żonę — kontynuował. — Byliśmy ze sobą przez dwadzieścia lat. To szmat czasu. Już teraz za nią tęsknię. Jest mi bardzo smutno, że odeszła. — Odwrócił się i powiedział do zdjęcia: — Kocham cię, Katherine. Dałbym wszystko, żeby cię odzyskać.

Jakaś kobieta z publiczności zatkała. Timothy nie chciał rozglądać się wśród zebranych i sprawdzać, kto to. Czuł, że za chwilę sam się rozklei, więc postanowił skończyć mowę. Podniósł rękę, kiwnął głową, przełknął ślinę i wrócił na swoje miejsce. Zanim usiadł, rzucił spojrzenie na ostatni rząd. Neiderhoffer patrzył na niego. Było to życzliwe spojrzenie, twarz detektywa była pełna współczucia, ale Timothy poczuł się trochę niewyraźnie. Spuścił szybko wzrok, zajął miejsce w ławce i przez resztę ceremonii unikał spoglądania na tylny rząd.



Po ceremonii odprowadziło go do domu wielu ludzi: Faith Sutter, pełna smutku i nienawiści; Ann Beatty, ich sąsiadka; wielebny Clark, który ukradkiem spoglądał na zegarek, zastanawiając się, w jakim momencie może się ulotnić, żeby wyglądało to przyzwoicie; był także Dzieciak, który miał taką minę, jakby śmierć była dla niego szokującym doświadczeniem.

Cały podjazd i ulica zastawione były samochodami, a dom wypełnił się głosami i krzątaniną kobiet, przygotowujących jedzenie i odpędzających ciszę śmierci. Przyjmując kondolencje i wymieniając uściśki dłoni, Timothy dopiero po jakimś czasie zauważył, że okno w gabinecie jest otwarte, a wykonane z drewnianych listewek żaluzje kołyszają się na wietrze.

Kiedy podszedł do okna, spostrzegł, że moskitiera jest przekrzywiona, jakby ktoś zerwał ją i umocował z powrotem w pośpiechu. Wydało mu się to dziwne, ponieważ nigdy nie zostawiał otwartych okien.

Jednak poza tym wszystko w domu wyglądało normalnie. Niczego nie brakowało. Nigdzie nie znalazł śladów butów ani wyłamanych drzwi szafek, więc zrzucił to na karb swojego roztargnienia, z jakim rano wychodził z domu.

16

Jego życie wróciło do normy — o ile życie po tym, jak najbliższa osoba skacze do morza ze skały, mogło być dalej normalne.

Po pięciu dniach spędzonych w domu na oglądaniu telewizji i łykaniu valium wrócił do pracy. Dzieciak dobrze się spisał, kierując firmą pod jego nieobecność, informując inwestorów o tragedii, jaka spotkała jego szefa, i odpowiadając na ich pytania. Kondolencje, choć szczere, były pełne wątpliwości: czy ta tragedia może wpłynąć negatywnie na Timothy'ego van Bendera i fundusz Osiris? Czy oznacza to zmianę strategii firmy? Czy zyski pozostaną niezmienione? Ci ludzie nie dorobili się majątków, pozwalając sobie na sentymenty. Chłopak zapewnił ich, że nieobecność Timothy'ego jest chwilowa i że po powrocie nadal będzie zarabiał dla nich pieniądze. To im wystarczyło. Dzieciak nikomu nie zdradził, że z Timothym czy bez niego, firmę i tak czekał rychły upadek. Jen, który spadał od czasu, gdy Osiris ustawił krótką pozycję, w dniu śmierci Katherine gwałtownie zmienił kurs i z alarmującą szybkością zaczął iść w górę.

Trzy miliony zysku, które Timothy zaliczył już na poczet poprzednich strat, zmalały do dwóch milionów, a później do miliona. W dniu

jego powrotu do firmy cała pozycja była na czerwonym i straty wzrosły z dwudziestu czterech do dwudziestu pięciu milionów.

Dzieciak wyjaśnił mu to wszystko w windzie w środę rano, kiedy Timothy pojawił się w biurze. Po pierwsze, jen znowu poszedł w górę — powyżej siedemdziesięciu pięciu. Po drugie, wszystkie inne fundusze, które obstawiały krótką pozycję na jena, wycofywały się z transakcji, zwiększając tym samym tempo wzrastania jena. Powiedział też, że kilka razy dzwonił Pinky Dewer, domagając się zwrotu swoich pieniędzy. A potem dodał:

— Witaj w firmie. Dobrze wyglądasz. Jak samopoczucie?

— Do dupy — odparł Timothy.

Otworzył szklane drzwi prowadzące do biura Osirisa. W sekretariacie siedziała Tricia. Timothy nie rozmawiał z nią od tamtej nocy, kiedy uciekł z jej mieszkania. Od nocy, podczas której zniknęła Katherine.

— Cześć, Timothy — powiedziała. — Miło cię widzieć.

— Dzięki, Tricia — mruknął i skinął jej głową. — Ciebie też.

Tuż za nim stał Dzieciak, gapiąc się na nich i próbując się zorientować, co to może znaczyć. Ale nawet gdyby go tu nie było, Timothy nie wiedziałby, co powiedzieć. Chyba nie było potrzeby wspominać, że ich romans — ich niedoszły romans — jest historią. Niespodziewane owdowienie odbierało urok zdradzie.

— Dzięki, że wspierałaś mnie na duchu — powiedział w końcu.

— Wiesz, że zawsze jestem z tobą — odparła.

Timothy popatrzył na Jaya.

— Wpadnij do mnie, musimy porozmawiać.



Po jakiejś godzinie zadzwonił Pinky Dewer. Tricia powiadomiła o tym Timothy'ego przez interkom. Zgodził się odebrać telefon, mając nadzieję, że wiadomość o śmierci Katherine ułagodzi Pinky'ego, ale się pomylił.

— Timothy, stary druhu — powiedział Pinky. — Wiem, że spotkała cię okropna tragedia. Przykro mi z tego powodu. Dostałeś moje kwiaty?

— Hmm... — mruknął Timothy. — Nie jestem pewien. Jak wyglądały?

Przysłano mu wiele kwiatów, ale nie pamiętał od kogo. Pinky potrafił jednak wysłać wyimaginowany bukiet i oczekiwać podziękowań.

— Były bardzo ozdobne — odparł Pinky. — Bardzo kwieciste. — Odchrząknął. — Timothy, dzwonię do ciebie, ponieważ do tej pory nie przelałeś na moje konto pieniędzy, o które prosiłem. To robi się dosyć poważne.

Timothy mrugnął do Dzieciaka, który siedział naprzeciw niego, i powiedział:

— Jay, przecież poleciłem ci zająć się tym przelewem dla pana Dewera. Miałeś zostawić sto tysięcy, a resztę przelać na jego konto.

Dzieciak odparł teatralnym szeptem:

— Przepraszam, panie van Bender. To moja wina. Przy całym tym zamieszaniu z powodu tej tragedii zupełnie wyleciało mi to z głowy.

— Bardzo mnie rozczarowałaś, Jay — wycodził Timothy, jednocześnie udając, że masturbuje się pod biurkiem. — Moje osobiste życie nie powinno mieć wpływu na twoją pracę.

— Tak, panie van Bender. Najmocniej przepraszam.

— No dobra — powiedział Timothy, po czym wstał i podeszedł do drzwi. — Wynoś się stąd.

Otworzył drzwi i zamknął je z hukiem. Dzieciak nadal siedział na krześle.

— Pinky? — zapytał Timothy. — Jesteś tam?

— Tak.

— Bardzo cię przepraszam. Mój asystent zachował się jak dupek. Dziś jeszcze przeleję ci te pieniądze. Jeśli się pospieszę, może uda mi się załatwić to przedpołudniowym przelewem.

Ale nie będę się spieszył, dodał w myślach.

— Będę ci wdzięczny — odparł Pinky.

— Dziękuję za cierpliwość.

— Nie ma sprawy.

Timothy wrócił do biurka, jednak kiedy chciał nacisnąć klawisz kończący rozmowę, w głośniku znowu rozległ się głos Pinky'ego.

— Timothy?

— Tak?

— Przykro mi z powodu Katherine. Była wspaniałą kobietą. Wyobrażam sobie, jak musisz za nią tęsknić. Ciężko jest stracić swoją drugą połowę, prawda?

Timothy'emu zrobiło się głupio. Przed chwilą udawał, że się masturbuje, a teraz Pinky składa mu kondolencje z powodu utraty żony.

— Nie jest mi łatwo — przyznał.

— Zapomnisz — pocieszył go Pinky. — Ale nie od razu. Potrzeba na to czasu. Jak długo byliście razem? Dwadzieścia lat? Jeszcze nie tak dawno ludzie nie żyli tak długo. Będziesz potrzebował trochę czasu, ale wkrótce będzie ci łatwiej. Pewnego pięknego dnia obudzisz się i będziesz miał wrażenie, że zdarzyło ci się to w innym życiu. Cały ból, wszystkie wspomnienia, wszystko to zblaknie.

— Dziękuję, Pinky — mruknął Timothy i się rozłączył.

Najtrudniejsze były noce.

W ciągu dnia praca odwracała jego uwagę. Zabijał czas, gapiąc się na wykres jena lub poklepując po plecach innych brokerów w czasie lunchu w Il Fornaio, rozmawiając przez telefon z klientami czy gadając z Dzieciakiem, a czasami flirtując z Tricią. Nawet porażka w zagrywce z jenem nie wydawała się tak przykra, bo zamartwianie się o przyszłość firmy nie pozwalało mu rozmyślać o Katherine.

Jednak w nocy, sam w swoim wielkim domu, nie miał nic poza ciszą. Kiedy zachodziło słońce i robiło się ciemno, zapalał wszystkie światła. Ale było to bezcelowe. Mimo zapalonych świateł, mimo białych ścian i błyszczącej terakoty dom wciąż wydawał mu się mroczny. Jakby noc napierała na niego, próbując połknąć go żywcem. Jakby był jedynym jasnym punkcikiem na oceanie ciemności.

Pomagało za to picie. Zawsze wypijał lampkę wina do obiadu i szklaneczkę whisky, kiedy siedział obok Katherine, oglądając telewizję. Teraz jednak, kiedy został sam i nie miał we do roboty poza myśleniem o żonie, zaczął pić naprawdę ostro. Zanim udało mu się zasnąć, potrafił opróżnić butelkę wina lub ćwierć butelki whisky, siedząc

w kuchni i jedząc spaghetti. Alkohol potrafił go znieczulić; kiedy pił, przyprawiający go o mdłości ból, poczucie straszliwej straty i złość na samego siebie stawały się tylko zwykłą melancholią.

Przez pierwsze dziewięć dni jakoś się trzymał. Dziesiątego dnia, gdy znowu wypił zdecydowanie za dużo (butelkę caberneta z piwniczki i trzy duże szklanki whisky), postanowił (o ile w ogóle można cokolwiek postanowić, ledwo trzymając się na nogach), że przeczyta pamiętniki żony.

Potykając się, wspiał się po schodach do jej sypialni. Katherine miała własną garderobę, znacznie większą od jego szafy. Nie zaglądał tu od dnia jej śmierci. Kiedy otworzył drzwi, poczuł znajomą słodką mieszankę aromatu jabłek i miodu. Przez chwilę miał wrażenie, że jego żona jest tam, ukryta za ubraniami, i za chwilę wyjdzie, aby pokazać mu się w nowym stroju. Wszedł i zamknął za sobą drzwi, żeby zachować ten zapach przez kilka dni, uniemożliwić mu rozejście się po całym mieszkaniu, zapobiec całkowitemu odejściu Katherine.

Równo ułożona sterta oprawionych w skórę pamiętników o pozłaczanych brzegach kartek leżała na górnej półce, pomiędzy swetrami i torebkami. Leżały na wierzchu, chronione jedynie groźbą jej złości. Wziął pierwszy z brzegu i usiadł na pokrytej wykładziną podłodze. Nie zauważył, że siada na bucie Katherine, i jego obcas wbił mu się w udo. Odsunął go w stronę innych butów i usłyszał, jak ich obcasy stukają niczym klocki domina. Siedząc na podłodze, czuł zapach skóry i pasty, zapach żony rozbierającej się po powrocie do domu, i zobaczył samego siebie odpinającego klamerkę jej buta, całującego ją w kostkę, łydkę czy w udo.

Czego szukał w tych dziennikach? Nie miał pojęcia. Kilka lat temu, kiedy zebrał się na odwagę, żeby do nich zerknąć, miażdżąca

pogarda i zimna nienawiść Katherine zaskoczyły go i zraniły. Teraz było mu obojętne, co w nich znajdzie. Chciał jedynie na chwilę odzyskać żonę, popatrzeć na jej staranne pismo, zajrzeć w jej myśli, przeżyć z nią jeszcze jeden dzień — choćby widziany tylko jej oczyma — nawet gdyby musiał zobaczyć siebie jako chama, głupca i ostatniego drania.

Zaczął od końca, kartkując puste strony. Biała przestrzeń oznaczała dni smutku, samotnego błądzenia po domu, wieczornego znieczulania się alkoholem i spania obok pustki towarzyszącej mu w łóżku. W połowie notesu natrafił na niebieski atrament, którego Katherine zawsze używała. Ciasno upakowane litery zbijały się w tłum słów. Pośli- nił kciuk i zaczął szukać ostatniego wpisu do dziennika.

Czwartek, 12 sierpnia, 1999 roku

Śniadanie: tost z dżemem, grejpfrut.

Timothy pojechał do pracy. Pewnie zapomniał. Jutro je- dziemy do Big Sur. Dwudziesta rocznica w Ventana Inn! Dwu- dziesta! Czy będzie o niej pamiętał? I tak go Kocham. Czasami jest beznadziejny, ale i tak go Kocham. To dobry człowiek, a miłość to akceptacja, więc go akceptuję. Może znajdziemy tam jakąś rzeźbę na stolik w przedpokoju. Zobaczymy.

Rozmawiałam z mamą. Znowu rozgadała się o swoich po- midorach. Nie mogę się doczekać, aż zacznie się zima i wymro- zi te nieszczęsne pomidory, żebyśmy mogły wreszcie poroz- mawiać o czymś innym. Czy nie jestem okropna? Jestem.

Właśnie wrócił Timothy.

Budzisz się pewnego dnia, a tu minęło dwadzieścia lat. Nie- samowite.

Timothy uśmiechnął się. Przypomniawszy sobie, jak pisała te słowa późnym popołudniem przed ich wyjazdem do Big Sur. Było to dwa tygodnie temu, ale miał wrażenie, że minęła cała wieczność. Co takiego powiedział Pinky? „Budzisz się pewnego dnia i masz wrażenie, że zdarzyło się to w innym życiu”. Może właśnie o to chodziło, może to był ten dzień?

Zaczął kartkować dziennik do tyłu. Cofnął się przez sierpień i lipiec, potem czerwiec, wyobrażając sobie, jak zmieniają się kalifornijskie pory roku, jak wzgórza pokryte spalonymi słońcem trawami ustępują miejsca soczystej zieleni wiosny, a potem w marcu i kwietniu nadchodzi pora deszczowa, dni stalowych chmur, ulew i przejmującego wiatru.

Przerzucając kartki, zatrzymywał się, żeby przeczytać jakiś akapit, a potem dalej kartkował dziennik. Szukał jakiejś wzmianki o dręczącym Katherine smutku, jakiegoś wytłumaczenia jej samobójstwa, ale niczego takiego nie znalazł. Tylko tosty z pszenicznej mąki z dżemem, dzień po dniu. Nie rozumiał, po co zapisywała takie rzeczy. To i obiady z Ann Beatty, tenis i konna jazda w Circus Club. Prezenty dla przyjaciół oraz te, które sama otrzymywała. Zakupy w supermarkecie. Obiad w Spago.

Co jakiś czas szpila: jaki jej mąż jest gruboskórny i samolubny, jak flirtuje z kelnerką w Tamarine (kiedy to zauważyła? — zastanawiał się Timothy). Kryjące się między wierszami podejrzenie, że nie jest zbyt bystry, że wszystko zawdzięcza swojemu pochodzeniu („Dzięki, Gabrielu”, napisała złośliwie w wymyślnym liście do swojego teścia, kiedy Timothy kupił jej nowy serwis obiadowy). Jednak pomiędzy tymi wybuchami gniewu i złości odnajdywał Katherine, którą pamiętał — wspaniałą kobietę i zgodną żonę, która potrafiła mu wszystko wybaczyć. Żonę, która umiała dostrzec w nim dobro („Myśle, że Timothy byłby świetnym ojcem”, napisała po wieczorze spędzonym z Weaversami i ich dziećmi) i która przypisywała odnoszone przez niego sukcesy jego ciepłemu uśmiechowi, a nie genetycznej loterii

(„ma dużo wdzięku i potrafi zjednywać sobie ludzi” — skomentowała jego toast przy obiedzie z okazji Dnia Dziękczynienia).

Jednak nigdzie nie natrafił na wzmiankę o smutku i rozpacz, która doprowadziła ją do samobójstwa. Nie było też ani słowa o żadnej chorobie, nawet o zwykłym przeziębieniu lub bólu gardła. Nic o wizytach u lekarza. Chociaż wiedziała, że umiera, nie sprawiała wrażenia kobiety, która się tym przejmuje. Mimo że wypił wcześniej całą butelkę wina i sporo whisky, wydało mu się to dziwne.

Zamknął dziennik i spróbował wstać, ale stracił równowagę i przewrócił się na rzędy butów Katherine. Spróbował ponownie. Czuł się bardzo zmęczony i jednocześnie dziwnie oszołomiony. Mimo dziwactwa niektórych wpisów do dziennika był zadowolony, że go przeczytał. Nie było to wcale takie straszne, jak się spodziewał. Jego żona kochała go. Czytanie jej drobnego pisma przypominało czytanie zaklęć, które na chwilę przywracały ją do życia. Czuł, że jest mu bardzo bliska — bliższa nawet niż wtedy, gdy byli razem. Było to tak, jakby kochał się z nią, a potem przez kilka godzin leżeli obok siebie w ciemności, rozmawiając o wszystkim, co ich nurtowało.

Miał ochotę odłożyć przekartkowany dziennik i wziąć następny, ale powstrzymał się. Czy naprawdę chciał zepsuć taką piękną chwilę, taki uroczy wieczór z żoną? Co będzie, jeśli inny, wcześniejszy pamiętnik okaże się dla niego mniej łaskawy? Może lepiej dać sobie spokój już teraz, kiedy przepelniała go miłość do niej i czuł, jak bardzo go kochała. Po co to niszczyć? Było to najpiękniejsze pożegnanie i tak właśnie chciał zapamiętać Katherine.

Postanowił — była to decyzja z rodzaju tych, do jakich dochodzi się po pijaku, kiedy wierzy się w każde słowo — że nie zajrzy do pamiętników aż do kolejnej rocznicy ich ślubu. Schowa je na strychu, żeby go nie kusiły. Zamierzał pogrzebać je w ciemności, żeby zapewnić

Katherine prawdziwy pochówek, którego skok do morza ją pozbawił.

Zebrał wszystkie notatniki — lata przemyśleń, niepewności, szczęścia i nadziei — wszystko to zawarte w zapisanych drobnym maczkiem kartkach — i uniósł je w ramionach niczym śpiące dziecko. Wyszedł z sypialni, słysząc, jak jego buty skrzypią na podłodze, po czym podszedł do drzwi prowadzących na strych.

Otworzył je, zapalił światło i wszedł po schodach wyłożonych tanim brązowozielonym chodnikiem, wdychając wilgotne, stęchłe powietrze. Na strychu panował półmrok, rozpraszany tylko przez pojedynczą gołą żarówkę. Musiał się pochylić, żeby uniknąć rozbicia głowy o niskie belki spadzistego stropu. Schylony, minął kartony pełne książek w twardych oprawach, których Katherine nigdy nie rozpakowała po przeprowadzce z Nowego Jorku; dwa stare ekspresy do kawy, których nie wiadomo czemu nie wyrzucili, oraz stary monitor komputerowy z kablem owiniętym wokół ekranu. Przeszedł obok lakierowanych, ozdobnych koszyków, wieńców bożonarodzeniowych, płataniny lampek choinkowych i dotarł na koniec strychu. Przez wąskie okno, uszczelnione popękany kitem, wpadało światło księżyca. Wyjrzał na ulicę. Poniżej majaczyły ciemne zarysy drzewa morelowego, a dalej widać było sodowe lampy uliczne.

Przykucnął i położył dzienniki Katherine na podłodze. Prostując się, uderzył głową o strop. Cofnął się i spojrział na stertę czarnych tomików. Wróci do nich dokładnie za rok, w ich dwudziestą pierwszą rocznicę. Może będzie to ich sierpniowy rytuał: lampka wina i kilka godzin spędzonych z żoną, poznawanie jej najskrytszych myśli. Usiłował wyobrazić sobie te chwile, powtarzane każdego lata. Jednak teraz, stojąc na strychu z pochyloną głową i niemal dotykając stropu, nie wierzył, że znajdzie w sobie dosyć siły, żeby to powtórzyć.

Kiedy znowu spał samotnie w swoim ciemnym domu, po drugiej stronie globu w Tokio wstawało właśnie słońce, a jęń wciąż piął się do góry.

Było to absolutnie niezrozumiałe. Jeśli wszyscy uważali, że nie ma prawa rosnąć, powinien spadać. Timothy nie potrafił tego pojąć. Skoro każdy sądził, że powinien spadać, kto wobec tego kupował transakcje terminowe?

Dwudziestego siódmego sierpnia straty Osirisa wzrosły do dwudziestu siedmiu milionów. Jak powiedział Dzieciak, jeszcze kilka milionów i otrzymają wezwanie do uzupełnienia depozytu. Brokerzy, obawiając się, że zostaną z długami bez pokrycia, nie oglądając się na Timothy'ego zaczną wyprzedawać zobowiązania Osirisa — oczywiście po najmniej korzystnych cenach, co jeszcze bardziej powiększy straty.

Timothy zastanawiał się, jak to możliwe, że chociaż jego fundusz stracił jedną trzecią na wartości, że zaprzepaścił prawie trzydzieści milionów dolarów z pieniędzy inwestorów, bardziej przejmował się stu pięćdziesięcioma tysiącami, które zniknęły z banku kilka dni przed śmiercią Katherine. Było w tym coś podejrzanego. Zaczął myśleć o

nich następnego dnia po przeczytaniu pamiętnika żony. Pamiętał, że nie było w nim żadnej wzmianki o chorobie, lekarzu czy jakimkolwiek architekcie wewnątrz. Katherine poprosiła go o dwieście tysięcy na remont domu, ale pieniądze zniknęły. Żaden architekt nie zadzwonił do Timothy'ego, żeby je zwrócić. Żaden wykonawca nie przysłał listu z zapytaniem, kiedy ma zacząć pracę. Zniknęło sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów, a Katherine, która skrupulatnie zapisywała każdego zjedzonego grejpfruta, nawet nie zająknęła się na ten temat w swoich pamiętnikach.

Po przyjeździe do pracy Timothy zatelefonował do Franka Arnheima, swojego adwokata w Perkins Coie.

— Jak się trzymasz? — zapytał Frank.

— Bywało lepiej — przyznał Timothy.

W ciągu ostatniego tygodnia tyle razy zadawano mu to pytanie w takiej czy innej formie, że przygotował sobie standardową odpowiedź. Doceniał troskę znajomych, ale w głębi duszy wiedział, że nikt nie chce usłyszeć prawdy. Nikt nie chciał wiedzieć, że obwinia siebie o śmierć żony, że jest przybity i samotny, że upija się co noc, żeby móc zasnąć, i często płacze. Czuł jednak, że nie może zignorować tego pytania czy obrócić go w żart. Odpowiedź „Bywało lepiej” była lakonicznym przyznaniem, że bardzo cierpi, ale biznes to biznes, więc nie ma co tracić czasu na rzeczy, na które nie ma wpływu.

— Wiem, wiem — mruknął Frank. — Choć nawet nie potrafię sobie wyobrazić, co musisz czuć.

— Dziękuję — odparł Timothy. Teraz mógł już przejść do interesów. — Dzwonię, ponieważ potrzebuję twojej pomocy w ustaleniu odbiorcy pewnego przelewu.

— O co chodzi?

— Jakies dwa tygodnie temu przelałem sto pięćdziesiąt tysięcy na rachunek w Citibanku, dla firmy nazywającej się Armistice LLC — powiedział Timothy. — Chcę się dowiedzieć, kto jest właścicielem

tego rachunku i jak się z nim skontaktować. — Podał Frankowi numer rachunku bankowego, który otrzymał od Mike'a Kelly'ego z Union Bank. — Możesz się tym zająć?

— Musisz dać mi parę godzin — stwierdził Frank i po chwili dodał: — Może spotkamy się na lunchu?



Przez pierwsze dni w pracy Timothy'emu jakoś udawało się unikać rozmowy z Tricią. Ograniczał się do krótkiego „cześć”, kiedy wychodził z windy, i paru komplementów, gdy przynosiła mu rano kawę do gabinetu. Ona również starała się zachować dystans, jakby stając za blisko niego lub mówiąc zbyt wiele mogła przypomnieć mu o poniedziałkowym wieczorze, kiedy Katherine jeszcze żyła, i rozdrapać świeżą ranę.

Jednak tego popołudnia, gdy zostawiła kawę na jego biurku i odwróciła się, żeby wyjść, zatrzymała się w drzwiach.

— Martwię się o ciebie — powiedziała.

Timothy upił łyk kawy i spojrzął na nią. Miała na sobie obcisły sweterek w biało-czarne paski i bawełnianą spódniczkę, a jej włosy były skromnie upięte w kok. Swoje bibliotekarskie okulary zsunęła na koniec nosa i zupełnie nie przypominała kobiety, która tydzień temu usiadła na nim i powiedziała: „Chcę poczuć w sobie twojego kutasa”, a potem wsadziła mu język do ucha.

— Martwisz się?

Zamknęła drzwi.

— Wyglądasz na przybitego i samotnego.

— Bo jestem przybity. I samotny.

— Czuję się za to trochę odpowiedzialna.

Chciał powiedzieć, że się myli, że wcale nie jest za to tylko trochę odpowiedzialna. Jest całkowicie odpowiedzialna. To właśnie jej zaloty popchnęły Katherine do samobójstwa. Kusiła go, dobrze wiedząc, że jest żonaty.

— To nie twoja wina — odparł.

— Jeśli czujesz się samotny, co powiesz na moje towarzystwo? Mogłabym wpaść do ciebie i coś ci ugotować.

Wyobraził ją sobie w kuchni, stukającą garnkami, obierającą warzywa i duszącą mięso.

— To chyba nie jest dobry pomysł.

— Rozumiem. Jeszcze za wcześnie, prawda?

Timothy uświadomił sobie, że czeka na jakieś potwierdzenie — i że wciąż go podnieca. Może od śmierci żony minęło zbyt mało czasu, żeby zacząć romans, ale już niedługo będziesz gotów, wydawała się mówić.

Jak miał wyprowadzić ją z błędu? Jak dać jej do zrozumienia, że nigdy nie będą razem, że uważają za ograniczoną, wulgarną prostytutkę; owszem, bardzo seksowną, jednak nic poza tym. Była zwykłą tanią dziwką, która zbyt często używała słowa „zajebicie” i która pewnie była świetna w łóżku, ale oprócz tego nie miała nic do zaferowania takiemu mężczyźnie jak on.

— Za wcześnie — przyznał. Pokiwała głową.

— Zajebicie — powiedziała.

Miało to pewnie oznaczać, że cieszy się, iż Timothy dopuszcza taką możliwość. Wydało mu się to żałosne i potwierdziło jego najgorsze podejrzenia. Mała idiotka z LA.

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi i do środka wsunął głowę Frank Arnheim, prawnik Timothy'ego.

— Można?

— Cześć, Frank — przywitał go Timothy. Prawnik uśmiechnął się przepaszająco.

— Nie było nikogo w sekretariacie, więc pomyślałem... — nie do końca, gapiąc się na Tricie.

Popatrzyła na niego.

— Powinam już wrócić do siebie — stwierdziła.

— W porządku — mruknął Timothy.

Kiwnęła głową i precyzyjnie się obok Franka.

— Przepraszam — powiedziała.

Frank zapuścił żurawia do jej dekoltu, a potem jego wzrok podążył za jej pupą, kiedy szła korytarzem. W końcu zamknął drzwi.

— Boże, ale laska... — jęknął z podziwem. — Masz najbardziej zajebistą sekretarkę, jaką w życiu widziałem. A trochę się na tym znam. — Zasłonił usta dłońmi. — Ups... przepraszam. To było niestosowne.

— Nie, wszystko w porządku — uspokoił go Timothy. — Całkowicie się z tobą zgadzam. Ale nie jest w moim typie.

— Naprawdę? — ucieszył się Frank, jakby Timothy pozwolił mu poderwać Tricię. Zaraz jednak przypomniał sobie, po co przyszedł. — Mam informacje, o które prosisz. Dowiedziałem się paru ciekawych rzeczy. Chodź, opowiem ci wszystko w czasie lunchu.



Poszli do Il Fornaio po drugiej stronie University Avenue. Restauracja była pełna i prawie przy każdym stoliku siedziała niemal identyczna para: młody mężczyzna o rozgorączkowanych oczach i starszy, dobrze ubrany dżentelmen. Młodzi mężczyźni uśmiechali się, patrzyli w oczy swoich starszych towarzyszy i za wszelką cenę starali się im przypodobać. Gdyby to było w jakimkolwiek innym mieście na świecie, można byłoby pomyśleć, że to młodzi żigolacy ze swoimi podstarzałymi amantami. Ale w Palo Alto wszyscy wiedzieli, że chodzi o coś innego: byli to młodzi przedsiębiorcy, którzy próbowali oczarować potencjalnych inwestorów lub członków zarządu i nakłonić ich do zainwestowania pieniędzy w ich firmy lub zaoferowania im pracy.

Timothy i Frank usiedli w rogu sali, naprzeciwko dziedzińca. Frank otworzył aktówkę i wyjął z niej żółty notatnik.

— Poprosiłem moich dwóch współników, żeby sprawdzili Armistice LLC, tak jak prosiłeś. Myślałem, że to prosta sprawa, najwyżej godzina pracy.

— No i?

— Okazało się, że wcale nie taka prosta — odparł Frank i ugryzł kawałek chleba. — Nie zdziw się, kiedy dostaniesz rachunek.

— Twoje rachunki nigdy mnie nie dziwią — mruknął Timothy.

Frank spojrział na niego i wzruszył ramionami.

— Oto, czego się dowiedziałem: Armistice LLC rzeczywiście jest właścicielem rachunku w Citibanku, który mi podałeś. To korporacja z Delaware, jednak tak naprawę jej nie ma: nie ma kapitału, dochodów ani adresu, nie płaci też podatków. Nie jest to wcale takie niezwykle, ale... — Zajrzał do swoich notatek. — Armistice LLC jest własnością firmy Chelsea Partners. To kolejna korporacja, tym razem zarejestrowana w Nevadzie. Jest własnością firmy Keystone Group, zarejestrowanej na Bahamach. Nadażasz? — Nie czekając na odpowiedź Timothy'ego, mówił dalej: — Keystone Group to tylko przykrywka, a wszystkie tropy prowadzą do Nassau, raju podatkowego. Kiedy jednak tam zadzwoniłem, poinformowano mnie, że nic nie wiedzą o Keystone Group... zresztą nawet gdyby cokolwiek wiedzieli, i tak pewnie nic by mi nie powiedzieli. Nawiasem mówiąc, w tym momencie większość prawników by się poddała. Stwierdziliby, że nic więcej nie da się zrobić, bo ślad urywa się na Keystone Group. No i wręczyliby ci rachunek.

— Ale ty się nie poddałeś?

— Pewnie, że nie. — Frank przewrócił stronę w swoim notatniku.

— Sprawdziliśmy tę firmę. Znaleźliśmy odnośniki do Keystone Group

w dokumentach rejestracyjnych panamskiej firmy o nazwie Stillwater Group. Stillwater i Keystone to spółki akcyjne jeszcze innej firmy, Amber Corp. Nie pogubiłeś się? Amber Corp jest zarejestrowana na Florydzie. To całkowicie legalna firma. Płaci podatki na czas.

— I to wszystko?

— Tak, to wszystko — odparł Frank, znowu wzruszając ramionami. — Myślę jednak, że może cię zainteresować pewna dodatkowa informacja.

— Jaka?

— Amber Corp to firma z Florydy, prawda? Czemu z Florydy? Nie mam pojęcia. Ale w dorocznym zeznaniu podatkowym podają adres jeszcze jednego biura. Chcesz wiedzieć, gdzie to biuro się znajduje?

— Jasne.

— Na Sand Hill Road, rzut beretem od ciebie, w Menlo Park. Sand Hill Road trzy tysiące sześćset dwadzieścia pięć. Jaki ten świat mały, prawda?

O trzeciej po południu Timothy wyjechał swoim bmw z podziemnego garażu i skierował się w stronę Uniwersytetu Stanforda.

Teren uniwersytetu ciągnął się od Palm Drive, szerokiej alei wysadzonej majestatycznymi palmami z Wysp Kanaryjskich, która zakreślała łagodnie i kończyła się na zachodzie Owalem, zielonym skwerem zawsze pełnym młodych mężczyzn i kobiet grających we frisbee. Za nim wznosiła się katedra Memoriał z gigantycznym freskiem ściennym przedstawiającym Jezusa przemawiającego do apostołów wśród wzgórz, które bardzo przypominały krajobraz północnej Kalifornii. Mijając fresk, Timothy za każdym razem miał wrażenie, że za chwilę ujrzy Jezusa w powiewającej szacie, łapiącego frisbee.

W sierpniu na terenie uczelni nie było zbyt wielu studentów. Timothy minął grupkę chłopaków na wrotkach, leniwie zjeżdżających Palm Drive, i ruszył w stronę Sand Hill Road.

Na swój sposób Sand Hill była równie sławna jak Park Avenue czy Champs Elysees, tyle że nie stały przy niej sklepy i kafejki, ale nijakie piętrowe budynki wznoszące się między kalifornijskimi łąkami. Była

najdroższą ulicą w całym stanie. Metr ziemi na położonych przy niej działkach kosztował więcej niż w San Francisco czy Los Angeles, choć była to zwykła dwupasmowa droga prowadząca przez prerię, kiedyś miejsce wypasu bydła.

Jednak bydlę dawno zniknęło, zastąpione przez pieniądze i mózgi. W biurach przy Sand Hill Road zasiadali najinteligentniejsi ludzie na świecie: informatycy, biologowie i genetycy. W tych samych budynkach zebrała się także największa na świecie grupa inwestorów. Właśnie to nadawało Sand Hill specyficzny charakter. Naukowiec mógł tu wpaść na biznesmena przy stoisku z hot dogami w czasie przerwy na lunch i wspomnieć o projekcie, nad którym pracował, a jeszcze przed wieczorem miał dwadzieścia pięć milionów na otwarcie własnej firmy.

Sand Hill Road odznaczało się na życiu Timothy'ego niczym linia życia na dłoni. Przejeżdżał tą drogą setki razy w poszukiwaniu pieniędzy i inwestorów. Kiedy jesteś odnoszącym sukcesy człowiekiem, który każdego roku ma dwadzieścia, trzydzieści milionów przychodów, musisz się zastanowić, co począć z taką gotówką. Inwestorzy to jedyni ludzie na świecie, którzy nie lubią nowych inwestycji, ponieważ oznacza to dla nich zbyt wielkie ryzyko. Wystarczy spadek koniunktury w jednej branży i już po nich.

Timothy był człowiekiem, który mógł im pomóc. Osiris przyjmował gotówkę i inwestował ją, oferując zysk w wysokości piętnastu, dwudziestu procent rocznie. Było to znacznie mniej, niż mogły przynieść nowe inwestycje, ale zdecydowanie więcej od tego, co dawał jakikolwiek bank czy kupno i sprzedaż nieruchomości.

Jednak tego dnia Timothy przemierzał Sand Hill Road w poszukiwaniu własnych pieniędzy. Chodziło o sto pięćdziesiąt tysięcy, które przekazał Katherine na remont dzień przed jej śmiercią. Pieniądze te,

najwyraźniej za jej zgodą, podążyły w postaci bitów i bajtów najpierw na Bahamy, później do Panamy, a potem wróciły z powrotem do Menlo Park. Nie przypominało to remontu domu.

Znalazł adres, którego szukał, i zawróciwszy na dwupasmówce, wjechał na parking kompleksu biurowego numer 3600. Wsiadł z samochodu i zaniknął bmw pilotem. Była trzecia po południu i sierpniowe słońce paliło go w głowę, topiąc asfalt i wywołując drganie powietrza.

Na obu końcach parkingu stały dwa budynki. Timothy ruszył wykładaną kamiennymi płytami dróżką w stronę pierwszego z nich, na którym umocowano tabliczkę z numerami 3700-3799. Przeszedł przez dziedziniec otoczony świeżo zasadzonymi platanami, minął owalną rzeźbę wielkości samochodu i odczytał napis na drugim budynku: 3600-3699.

Jednym krokiem pokonał trzy niskie stopnie prowadzące do wejścia, otworzył szklane drzwi i znalazł się w pustym holu, klimatyzowanym i wyłożonym marmurem. Na ścianie po drugiej stronie wisiał spis firm mających tu swoje biura.

Przebiegł go szybko wzrokiem, wodząc palcem po małych plastikowych literach przyklejonych do czarnej tablicy. Po chwili pomiędzy Aegis Capital i Angus Biotech znalazł to, czego szukał: Amber Corp., biuro nr 301.

Przejrzał całą listę lokatorów budynku. Sami inwestorzy, kancelarie prawnicze i firmy badawcze o tajemniczo brzmiących nazwach. Kilka rzędów niżej dostrzegł napis: Dr Clarence Ho — pokój nr 301.

Biuro Amber Corp. musiało być bardzo zatłoczone.

Postanowił odwiedzić doktora Ho. W pustym holu jego kroki odbijały się echem od marmurowych ścian. Na jego końcu zobaczył schody i zaczął się na nie wspinać. Na drugim piętrze poczuł ból w kolanie. Pomyślał, że to z powodu nagłej zmiany temperatury, że zbyt

szybko przeszedł z rozgrzanego parkingu do klimatyzowanego pomieszczenia.

Na trzecim piętrze zatrzymał się na wyłożonym chodnikiem korytarzu. Minął pokoje 304 i 302. Korytarz oświetlony był buczącymi lampami fluorescencyjnymi i miał zapach gabinetu dentystycznego.

Zatrzymał się przed pokojem numer 301. Na drzwiach była tylko plakietka z napisem: „Amber Corp.”. Łatwa do zdjęcia, pomyślał Timothy. Nacisnął klamkę i otworzył drzwi.

W środku znajdowała się poczekalnia typowego gabinetu lekarskiego: niewielkie pomieszczenie z ustawionymi pod ścianą fotelami. Recepcję oddzielała od poczekalni szyba, ale nie paliło się w niej światło. Na szybie była wywieszka: „Prosimy o regulowanie należności bezpośrednio po zabiegu”.

W rogu poczekalni stał biały plastikowy stolik, na jakich zazwyczaj wykładano kolorowe magazyny, żeby pacjenci się nie nudzili. Stolik był pusty, podobnie jak recepcja. Ani magazynów, ani pacjentów.

— Halo! — zawołał Timothy.

Cisza, jedynie gdzieś z głębi biura dochodziło stłumione brzęczenie.

— Halo? — powtórzył Timothy.

Nagle uchylły się drzwi prowadzące do pomieszczenia w głębi biura i do poczekalni wsunął głowę drobno zbudowany Chińczyk. Miał na sobie biały fartuch z długopisami w kieszonce, a na nosie okulary w stalowych oprawkach.

— W czym mogę panu pomóc? — zapytał. Timothy zrobił krok w jego stronę.

— Doktor Ho? Clarence Ho?

Chińczyk stał w półprzymkniętych drzwiach, gotów szybko zatrzasnąć je przed intruzem.

— Słucham.

— Chciałem z panem porozmawiać o mojej żonie, Katherine van Bender. Mówi panu coś to nazwisko?

Zanim zdążył dokończyć pytanie, doktor Ho otworzył szeroko drzwi i skinieniem dłoni zaprosił go do środka. Było oczywiste, że znał nazwisko Katherine.



Poprowadził Timothy'ego jasno oświetlonym korytarzem, mijając drzwi oznaczone napisami: „Laboratorium nr 1” i „Laboratorium nr 2”. Zatrzymał się przed wejściem do ciemnego pomieszczenia, wsunął rękę do środka, namacał kontakt i zapalił światło.

Wpuścił swojego gościa przodem. Małutki gabinet miał wielkość składziku na szczotki. Trzy ściany zajmowały regały z książkami, a podłoga była zasłana dokumentami ułożonymi w małe stosiki. W środku stało biurko, które również było zavalone stertami teczek. Ho dał duży krok nad dokumentami, wcisnął się za biurko i wskazał Timothy'emu jedno z dwóch krzeseł naprzeciw biurka.

— Przepraszam za bałagan — powiedział.

Timothy usiadł. Jak w przypadku wielu Chińczyków trudno byłoby określić wiek doktora. Na twarzy nie miał zmarszczek, ale jego włosy były gęsto poprzetykane siwizną. Okulary miał tak głęboko wciśnięte w oczodoły, że ich oprawki niemal stały się częścią brwi.

— Proszę, proszę... — mruknął, przyglądając się Timothy'emu. — Pan van Bender, jak przypuszczam.

— Zgadza się.

— Spodziewałem się pana — powiedział Chińczyk, po czym pochylił się i zaczął szukać czegoś w stercie teczek na biurku. Grzebiąc w dokumentach, wyjaśnił: — Podejrzywałem, że zechce pan mnie odwiedzić. Wyrazy współczucia z powodu śmierci żony.

— Skąd pan znał moją żonę?

Ho nie odpowiedział. Cały czas szukał właściwej teczki, wyjmując kolejne, czytając napisy na ich okładkach i odrzucając je na bok.

— Zaraz, zaraz. Gdzieś tu powinna być... — Wziął kolejną teczkę.

— Mam! Katherine van Bender. Pańska żona.

Otworzył teczkę i zaczął przerzucać kartki. Timothy dostrzegł na nich medyczne wykresy i odręczne notatki.

— Jestem lekarzem pańskiej żony — odpowiedział w końcu na jego pytanie doktor Ho. — Czy żona powiedziała panu o swojej chorobie?

Timothy pokręcił głową.

— Tak myślałem — mruknął Ho. — Powiedziała mi, że chce zachować to przed panem w tajemnicy. Moi pacjenci często tak postępują, a ja nie próbuję wpływać na ich decyzje.

— Jaka jest pańska specjalizacja, doktorze Ho? — zapytał Timothy.

Ho spojrział na niego znad papierów. W kącie jego ust błąkał się cień uśmiechu. Popatrzył na leżący przed nim wykres i oświadczył:

— Pana żona cierpiała na bardzo rzadki i niezwykle groźny rodzaj raka jajników. Zgłosiła się do mnie, żeby poddać się eksperymentalnemu zabiegowi, który sam opracowałem.

Timothy rozejrzał się po gabinecie. Stosy dokumentów i półki uginające się pod książkami. Ten pokój o wymiarach metr na dwa, ze stertami niedbale poukładanych dokumentów, zupełnie nie pasował do jego wyobrażenia człowieka, który mógł być pionierem w jakiegokolwiek dziedzinie. Jednak rząd dyplomów wiszących za plecami Ho zdawał się potwierdzać jego słowa. Doktor Clarence Ho ukończył biochemię w Massachusetts Institute of Technology w 1982 roku, a w 1992 doktoryzował się z neurologii na Uniwersytecie Stanforda. Bez wątplenia był bardzo wykształconym człowiekiem.

Chińczyk spostrzegł, że Timothy przygląda się jego dyplomom.

— Sam pan widzi, że nie chodziło o akupunkturę czy leczenie ziołami, jeśli tego się pan obawiał — powiedział.

— Czy moja żona zapłaciła panu sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów?

— Zgadza się.

— Za co?

Doktor Ho zamknął teczkę, splótł dłonie na biurku i odchylił się w fotelu.

— Obawiam się, że nie bardzo mogę rozmawiać o zabiegu, jakiemu poddałem Katherine van Bender. Ponieważ był pan małżonkiem mojej pacjentki, poruszamy się po bardzo grząskim terenie. Wiem, że są to dla pana trudne chwile, ale proszę zrozumieć moją sytuację.

Timothy spojrział na niego.

— Właśnie w tym problem, że nie rozumiem pana sytuacji — odparł. — Czy wiedział pan, że moja żona zamierza popełnić samobójstwo?

— Niestety, panie van Bender, nie mogę rozmawiać z panem o tym zabiegu.

— Zapytałem o samobójstwo Katherine, a nie o zabieg. Clarence Ho nic na to nie odpowiedział.

— Jaki zabieg wykonał pan mojej żonie, doktorze Ho?

Lekarz wstał i wskazał mu wyjście. Było oczywiste, że zakończył rozmowę.

— Przykro mi, ale nie mam teraz czasu — oświadczył. — Muszę zająć się moimi pacjentami.

Timothy przypomniał sobie pustą poczekalnię bez kolorowych magazynów, recepcjonistki i pacjentów. Był bardzo ciekaw, jacy pacjenci czekają na doktora Ho i czego się po nim spodziewają.



Kiedy wrócił do biura, Tricia właśnie szykowała się do wyjścia. Timothy spojrzął na zegarek i ze zdziwieniem zobaczył, że dochodzi piąta.

— Jay już poszedł — poinformowała go dziewczyna, grzebiąc w torebce. — Umówił się ze znajomymi w Zibbibo.

— Kiedy nie ma kota... — zaczął Timothy, ale pomyślał, że może to zostać opacznie zrozumiane, i urwał w pół zdania.

— Ja też chciałabym już lecieć. Mogę? — zapytała Tricia.

Skończyła przekładać rzeczy w torbie i zarzuciła ją sobie na ramię.

— Oczywiście.

Dziewczyna wstała, obeszła biurko i skierowała się do wyjścia. Po drodze zatrzymała się przed Timothyem i spojrzała na niego uważnie. Zastanawiał się, czy patrzy na jego worki pod oczyma, którym on sam od jakiegoś czasu przyglądał się w lustrze.

— Jak samopoczucie? — zapytała.

— W porządku.

Najwyraźniej chciała coś jeszcze powiedzieć, bo otworzyła usta, ale się powstrzymała.

— O co chodzi? — zapytał Timothy.

— Chciałabym cię zaprosić na drinka. Jako przyjaciela. Moglibyśmy pójść do BBC. Tylko my dwoje. Bez żadnych podtekstów.

— Ostatnim razem nie bardzo nam się udało.

Wzruszyła ramionami.

— To było ostatnim razem. Jeśli nie dzisiaj, to może jakiegoś innego dnia?

— Może — odparł.

Minęła go i Timothy przytrzymał jej drzwi. Patrzył za nią, kiedy szła przez hol. Głupia jak but, ale co za ciało, pomyślał.

Dotarła do wind, nacisnęła guzik i odwróciła się do niego.

— Jeśli nie pójdziesz ze mną na drinka, będę musiała poprosić cię o podwyżkę.

— Możesz poprosić, ale nie wiem, czy chciałabyś usłyszeć odpowiedź.

Rozległ się gong podjeżdżającej windy i drzwi kabiny się otworzyły. Tricia spojrzała przez ramię na Timothy'ego i weszła do środka. Przerzuciła torebkę na drugie ramię.

— Zawsze dostaję to, czego chcę — oświadczyła, zanim drzwi windy się zamknęły.

Timothy nie bardzo wiedział, co miała na myśli — podwyżkę czy jego — ale podejrzewał, że rzeczywiście tak jest.

Następnego dnia wszystko zaczęło się sypać.

Najpierw zadzwonił prawnik Pinky'ego z Nowego Jorku. Telefon odebrała Tricia. Kiedy odmówiła połączenia go ze swoim szefem, zastosował starą sztuczkę: „Spróbujmy doprowadzić sekretarkę do łez”. Zalał dziewczynę potokiem gniewnych słów, najpierw strofując ją, a potem grożąc i wykpiwając Timothy'ego, że kryje się za fartuszkiem swojej sekretarki. Był to sprawdzony chwyt w prawniczym świecie i spełnił swoje zadanie: Timothy odebrał telefon.

Kiedy przerażona Tricia weszła do jego gabinetu i powiedziała o telefonie z Nowego Jorku, był u niego Dzieciak. Timothy dał jej znak, że może odejść, a gdy zamknęła za sobą drzwi, wcisnął guzik połączenia konferencyjnego.

— Timothy van Bender, słucham.

— Timothy van Bender... — powtórzył rozmówca. — Reprezentuję Pinky'ego Dewera. Musi pan zwrócić pieniądze mojego klienta zgodnie z umową. Jeśli pan tego nie zrobi, musi się pan liczyć z konsekwencjami.

— Jakimi?

Poważnymi, panie van Bender. Chyba zdaje pan sobie sprawę, że

jedyne, co mnie powstrzymuje od wykonania telefonu do Komisji Kontroli Giełdy, jest pańska przyjaźń z panem Dewerem. Powinienem dodać, że przyjaźń ta jest w obecnej chwili bardzo zagrożona.

— Czyżby Pinky odkrył, że ciasto, które mu wysłałem na Boże Narodzenie, nie było domowej roboty?

— Panie van Bender, na pewno uważa się pan za bardzo dowcipnego i sprytnego, ale dzwonię do pana tylko dlatego, że pan Pinky Dewer pozwolił mi dać panu jeszcze jedną szansę. To ostateczne ostrzeżenie. Proszę zwrócić pieniądze i cała sprawa zostanie zapomniana.

— Chciałbym, ale jest z tym pewien problem, panie...

— Allen. John Allen z Shearman i Sterling.

— Ten problem, panie Allen, polega na tym, że nie mogę w tej chwili zwrócić pieniędzy. Nie mam teraz płynności finansowej.

— Wobec tego radzę panu, żeby pan ją szybko odzyskał. Nie będę więcej do pana dzwonił — oświadczył prawnik i rozłączył się.

Dzieciak gwizdnął przez zęby.

— Cholera — mruknął. — To brzmi bardzo poważnie.

— Zwykle machanie szabelką — prychnął Timothy, ale doskonale wiedział, że chłopak ma rację.

Nigdy nie przypuszczał, że sprawy mogą przybrać taki obrót. Zakładał, że jen znowu zacznie szybko spadać i Osiris odrobi straty, zanim inwestorzy się zorientują, o co chodzi. Jednak nic nie szło po jego myśli i straty się powiększały. A Pinky Dewer, który potrafił być podły jak mało kto, właśnie poprzysiął mu zemstę.

— Jak dzisiaj stoi jen? — zapytał Dzieciaka.

— Doszedł do osiemdziesięciu — odparł chłopak. — Jeśli nic się nie zmieni, dostaniemy dzisiaj wezwanie do uzupełnienia depozytu.

— Ile wynoszą nasze straty?

— Od początku miesiąca straciliśmy trzydzieści milionów dolarów. Masz jakiś plan?

Zadzwoił wewnętrzny telefon i Timothy ucieszył się, że nie musi odpowiadać na to pytanie. Dzwoniła Tricia. Podniósł słuchawkę.

— Tak? — Spodziewał się, że dziewczyna powie, że znowu dzwoni John Allen, ale zamiast tego poinformowała go tylko: — Na drugiej linii mam doktora Ho. Połączyć go?

— Tak — odparł Timothy, po czym zasłonił dłonią mikrofon i zwrócił się do Dzieciaka: — Daj mi minutę, dobrze?

Chłopak kiwnął głową i szybko opuścił gabinet. Zbyt szybko, pomyślał Timothy. Przyszło mu do głowy, że pewnie zaczął już wysyłać życiorysy, a może nawet umawiać się na rozmowy wstępne w innych firmach. Może właśnie dlatego wczoraj wyszedł wcześniej z biura. Może zaczął już ewakuować się z tonącego statku, wyjaśniając konspiracyjnym szeptem swoim nowym potencjalnym pracodawcom, że to właśnie Timothy jest odpowiedzialny za „pewne kłopoty” Osirisa.

— Timothy van Bender — rzucił do słuchawki.

— Panie van Bender, mówi Clarence Ho. Dziękuję, że zechciał pan ze mną rozmawiać.

— Czym mogę służyć, doktorze Ho?

— Rozmawiałem niedawno z moją klientką. Zgodziła się, żeby...
— nie dokończył zdania i zaczął od nowa: — Czy może pan dziś wieczorem przyjść do mojego biura? To ważne. Wolałbym, żeby był pan sam.

21

Zgodził się spotkać z doktorem Ho na Sand Hill Road o dwudziestej. Wyjeżdżając z domu, otworzył okna w bmw. Z gór spływały do kotliny aromaty północnokaliifornijskiego lata, mieszanka zapachów rozmarynu i jaśminu.

Zostawił samochód na parkingu Sand Hill, który o tej godzinie był prawie pusty — stało na nim tylko kilka wozów, prawdopodobnie należących do strażnika i ekipy sprzątającej. Przeszedł wykładaną płytami ścieżką pod sodowymi lampami, mijając gigantyczną owalną rzeźbę, po czym wszedł do budynku numer 3600. Wbiegł na trzecie piętro tak szybko, jak tylko pozwalały mu na to nogi, ale były to stare nogi, a on sam też postarzał się w ciągu ostatniego miesiąca. Na trzecim piętrze skierował się do pokoju 301, z wywieszką „Amber Corp.” na drzwiach.

Zapukał, nacisnął klamkę i wszedł do środka. Tak jak poprzednio, przywitała go pusta poczekalnia i ciemna recepcja. Żadnych magazynów na stoliku. Żadnych śladów świadczących o tym, że kiedykolwiek byli tu jacyś pacjenci. Co za dziwny lekarz, pomyślał.

— Doktorze! — zawołał.

W drzwiach prowadzących do dalszych pomieszczeń stanął Clarence Ho.

— Dziękuję, że pan przyszedł, panie van Bender. — Dał znak Timothy'emu, żeby szedł za nim. — Zapraszam do środka.

Poprowadził go korytarzem do drzwi z wywieszkami: „Laboratorium nr 1” i „Laboratorium nr 2”. Wyjął z kieszeni komplet kluczy i otworzył zamek.

Laboratorium okazało się dużym pomieszczeniem bez okien, mającym osiemnaście metrów długości i tyle samo szerokości. Odślonięty sufit ukazywał skomplikowane okablowanie, płataninę rur kanalizacyjnych i ciągów wentylacyjnych. Pośrodku sali znajdowały się dwa stanowiska laboratoryjne ze zlewami, z palnikami gazowymi i instrumentami, które Timothy pamiętał z lekcji chemii w szkole. Na najbliższym stanowisku obok zlewu stały dwa dwudziestojednocalowe ekrany ciekłokrystaliczne. Na obydwu widniały długie kolumny jakiegoś skomplikowanego kodu.

W końcu pokoju stały rzędy komputerów na metalowych stojakach. Były wśród nich czarne komputery Della, eleganckie nowiutkie komputery marki Sun wielkości pudełka pizzy oraz duże stare, beżowe pudła, zabytki minionej epoki. Na półkach pod ścianą też stały komputery, jeden na drugim, zajmując każdy wolny centymetr przestrzeni. Półki ciągnęły się od ściany do ściany, były niemal tak szerokie jak rufa okrętu. Komputery połączone były pomarańczowymi kablami ethernetowymi. Gąszcz splątanych przewodów spływał z półek do centralek przekaźnikowych, w których mrgały zielone lampki LED, wyświetlając zera i jedynki komunikacji sieciowej w nieustannie przeplatającym się wzorze.

Szum setek wiatraczków komputerowych przypominał odgłos wody płynącej betonowym kanałem. W pokoju panował chłód. Laboratorium musiało mieć klimatyzację, żeby utrzymać odpowiednią temperaturę.

Na końcu pomieszczenia znajdowały się stalowe drzwi z napisem: „Nie wchodzić”.

— Może mógłby mi pan pomóc? — zapytał Timothy. — Mam problemy z instalacją bezprzewodowej sieci komputerowej u siebie w domu.

Chińczyk uśmiechnął się.

— No dobrze — mruknął Timothy. — Proszę mi powiedzieć, o co chodzi.

— To dotyczy pana żony.

Timothy popatrzył na niego i nagle wszystko stało się dla niego jasne. Chodziło o szantaż. Wszystko się zgadzało. Sto pięćdziesiąt tysięcy, które Katherine zapłaciła temu lekarzowi. Jej nagłe samobójstwo. A teraz to spotkanie w nocy w pustym biurze. Z pewnością Chińczyk znowu zażąda pieniędzy.

W co ona się wplątała? Czy Ho miał jakieś jej zdjęcia? Może pornograficzne? A może chodziło o narkotyki albo o coś jeszcze gorszego? Przypadkowa śmierć w wypadku czy zabójstwo?

Nie bardzo wiedział, jak ma zareagować. Potrzebował jakiegoś planu. Postanowił, że nie będzie negocjował z szantażystą. Po prostu wyjdzie bez słowa. Jeśli raz zaczniesz negocjacje, nigdy się nie uwolnisz od prześladowcy.

— Wygląda pan na przestraszonego — zauważył doktor Ho. — Nie ma się czego bać. — Podeszedł do najbliższego monitora i dotknął klawiatury. Żółty kursor przeskoczył jedną linijkę wyżej. — Czy używa pan komputera, panie van Bender? Przypuszczam, że w pana zawodzie to konieczność.

— Czasami — odparł Timothy.

Jednak myślni był gdzie indziej. Starł się przejrzeć plan Chińczyka. Rozpatrywał różne scenariusze: Katherine w kłopotach, być może mająca długi. Czyżby właśnie dlatego potrzebowała tych dwustu tysięcy? W co ona się mogła wplątać i jakie sekrety przed nim ukrywała?

Ale Katherine była za sprytna na szantaż. Nawet gdyby znalazła się w trudnej sytuacji, nigdy nie pozwoliłaby sobie wykręcić ręki. Była na to za silna, za cwana...

— To, co panu teraz powiem, musi pan zachować dla siebie — oświadczył doktor Ho. — Gdyby ktokolwiek dowiedział się o mojej pracy... — nie dokończył. — To byłoby przedwczesne — dodał po chwili.

— Czy pan mnie szantażuje, doktorze?

Chińczyk roześmiał się.

— Dobry Boże, nie! — Zdjął okulary z nosa. Na brwiach pozostała głęboka czerwona bruźda. Energicznie potarł powieki i ponownie założył okulary na nos. — Oczywiście, przyjmując pański punkt widzenia, mogę zrozumieć, dlaczego doszedł pan do takiego zaskakującego wniosku. Nie, panie van Bender. Nie zajmuję się szantażem. Nie o to chodzi.

— Więc o co?

Lekarz odwrócił się i podszedł do ściany z półkami pełnymi komputerów. Choć stał zaledwie kilka metrów od Timothy'ego, musiał podnieść głos, żeby przekrzyczeć szum wentylatorów.

— Mamy tu trzysta pięćdziesiąt komputerów. Wszystkie prosto ze sklepu. Niektóre są bardzo szybkie, inne powolne. Kiedy wpadnie nam w ręce jakiś nowy model, dołączamy go do innych. Jeśli któryś z nich się zepsuje, po prostu zostawiamy go na półce. Są zbyt tanie, żeby tracić czas na ich wymianę.

Z roztargnieniem przejechał palcami po kablach ethernetowych, jakby bawił się włosami ukochanej kobiety.

— To cała Amber Corporation. Założyłem tę firmę cztery lata temu. Wszystko zaczęło się od badań, które prowadzę od... — Roześmiał się i dodał: — Wydaje mi się, że od zawsze.

Odsunął rękę od kabli i odwrócił się do Timothy'ego.

— Zebrałem wokół Amber grupę inwestorów. To ludzie Podobni do pana, panie van Bender. Bardzo zamożni. Ludzie, którzy potrafią

docenić to, co tworzę. Ale osoby te chcą pozostać anonimowe. Powiedzmy, że nie są to typowi inwestorzy z Sand Hill Road.

Timothy poczuł, że mąci mu się w głowie. Jeśli nie chodziło o szantaż, to o co? Nagle zaświtało mu w głowie, że może ten zwariowany Chińczyk sprzedaje mu swój biznesplan. Może chce go namówić do zainwestowania w jego firmę. Pewnie dlatego posłużył się Katherine. Czyżby ich ponowne spotkanie miało służyć pozyskaniu funduszy inwestycyjnych?

— Moja firma stworzyła zupełnie nową technologię — kontynuował doktor Ho. — Chodzi o wykonywanie pewnego rodzaju kopii zapasowych. Jak pan wie, komputery łatwo się psują. Jeśli niespodziewanie wysiądzie panu komputer, może pan utracić ważne dane. Właśnie dlatego takie firmy jak pańska mają programy umożliwiające tworzenie kopii zapasowych. Jeśli ma pan kopie wszystkich danych, nawet jeśli zdarzy się jakiś wypadek, może pan kontynuować pracę. W najgorszym razie straci pan dane z jednego dnia. To też nieprzyjemne, ale na pewno lepsze niż utrata danych z całego roku... danych klientów, korespondencji, dokumentacji dotyczącej transakcji finansowych czy programów. Jestem pewien, że zgodzi się pan ze mną.

Timothy kiwnął głową. Od czasu zainstalowania programu wykonującego kopie zapasowe dane ze wszystkich komputerów w Osirisie każdej nocy były kopiowane na płyty CD. Raz w tygodniu Dzieciak zabierał je do domu na przechowanie i nawet gdyby gmach banku America został zniszczony w wyniku pożaru czy trzęsienia ziemi (co w Kalifornii było całkiem możliwe), Osiris mógłby kontynuować swoją działalność. Oczywiście pod warunkiem, że nie zginęliby przy tym wszyscy pracownicy. Było to małe niedopatrzenie w systemie zaprojektowanym przez Trana.

— Jeśli zgadza się pan ze mną — powiedział Ho — z pewnością

doceni pan to, co teraz panu powiem. To całkiem proste. Pan — wskazał palcem czoło Timothy'ego — pański umysł, pański mózg, wspomnienia, osobowość... wszystko to jest programem komputerowym.

Zamilkł i popatrzył na swojego gościa, sprawdzając, czy pojął implikacje tego stwierdzenia. Ale twarz Timothy'ego niczego nie zdradzała.

— No, może nie do końca komputerowym — dodał Chińczyk. — A przynajmniej nie takim zwykłym. Komputery są systemami binarnymi. Zera i jedynki, prawda lub fałsz. To relikty technologii tranzystorowej z lat czterdziestych. Ale nie ma żadnego powodu, żeby komputery były systemami binarnymi. Możemy stworzyć doskonale działający komputer, bez porównania szybszy, o ruchomej skali. Taki komputer mógłby być nie tylko włączony lub wyłączony, ale także bardzo włączony, trochę włączony czy prawie wyłączony. Tak właśnie działa nasz mózg, panie van Bender. Częstotliwość wyładowań w neuronach jest jak ruchoma skala. Bardzo szybko znaczy coś innego niż trochę szybko.

Timothy chciał przerwać tę perorę i miał już nawet na końcu języka złośliwą uwagę, że choć to wszystko jest bardzo ciekawe, musi wracać do domu, do swojego najnowszego hobby, jakim było upijanie się w samotności. Doktor Ho musiał wyczuć, że stracił słuchacza, bo zdecydował się przejść do sedna sprawy. Jak sobie później Timothy uświadomił, był jednak niezłym sprzedawcą.

— Cóż... chodzi o to, że zrobiłem kopię zapasową pańskiej żony — powiedział w końcu.

Te słowa były jak uderzenie pięścią. Timothy cofnął się gwałtownie i złapał brzeg zimnej czarnej płyty stanowiska laboratoryjnego, żeby się nie przewrócić. Nie był pewien, czy dobrze zrozumiał. Doktor mówił o jego żonie, jakby była częścią jakiegoś eksperymentu i jakby nie całkiem umarła.

Mając pewność, że Timothy tym razem słucha go uważnie, Ho mógł opowiedzieć wszystko od początku. Problem z nauką, jak wyjaśnić, polega na jej rozpadzie na zbyt wiele wąskich specjalizacji. Uczeni zajmujący się mózgiem sporo wiedzieli o jego działaniu, nie znali jednak najnowszych odkryć chemików, którzy z kolei nie bardzo wiedzieli, czym zajmują się informatycy. Każda dziedzina nauki miała własne periodyki, konferencje i fundusze na badania. Nie było jednej Nauki przez duże N, ale wiele małych nauk, dziesiątki skomplikowanych i kompletnie bezużytecznych instrumentów. Nie było żadnego przepływu informacji, nikt nie próbował połączyć tego wszystkiego w jedną całość.

Przypadek sprawił, że Ho zainteresował się tak odmiennymi dziedzinami, jak elektrochemia mózgu, informatyka i fizjologia. Mimo sprzeciwu profesorów i przełożonych, którzy ostrzegali go, że niczego

się nie nauczy i do niczego nie dojdzie, jeśli nie skupi się na jednej dziedzinie, studiował jednocześnie na trzech kierunkach.

Okazało się, że mieli rację. Poczynając od MIT i Uniwersytetu Stanforda, podróż Ho przez Dolinę Krzemową przypominała stacanie się z góry. Pracował nad niewielkimi projektami, które rzucano mu, kiedy nikt inny się nie kwapił, żeby się po nie schylić. Nie mogąc znaleźć stałej posady i ledwo utrzymując się na powierzchni, wykonywał różne zlecenia dla nowo powstających firm biotechnologicznych w Berkley, Oakland i San Jose. Właśnie w jednej z tych nieistniejących już firm poznał tajemniczego inwestora, który namówił go do poświęcenia się jego wielkiej idei i zaproponował mu finansowanie projektu w zamian za niewielkie udziały w firmie.

Tak powstała Amber Corporation. Była to firma badawcza, niedochodowa, zatrudniająca na różnych stanowiskach kilkunastu studentów, techników i programistów. Żaden z nich nie miał pojęcia, czym firma się zajmuje i jaki jest cel ich pracy. Jedynie doktor Ho wiedział, że chodzi o zmianę rozumienia tego, co to znaczy być żywym i co to znaczy umrzeć.

— Czy pan wie, że neurony w pana mózgu żyją tylko od dwunastu do osiemnastu miesięcy? — zapytał Timothy'ego. — Potem zostają zastąpione przez nowe komórki. Zdaje pan sobie sprawę z implikacji tego faktu?

Timothy nie zdawał sobie sprawy.

— Ujmując rzecz statystycznie, oznacza to, że pana mózg odnawia się całkowicie co jakieś trzy lata — wyjaśnił Chińczyk. — Wszystkie neurony w pana głowie są niemal na pewno inne niż te, które znajdowały się tam trzy lata temu. Jednak nadal przechowuje pan te same wspomnienia z dzieciństwa, pana osobowość nie uległa zmianie, ma pan te same upodobania. Wciąż jest pan sobą. Ludzie nie stają się co

trzy lata całkowicie innymi osobami. Zdumiewające, prawda? — dodał i uśmiechnął się.

Timothy uświadomił sobie, że prawdopodobnie jest to dla niego jedna z rzadkich okazji opowiedzenia komuś o badaniach, którym poświęcił większą część życia, pracując w samotności i nie mogąc się z nikim podzielić swoimi osiągnięciami. Zastanawiał się, ile razy Ho powtarzał tę przemowę przed lustrem, jadąc samochodem albo leżąc w nocy w łóżku. Teraz w końcu mógł triumfować. Był jak Blofeld wyjaśniający swój diabelski plan Jamesowi Bondowi wiszącemu głową w dół nad promieniami śmierci.

Jednak doktor Ho nie przypominał żadnego znanego Timothy'emu z filmów czy książek socjopaty. Chudy, o twarzy porzuconego dziecka nieokreślonej płci oraz manierach i akcencie ludzi z wyższych sfer, bardziej przypominał dekoratora wnętrz.

— Można powiedzieć, że pana osobowość to program komputerowy — kontynuował Chińczyk. — Podobnie jak możemy kopiować programy i przenosić je z jednego komputera na drugi, tak samo możemy przenieść umysł czy osobowość. Tym właśnie zajmuje się Amber. Utrwalamy zawartość ludzkiego umysłu. Zapisujemy go, kopiujemy i przechowujemy w bezpiecznym miejscu.

Timothy czuł, że znów się pogubił. Tylko częściowo rozumiał, o czym mówi doktor. Jednak bardziej interesowało go, czego Ho od niego chce. Więcej pieniędzy? Skontaktowania go z innymi potencjalnymi inwestorami? Rady, jak rozwinąć firmę? Zmrużył oczy, rozważając te wszystkie opcje, ale Ho musiał pomyśleć, że się przestraszył.

— To nic strasznego — dodał uspokajająco. — Nie robimy żadnych dziur w głowach ani nie podłączamy kabli. Po prostu wykonujemy rezonans magnetyczny i odczytujemy elektrochemiczny wzór zapisany w mózgu. Oczywiście pod względem mocy obliczeniowej

jesteśmy znacznie bardziej zaawansowani. Właśnie tym się zajmujemy. — Ponownie wskazał rzędy stojących za nim komputerów. — Chodzi o odwrotność renderowania trzy D. Wykonujemy derenderowanie trzy D, jeśli wie pan, co mam na myśli.

Renderowanie, sranie w banie, pomyślał Timothy. Szkoda, że nie mam przy sobie whisky.

— Proszę wybaczyć, doktorze Ho, ale nie mam pojęcia — odparł. — Nie jestem ekspertem od komputerów. Potrafię otworzyć e-mail i niewiele więcej. Czasami, jak nikt nie widzi, gram z komputerem w warcaby.

Czuł się lekko znudzony całą tą gadaniną, z której niewiele rozumiał. Kiedy miał jakiś problem techniczny, po prostu wzywał do siebie Dzieciaka i wydawał mu polecenie: „Zajmij się tym”.

Ho popatrzył na niego i powiedział:

— Poznałem pana żonę jakieś sześć miesięcy temu. Przedstawił nas sobie nasz wspólny znajomy.

— Kto?

Doktor zignorował to pytanie i mówił dalej:

— Właśnie dowiedziała się o swojej chorobie. Wiedziała, że umiera, i dowiedziała się, że mógłbym jej pomóc. Oczywiście nie w taki sposób, w jaki próbowaliby to zrobić inni lekarze. Nie umiałbym jej uleczyć, mogłem jednak zrobić kopię.

— Kopię czego?

— Jej.

Kopię mojej... — Timothy nie dokończył zdania. Cały ten techniczny bełkot nagle nabrał sensu. RM, renderowanie, derenderowanie... terminy te były dla niego kompletnie niezrozumiałe, jednak teraz zaczynał powoli pojmować, o czym Chińczyk mówi. Ten człowiek twierdził, że ma kopię umysłu jego żony.

— Kłamie pan! — warknęła.

— Kazałem jej przysiąc, że nie powie panu o tym, dopóki cały proces nie zostanie zakończony — powiedział doktor. — Musi pan zrozumieć, że moje dzieło nie jest kompletne. Są pewne... — machnęła ręką — ...nierozwiązane kwestie.

— Co pan zrobił mojej żonie?

— Ależ nic — zapewnił go Ho. — Pana żona umierała, panie van Bender. Miała przed sobą miesiąc życia, może dwa. Wkrótce pojawiłby się ból. Były już przerzuty. Musiałaby dostawać bardzo silne środki przeciwbólowe. Zaczęłyby tracić panowanie nad własnym ciałem. Pojawiłaby się demencja i przestałaby być sobą. Dlatego podjęła tę decyzję, kiedy jeszcze mogła ją podjąć.

— Opowiedział pan chorej i zdesperowanej kobiecie bajeczkę science fiction...

— To nie jest science fiction, panie van Bender.

— I nie jest pan oszustem?

— Jestem innowatorem.

Usiadł przed monitorem i dwukrotnie nacisnął jakiś klawisz na klawiaturze. Na ekranie pojawił się żółty kursor.

— Chcę panu coś pokazać — powiedział, po czym napisał:
cd~/amber/v1

amber

— Proszę usiąść i przywitać się z żoną — dodał po chwili.

Napisał na komputerze:

Timothy jest tutaj.

Kursor zaczął przesuwać się po ekranie.

Cześć, Timothy.

— Może pan coś do niej napisać — powiedział Ho.

— Ty skurwysynu... — wycedził Timothy, ale ciekawość była silniejsza od wściekłości, więc napisał:

Kim jesteś?

Po chwili na ekranie pojawiły się słowa:

A jak myślisz, Kuśtyk? To ja.

To mu wystarczyło. Chińczyk był naciągaczem i hochsztaplerem. Timothy był pewien, że jeden z jego pomocników siedzi w sąsiednim pokoju, prawdopodobnie za drzwiami z napisem: „Nie wchodzić”, i odpisuje na pytania, podszywając się pod Katherine.

Było to jedno z najpodlejszych świństw, o jakich kiedykolwiek słyszał. Nie wiedział tylko, czemu to miało służyć. Pewnie chodziło o pieniądze, ale w jaki sposób Chińczyk chciał je od niego wyłudzić? Zresztą już ich oskubał, wyciągając od Katherine okrągłe sto pięćdziesiąt tysięcy, a całe to przedstawienie miało na celu zamydlenie mu oczu, żeby zyskać na czasie.

Ten skurwiel na pewno namówił Katherine do popełnienia samobójstwa, pomyślał. Obiecał, że wykona jej kopię i będzie mogła żyć dalej w krzemowych obwodach. Jak bardzo musiała być przerażona i zdesperowana, żeby w to wszystko uwierzyć!

Na ekranie kursor znowu zaczął się przesuwać.

Kocham cię, Timothy.

To przelało czarę. Timothy odwrócił się i walnął doktora Ho w twarz. Po raz pierwszy w życiu kogoś uderzył. Usłyszał głucho łupnięcie i zobaczył, że Chińczyk leci na podłogę. Miał tak zdziwioną minę, jakby i on pierwszy raz w życiu został uderzony. Jego okulary przekrzywiły się i połówka oprawki wystawała mu zza ucha jak antenka. Timothy złapał monitor i zrzucił go z blatu, wyrwijąc kable. Wielkie pudło huknęło o podłogę, a szklany ekran wypadł z obudowy.

Timothy kopnął go i rozbił, po czym rzucił się w stronę Chińczyka, który niezdarnie usiłował podnieść się z betonowej podłogi. Timothy pochylił się, złapał go za klapy białego fartucha i podniósł na nogi. Ho próbował się wyrwać, ale nie miał się czego złapać. Ze strachem podniósł ręce, zasłaniając twarz.

— Ty draniu! — krzyknął Timothy. — Okłamałeś moją żonę i namówiłeś ją, żeby się zabiła.

— Nie, to nieprawda — zaprzeczył Ho. — Nic pan nie rozumie.

Timothy podniósł pięść. Zamierzał ponownie walnąć Chińczyka w twarz, lecz się rozmyślił. Rozluźnił chwyt i puścił go. Doktor znowu poleciał na podłogę, uderzając dłońmi o beton.

Timothy odwrócił się w stronę wyjścia. Po drodze jeszcze raz kopnął monitor, który był już tylko kupą złomu, i wyszedł.

Nie mógł zasnąć tej nocy.

Najpierw spróbował spotkać się z dwudziestojednoletnim panem Dalmore, a potem przeszedł na valium i w końcu zwałił się na łóżko w butach.

Puste miejsce obok niego zdawało się rozrastać w ciemności, niczym rozlewający się po kieszeni atrament z pękniętego pióra, wysuwając czarne macki i grożąc, że pochłonie go wraz z łóżkiem.

Choć minęło kilka godzin, serce wciąż mu waliło, oszołomione i zdziwione zimną wściekłością, jaka go wcześniej opanowała. Nie mógł zapomnieć wyrazu twarzy doktora, kiedy go walnął w szczękę, bólu w zaciśniętej dłoni i kopnięcia monitora, który potoczył się po betonowej podłodze laboratorium.

Nie pozwalała mu też zasnąć myśl o przekręcie. Kiedy Ho wpadł na ten pomysł? Od jak dawna to planował? Od miesięcy? Jak długo znał Katherine? Jak długo mamił ją obietnicą wiecznego życia? W jaki sposób udało mu się ją przekonać, że nie powinna o tym mówić mężowi, z którym była przez dwadzieścia lat?

Pomysł Chińczyka był genialny. Przez chwilę, przez ułamek sekundy, Timothy sam niemal w to uwierzył. Niemał. Cały ten show z komputerami, a potem słowa pojawiające się na monitorze, jakby Katherine była ukryta za ekranem:

„A jak myślisz, Kuśtyk? To ja”.

Nie dawało mu to spokoju. W jaki sposób Ho dowiedział się o jego przezwisku? Może Katherine zdradziła je przypadkiem, a może doktor jakoś to z niej wyciągnął. Może powiedział jej: „Musimy znać wszystkie szczegóły pani związku z panem van Benderem, zanim zaoferujemy pani wieczne życie”. Albo coś podobnego.

Ale słowa na ekranie były tak naturalne, tak bardzo podobne do jej słów. Katherine właśnie tak by mu odpowiedziała, patrząc na niego z wyrazem rozbawienia w oczach: „A jak myślisz, Kuśtyk? To ja”. Zupełnie jakby był ostatnim kretyńcem, ale ona mimo wszystko i tak go kochała.

Zupełnie jakby Katherine rzeczywiście tam była. Jakby naprawdę z nią rozmawiał.

Ale to oczywiście było bzdurą. Jego żona nie żyła i Timothy wiedział, że nic jej nie przywróci do życia. Bez względu na to, jak bardzo tego pragnął i co gotów był zrobić.

Gdy tylko zasnął, zaczął śnić. W tym śnie była Katherine i doktor Ho w swoich okularkach, rzędy komputerów i żółty migający kursor. Był to pijany, szalony sen i rano Timothy obudził się spocony, z zacisniętą pięścią, jakby przed chwilą znowu uderzył doktora Ho.

Wstał i wziął prysznic.

Gdy zszedł do kuchni, zobaczył, że w telefonie miga światełko automatycznej sekretarki. Pewnie ktoś dzwonił, kiedy był pod prysznicem.

Nacisnął przycisk odtwarzania wiadomości. Kuchnię wypełnił pedantyczny i nijaki głos doktora Ho, odbijając się od kafelkowych ścian i wprawiając w wibracje szybę w drzwiach do ogródka. Za głośno. Timothy przyciszył urządzenie.

— Panie van Bender, mówi Clarence Ho. Chciałem pana przeprosić za wczorajszy wieczór. Rozumiem, dlaczego pan się zdenerwował. Po raz pierwszy musiałem uporać się z... uczuciami rodziny w związku z moją pracą i chyba nie przygotowałem się należycie. Nie miałem pojęcia, że może pan widzieć całą tę sprawę zupełnie inaczej.

Timothy z satysfakcją zauważył, że doktor mówi bardzo niewyraźnie. Wyobraził go sobie: pewnie miał okulary sklezione plastrami i trzymał się za obolałą szczękę.

— Dzwonię, żeby pana przeprosić, ale nie tylko. Bardzo proszę, żeby nie zwracał się pan do policji. Mogłoby to zniszczyć moje dzieło i byłoby niebezpieczne dla pana żony. Daję panu słowo, że nie interesują mnie pieniądze. Nie chcę pana okraść ani oszukać. Wykonuję tylko swoją pracę, zgodnie z umową. Chciałbym uniknąć problemów, panie van Bender.

Pewnie, że chciałbyś, pomyślał Timothy. Zostawiłeś przecież w papierach ślad przelewu stu pięćdziesięciu tysięcy na twoje konto.

— Nie będę więcej do pana dzwonił — ciągnął doktor Ho. — Ma pan na to moje słowo. Oczywiście zawsze może pan się ze mną skontaktować, jeśli będzie pan sobie tego życzył. Zostawię panu mój numer... — Wyrecytował numer telefonu, po czym dodał: — Jeszcze raz najmocniej przepraszam, panie van Bender. Chciałem tylko pomóc.

Wiadomość się skończyła.

Timothy podszedł do ekspresu do kawy. Wsypał kilka łyżek kawy do pojemniczka, napełnił karafkę wodą i wlał ją do urządzenia. Nie odmierzał już kawy miarką, zdając się na wycucie. Najczęściej chybione.

Rozległ się dzwonek do drzwi wejściowych. Timothy podszedł do nich i wyjrzał przez wizjer. Ujrzał sympatyczną Murzynkę z dreadami na głowie, w różowym blezerku, całą w uśmiechach. Otworzył drzwi.

— Pan van Bender? — zapytała.

— Tak — odparł. — W czym mogę pani pomóc?

Wyjęła zza pleców gruby plik papierów i wcisnęła mu w ręce. Timothy machinalnie wziął je od niej.

— Już mi pan pomógł — powiedziała pogodnie. — Miłego dnia. Odwróciła się i zbiegła po schodkach.

Timothy spojrział na dokumenty. W nagłówku był napis:

POZEW. „Powód Peter Dewer, Fundusz Rodziny Dewer I, wnosi do sądu sprawę przeciwko Timothy'emu van Benderowi i Osiris LP”. Dalej na dwunastu stronach wyliczone były wszystkie punkty pozwu, w którym Pinky Dewer domagał się zwrotu pieniędzy oraz odszkodowania w wysokości dwudziestu milionów dolarów.

W biurze Dzieciak przekazał mu kolejne złe wieści. Refco podniosło wymagania co do wysokości depozytu (czyli sumy, jaką chcieli mieć zabezpieczoną na swoim koncie, jeśli Timothy i Osiris dalej zamierzali bawić się w hazard) i zażądało uzupełnienia go do południa. Jeśli Osiris nie zdeponuje dziesięciu milionów dolarów na rachunku brokerskim, Refco zacznie wyprzedawać wszystkie transakcje w jenach. Jen miał burzliwą noc, wzrastając do osiemdziesięciu i zaraz potem spadając do siedemdziesięciu dziewięciu.

Żądanie przelania dziesięciu milionów było nierealne. Od początku miesiąca straty Osirisa wzrosły do trzydziestu milionów dolarów. Ludzie z Refco słusznie podejrzewali, że Osiris jest w opałach i wkrótce jego kłopoty mogą stać się jeszcze poważniejsze. Musieli wyczuć, że inni brokerzy obsługujący Osirisa również zażądają uzupełnienia depozytu. Ten, kto zrobi to ostatni, może nie mieć szansy odebrania długu. W tej wersji zabawy w burzę na morzu, po milionie dolarów za krzesło, nikt nie chciał zostać przyłapany bez wolnego miejsca, gdy przestanie grać muzyka.

Timothy wiedział, że to tylko kwestia czasu, zanim pozostali

brokerzy zażądają uzupełnienia depozytu. Prawdopodobnie zrobią to jeszcze tego samego dnia. Będą chcieli, żeby Osiris odkupił kontrakty terminowe po cenie siedemdziesięciu dziewięciu lub nawet osiemdziesięciu jenów za dolar. Zamieni to potencjalne straty, dotąd zapisane tylko na papierze, w rzeczywistą utratę trzydziestu milionów. Gdy inwestorzy się o tym dowiedzą, Osiris będzie skończony. Trudno będzie ich przekonać, żeby zostawili swoje pieniądze, aż Timothy „odrobi straty”, jeśli usłyszą, że czterdzieści procent ich funduszy przepadło niemal z dnia na dzień.

Kiedy tylko usiadł za biurkiem, Tricia poinformowała go, że dzwoni Hans Drexler, kolejny kumpel z Yale, który rok wcześniej powierzył Osirisowi pięć milionów dolarów.

— Cześć, przyjacielu — powiedział Timothy, podnosząc słuchawkę. — Co słychać?

Hans był Amerykaninem, ale wychowywał się w szwajcarskiej szkole z internatem i jego akcent brzmiał, jakby pochodził skądś pomiędzy dwoma kontynentami. Może z jachtu na środku Atlantyku, pomyślał Timothy.

— Dobiegły mnie słuchy o kłopotach Osirisa — oświadczył Hans.

Pewnie dowiedział się tego od Pinky'ego, pomyślał Timothy. Pinky rzeczywiście zamierzał mu dokopać.

— Jakie słuchy? — zapytał.

— Chciałbym się dowiedzieć, jak wygląda sytuacja funduszu. Wiem, że niedługo będziesz wysyłał raporty za sierpień, ale może mógłbyś przefaksować mi tymczasowe wyniki? Chyba mniej więcej wiesz, jak wyglądają zyski.

Wcale nie wyglądają, bo siedzą po uszy w gównie, odparł w myślach Timothy, a głośno powiedział:

— Chyba żartujesz, Hans! Mam zmarnować kilka godzin na przybliżone szacunki dochodów? Za parę dni dostaniesz dokładny raport.

— Wiesz, ale słyszałem, że...

— Gadałeś z Pinkym? Ten drań się na mnie wziął. Chciał, żebym obniżył prowizję do pół procenta. Kiedy się nie zgodziłem, zagroził, że zadzwoni do wszystkich i narobi mi smrodu. Wiesz oczywiście, czemu się tak wścieka?

— Nie. Czemu?

— Nie słyszałeś o jego kłopotach... w związku z fuzją? — zapytał Timothy. Nie miał pojęcia, o czym mówi, ale brzmiało to ogólnikowo i jednocześnie wystarczająco złowieszczo, żeby Hans dośpiewał sobie resztę. Na wszelki wypadek dodał jeszcze: — Z Komisją Giełdową?

— Nic o tym nie słyszałem.

— No widzisz. Coś ci powiem. Dopilnuję, żebyś dostał sierpniowy raport, jak tylko go wydrukujemy. Kiedy do nas wpadniesz? Masz u mnie kilka drinków.

— Na razie nie planuję podróży na wschód.

— Szkoda. Pogodę mamy taką, że... sam wiesz.

— Aha.

— Mam zadzwonić, kiedy sierpniowy raport będzie gotów?

— Dobry pomysł, Timothy.

— Nie ma sprawy, stary. To na razie.

— Trzymaj się.

Timothy rozłączył się, oparł się w fotelu, spojrzął na sufit i wziął głęboki oddech.

Przez uchylone drzwi wsunęła głowę Tricia i uśmiechnęła się do niego.

— Timothy?

— Tak?

— Na pierwszej linii mam Franka Arnheima z Perkins Coie.

— Połącz go ze mną.



Frank od razu przeszedł do interesów. Przypominał żołnierza na polu bitwy. Wreszcie był w swoim żywiole. Uwielbiał pozwy, a fakt, że ten akurat wymierzony był przeciwko jego klientowi, nie robił mu żadnej różnicy.

— Dostałem kopię pozwu — oświadczył. — Skurczybyk. Dwadzieścia milionów! Chce obwinić ciebie o wszystko, co się stało. — Po chwili milczenia zapytał: — Masz chociaż te dwadzieścia milionów?

— Jasne — odparł Timothy. — W sztawkach złota. Wożę je w bagażniku.

Frank roześmiał się, jednak po chwili spoważniał i zapytał:

— No dobrze, ale czemu po prostu nie zwrócisz mu tych pieniędzy?

— Chciałem je potrzymać jeszcze przez tydzień.

— Co ma się zdarzyć w ciągu tygodnia?

— Liczę na to, że Japonia podda się walkowerem. Wiesz, może odpuszczą sobie całe to uprzemysłowienie i wrócą do robienia mieczy samurajskich i uprawy ryżu. Może wtedy jen spadnie.

— Aha... — mruknął Frank. — Będziesz mógł oddać mu te pieniądze?

— Niedługo.

Frank westchnął.

— Jak chcesz. I tak płacisz mi za godziny. Nie sądzę, żeby dwadzieścia milionów odszkodowania przeszło, ale dam ci radę...

— Chce ci się?

— Nie, ale co tam. Powinieneś zwrócić mu pieniądze. Koszt ich zatrzymania może okazać się zbyt wysoki. Nie mówię o pozwie. To raczej da się wygrać. Mówię o twojej reputacji. W twoim fachu nie potrzebujesz rozgłosu. Chyba me chcesz u siebie wizyty wścibskich gości z Komisji Nadzoru Giełdy?

Timothy nic na to nie odpowiedział.

— Tak przypuszczałem — stwierdził Frank.

— Dobra, przemyślę to — odparł Timothy.

Kiedy już miał się rozłączyć, Frank powiedział szybko:

— Timothy...

— Tak?

— Przykro mi, ale będziemy musieli przejść na comiesięczną zaliczkę płatną z góry. Powiedzmy dwadzieścia tysięcy na początek. To nie moja decyzja. Taka jest polityka firmy.

— Rozumiem, Frank. Zajmę się tym.

— Dzięki.

Timothy odłożył słuchawkę i powiedział do telefonu:

— Ty skurwysynu!



W południe Refco odkupiło tysiąc kontraktów terminowych na jena w imieniu Osirisa. Tak duże zamówienie wywindowało cenę jena o pół punktu na giełdzie w Chicago. Osiris zapłacił osiemdziesiąt i pół za kontrakty, które sprzedał po siedemdziesiąt pięć. Strata, ta prawdziwa, nie na papierze, wyniosła sześć i osiem dziesiątych miliona dolarów. Była to tylko część kontraktów jena, które Osiris sprzedał za pośrednictwem Refco. Stawiając na spadek jena, Timothy podzielił sprzedaż między pięciu brokerów. Czuł, że wkrótce czterech pozostałych również zacznie nalegać na zamknięcie handlu, czterokrotnie powiększając straty Osirisa. Był niemal pewien, że mimo klauzuli poufności brokerzy przekazują sobie wiadomości o niepowodzeniach firmy. Pewnie nawet w tej chwili przez wszystkie łącza pomiędzy Chicago a Nowym Jorkiem płynęły ostrzeżenia przed rychłym upadkiem Osirisa.

Do gabinetu wszedł Dzieciak i wręczył Timothy'emu wydruk z podliczonymi stratami.

— Nie wygląda to najlepiej — stwierdził.

— Koniec będzie dopiero wtedy, gdy zaśpiewa tłusta śpiewaczka, jak mówi przysłowie — mruknął Timothy i spojrzał w górę, jakby naprawdę oczekiwał, że z sufitu spadnie na biurko wielka śpiewaczka operowa w stroju walkirii, w niedźwiedziej skórze i hełmie ze skrzydłami.

— Powinieneś wiedzieć, że rozmawiam już z innymi firmami w sprawie pracy — dodał Dzieciak.

— Naprawdę? — mruknął Timothy, patrząc na wydruk. Podniósł wzrok na swojego asystenta. — No cóż... rozumiem.

— Zostanę jednak tak długo, jak długo będziesz mnie potrzebował — oświadczył Dzieciak.

— Doceniam to — odparł Timothy.

Wstał zza biurka, zdjął marynarkę z oparcia fotela i założył

— Dokąd idziesz? — zapytał chłopak.

— Kończę na dzisiaj — oświadczył Timothy, poprawiając mankiety koszuli. — Przejmujesz ster pod moją nieobecność. Nie denerwuj się, Dzieciak. To tylko pieniądze. PIL. Pieniądze innych ludzi. Zapamiętaj to.

Jechał przed siebie bez żadnego konkretnego celu. Po prostu chciał się przejechać samochodem.

Skierował się na północ, w stronę doliny Portola. Położone między łąkami miasteczko było zabudowane domami z cedru, ustawionymi wzdłuż Uskoku Świętego Andrzeja. Dzięki przepisom prawa budowlanego zezwalającym na niską zabudowę tylko na dużych działkach, zachowało wiejski charakter.

Timothy przejechał Alpine Road przez centrum miasta, w którym było jedynie kilka wypożyczalni wideo i sklepików spożywczych, po czym minął stadniny i dojechał do podnóża gór.

Skreślił w lewo w Arestradero Road, przejechał pięćset metrów i zatrzymał się na parkingu w rezerwacie Arestradero. Rezerwat był własnością hrabstwa, ponad sześćset akrów wzgórz i łąk, przeciętych ścieżkami rowerowymi i drózkami do jazdy konnej. Katherine lubiła zabierać go tu na spacer. Najczęściej prowadziła go szlakiem Meadowlark do najwyższego wzniesienia na terenie rezerwatu. Zwykle wyprzedzała Timothy'ego w marszu, ponaglając go rzucanymi przez ramię uwagami: „Ruszaj się, Kuśtyk. Dasz radę”.

Zawsze czekała na niego na szczycie wzgórza. Mieli stąd widok na całą okolicę — na brązowe łąki, jaskrawoniebieską zatokę tonącą w mgłę, na wzgórza porośnięte kalifornijskimi makami i jaskrami.

Zostawił bmw na parkingu i wszedł na teren parku. Zaczął wspinać się szlakiem Meadowlark. Było gorąco i wkrótce zaczął się pocić. Poluzował krawat, zdjął marynarkę i zwinął ją w kłębek pod pachą. Szlak był miejscami dość stromy i wkrótce Timothy poczuł ból w kolanie, ale nie chciał się poddać.

Przyjechał tu, żeby móc w spokoju pomyśleć. Miał nadzieję, że przyjdzie mu do głowy jakieś rozwiązanie jego problemów, ale ze zdziwieniem stwierdził, że nie ma żadnych pomysłów. Jego firma zbankrutowała, a niebawem jego reputacja także legnie w gruzach. Zastanawiał się, gdzie się pomylił. Rzykowne postawienie na jena, ukrywanie strat przed inwestorami. Teraz wydawało mu się oczywiste, że musiał przegrać. Przypominało to przedpołudniowe programy telewizyjne dla młodzieży, które miały pokazać, na czym polega życie. Nie był jednak zdziwiony, kiedy uświadomił sobie, że niczego nie żałuje. Gdyby mógł cofnąć czas, zrobiłby dokładnie to samo.

Usłyszał chrzęst żwiru i kamieni. Odwrócił się i ujrzał młodą kobietę jadącą w jego stronę na rowerze górskim. Spod kasku wystawała ładna buzia, spocona i brudna. Dziewczyna miała nie więcej niż dwadzieścia lat i pewnie była studentką ze Stanfordu. Kiedy mijala Timothy'ego, uśmiechnęła się i zawołała:

— Dzień dobry!

Skinął jej głową, a ona stanęła na pedałach i chybotając się na boki, z wysiłkiem zaczęła pokonywać strome zbocze.

Zupełnie jak Katherine dwadzieścia lat temu, pomyślał Timothy.

Napłynęły wspomnienia. Były to miłe wspomnienia: jego oświadczyń w restauracji w Greenwich Village, przy świecach, kiedy

Katherine była jeszcze młoda, jak ta dziewczyna na rowerze. Katherine w dniu ich ślubu, pięknie wyglądająca w sukni ślubnej. Za nimi pojawiły się inne wspomnienia, jedno za drugim: Katherine i on w Big Sur, podczas wspinaczki na szczyt skały nad samym morzem; Katherine kochająca się z nim, chłód prześcieradeł i gorąco jej ud; Katherine siedząca na łóżku hotelowym i pisząca coś w swoim pamiętniku; Katherine gotująca dla niego obiad. Wspomnienia napływały bezładnie, wyskakując ze strumienia czasu bez żadnego chronologicznego porządku, najpierw sprzed dwudziestu lat, a potem sprzed dwóch tygodni.

Nagle zrozumiał, po co tu tak naprawdę przyjechał. Chciał być sam, żeby poszukać rozwiązania swojego problemu, ale prawdziwy problem nie miał nic wspólnego z Osirisem czy nieuchronnym bankructwem. Nie dotyczył też jego zniszczonej reputacji, Pinky'ego Dewera, inwestorów ani jena.

Bez względu na to, jak bardzo chciał odsunąć na bok wątpliwości, jak bardzo starał się myśleć tylko o pracy, o swoim nielojalnym prawniku i pracownikach, o dwudziestomilionowym pozwie, nie mógł zapomnieć rozmowy z Chińczykiem. Przed oczami nadal miał demonstrację na komputerze, Katherine ukazującą mu się w fosforyzujących pikselach niczym krzemowy duch.

Wciąż wracała do niego jedna myśl: A może to nie oszustwo? Może to wszystko jest prawdą?

Czuł, że musi zadzwonić do doktora Ho, ale odwlekał ten moment, ponieważ wiedział, że po tej rozmowie nic już nigdy nie będzie takie jak przedtem.

Zjadł samotnie obiad w kuchni — kolejną miskę spaghetti z oliwą — i opróżnił butelkę caberneta przyniesioną z piwniczki. Potem przeniósł się do pokoju i włączył telewizor. Nalał sobie szklaneczkę dalmore i usiadł na sofie. Nie chciało mu się zaciągać zasłon. Na dworze panowała ciemność, przez otwarte okna wpadało ciepłe nocne powietrze. Timothy patrzył na ekran telewizora, nawet nie wiedząc, co ogląda, i rysował palcem esy-floresy na parze, zbierającej się na zewnętrznej stronie szklanki. Na jej krawędzi zawisła kropla wody i po chwili spadła mu na spodnie.

Dokończył whisky, wrócił do kuchni i jeszcze raz odsłuchał wiadomość od doktora Ho. Zapisał numer telefonu na żółtej samoprzylepnej karteczce i zadzwonił.

Clarence Ho — odezwał się w słuchawce głos doktora.

W tle słychać było rozmowy i brzęk szkła.

— To ja — powiedział Timothy.

— Pan van Bender?

— Tak.

— Proszę poczekać — rzucił doktor do słuchawki.

Powiedział coś do swoich znajomych, rozległy się odgłosy kroków i trzask zamykanych drzwi, a potem zapanowała cisza.

Po długiej przerwie Ho oświadczył:

— Musiałem wytłumaczyć wczoraj pana żonie, co się stało.

Timothy milczał. Stał oparty czołem i łokciem o kuchenną ścianę. Mur był przyjemnie chłodny. Zamknął oczy.

— Jest pan w domu? — zapytał Ho. — Ma pan tam komputer?

— Tak.

— Proszę to zapisać... — Podyktował skomplikowane komputerowe polecenie, które Timothy zapisał na karteczce. — Może pan z nią rozmawiać, kiedy tylko będzie pan chciał. Niech pan zadzwoni do mnie rano — dodał i rozłączył się.

Timothy z żółtą karteczką w zaciśniętej dłoni wspiął się po schodach na piętro i wszedł do biblioteki. To był pokój Katherine — znajdowały się w nim jej dębowe regały, jej książki (przez które nigdy nie mógł przebrnąć), a nawet jej biurko i czerwony dywan z mieszkania w Nowym Jorku. Na biurku stał komputer. Timothy rzadko go używał. Usiadł na krześle, sięgnął pod biurko i włączył go. Po chwili komputer był gotowy do pracy.

Zgodnie z instrukcjami Ho Timothy odnalazł wiersz poleceń i wpisał komendę:

telnet 33.141.61.254

Kursor przez chwilę pozostawał nieruchomy, a potem na ekranie zaczęły pojawiać się słowa:

Proszę, nie zrzucaj dzisiaj komputera z biurka.

Timothy oparł się o poręcz. Nie wiedział, co odpisać. Może powinien zrezygnować? Czy ten... program może być jego żoną? Czy to w ogóle jest jakikolwiek program? Może to Ho siedzi w swoim laboratorium i chichocze, pisząc te słowa.

Na ekranie pojawiła się nowa linijka tekstu:

To nie jest najlepszy moment na fobię technologiczną, Kuśtyk.

Po chwili:

Nie wściekasz się, że cię tak nazywam?

Timothy zamknął oczy. Wino i whisky zaczynały działać. Nie czuł nic poza lekkimi zawrotami głowy. Słowa udające Katherine nic dla niego nie znaczyły. Bardzo chciał, żeby to była ona, ale nie potrafił w to uwierzyć. Jego żona nie żyła, a on był pijany.

Napisał:

Nie bardzo wierzę w to wszystko.

Po paru sekundach pojawiła się odpowiedź:

Wiem. To wygląda nieprawdopodobnie, ale to ja. Timothy, to niesamowite. Jestem czystą myślą. Tak przynajmniej to odczuwam. Myślę o pisaniu i pojawiają się słowa.

Timothy potarł podbródek. Czy to mogła być jego żona? W komputerze? Wydawało mu się to niemożliwe.

A jednak.

Przecież wiele razy widział nowe technologie, które z początku wydawały się magią. Czy to możliwe, że doktor Ho stworzył coś tak niezwykłego jak ludzki umysł zamknięty w komputerze? Kiedy o tym myślał, wydawało mu się to nieprawdopodobne. Ale jaka technologia nie wydawała się nieprawdopodobna, kiedy ją tworzono? Czy MRI — metoda zagłądania do wnętrza ludzkiego ciała bez jego otwierania — nie sprawiał wrażenia magii? Albo pomysł stworzenia komputera, który mógł grać w szachy z człowiekiem? A gdy ludzie zaczęli zamrażać spermę i jajeczka, żeby robić dzieci w laboratorium, czy to też

nie wydawało się szaleństwem?

Teraz uważamy to wszystko za zupełnie oczywiste, choć na początku wydawało się niesamowite, pomyślał Timothy.

Czy kopiowanie ludzkich umysłów naprawdę jest takie szokujące? Doktor Ho przedstawił to w bardzo przekonujący sposób. Mózg to tylko program komputerowy, a przecież kopiujemy programy z komputera na komputer.

Jeśli gdziekolwiek na świecie mogła powstać taka technologia, to właśnie w Dolinie Krzemowej. Samotny naukowiec, wyśmiewany przez kolegów, ale znajdujący bogatego inwestora. Czy to aż tak bardzo różniło się od odkrycia metody rekombinacji DNA (umieszczenie genów kozy w bakterii E. Coli) dokonanego przez Genentech, który mieścił się przy tej samej ulicy?

Nawet jeśli to coś, co do niego pisało, było tylko symulacją jego żony, jakimś trikiem wykorzystującym sztuczną inteligencję, nie miało to dla niego znaczenia. To coś w komputerze odpowiadało na wszystkie pytania właśnie tak, jak odpowiadałaby jego żona. Czy to nie wystarczy? Czy nie mógł się po prostu cieszyć, że znowu może z nią rozmawiać? Nie zamierzał przecież wyłączyć komputera i odejść.

Napisał:

Dlaczego popełniłaś samobójstwo?

Natychmiast tego pożałował, ponieważ zabrzmiało to jak oskarżenie. Nastąpiła długa pauza, jakby te słowa zraniły Katherine. Wreszcie pojawiła się odpowiedź:

Nie pamiętam. To znaczy pamiętam, że o tym myślałam. Kiedy się dowiedziałam, że jestem chora, postanowiłam ze sobą skończyć. Tyle że ta kobieta, która się zabiła, to nie byłam ja. Ja jestem kopią. Doktor Ho zrobił ją w przeddzień naszego

wyjazdu do Big Sur. Pamiętasz, jak ci powiedziałam, że idę na obiad razem z Ann? Pojechałam wtedy do doktora. To ostatnia rzecz, jaką pamiętam.

Timothy wpatrywał się w te słowa, próbując je pojąć.

Katherine pisała dalej:

Jak było w Big Sur? Zaliczyłeś? (Mnie!) Mieliśmy udany seks?

Timothy roześmiał się. Nagle ogarnęła go ogromna radość. Czuł się jak zakochany chłopak, który skradł pierwszy pocałunek, albo człowiek szukający pracy, któremu zaoferowano znacznie wyższą pensję, niż się spodziewał. Czyżby to rzeczywiście była Katherine?

Wiedział, co teraz do niej napisze, chociaż obawiał się trochę, że Katherine obleje egzamin i jego szczęście zgaśnie jak zdmuchnięta świeczka, a on nigdy już nie poczuje się jak w tej chwili. Ale musiał mieć pewność. Napisał bardzo wolno, żeby jak najdalej odsunąć rozstrzygający moment:

Odpowiesz mi na jedno pytanie?

Odpisała:

Na jakie tylko chcesz.

Jak mieliśmy je nazwać? Nasze dziecko. Przy ostatniej próbie.

Kiedy kursor pozostał nieruchomy, Timothy'ego przeszył ból zawodu. Wiedział, co oznacza ta pauza. To wszystko było zwykłym kantem. Ho nie znał imienia, jakie mieli nadać dziecku, którego kiedyś spodziewała się jego żona. Ale nieźle to przygotował. Przed śmiercią Katherine wypytał ją o wszystko, zapisał wszystkie szczegóły, nawet podpatrzył jej sposób formułowania zdań. Ten żart: „Zaliczyłeś? (Mnie!)” doskonale do niej pasował — beztroski i jednocześnie samokrytyczny. Świetny trik, ale tylko trik.

Nagle kursor znowu pomknął po ekranie.

Connor. (Wybaczam ci, że musiałeś mi o tym przypomnieć).

Timothy w milczeniu gapił się na ekran. Trzęsły mu się ręce i nagle

rozplakał się. Jedna łza spadła na biurko, jak wcześniej kropla wody ze szklanki whisky na spodnie. Po chwili popłynęły kolejne, a on siedział, ocierając łzy z twarzy. Jego żona była wśród żywych, rozmawiała z nim. Nie stracił jej. Dostał od losu jeszcze jedną szansę.

— Katherine... — wymamrotał, dotykając palcami ekranu.

Przez łzy widział wszystko niewyraźnie i na ekranie była tylko plama rozmazanego tekstu. Otarł oczy i ponownie spojrzął na monitor. Teraz już mógł odczytać, co napisała.

Tęsknię za tobą, Kuśtyk. Musisz porozmawiać z doktorem Ho. On ci wszystko wyjaśni. Chcę cię znowu zobaczyć. Chcę stąd wyjść.

Chińczyk zgodził się spotkać z Timothyem w południe następnego dnia. Nalegał jednak na spotkanie w miejscu publicznym. Najwyraźniej doświadczenie nauczyło go, że lepiej nie ryzykować rozmowy w cztery oczy z wybuchowym panem van Benderem.

Umówili się w centrum handlowym, które przylegało do Uniwersytetu Stanforda. Ho czekał na niego na placyku przed restauracjami i kawiarniami. Siedział przy stoliku z drucianej siatki, a przed nim stały dwa kartonowe kubki z kawą.

Timothy podszedł do stolika. Pod okiem doktora dostrzegł siniak wielkości kuli bilardowej.

— Niezła śliwa — mruknął, siadając po drugiej stronie stolika.

— Mam nadzieję, że nie będzie mnie pan dzisiaj bił, panie van Bender.

— To zależy.

— Od czego?

— Czy podzieli się pan ze mną kawą.

Ho podsunął mu jeden kubek.

— Rozumiem, że rozmawiał pan z żoną — powiedział.

Timothy rzucił mu podejrzliwe spojrzenie.

— Jeśli pan mnie oszukał, jest to największe draństwo, do jakiego zdolny jest człowiek.

— Nie oszukałem pana. — Ho upił łyk kawy i z powrotem zamknął plastikowe wieczko. — I nie chcę od pana żadnych pieniędzy. Otrzymałem już zapłatę za wykonanie kopii. Niczego od pana nie chcę. Żadnych pieniędzy, pomocy czy reklamy. Niczego. — Milczał przez chwilę, po czym dodał: — Robię to, ponieważ obiecałem pańskiej żonie.

— Co pan jej obiecał?

Ho wzruszył ramionami.

— To nie żadne science fiction, panie van Bender — powiedział. — Nie mam czarodziejskiej różdżki. Nie potrafię nikogo przywrócić do życia. Ciało pańskiej żony... umarło. Nawet gdyby się... — urwał, szukając bardziej odpowiedniego słowa — nawet gdyby sama nie zakończyła swojego życia, i tak wkrótce zabrałaby ją choroba. Na tym polega problem z techniką robienia kopii zapasowych. Utrzymuję pana żonę w bezcielesnej postaci, ale tak naprawdę nie jest już człowiekiem i mówienie o niej jak o żywej istocie jest pozbawione sensu. Jednak pewnego dnia, kiedy udoskonalimy technikę klonowania, a wierzę, że jest to tylko kwestią czasu... no cóż, sam pan może sobie wyobrazić, jakie to stwarza możliwości. Będziemy mogli wtedy skopiować umysł każdego człowieka i przechować go wraz z fragmentem tkanki. Jeśli coś się komuś przydarzy albo ciężko zachoruje, wystarczy załadować kopię do klonu i gotowe. Znikną takie pojęcia jak przypadkowy zgon czy nagła choroba. Potrafi pan to sobie wyobrazić?

— Brzmi nieźle.

— To wizja, nad której urzeczywistnieniem pracuje moja firma.

Naszym celem jest spełnienie największego marzenia człowieka: zapewnienie mu nieśmiertelności. Oczywiście niesie to ze sobą całą masę problemów, przede wszystkim etycznych i prawnych. Myślę jednak, że poradzimy sobie z nimi. Nie da się zatrzymać rozwoju.

Popatrzył na Timothy'ego, czekając na odpowiedź, ale się nie doczekał.

— Wróćmy do pańskiej żony — powiedział po chwili. — Stoi pan przed trudnym wyborem. Nie zazdrozczę panu.

— Jakim wyborem?

— Skopiowanie pańskiej żony to tylko połowa dzieła. Katherine chce wrócić do pana, być z panem... fizycznie.

— Wspaniale. Ale jak to zrobić?

Doktor pokręcił głową, jakby chciał powiedzieć: „Panie van Bender, nie jest pan zbyt bystry”.

— Proszę mi powiedzieć — nalegał Timothy.

— Jak już mówiłem, to nie jest science fiction. Nie wyleczę raka ani nie ożywię ciała pańskiej żony.

— Więc co pan może zrobić?

Ho pochylił się, jakby chciał przekazać Timothy'emu największą tajemnicę.

— Mogę przywrócić pańską żonę do życia, ale potrzebuję do tego... — nie dokończył.

— Czego?

— Naczynia — wyjaśnił doktor. — Innej osoby. Musiałbym zapisać pana żonę na czyimś twardym dysku, jeśli można to tak ująć.

— Zapisać... — Timothy urwał, próbując zrozumieć, co to oznacza. — A co się stanie z tą drugą osobą?

Chińczyk wzruszył ramionami.

— Zabije ją pan?

Ależ skąd — zaprzeczył Ho i rozejrzał się szybko, żeby prawdzie, czy nikt im się nie przysłuchuje. Obok nich przeszła gruba kobieta z

dwójką tłustych dzieciaków i doktor poczekał, aż się oddalą. — Jej ciało pozostanie przy życiu, a umysł... no cóż, mogę po prostu zrobić kopię tej osoby. Kiedy tylko będzie to technicznie możliwe, przywróci się tę osobę do jej własnego ciała i nikomu nic się nie stanie.

— Chyba pan żartuje.

Doktor pokręcił głową. Wcale nie żartował.

— Więc może przywrócić pan Katherine do życia w czymś ciele?

Ho przytaknął.

— Czyim? — spytał Timothy.

Chińczyk wzruszył ramionami.

— To już pana problem — odparł. — Proszę mi jednak pozwolić udzielić sobie paru wskazówek. Przede wszystkim musi to być młoda i zdrowa osoba. To byłaby ironia losu, gdyby po wykonaniu zabiegu okazało się, że wybrał pan kogoś chorego na raka. Oczywiście powinna to być kobieta... nie sądzę, żeby chciał się pan budzić codziennie rano obok brodatego stukilowego kierowcy ciężarówki. Najlepiej taka, która pociągałaby pana fizycznie, tak samo jak kiedyś żona. I jeszcze jedna sugestia, jeśli pan pozwoli...

— Proszę mówić.

— Powinna to być osoba, którą pan zna. Taka, która mogłaby uchodzić za... następczynią pana żony. Chcę uniknąć zwracania na siebie uwagi. Nasza technologia nie jest jeszcze na takim etapie, który pozwoliłby nam sprostać większemu zapotrzebowaniu. Nie powinniśmy się afiszować.

— Rozumiem — mruknął Timothy.

— Na pewno? — zapytał Ho. — Jest pan pewien, że rozumie, jak ważny jest pański wybór? Niech pan starannie wybierze naczynie,

ponieważ włoży pan do niego swoją żonę. Prawdopodobnie spędzi pan z tą osobą resztę życia.

— To przypomina szukanie sobie żony.

— Rozmawiałem na ten temat z panią van Bender — powiedział Chińczyk. — Zdaje sobie sprawę, że wybór nie jest łatwy, i pozostawia panu wolną rękę. Ma nadzieję, że pan dobrze wybierze.

Uzgodnili, że Timothy zadzwoni do doktora Ho, jak tylko znajdzie odpowiednie „naczynie”, a potem przyjedzie z nim do laboratorium. Wyglądało to tak, jakby umawiali się, że Timothy wpadnie do laboratorium, wracając z wyprawy na ryby, i podrzuci złowionego pstrąga.

Wrócił do samochodu i ruszył przez parking centrum handlowego, mijając gospodynie domowe wracające do samochodów z torbami zakupów, dzieciaki zebrane przed budką z lodami, pawilon z burito z kilkoma stolikami, przy których siedzieli biznesmeni w krawatach schowanych za koszule dla ochrony przed poplamieniem. Patrząc na tych wszystkich ludzi, Timothy czuł się nieswojo. Mógł odzyskać Katherine, ale musiał wybrać „naczynie”, w którym zostanie umieszczona. Kogo miał wybrać? Jedną z gospodyń domowych? Jedną z młodych dziewczyn podających kawę w Starbucks? Ładną sprzedawczynię z księgarni?

Jechał powoli, jak automat obracając kierownicę, włączając światła mijania, zatrzymując się lub zwalniając, żeby przepuścić pieszych. Rozejrzał się i stwierdził, że przejechał już dwa kilometry w stronę domu. Czas stanął w miejscu. Timothy czuł się w środku zupełnie pusty.

Dobrze wiedział, skąd wzięło się to uczucie pustki. Zamierzał zrobić coś okropnego. Choć nie rozumiał szczegółów planu doktora, zdawał sobie sprawę, że postępuje źle. Wybierał „naczynie”. Szukał ofiary.

Ale czy każdy inny człowiek na jego miejscu nie postąpiłby tak samo? Czy jakikolwiek mężczyzna, który kocha swoją żonę, mógł zrobić inaczej? Właśnie dlatego mężczyźni wyruszają na wojny, zrzucają napalm na słomiane chaty, bombardują katedry i zastanawiają się nad dopuszczalną liczbą „postronnych ofiar”. Czasem miłość do kobiety wymaga wyzbycia się skrupułów. Liczy się tylko ona.

Jego żona miała do niego wrócić. Kochał ją ponad wszystko, bardziej niż kogokolwiek innego na świecie. Musiała umrzeć, żeby to rozumiał, żeby uświadomił sobie, jak wiele dla niego znaczy. Była całym jego światem. Jediną kobietą, którą kiedykolwiek kochał. Jediną osobą, której ufał.

Bez niej jego życie nie miało sensu: samotne noce w pustym domu, koszmary senne, powolne zacieranie się w pamięci wspólnie przeżytych szczęśliwych chwil.

Zdawał sobie sprawę z tego, że wkracza na drogę prowadzącą do katastrofy. Jednak tak samo jak wcześniej tego dnia uświadomił sobie, że powtórzyłby swoją zagrywkę z jenem, tak teraz wiedział, że musi przywrócić Katherine do życia bez względu na koszt, bez względu na to, co z tego miało wyniknąć.

Tak bardzo ją kocham, pomyślał. Tak bardzo za nią tęsknię. Jestem gotów na wszystko. Na wszystko.



Kiedy dojechał do ulicy Webster znajdującej się niewiele ponad kilometr od jego domu, wiedział już dokładnie, co Powinien zrobić.

Najpierw jednak musiał znaleźć odpowiedź na pytanie, kogo ma wybrać?

Trzymając kierownicę jedną ręką, drugą wybrał numer na swojej komórce i przycisnął ją do ucha. Zdziwił się, kiedy odebrał Jay.

— Osiris, słucham.

— Dzieciak? To ja. Gdzie Tricia?

— Wyszła na chwilę. Dobrze, że dzwonicz. Właśnie trzech inwestorów zażądało zwrotu pieniędzy. Sharpe, Johnson i Hendrick.

— Co im powiedziałeś?

— Że zadzwonicz do nich, jak wrócisz. Gdzie jesteś?

— Przed chwilą wyjechałem z centrum handlowego — odparł Timothy.

— Z centrum handlowego? Co ty tam...

— Możemy przetrzymać ich pieniądze przez dziewięćdziesiąt dni. Powiedz im, że włączymy stoper i oddamy forszę we właściwym czasie.

— Dobrze.

— To jak... — zaczął Timothy, starając się nie okazywać emocji

— ...Tricia już wróciła?

Dzieciak westchnął. Najpierw jego szef wybrał się na zakupy, kiedy jego firma lada chwila miała zbankrutować, a teraz zebrało mu się na amory z sekretarką.

— Momencik — powiedział.

Po chwili w słuchawce odezwał się głos Tricii:

— Halo?

— Cześć, Tricia.

— Cześć, Timothy.

— Pamiętasz, że mieliśmy wyskoczyć razem na drinka pod koniec tygodnia?

— Aha.

— No to właśnie nadszedł ten dzień. Masz jakieś plany na dzisiejszy wieczór?

— Nie, żadnych. Chyba że...

— Wobec tego zabieram cię na obiad. Znasz Duńską Gęś?
— Zajebiscie!
— Zajebiscie — przyznał Timothy. — Spotkamy się tam o siódmej
trzydzieści.
— Świetnie.
— Nie bierz ze sobą Dzieciaka — dodał szybko Timothy.
— No coś ty!
— Wobec tego na razie — powiedział i rozłączył się.
Od początku wiedział, kogo wybierze.

Położona przy Alameda Duńska Geś była prawdziwą instytucją w Stanfordzie. Podawano w niej świeże piwo i tłuste hamburgery, a na podłodze leżały łupiny po orzechach. Stoły w ciasnych boksach pokrywały całe dekady inicjałów wrytych w ciemnym lakierowanym drewnie. Były niczym runy: tajemnicze pieśni opowiadające o podbojach miłosnych. Każdego roku, kiedy studenci wyjeżdżali na wakacje, stoły lakierowano i pokryto je już tyloma warstwami lakieru, że stare blizny były ledwo czytelne — historie chłopców tak bardzo zakochanych, że musieli uwiecznić to w drewnie. Młodzi ludzie, którzy zostawili tu swoje inicjały, sami także zostali polakierowani przez czas i odległość. Postarzeli się i utyli albo wyjechali gdzieś daleko, gdzie pożenili się, mieli dzieci i wiedli życie zupełnie odmienne od tego, o jakim marzyli, dłubiąc scyzorykami w barowych stołach.

Dla Timothy'ego Duńska Geś była synonimem młodości. Uwielbiał tutaj przychodzić, czuć, jak podłoga drży od muzyki dobiegającej z szafy grającej. Lubił zapach dymu i porozlewanego piwa. Z początku nie był pewien, czemu zaprosił tu Tricie, ale zrozumiał to, gdy tylko przekroczył próg pubu.

Właśnie tutaj oświadczył się Katherine i tu miał jeszcze raz poznać swoją żonę. Tyle że teraz miał czterdzieści siedem lat i był najstarszym gościem pubu.

Zauważył Tricię siedzącą pod ścianą w końcu sali. Przypomniał sobie, że zawsze siadała w końcu sali, żeby móc obserwować wszystkich wchodzących.

Przecisnął się przez tłum studentów, którzy zostali w mieście, i podszedł do niej. Zasiadł w boksie, który był tak wąski, że pod stołem dotykali się kolanami. Tricia miała na sobie obcisły czarny sweter, bluzkę z krótkimi rękawkami i srebrny naszyjnik. Poczł zapach jej perfum — był to słodki, ciężki zapach, przypominający zapach bukietu z ceremonii żałobnej, który stał obok portretu Katherine. Zdjęła także okulary. Przełączyła się na program wieczorny, pomyślał Timothy. Była także umalowana — tym razem jaskrawo-czerwoną szminką — i wyglądała oszałamiająco. Timothy ucieszył się na jej widok. Mógł ją mieć, i to na swoich warunkach. Tricia zostanie jego żoną. A raczej to jego żona stanie się Tricia.

— Idę po drinki — oświadczył.

— Dla mnie cosmo.

— Żadnego cosmo — sprzeciwił się. — Dzisiaj nauczysz się pić jak kobieta z klasą.

Zanim zdążyła zaprotestować, odwrócił się i podszedł do baru. Barman, młody blondyn, popatrzył na niego pytająco.

— Dwie whisky na kościach. Podwójne. Macie jakąś porządną szkocką? — zapytał Timothy.

— Macallan.

— Doskonale.

Kiedy barman nalał trunku do szklaneczek, Timothy rzucił na kon-tuar pięćdziesiąt dolarów.

— Potrzebuję drobnych — oświadczył. — Szesnaście dolarów dla ciebie.

— Dzięki — powiedział barman, odwrócił się i podszedł do kasy.

Timothy rozejrzał się szybko na boki. Po jego obu stronach stały dwie grupki ludzi zajętych rozmową. Po lewej para w średnim wieku, mówiąca coś do siebie podniesionymi głosami — pewnie się kłócili. Po prawej kilku szczupłych mężczyzn w okularach, z przetłuszczonymi włosami, w dżinsach i niebieskich bawełnianych koszulach, mundurkach inżynierów. Również byli pochłonięci rozmową, ale nie patrzyli na siebie, tylko na drewnianą barową ladę, jakby to ona była przedmiotem ich dyskusji.

Upewniwszy się, że nikt nie zwraca na niego uwagi, Timothy wyjął z kieszeni trzy niebieskie tabletki, które wcześniej zabrał z apteczki Katherine.

Trzymał je nisko, żeby kontuar zasłonił go przed wzrokiem barmana. Chłopak zajęty był układaniem banknotów w kasie i obliczaniem wysokości swojego napiwku.

Timothy wrzucił tabletki do drinka stojącego po prawej stronie. Wziął z baru czerwone mieszadelko, żeby oznaczyć szklanke, i zamieszał nim alkohol.

Obejrzał się przez ramię na Tricię, ale patrzyła w inną stronę.

Barman wrócił do niego i wręczył mu garść banknotów.

— Jeszcze raz dzięki — powiedział.

— Nie ma za co — odparł Timothy i już miał się odwrócić, gdy nagle poczuł czyjąś dłoń na ramieniu. Ktoś za nim stał. Odwrócił się i ujrzał potężnego mężczyznę o równo przyciętej bujnej brodzie i wąsach, w skórzanej motocyklowej kurtce. Mężczyzna wskazał brodą drinka, którego Timothy trzymał w prawej dłoni.

— Ty, facet — powiedział. — Co to jest?

Timothy obrzucił go taksującym wzrokiem. Motocyklista musiał ważyć ze sto dwadzieścia kilo. Po okolicy kręciło się jeszcze trochę

niedobitków Aniołów Piekła, którzy mieszkali w północnokaliifornijskich lasach sekwojowych pod La Honda i w Woodside, w sąsiedztwie Neila Younga czy Jerry'ego Garcii, zanim jeszcze dolina stała się Doliną Krzemową. Były to czasy, kiedy zaawansowana technologia oznaczała pierwsze loty w kosmos i koncentrowała się na hydroponice oraz sztucznym oświetleniu.

— Co jest co? — zapytał Timothy.

— Drink — odparł motocyklista. — Wygląda interesująco.

Timothy zerknął na Tricię. Patrzyła na niego, najwyraźniej zaciekawiona jego rozmową z brzuchatym brodaczem.

— Słuchaj, nie chcę żadnych kłopotów — powiedział cicho.

Motocyklista spojrział na Tricię. Przyglądał się jej przez chwilę, a potem odwrócił się z powrotem do Timothy'ego. Wziął z kontuaru mieszadełko, wsadził je do ust jak wykałaczkę i żuł przez chwilę.

— Luz, stary. Chodziło mi po prostu o to, że ten drink nieźle wygląda. Co to jest?

— Macallan. Mogę ci postawić jednego?

— Podwójnego — odparł motocyklista i uśmiechnął się.

— Nie ma sprawy.

Timothy zamówił whisky, po czym otworzył portfel i położył pięćdziesiąt dolarów na kontuarze.

— Pozwolisz, że ureguluję rachunek? — zapytał brodacza.

— Jasne.



Timothy wrócił z dwoma drinkami do stolika.

— Kto to był? — zapytała Tricia.

— Jakiś lokales.

— Walczyliście o mnie?

— Powiedziałem mu, że mam czarny pas, i od razu odechciało mu się walki.

— A masz?
— Od Gucciego — odparł. — Ze skóry aligatora.
Podsunał jej drinka z mieszadełkiem.
— Co to?
— Whisky. Spróbuj.
— Panie van Bender, czy pan chce mnie upić?
— Oczywiście. — Uniósł szklaneczkę. — Twoje zdrowie.
Trzymała szklanekę w ręku, ale nie podniosła jej do ust.
Miała niepewną minę.
— Wiesz, tamtej nocy...
Timothy pokręcił głową.
— Nie mówmy o tym. To moja wina. Wysyłałem mylące sygnały.
— Ale ja... — Przez chwilę szukała właściwego słowa. — Trochę przesadziłam, prawda?
Przypomniał sobie, jak wsadziła mu język do ucha i oznajmiła, że chce poczuć w środku jego kutasa.
— Nic podobnego — zaprzeczył. — Byłaś prawdziwą damą Zresztą było, minęło. Przepraszam cię za moje zachowanie.
— Ja ciebie też. — Podniosła szklaneczkę. — Za drugą szansę.
Stuknęli się.
Dziewczyna upiła łyk i oblizła wargi.
— Nie było cię dzisiaj w Osirisie. Sprawy nie wyglądają najlepiej, co?
— To prawda.
Pochyliła się w jego stronę.
— Myślę, że Jay szuka już sobie nowej pracy.
— Tak uważasz?
Kiwnęła głową.
— A ty? — zapytał.
— Ja? — Spojrzała na niego ze zdziwieniem. — Nie, ja zostaję. Chyba że nie chcesz.

— Zostań. Potrzebuję cię — odparł.

To znaczy twojego ciała, dodał w duchu.

— Wiem. Potrzebujesz kogoś bliskiego. No wiesz... najpierw żona, a teraz jeszcze kłopoty z firmą. Twój inwestorzy chcą cię opuścić, pracownicy odchodzą. Wiem, że jestem tylko sekretarką...

— Asystentką.

— Nieważne. Wiem, co to znaczy mieć kłopoty. Kiedy wszystko się chrzani, najbardziej potrzebujesz odrobiny lojalności. Możesz liczyć na moją. Słowo.

To, co powiedziała, poruszyło go i przez chwilę chciał dać sobie spokój. Mógł się jeszcze wycofać. Mógł odwieźć ją do domu i położyć spać, zanim tabletki zaczną działać. Wystarczy, że zadzwoni do doktora Ho i powie mu, że się wycofuje. Wyjaśni, że chociaż bardzo kocha Katherine, nie zamierza krzywdzić niewinnej dziewczyny dla jakiegoś szalonego eksperymentu naukowego.

— Wiesz co — powiedziała Tricia, patrząc mu w oczy — jesteś zajebistym gościem.

Uśmiechnął się, mimo że w środku aż go skręciło. Katherine nigdy by nie użyła tego słowa. W tych kilku sylabach zawierała się cała ogromna różnica między Tricią a kobietą, którą kochał.

— Może i jestem — zgodził się.

Siedzieli w milczeniu. Timothy nadal się uśmiechał, ale dziewczyna musiała wyczuć w nim jakąś zmianę, bo w końcu zapytała:

— Coś nie w porządku?

— Nie, nie, wszystko jest OK.

— Tęsknisz za żoną?

— Bardzo — przyznał i głos mu się załamał. — Bardziej, niż możesz sobie wyobrazić.

Sięgnęła nad stołem i wzięła go za rękę.

— Jestem przy tobie.

Rozmowa o Katherine utwierdziła go w podjętej wcześniej decyzji. Było mu przykro z powodu tego, co zamierzał zrobić Tricii, ale wiedział, że to zrobi. Teraz był już tego pewien. Nie miał wyboru. Doktor Ho dał mu szansę, jedyną w życiu. Mógł odzyskać Katherine. Mógł cofnąć czas, naprawić swoje błędy, zacząć od początku. Każdy na jego miejscu postąpiłby tak samo. Każdy, kto kochał swoją żonę.

— Jak widzisz, nie odchodzę z Osirisa — powiedziała Tricia, biorąc jego milczenie za wdzięczność. — Przynajmniej do czasu, aż jen znowu spadnie i odrobisz straty. Jestem pewna, że dasz sobie radę.

Timothy pokiwał głową. Było to miłe z jej strony, ale jednocześnie trochę dziwne. Zawsze brał ją za słodką idiotkę, która potrafi tylko odbierać telefony. Tymczasem okazało się, że wie o kursie jena. Nie, żeby kiedykolwiek ukrywał to przed nią. Nigdy nie było takiej potrzeby, bo nigdy jej to nie interesowało. To przecież właśnie ona mówiła swoim znajomym, że nie ma pojęcia, jak Timothy zarabia na życie. A teraz siedzi naprzeciw niego z niewinną minką i mówi o jenie — i nawet wie, że powinien spadać. Dziwne.

Tricia upiła następny łyk szkockiej.

— Ale daję kopa! — zawołała, odstawiając szklanekę na stół z taką siłą, że siedzący obok ludzie obejrżeli się na nich. — Ups! — zachichotała.

— Ostrożnie — powiedział Timothy, śmiejąc się razem z nią. Ciekaw był, ile czasu potrzeba, żeby trzy tabletki valium podziały. Jak się wkrótce okazało, całkiem niedużo.



Kiedy zaczęła sprawiać wrażenie, jakby zaraz miała zasnąć, doszedł do wniosku, że pora się zbierać.

— Chodźmy — powiedział.

Zamykały jej się oczy. Zachichotała i pochyliła się nad stołem.

Opierała się piersiami o blat, żeby nie zsunąć się na zasypaną łupinami orzechów podłogę.

— Do ciebie czy do mnie? — zapytała bełkotliwie.

— Do mnie — odparł. — Poczekaj, pomogę ci.

Wstał i pomógł jej wydostać się zza stołu. Rozejrzał się po barze. Motocyklista stał przy kontuarze i przyglądał im się z rozbawieniem. Tricia uczepliła się ramienia Timothy'ego. Musiał objąć ją wpół i podtrzymać, żeby nie upadła. Motocyklista uśmiechnął się do niego i dotknął dwoma palcami czoła w geście salutu. Timothy skinął mu głową.

— Idziemy, Tricia — powiedział.

Gdy skierowali się do wyjścia, musiał ją prawie nieść. Starał się nie zwracać niczyjej uwagi, idąc ze spuszczoną głową. Było to niezbyt wygodne, bo Tricia leciała mu przez rękę. Uśmiechał się jednak i szedł spokojnie, jakby z tą o połowę młodszą od siebie kobietą wybierał się na spacer. To nic, że ugiwały się pod nią kolana, a buty szorowały po podłodze, ślizgając się na łupinach. Wszystko jest pod kontrolą, nie ma się na co gapić.

— Kurczę... — wymamrotała Tricia. — Nie czuję się najlepiej.

— Jeszcze tylko parę kroków.

Na zewnątrz była ciepła noc. Timothy posadził dziewczynę na przednim siedzeniu bmw.

— Ale zajebicie! — zawołała.



Jechali ciemnymi ulicami w stronę Menlo Park. Tricia miała na wpół zamknięte oczy, ale i tak się zorientowała, że nie jadą do jego mieszkania.

— Dokąd jedziemy? — zapytała.

— Chcę cię komuś przedstawić.

— Fajnie.

Timothy wykręcił numer doktora Ho.

— Jadę z nią do pana — oświadczył, kiedy usłyszał głos Chińczyka, po czym rozłączył się i schował telefon do kieszeni marynarki.

— To twój znajomy? — spytała Tricia.

— Tak.

— Wiesz, Timothy, bardzo cię lubię — powiedziała rozmarzonym głosem. — Jestem taka szczęśliwa, że zechciałeś się ze mną umówić. Wiem, że ciągle jeszcze rozpaczasz z powodu żony — dodała, zerkając na niego z ukosa. Niemal leżała na fotelu i tylko oparte o deskę rozdzielczą kolana nie pozwalały jej się zsunąć na podłogę. — Wiem, że jesteś bardzo wrażliwym mężczyzną.

— Naprawdę?

— Tak. Mogłabym się łatwo w tobie zakochać — stwierdziła i szybko zasłoniła usta dłońmi. — Ups! Naprawdę to powiedziałam?

Zamknęła oczy i zamilkła. Kiedy Timothy skręcił w Sand Hill Road, nagle się obudziła.

— Wiesz, przypominasz mi ojca.

— Super — burknął Timothy. — Dzięki.

— Ale w pozytywnym znaczeniu. Najlepszym.

— Cieszę się.

Wjechał na parking 3600 Hill Road, zupełnie pusty o tej porze. Wsiadł z samochodu, obszedł go i otworzył drzwi po stronie pasażera.

— Jesteśmy na miejscu.

— To znaczy gdzie? — spytała Tricia, patrząc na niego.

— U mojego znajomego.

— Fajnie — odparła.

Wyciągnęła dłoń, żeby Timothy pomógł jej wstać. Podniósł ją z niskiego sportowego siedzenia i postawił obok siebie. Stała twarzą do niego, z rękami zarzuconymi wokół jego szyi, jakby tańczyli. Przez

koszulę czuł piersi dziewczyny. Szminka na jej ustach się rozmasała i czuć było od niej alkohol.

— Chodźmy — powiedział i poprowadził ją do biura doktora Ho.



Chińczyk otworzył, gdy tylko Timothy zastukał do drzwi pokoju 301.

— Doskonale — mruknął, rozglądając się po korytarzu. — Niech pan ją wprowadzi.

Tricia spała, uczepiona ramienia Timothy'ego. Doktor Ho wpuścił ich do poczekalni i zamknął za nimi drzwi.

— Wszystko z nią w porządku? — zapytał doktor. Wyglądał na zaniepokojonego.

— Dałem jej parę tabletek valium — wyjaśnił Timothy. — Coś nie tak?

— Nie, nie, bardzo dobrze — odparł Ho. — Sam bym ją uśpił, gdyby pan tego nie zrobił. Wprowadźmy ją.

Wziął ją pod pachę z jednej strony i obaj zaciągnęli Tricię do laboratorium numer jeden.

Doktor wolną ręką wyjął z kieszeni pęk kluczy, przekreślił jeden z nich w zamku i nogą otworzył drzwi.

Wprowadzili Tricię do środka. W laboratorium było zimno, a szum setek komputerów stojących na półkach przypominał brzęczenie pszczoł w ulu. Z podłogi zniknęły rozbity monitor, połamana klawiatura i płatanina kabli. Na stanowisku laboratoryjnym stał teraz jeden monitor LCD zamiast dwóch.

— Połóżmy ją — polecił Ho. — Ostrożnie.

Kiedy kładli Tricię na betonowej podłodze, doktor podłożył jej dłoń pod głowę i delikatnie opuścił ją na ziemię. Dziewczyna zaczęła chrapać przez sen.

— No dobrze. To wszystko — oświadczył Ho i spojrzął na Timothy'ego.

Nie był pewien, co Chińczyk ma na myśli.

— Może pan już iść — dodał doktor.

Timothy popatrzył na niego ze zdziwieniem. Był przekonany, że będzie obecny przy wykonywaniu kopii zapasowej.

— A muszę? — zapytał.

Ho wskazał drzwi z wywieszką: „Wstęp wzbroniony”, prowadzące do laboratorium numer dwa.

— Nie wpuszczam tam nikogo. To część umowy z naszymi inwestorami.

— Rozumiem — mruknął Timothy, chociaż nic nie rozumiał.

Chciał zostać i zobaczyć, co doktor będzie robił z Tricią.

— Może pan ją tu zostawić. Procedura przenoszenia zajmuje trochę czasu. Nie ma powodów do niepokoju. Zanim się pan spostrzeże, żona wróci do domu.

Podszedł do monitora, nacisnął jakiś klawisz i gdy pojawił się kursor, wpisał polecenie. Na ekranie wyświetliła się długa lista plików.

— A co się stanie z... nią? — Timothy wskazał śpiącą Tricię. — Wykona pan jej kopię, prawda? Żeby pewnego dnia można było...

— Tak, tak, oczywiście — zapewnił go doktor. — Najpierw wykonam kopię pana młodej przyjaciółki — wyjaśnił — a dopiero potem przeniosę na nią nagranie pana żony. Jak łatwo się domyślić, trzeba przetransferować ogromną ilość danych, a przepustowość łączy jest ograniczona. To jedna z rzeczy, które musimy udoskonalić, zanim będziemy mogli zacząć robić to na większą skalę.

— Ile czasu to wszystko panu zajmie?

— Większą część nocy. Może pan spokojnie jechać do domu.

— A co potem?

— Skontaktuję się z panem rano. Ale kiedy pana żona zostanie przywrócona do życia w nowym ciele, nie będziemy się już więcej kontaktować. Z chwilą wypełnienia przeze mnie umowy zawartej z pańską żoną nasza znajomość musi zostać zakończona. Nie wolno panu nigdy tu przychodzić ani dzwonić. Rozumie pan?

Timothy spojrzął na drzwi z napisem: „Wstęp wzbroniony” w końcu sali. Bardzo chciał wejść do tamtego pokoju i zobaczyć, jak doktor przenosi umysł Katherine do głowy Tricii.

— Doktorze, może mógłbym...

Leżąca na podłodze dziewczyna poruszyła się i jęknęła.

— Niech pan już idzie — powtórzył Ho. — Muszę zaczynać.

Timothy kiwnął głową i ruszył w stronę drzwi, ale zatrzymał się nagle.

Doktor popatrzył na niego pytająco.

Timothy chciał go poprosić, żeby zachował ostrożność, żeby delikatnie obchodził się z jego żoną i z Tricią, żeby nie zrobił jakiegoś błędu. Uświadomił sobie jednak, że po tym, jak oszołomił narkotykami dziewczynę, zawlókł ją do laboratorium i kazał doktorowi Ho wykasować jej umysł, zastępując go umysłem swojej zmarłej żony, martwienie się o takie rzeczy było śmieszne.

31

Tej nocy po raz pierwszy od trzech tygodni spał spokojnie.

Nie śnił mu się ani doktor Ho w swoich małych okularach, ani czerwona szminka Tricii, ani urwisko w Big Sur. Koszmary, które nawiedzały go przez tyle nocy, zniknęły, a na ich miejsce wrócił zdrowy, mocny sen.

Obudziły go promienie słońca padające na twarz. Potrzebował dobrej chwili, żeby sobie przypomnieć, jaki to dzień tygodnia (czwartek), oraz wszystko, co działo się wcześniej. Przypomniała mu się Duńska Gęś, gruby motocyklista i valium w drinku Tricii.

Wstał i wziął prysznic, a potem ubrał się i zszedł na dół.

Kiedy zabierał się do parzenia kawy (ostatniej bez Katherine, pomyślał), ktoś zadzwonił do drzwi.

Nacisnął klamkę, nie spoglądając przez wizjer. Nie próbował sprawdzić, kto stoi na progu jego domu. Wyrzucił z myśli wszystkie nadzieje, oczekiwania i lęki. Po raz pierwszy w życiu nie zastanawiał się nad każdym swoim krokiem i był ciekaw, co z tego wyniknie.

Otworzył drzwi.

Na progu stała Tricia. Miała na sobie to samo ubranie co wczoraj, ale zdjęła naszyjnik i była bez makijażu. Czarne włosy upięła w prosty

kok, a jej nieumalowane niebieskie oczy wydawały się blade jak poranne niebo.

Timothy spojrział na podjazd za nią. Doktor Ho siedział w swojej acurze z łokciem wysuniętym przez otwarte okno. Skinął głową Timothy'emu, jakby mówił „Gotowe”, po czym wycofał wóz z podjazdu, skręcił w ulicę i odjechał.

— Cześć, Kuśtyk — powiedziała Tricia.

Timothy patrzył na nią bez słowa. Przed nim stała Tricia, nie miał co do tego wątpliwości. Coś się jednak w niej zmieniło. Minęła dłuższa chwila, zanim do niego dotarło, co to takiego. Jej postawa. Sekretarka zawsze chodziła wyprostowana jak strzała, z wysuniętą piersią i wciągniętym brzuchem. Stojąca przed nim kobieta była inna: lekko zgarbiona, ze wstydliwie wciągniętą piersią i spuszczoną głową. To była postawa jego żony. U Katherine, która miała niewielkie piersi i długie, chude kończyny, wydawało się to naturalne. U Tricii wyglądało absurdalnie — jakby dziwka próbowała nie wyróżniać się na balu licealistek.

— Kim jesteś? — Nie było to oskarżenie, lecz pytanie. Choć znał już na nie odpowiedź, chciał ją usłyszeć z jej ust.

— To ja, Katherine — odparła.

Był tego bardziej pewien niż czegokolwiek innego w życiu. Wiedział, że ten drań Ho dotrzymał słowa, że jego zwariowana technologia działa, a ta kobieta stojąca przed nim z nieśmiałym uśmiechem nie jest Tricia Fountain, jego głupiutką sekretarką, tylko jego żoną Katherine. Teraz naprawdę uwierzył, że jakimś cudem ją odzyskał.



Krążyła po domu, jakby była u siebie. Zresztą tak właśnie było. Najpierw poszła do kuchni i zabrała się do parzenia kawy. Wsypała ją do nowego filtra, napełniła pojemnik wodą i wsunęła dzbanek pod wylewkę. Zachowywała się, jakby robiła to setki razy. Tricia nigdy

nie była u nich w domu, nie widziała jego kuchni i z pewnością nigdy nie przygotowała mu nawet jednego kubka kawy. To Katherine robiła ją codziennie przez dwadzieścia lat.

Kiedy kawa się parzyła, poszli na górę do sypialni. Stała przed lustrem i przyjrzała się swojemu odbiciu. Timothy stał za nią, bojąc się jej dotknąć i nie wiedząc, co powiedzieć. Uniosła ramiona i przyjrzała się napiętej skórze i jędrnemu ciału na rękach. Potem obróciła głowę w lewo i w prawo, próbując obejrzeć swoją twarz z profilu.

— Więc tak wyglądała — mruknęła w końcu. — Nieźle.

— Nigdy z nią nie spałem — zapewnił ją Timothy, który podejrzewał, że bardzo chciałaby to wiedzieć.

Rzuciła mu lodowate spojrzenie.

— Nigdy?

— Nigdy—powtórzył. Uświadomił sobie, że musi być z nią szczerzy, bo Katherine za dobrze go знаła. — Myślałem o tym— dodał po chwili. — Nawet byłem bliski pójścia z nią do łóżka, ale w ostatniej chwili zrozumiałem, że jej nie znoszę — dodał.

— Och, panie van Bender, jaki z pana niewdzięcznik — powiedziała słodziutkim głosikiem głupiej blondynki i roześmiała się złośliwie.

Timothy nie mógł oderwać od niej wzroku. To była Katherine, z całą pewnością Katherine. Tylko ona potrafiła gasić go w ten sposób. Jednak ten głos i gardłowy śmiech należały do Tricii.

— Wcale nie jest mi łatwo — mruknął.

Czuł oszołomienie i zakłopotanie. To była magia, prawdziwe czary.

— Jakoś ci nie wierzę — prychnęła. — Spójrz na mnie. Zobacz, jak teraz wyglądam. — Po chwili zapytała: — Podobała ci się, prawda?

— Tak — przyznał.

— Cieszysz się, że wróciłam?

— Tak.

Odwróciła się do niego.

— Więc mnie pocałuj, Kuśtyk.

Pochylił się i pocałował ją. Jej język odszukał jego język i wsunął się do jego ust w taki sam sposób, w jaki zawsze robiła to Katherine: sam czubek. Jednak był to inny pocałunek niż z Katherine. Wąskie wargi jego żony zamieniły się w pełne i miękkie, a oddech był przyspieszony i gorący.

Przerwała pocałunek i spojrzała na niego.

— Dziwne uczucie — stwierdziła. — Czuję ciebie przez czyjeś ciało. A co ty czujesz?

Jakie to typowe dla Katherine, przerwać w takim momencie, żeby spytać, co czuję, pomyślał Timothy. Zawsze wszystko analizowała, jakby miała to później zapisać w swoim dzienniku. Zawsze zachowywała pewien dystans wobec niego i wszystkiego, co przeżywała. Musiała brać swoje życie do ręki i przyglądać mu się jak kryształowi, żeby je zrozumieć.

— Jest jakoś inaczej — odparł.

Uśmiechnęła się.

— Witaj w nowych czasach — powiedziała.

Nie bardzo wiedział, czy ma na myśli nowy rozdział w ich małżeństwie, czy nową epokę w dziejach ludzkości, epokę zwycięstwa technologii nad śmiercią i zmiany rozumienia tego, czym jest życie. Przyciągnęła go do siebie i ponownie pocałowała.

Potem zaprowadziła go do łóżka, w którym tak długo spał sam. Po dwudziestu latach małżeństwa kochali się, jakby pierwszy raz trzymali siebie w objęciach. I w pewnym sensie tak właśnie było.



Kiedy skończyli, zrobiła coś, co zawsze robiła Katherine: przysunęła się i położyła głowę na jego piersiach. Leżała w milczeniu, głaszcząc

palcami jego brązowe i siwe włosy i słuchając bicia jego serca.

— Opowiedz mi wszystko — poprosił. Wiedział, że zrozumie, co ma na myśli.

— To było jak we śnie — odparła. — Miałeś kiedyś sen na jawie? Wiesz, że śniesz, ale możesz iść, gdzie chcesz, i rozmawiać z ludźmi pojawiającymi się w twoim śnie. Tak właśnie się czułam, kiedy rozmawiałam z tobą z tej maszyny. Jeśli chciałam coś powiedzieć, wystarczyło, że pomyślałam to. Rozumiesz, o co mi chodzi?

— Tak.

— Dziś rano, kiedy się obudziłam, wszystko się zmieniło. To już nie był sen. Czułam się wspaniale, jak po długim odpoczynku. Byłam taka... świeża. I czułam, że to jestem ja, Katherine van Bender. Jednak kiedy mijam lustro albo widzę swoje odbicie w oknie, przechodzą mnie ciarki. Jak w jakimś koszmarze.

Uniosła głowę i spojrzała na niego.

— Ale gdybym miała wybierać, zrobiłabym jeszcze raz to samo — dodała. — Zresztą tak naprawdę nie miałam wyboru, Timothy. Byłam chora, śmiertelnie chora. I bardzo się bałam. Może nie będzie źle. Może wszystko się jakoś ułoży. — Objęła go mocno. — To tylko teraz wydaje się nam dziwne, bo jeszcze się do tego nie przyzwyczailiśmy. W przyszłości takie rzeczy pewnie będą czymś zupełnie normalnym, jak budzenie się z narkozy po operacji. To także musiało wydawać się ludziom przerażające, kiedy pierwszy raz to robili. Pomyśl: budzisz się cały w szwach i bandażach, bez nogi albo jakiegoś organu, który ci wycięli... — Wodziła palcem po jego brzuchu tuż nad pępkiem, jakby rysowała na nim niewidzialną bliznę. — Wcale nie ma takiej dużej różnicy. Myślę, że z czasem do tego przywykniemy.

— Cieszę się, że wróciłaś, i nie dbam o to, jak wyglądasz.

Usiadła na łóżku i uśmiechnęła się do niego.

— Więc czemu nie wybrałaś jakiejś starej baby? Albo bezdomnego włóczęgi?

— Bo nie lubię kochać się ze starymi babami.

— Nie bój się, nie mam do ciebie pretensji. Rozumiem, czemu ją wybrałaś. Jest bardzo ładna. Szybko się do niej przyzwyczaję.



Kiedy wstali, powiedziała, że nie chce wyglądać jak dziwka, i poszła znaleźć coś odpowiedniejszego w szafie. Wybrała elegancką jedwabną bluzkę i plisowaną spódnicę, które na nią nie pasowały. Katherine była prawie dziesięć centymetrów wyższa od Tricii i szczuplejsza od niej.

Musiała włożyć ubranie, które miała na sobie poprzedniej nocy: czarny sweter i obcisłe dzinsy.

Ustalili, że pojedzie razem z nim do pracy. Timothy miał już gotowy plan. Po śmierci żony, w rozpaczliwej próbie znalezienia kogoś, kto mógłby ją zastąpić, zakochuje się w znacznie młodszej od siebie sekretarce. Ich rozkwitające uczucie powinno zostać zauważone przez wszystkich znajomych. Pojechali więc do Osirisa i Timothy zaparkował bmw w podziemnym garażu. Parkingowy, który znał ich oboje, ale pierwszy raz widział razem, uśmiechnął się do Timothy'ego i skinął głową Tricii.

Wjechali windą na dwudzieste trzecie piętro. Kiedy weszli do biura, była już dziesiąta trzydzieści. Za biurkiem w sekretariacie siedział Dzieciak i ze zdesperowaną miną odbierał telefony.

— Osiris... — jęknął do słuchawki, gdy telefon znowu zadzwonił.

Nagle zobaczył Timothy'ego i Tricię wchodzących razem do holu — Tricia w tym samym ubraniu, w którym była poprzedniego dnia. Wytrzeszczył oczy i na jego twarzy pojawił się ironiczny uśmiešek.

— Tak — rzucił do słuchawki. — Przekażę mu, żeby do pana odzwonił — dodał.

Zapisał coś w notatniku i odłożył go na bok.

— Jesteś w końcu — powiedział do Tricii.

— Jestem.

Wstał z krzesła i wskazał jej biurko. Tricia usiadła i spojrzała na telefony. W jej oczach kryło się wahanie. Timothy zrozumiał powód jej lęku. Nie miała pojęcia, jak obsługuje się centralkę.

— Timothy, muszę z tobą porozmawiać — oświadczył Dzieciak.

— Za chwilę — odparł. — A tymczasem zrób mi przysługę i skocz na drugą stronę ulicy po kawę.

Dzieciak zerknął na Tricię, jakby chciał powiedzieć: „Przecież to należy do niej”.

— Daj nam minutę, proszę — dodał cicho Timothy, akcentując ostatnie słowo.

Był to sygnał zrozumiały dla każdego faceta, więc Dzieciak tylko kiwnął głową.

— Dla ciebie też kawa? — zapytał Tricii. — Czarna, prawda?

Uśmiechnęła się do niego.

— Dziś dla odmiany z mlekiem i cukrem.

Timothy wiedział, że taką właśnie kawę zamówiłaby Katherine: z mlekiem i cukrem, ale Dzieciak spojrzał na Tricię ze zdziwieniem.

— Jasne — mruknął po chwili. — Zaraz wracam. — Kierując się do wyjścia, rzucił przez ramię do Timothy'ego: — Musimy porozmawiać, kiedy wrócę. To ważne.

Otworzył szklane drzwi. Po chwili przyjechała winda i chłopak zniknął.



Timothy pokazał jej, jak obsługuje się centralkę. Siedziała za biurkiem, a on stał za nią i pokazywał, które guziki trzeba naciskać. Wy tłumaczył też, jak ma zbywać rozgniewanych inwestorów, którzy będą chcieli z nim rozmawiać. Stojąc tuż nad nią, ze zdumieniem rozpoznał znajomy zapach. Był to zapach perfum Katherine, jabłkowo-miodowych.

— Już chyba rozumiem — powiedziała w końcu Tricia.

— Kocham cię — szepnął Timothy i pocałował ją w szyję.

— Och, panie van Bender... to takie niewłaściwe — zaprotestowała.

— Przepraszam — mruknął i odwrócił się, ale zanim odszedł, rzucił jeszcze przez ramię: — Nie łącz mnie z nikim, dobrze?

— Oczywiście, panie van Bender.



Kiedy Dzieciak wrócił, od razu przyszedł do gabinetu Timothy'ego. Podczas półtoradniowej nieobecności Timothy'ego sprawy przyjęły zdecydowanie zły obrót.

Jen kontynuował wspinaczkę i poprzedniego dnia osiągnął poziom osiemdziesięciu dwóch dolarów. Bear Stearns przysłało im wezwanie do uzupełnienia depozytu i zaraz potem zamknęło ich handel jenem, powiększając straty Osirisa o kolejne siedem milionów. A kiedy rano Timothy kochał się z Tricią, Dzieciak odebrał telefon od brokera z Barclays, który wysłał im wezwanie depozytowe i zapowiedział, że w ciągu najbliższych kilku godzin zaczną spieniężać ich pozycję na jenie.

Całkowite straty funduszu sięgały już czterdziestu milionów i nie było widać końca. Każde wezwanie depozytowe powodowało, że kolejny broker składał zamówienie na zakup jenów w imieniu Osirisa, bez względu na cenę. To z kolei podnosiło cenę kontraktów wśród sprzedawców, którzy czuli zapach krwi. Błędne koło się zamykało.

Rosnący kurs jena i wezwania depozytowe nie były jedynym ich problemem. Na firmę naciskali również inwestorzy, w panice starając się wycofać swoje pieniądze. Nie chodziło już o kilka telefonów, które Pinky wykonał do swoich znajomych, ostrzegając ich przed Osirisem. Teraz wszyscy inwestorzy wydzwaniali do siebie. Ponieważ sierpniowe zestawienia nie zostały jeszcze wysłane, a Timothy van Bender nie odpowiadał na telefony, nikt nie wiedział, co się dzieje z funduszem i ile pieniędzy zarobił — albo stracił. Ponieważ Timothy sam był zamożny, znał sposób myślenia bogatych ludzi. Wcale nie zależało im aż tak bardzo na maksymalnych zyskach i potrafili pogodzić się z niewielkimi stratami, pod warunkiem jednak, że rozciągały się w czasie. Najbardziej obawiali się nagłej utraty całej fortuny, bankructwa. Większość z nich odziedziczyła swoje fortuny po ojcach i dziadkach i drżeli na myśl, że nie będą potrafili pomnożyć rodzinnego majątku, tak jak to robili ich przodkowie. Gotowi byli zrobić wszystko, żeby go nie stracić i móc przekazać następnym pokoleniom. A teraz Timothy van Bender, który rokrocznie zapewniał im zyski na poziomie siedemnastu procent i nigdy nie schodził poniżej dziesięciu, bankrutował, pociągając ich za sobą na dno.

Mimo że Osiris mógł trzymać pieniądze inwestorów przez dziewięćdziesiąt dni, co gwarantowała mu umowa inwestorska, mająca zapobiegać panicznemu wycofywaniu pieniędzy, niczego to nie załatwiała. Za dziewięćdziesiąt dni inwestorzy będą mieli prawo do rezygnacji i wtedy Timothy musi im oddać wszystko, co zostanie w skarbcu funduszu (nawet jeśli nie będzie tego zbyt wiele). Będzie to koniec Osirisa — a także koniec kariery Timothy'ego w świecie finansów.

Była jeszcze jedna kwestia, którą Dzieciak zostawił na sam koniec. Przypominał w tym prokuratora przedstawiającego w swojej mowie punkt po punkcie wszystkie dowody świadczące o winie oskarżonego.

Podał Timothy'emu wydrukowany na grubym papierze jednostronicy list z nagłówkiem KNHKT — agendy rządowej zajmującej się kontrolowaniem działalności takich spółek finansowych jak Osiris oraz ściganiem nieuczciwych doradców finansowych.

**KOMISJA NADZORU HANDLU KONTRAKTAMI
TERMINOWYMI
ORGAN WYKONAWCZY**

Pod groźbą kary wzywa się pozwanego do stawienia się przed Komisją Nadzoru Handlu Kontraktami Terminowymi w celu złożenia zeznań dotyczących śledztwa prowadzonego na podstawie paragrafu 6(c) oraz 8(a)(I) Ustawy o handlu akcjami, z poprawkami 7 U.S.C 15 oraz a12(a)(I)(1994).

Rozprawa odbędzie się 12 października 1999 roku.

Do listu załączone było wezwanie, instruujące Timothy'ego, jakie dokumenty ma przedstawić komisji. W ich skład wchodziły wewnętrzne zestawienia strat i zysków, e-maile, memoranda, arkusze kalkulacyjne, rachunki brokerskie i wykazy rozmów telefonicznych. KNHKT podejrzewała, że Timothy i Osiris dopuścili się oszustwa, ukrywając straty przed inwestorami i karmiąc ich bajeczkami — co zresztą było prawdą.

— Ja też jestem wymieniony w tym pozwie — dodał Dzieciak, z wściekłością patrząc na Timothy'ego.

Na jego życiorysie już zawsze będzie plama, jaką była praca w bankrutującym funduszu, co do końca życia będą mu wypominać wszyscy pracodawcy. Na dodatek Timothy wpłatał go w sprawę kryminalną. Za takie przestępstwa ludzie szli do więzienia lub w najlepszym razie na zawsze żegnali się z pracą w finansach.

— Nie przejmuj się, chłopie — uspokajał go Timothy. — Kiedy jest

źle, wszystko wygląda znacznie gorzej, niż jest w rzeczywistości. A kiedy jest dobrze, wszystko wygląda lepiej.

Była to maksyma, która pozwoliła mu przetrwać niejeden zły dzień. Ale żaden z tych złych dni nie zaczął się od wezwania do stawienia się przed komisją rządową.

— Składam wymówienie — oświadczył Dzieciak. — Od chodzę za dwa tygodnie od dziś.

Timothy pomyślał, że zeznając przez KNHKT, chłopak z pewnością go pogrąży. Opowie komisji, jak szef kazał mu popełnić oszustwo, polecając mu dezinformować inwestorów. Poda tamtym jego głowę na talerzu, żeby ratować własną skórę. Ale jednocześnie składał wypowiedzenie z dwutygodniowym wyprzedzeniem.

— Potrzebujesz czegoś jeszcze? — zapytał Dzieciak i dodał złośliwie: — Może przynieść ci jeszcze jedną kawę?

— Nie, dzięki — odparł Timothy.

Tak, Dzieciak na pewno go pogrąży.



Mimo że groził mu proces z prywatnego pozwu o dwadzieścia milionów dolarów, mimo śledztwa prowadzonego przeciwko niemu przez rządową agencję, mimo utraty czterdziestu milionów dolarów w ciągu miesiąca i tego, że jego kariera wkrótce miała lec w gruzach, Timothy był szczęśliwy.

Wróciła Katherine. Co prawda w ciele sekretarki, ale nawet ten fakt, z początku dziwny i budzący niepokój, miał swoje zalety. Wszystko, czego nie znosił w Tricii — jej głupota i powierzchowność — zostało usunięte. Na jej miejscu pojawiła się Katherine, jego żona od dwudziestu lat, kobieta, którą tak bardzo kochał. Dzięki doktorowi Ho i Amber Corp. kobieta, która obok niego spała, miała teraz dwadzieścia trzy lata, była piękna i cieszyła się doskonałym zdrowiem.

No i była jeszcze kwestia seksu. W ciągu tych kilku dni kochali się każdej nocy oraz przez większość poranków. Była to wciąż ta sama Katherine — nieśmiała, bez inicjatywy, uznająca tylko pozycję misjonarską — jednak nawet ten spokojny seks uległ poprawie. Dwa miesiące wcześniej szczytem osiągnięć Timothy'ego było kochanie się z nią raz w tygodniu, a teraz mógł ją zaciągnąć do łóżka pod byle pretekstem. Uwielbiał jej nowe ciało: pełne piersi, które przelewały się na boki, gdy leżała na wznak; jędrne pośladki; gładkie uda, którymi mógł się cieszyć, podnosząc jej nogi do góry; delikatną jak aksamit szyję. Wszystko to było jak cudowna przygoda i Timothy nie mógł się nacieszyć tą podniecającą nieznaną kobietą w swoim domu.

W niedzielę rano, zaraz po tym, gdy skończyli się kochać, zadzwonił dzwonek do drzwi.

— Nie otwieraj — poprosiła.

— Może to coś ważnego — mruknął Timothy, zastanawiając się, czy to nie Murzynka z dredami na głowie, z nowym pozwem.

Nie było to jednak nic ważnego. Przed drzwiami stała Ann Beatty, przyjaciółka Katherine mieszkająca przy tej samej ulicy. Trzymała w ręku papierową torbę pachnącą czosnkiem i świeżym ciastem.

— Dzień dobry — powiedziała. — Przyniosłam ci bajgle. Mam nadzieję, że cię nie obudziłam.

— Nie, już nie spałem — odparł Timothy. — Wejdz. Właśnie miałem robić śniadanie.

Wziął od niej bajgle i zaprosił ją do kuchni. Usiadła przy stole, naprzeciw drzwi wychodzących na patio. Za nią słońce opromieniało ogródek, ozdobne trawy kołysały się w porannej bryzie.

— Pomyślałam, że pewnie czujesz się samotny — wyjaśniła. — Gdy rozeszłam się z Markiem, najgorsze były weekendy. Kiedy człowiek

siedzi sam w domu i nie ma nic do roboty, przychodzą mu do głowy ponure myśli.

— Napijesz się kawy? — zapytał Timothy.

— Jeśli będziesz robił dla siebie, to chętnie.

Timothy zaczął przeszukiwać szafki. Gdzie mogła być ta cholerna kawa?

— Wyobrażam sobie, przez co musisz przechodzić — ciągnęła Ann. — To dopiero kilka tygodni, rana musi być jeszcze świeża. — Dotknęła palcami swoich krótkich, ufarbowanych na czarno włosów.

— Katherine była wspaniałą kobietą.

— Tak — przyznał Timothy z głową w szafce.

Usłyszał szuranie kapci w przedpokoju. Odwrócił się i w drzwiach kuchni ujrzał Tricię w bokserkach i kusej koszulce, przez którą prześwitywały sutki.

— Dzień dobry — powiedziała.

— Och... — mruknęła Ann. — Przepraszam. Nie wiedziałam, że masz... towarzystwo.

Tricia podeszła do niej i wyciągnęła rękę.

— Jestem Tricia Fountain — przedstawiła się.

Ann miała zakłopotaną minę i nie wiedziała, gdzie podziać wzrok. Patrzeć na jej twarz? Na piersi? Na nagie uda? Spojrzała nad ramieniem dziewczyny na Timothy'ego. W końcu ujęła jej dłoń i uścisnęła.

— Ann Beatty.

— Timothy wiele mi o tobie opowiadał.

Ann spojrzała na nią ze zdziwieniem. Czemu Timothy miałby opowiadać tej dziewczynie, dwadzieścia lat młodszej od Katherine, o starej przyjaciółce zmarłej żony, mieszkającej przy tej samej ulicy?

— Chyba powinnam już iść — oświadczyła po chwili. — Nie chcę przeszkadzać.

Zaczęła się podnosić z krzesła.

— Nie, proszę, zostań z nami — zatrzymała ją Tricia.

Timothy wcale nie chciał, żeby Ann zostawała. Był podniecony od chwili, kiedy zobaczył półnągą Tricię w tym samym pomieszczeniu co Ann Beatty, którą uważał za starą zimną rybę. Pod szlafrokiem miał potężną erekcję. Chciał, żeby sąsiadka sobie poszła, bo wtedy mogliby się kochać — najlepiej w kuchni, na dębowym stole.

— Tak, zostań — powiedział jednak.

Przez chwilę Ann tkwiła pochylona nad stołem, na wpół stojąc i na wpół siedząc, nie bardzo wiedząc, co ma zrobić.

— O, przyniosłaś bajgle! — zawołała Tricia na widok torby. — Zjedz z nami śniadanie.

— No dobrze — zgodziła się w końcu Ann i z powrotem usiadła. Pomyślała z ulgą, że ta młoda dziewczyna zachowuje się całkiem sympatycznie.

Widząc, że Timothy bezradnie stoi obok ekspresu, Tricia powiedziała:

— Pozwól, że ci pomogę. Nie dasz sobie rady z tą maszyną, nawet gdyby twoje życie od tego zależało.

Ann uśmiechnęła się do niej.

— Dokładnie to samo mówiła... — urwała w pół zdania.

— Kto? — spytała Tricia.

Zapadła niezręczna cisza.

— Dokładnie to samo mówiła moja żona — dokończył Timothy. — Ann wiele razy była u nas na śniadaniu i wie, że me umiem obchodzić się z ekspresem.

— Przepraszam... — wymamrotała speszona Ann. — To było nietaktowne z mojej strony.

— Nic się nie stało — uspokoiła ją Tricia, uśmiechając się blado, jakby pod tym uśmiechem starała się ukryć ból.

A może rzeczywiście stara się ukryć ból, pomyślał Timothy. Tricia odwróciła się i zabrała do przygotowywania kawy, a Timothy usiadł

naprzeciwko Ann. Nie mieli sobie nic do powiedzenia, więc przyglądali się, jak dziewczyna wkłada papierowy filtr do maszyny i odmierzka kawę.

— Wiem, że musi ci się to wydawać trochę dziwne — powiedział cicho Timothy do Ann, patrząc jednocześnie na delikatną białą szyję Tricii — ale czasami miłość pojawia się w najmniej oczekiwanym momencie.

Kiwnęła głową.

Timothy pomyślał, że może to nawet dobrze, iż Ann została. Mógł już teraz zacząć wprowadzać Tricię do swojego życia. Był pewien, że kiedy tylko sąsiadka wyjdzie od nich, zacznie wydzwaniać do starych przyjaciół i koleżanek Katherine, a potem do znajomych z kościoła i innych osób. Wyobraził sobie, jak będzie brzmiała powtarzana przez Ann plotka: „Timothy van Bender w kilka tygodni po śmierci żony poderwał młodą dziewczynę”.

— Poznałem Tricię w pracy — dodał. — Jest moją sekretarką.

Poprawka z ostatniej chwili: „Timothy van Bender w kilka tygodni po śmierci żony poderwał swoją sekretarkę”.

— Naprawdę? — bąknęła Ann. Nie sprawiała wrażenia zainteresowanej szczegółami.

— Tak — potwierdził Timothy. — Życie potrafi zaskoczyć. Zamykasz jedne drzwi, a otwierają się inne.

— Czasem tak bywa — przyznała Ann.

Tricia postawiła na stole talerz z bajglami.

— Podam do nich jakiś twarożek — oświadczyła i wsadziła głowę do lodówki.

— Wygląda na to, że twoja przyjaciółka świetnie się orientuje w domu — stwierdziła Ann. Był to zarazem komplement i oskarżenie.

— Spędzamy razem wiele czasu — wyjaśnił Timothy. — Dobrze się nam układa — dodał i uśmiechnął się do Ann, więc ona też musiała się

do niego uśmiechnąć, choć nie sprawiała wrażenia zachwyconej.



Po popołudniu tego samego dnia Tricia stwierdziła:

— Myślę, że powinniśmy się pobrać.

Timothy leżał na sofie w pokoju dziennym, oglądał rozgrywki golfa w telewizji i popijał piwo, a Tricia siedziała z nogami w jego kroczu i rozwiązywała krzyżówkę w niedzielnej gazecie.

Spojrzał na nią, ale nie podniosła głowy znad krzyżówki. Złożyła gazetę na połowę i trzymała ołówek w powietrzu, czekając na jego odpowiedź.

— Nie za wcześnie? — zapytał.

— No cóż... — powiedziała do gazety. — Przecież jestem twoją żoną. Powinniśmy zalegalizować przed światem to, co sami już uznaliśmy.

— Ale chodzimy ze sobą dopiero od tygodnia, Tricia — odparł, kładąc nacisk na jej imię, żeby podkreślić swój punkt widzenia.

Uniosła głowę znad gazety.

— Pewnie mieliśmy romans, zanim zmarła twoja żona... — Milczała przez chwilę, a potem dodała: — Przynajmniej tak właśnie wszyscy będą myśleć.

— Nie mieliśmy — zaprzeczył spokojnie Timothy.

— Jeśli tak twierdzisz... — mruknęła i znowu zajęła się swoją krzyżówką.

Sądząc, że temat został wyczerpany, Timothy wrócił do oglądania golfa.

— Chodzi o to, że wtedy nikomu nie wyda się dziwne, jeśli się pobierzemy — oświadczyła po chwili Tricia. — Naprawdę powinniśmy to zrobić. Wcale nie chodzi o pozory, tylko o nas. Wiesz, że cię kocham.

Potarła stopą jego krocze i natychmiast pojawiła się erekcja. Timothy był już w takim wieku, że liczył wszystkie swoje erekcje, zapisywał je w pamięci — niczym meteorolog odnotowujący, jakie rodzaje chmur pojawiają się na niebie. W ciągu ostatniego tygodnia miał więcej erekcji niż przez ostatnie pół roku.

— Tak? Ja ciebie też, Katherine — odparł.

Rzuciła gazetę na podłogę i ołówek potoczył się pod sofę. Przeskoczyła przez poduszki i wdrapała się na Timothy'ego.

— Przecież ustaliliśmy, że nie będziesz mnie tak nazywał — powiedziała. Poczł jej gorący i wilgotny oddech w ucho.

— Dobrze, Tricia. Pocałowała go delikatnie.

— Weź ze mną ślub, a wynagrodzę ci to — oświadczyła.

— W jaki sposób?

— Zaraz zobaczysz — odparła.

Zsunęła się w dół i rozpięła mu koszulę. Zaczęła całować jego klatkę piersiową, liżąc włosy. Powoli zsunęła się jeszcze niżej, do klamry paska, rozpięła ją zręcznie i zaczęła całować jego miękkie białe podbrzusze. Potem uniosła gumkę majtek i polizała skórę pod spodem.

— Och... — jęknął Timothy. — Chyba będę musiał ci się oświadczyć.

— Chyba tak — potwierdziła.

W następnym tygodniu zwolniła się z pracy, nie zegnając się nawet z Jayem. Któregoś dnia po prostu nie przyszła do biura i Timothy wyjaśnił Dzieciakowi, że „przeniosła się”. Z wyrazu twarzy chłopaka można było się domyślić, że doskonale wie, gdzie dziewczyna się przeniosła: do domu i sypialni jego szefa.

Timothy zadzwonił do agencji pośrednictwa pracy i poprosił o znalezienie kogoś na zastępstwo. Jeszcze tego samego dnia pojawiła się nowa sekretarka. Była to otyła Rosjanka, pachnąca papierosami i bliźniakami z serem.

Osiris niemal zupełnie zawiesił działalność. Kiedy Barclays spieniżył ich pozycję jena, następnego dnia to samo zrobiło Citigroup. Cały ich handel jenem został zamknięty z ogromną stratą pięćdziesięciu milionów dolarów. W ciągu miesiąca fundusz stracił ponad połowę kapitału.

Jedynie co pozostało do zrobienia, to zamknięcie firmy, podliczenie strat, wysłanie wyników finansowych do inwestorów i zwrócenie im pieniędzy. Były jeszcze dwie sprawy, z którymi musieli się uporać: śledztwo Komisji Giełdowej i pozew Pinky'ego Dewera. Timothy uznał, że czas przyznać się do porażki, i wysłał Pinky'emu czek na sumę nieco mniejszą niż połowa tego, co tamten zainwestował.

Dołączył do czeku ręcznie napisany list, w którym przeproszał za opóźnienie i „nieoczekiwaną utratę kapitału”. Nic więcej nie mógł zrobić. Może Pinky, wbrew wszystkiemu, wycofa pozew? Pozew jednak nie został wycofany, a Pinky uparcie nie odbierał jego telefonów. Timothy zdawał sobie sprawę, że utrata szesnastu milionów każdego może uczynić drażliwym.

Na kontach Osirisa pozostały trzydzieści cztery miliony dolarów. Timothy wiedział, że wkrótce wszystkie te pieniądze będą musiały zostać oddane inwestorom, a on zostanie z zaległym trzyletnim czynszem za położone w centrum Palo Alto biuro, procesem cywilnym (całkiem możliwe, że więcej niż jednym) i grożącym mu wyrokiem za dezinformowanie inwestorów i oszustwo.

A jednak czuł się tak, jakby spadł mu z serca wielki ciężar.

To, co go spotykało w życiu zawodowym, było nieprzyjemne, ale mógł się z tym uporać. Karierę menedżera funduszu hedgingowego mógł zakończyć w każdej chwili. I tak nigdy nie przepadał za swoją pracą. Przez lata udawało mu się zarabiać pieniądze, jednak w głębi duszy wiedział, że nie nadaje się do tej roboty. Zawsze miał więcej szczęścia niż rozumu. Dwadzieścia lat temu, kiedy zaczynał, najważniejsze były koneksje. Wszystko polegało na tym, kogo znasz i kim są twoi przyjaciele. Żeby odnieść sukces, wystarczyło mieć zamożnych znajomych i być w miłym dla ludzi. Po prostu dzwoniłeś do kolegi z Yale, żeby powspominać przez kilka minut stare dobre czasy, a potem prosiłeś go o czek na pięć milionów dolarów. Jednak ostatnio wszystko się zmieniło. Świat finansjery otworzył swoje podwoje dla wielu inteligentnych młodych ludzi. W branży pojawili się Hindusi o trudnych do wymówienia nazwiskach, Chińczycy, którzy nigdy nie studiowali na żadnej uczelni Ivy League. Teraz karierę mógł zrobić każdy facet z dyplomem nikomu nieznannej uczelni. Stary świat inwestycji opierający się na wyczuciu, na radzie znajomych i dobijaniu targu

uściskiem dłoni odchodził w przeszłość. Zamiast tego pojawiły się arkusze kalkulacyjne, symulacje Monte Carlo, czarne pudełka i kwanty. Timothy czuł, że czas takich ludzi jak on dobiega końca.

Ale nie miało to znaczenia, bo jego majątek był szacowany na dziesiątki milionów dolarów. Sam dom w Palo Alto był wart trzy miliony dolarów. Timothy nie musiał pracować. Frank Arnheim był pewien, że uda mu się oddalić pozew Pinky'ego Dewera lub przynajmniej zawrzeć ugodę. Nawet zarzuty postawione przez komisję mogły być oddalone, jeśli uznano by, że upadek Osirisa został spowodowany raczej przez niekompetencję, a nie umyślne zaniedbanie. Oczywiście pod warunkiem, że Dzieciak zgodzi się trzymać język za zębami.

Timothy przyjął spadające na niego nieszczęścia ze spokojem. Traktował je jak cenę, jaką musi zapłacić za odzyskanie Katherine. W życiu obowiązuje zasada zachowania równowagi i każde szczęście musi być okupione odpowiednią porcją nieszczęścia. Timothy w cudowny sposób otrzymał drugą szansę bycia z Katherine. Ergo: jego zawodowa kariera musiała lec w gruzach. Uważał, że to przyzwoita cena za kobietę, którą tak bardzo kochał.

Był tylko jeden problem. Dzieciak.

Tylko od niego zależało, co czeka Timothy'ego. Jeśli zeznając przed komisją wyjaśni, że jego szef postępował zgodnie z regulaminem, ale po prostu błędnie ocenił kierunek kursu jena (ryzyko zawodowe), Timothy wyjdzie z tego bez szwanku. Jeśli jednak powie, że kazał mu kłamać i wstrzymać wysłanie zestawień finansowych, aby ukryć informacje o stratach, przypieczętuje jego los.



Tego wieczoru, kiedy Dzieciak i ich nowa sekretarka Natasza skończyli już pracę i poszli do domu, Timothy wrócił do swojego gabinetu.

Wyjął firmową książeczkę czekową z szuflady biurka i wypisał czek na pięćdziesiąt tysięcy dolarów na nazwisko swojego asystenta.

Nie chodziło tylko o spłatenie chłopaka. Było mu go naprawdę szkoda. Podejmując pracę w Osirisie, Jay Strauss miał pecha. Poza tym, mimo wściekłości na Timothy'ego za złamanie mu kariery i za to, że sypia z dziewczyną, w której sam się podkochiwał, okazał się dżentelmenem. Zgodził się zostać przez dwa tygodnie, żeby pomóc mu zakończyć działalność Osirisa. Timothy był mu coś winien. A jeśli składając zeznania w Chicago, będzie pamiętał o szczodrości swojego byłego szefa, tym lepiej.

Poza tym ta szczodrość nic Timothy'ego nie kosztowała. I tak odliczy tę sumę z pieniędzy inwestorów. Zawsze łatwo być szczodrym z PİL — Pieniędzy Innych Ludzi.

Postanowił, że jeszcze dzisiaj podjedzie do domu Dzieciaka i da mu czek. Wręczając chłopakowi czek osobiście, zamiast wysłać go pocztą, okaże mu w ten sposób szacunek.

Znalazł jego adres w rolodeksie. Okazało się, że to w Menlo Park, niedaleko firmy.



Dzieciak mieszkał w zielonej dzielnicy mieszkaniowej za Safeway. Była to mieszanina małych domków, bliźniaków i apartamentowców, wynajmowanych przez studentów i profesorów ze Stanfordu.

Timothy wjechał na podjazd przed domem chłopaka. Pomyślał, że zawsze łatwo można poznać, czy dom jest wynajmowany, ponieważ trawnik nigdy nie jest wtedy odpowiednio przystrzyżony ani podlany. Tak właśnie wyglądał trawnik u Dzieciaka, na którym rosła brązowa i zbyt wysoka trawa. Na trawniku leżał stary wąż i spryskiwacz, najwyraźniej od dawna nieużywane.

Timothy zadzwonił do drzwi. Ze środka dochodziła muzyka, grał jakiś nieznany mu zespół rockowy, który na szczęście ominął jego pokolenie. Ktoś przyciszył muzykę i po chwili w drzwiach stanął Dzieciak. Był w koszulce i dżinsach.

— Timothy? — zdziwił się.

— Przepraszam, że wpadam bez zapowiedzi — powiedział Timothy. — Chciałem zrobić ci niespodziankę. To dla ciebie. — Wyjął z kieszeni złożony na pół czek. Trzymając go pomiędzy wskazującym i serdecznym palcem, podał go chłopakowi.

— Co to?

— Kryształowa taca na owoce. Nie domyślasz się? — Po chwili dodał: — Powiedzmy, że to oznacza „Dziękuję i przepraszam”.

Dzieciak rozłożył czek i spojrzał na widniejącą na nim sumę. Uniósł brwi.

— Zaskoczyłeś mnie.

— Cała przyjemność po mojej stronie.

— Dziękuję.

— Nie, nie — odparł Timothy. — To ja dziękuję.

Zastanawiał się, czemu Dzieciak przez cały czas stoi w progu, blokując wejście. Dlaczego nie zaprasza go do środka?

— To bardzo miłe z twojej strony — przyznał chłopak. — Normalnie zaprosiłbym cię do środka, ale... — nie dokończył.

Z wnętrza domu dobiegł odgłos kroków i trzeszczenie klepki. Timothy domyślił się, że Dzieciak ma gościa. Prawdopodobnie kobietę. Poczul się jak idiota.

— Och... Przepraszam.

— Nie, nie, to tylko... — Dzieciak obejrzał się niepewnie przez ramię.

— To ja przepraszam, że przeszkadzam — powiedział Timothy. — Chciałem ci to tylko wręczyć. Dzięki za wszystko.

— Doceniam to — odparł Dzieciak.

W dalszym ciągu opierał się ręką o framugę, blokując wejście.

— No dobra, widzimy się jutro.

— Jasne. To na razie — odparł chłopak.

Zanim Timothy zdążył coś dodać, skinął mu głową i zamknął drzwi.



Kiedy wrócił do domu, Tricia krzątała się w kuchni, podsmażając cebulę i szykując obiad.

— Cześć, kochanie! — zawołała. — Ciężki dzień w pracy?

Był to oczywiście żart. Teraz, kiedy Osiris kończył działalność, Timothy miał jeszcze mniej zajęć niż kiedykolwiek przedtem.

Pocałował ją.

— Dzień jak co dzień. Za dużo martini w czasie lunchu.

— A jak tam Natasza? To ona ma mnie teraz zastąpić?

— Już to zrobiła.

— Miałam na myśli łóżko.

— Właśnie o tym mówię.

— Jesteś okropny.

— Pachnie blinami. Jak coś takiego jest w ogóle możliwe? — mruknął.

Zdjął marynarkę i powiesił ją na oparciu krzesła.

— Nie zostawisz jej chyba tutaj, co? — zapytała Tricia.

Było to pytanie, które Katherine często mu zadawała.

W ciągu ostatniego tygodnia powoli przyzwyczyił się do jej obecności w ciele Tricii i zaczęło mu się to nawet wydawać zupełnie naturalne. Jednak kiedy czasami rzucała jakąś uwagę lub coś krytykowała — tak jak powieszenie marynarki na oparciu krzesła czy pozostawienie niezakręconej pasty do zębów — miał wrażenie, że widzi jakiś

dziwny wulkaniczny krajobraz, rozświetlany błyskawicami. Nagły błysk i z bezpiecznej ciemności wyłaniają się ukryte w niej dotąd groteskowe kształty zwęglonych drzew i hałdy szarego popiołu.

— Przepraszam — powiedział.

Kiedy zdjął marynarkę z krzesła i już miał wyjść z kuchni, coś przykuło jego wzrok.

— Co to? Spojrzała na niego.

— Co?

Wskazał na jej szyję.

— To.

Tricia założyła diamentowy naszyjnik z szafirowym wisiorkiem, który podarował żonie w Big Sur, ale był schowany pod bluzką, więc w pierwszej chwili nie rozpoznał, co to takiego.

Dotknęła go palcami i wyciągnęła na wierzch.

— Prezent od ciebie na naszą rocznicę ślubu — odparła.

— Gdzie go znalazłaś?

— Tam, gdzie go zostawiłam, w szufladzie z bielizną. O co ci chodzi?

Potrząsnął głową.

— O nic. — Kolejny rozbłysk nad dziwnym wulkanicznym krajobrazem. — Czasami to wszystko jest zbyt niesamowite. Wiem, że to ty, ale to nie ty.

— Ależ to ja — zapewniła go Tricia.



W sobotnie popołudnie postanowili pojechać do klubu Menlo Circus na tenisa i parę drinków.

Timothy zdołał zagrać jednego seta, zanim rozboleło go kolano.

— Co jest, Kuśtyk? — spytała Tricia, kiedy podeszli do siatki. — Rana z wojny się odezwała?

— Zgadłś.

— Szkoda, że jesteś taki stary.

— Tak mówisz?

— Zagrajmy jeszcze. Świetnie mi się dziś gra.

Musiał znowu wyjść na kort, żeby nie sprawić jej zawodu. Po partii tenisa, którą oczywiście przegrał, powlókł się do męskiej szatni, żeby wziąć prysznic. Umówili się, że spotkają się na werandzie za dwadzieścia minut.

W szatni Timothy pokuśtykał pod prysznic, a potem wszedł nagi do przebieralni. Stał przed lustrem wiszącym nad umywalką i zaczął się czesać. Kiedy podniósł wzrok, zobaczył, że przygląda mu się Michael Stanton, były prezes firmy medycznej, któremu wytoczono proces. Mimo to w dalszym ciągu był szanowanym członkiem klubu.

— Cześć! — zawołał Stanton. — Miło cię widzieć. Grałeś w tenisa?

Timothy poczuł się niezręcznie, stojąc nago i czesząc włosy.

— Tak.

— Z kim jesteś?

Jakbyś nie wiedział, pomyślał Timothy.

— Mam nową dziewczynę — odparł w końcu.

— Świetnie, świetnie. Chyba widziałem ją na korcie. Piękna kobieta. Trochę młodsza od ciebie.

— Naprawdę? Nie zauważyłem.

— Ha, ha, ha! Dobry dowcip. Słuchaj, może wypijemy drinka na werandzie? Ty, twoja dziewczyna, moja żona i ja. Co ty na to?

Żona numer dwa, pomyślał Timothy. Oczywiście jak zwykle nie pamiętał jej imienia.

— Susan — dodał Stanton, jakby czytał w jego myślach.

— Dobry pomysł — odparł Timothy, mimo że wcale tak nie uważał.

— Wspaniale — ucieszył się Stanton. — Widzimy się za dziesięć minut na werandzie. — Patrząc na odbicie penisa Timothy'ego w lustrze,

powiedział: — Tylko nie zapomnij włożyć spodni.



Wszyscy zamówili daiquiri i siedzieli na werandzie w łagodnych promieniach popołudniowego słońca. Żona numer dwa przysunęła fotel do Michaela Stanton. Timothy zauważył, że z bliska wygląda znacznie starzej. Kiedy ją spotkał dwa miesiące temu, przed śmiercią Katherine, wydawała mu się skandalicznie młoda. Stantonowie byli na ustach wszystkich członków klubu, i to nie z powodu sprawy sądowej Michaela, która mogła się zakończyć wyrokiem dziesięciu lat więzienia, ale dlatego, że bez skrupułów porzucił swoją pierwszą żonę i wybrał sobie nowego model.

Teraz jednak Timothy widział, że nowa pani Stanton jest starsza od Tricii. Pod jej oczami pojawiła się zapowiedź worków, a w kąciach ust ostre linie pierwszych zmarszczek. Timothy z dumą uświadomił sobie, że siedzi na werandzie z najbardziej godną pożądaną kobietą, jaka kiedykolwiek przekroczyła próg klubu, i że wszyscy to wiedzą.

— Timothy — zwróciła się do niego żona Stanton numer dwa — opowiedz nam, jak się poznaliście.

Już miał rzucić jakąś wymijającą odpowiedź, ale Tricia go uprzedziła.

— Poznaliśmy się w firmie — oświadczyła, po czym pochyliła się i dodała scenicznym szeptem: — Byłam jego sekretarką.

Żona numer dwa roześmiała się.

— Ale numer! To tak samo jak my. Tyle że ja byłam w firmie Michaela od kontaktów z inwestorami. Jednak reszta się zgadza.

Timothy nad głowami Stantonów rzucił okiem na pozostałych członków klubu siedzących na werandzie. Zauważył, że wszyscy szepczą i rzucają ukradkowe spojrzenia na żonę numer dwa i Tricię.

— Chcecie wiedzieć, jak to się zaczęło? — zapytał Michael Stanton. — Miałem występować u Neila Cavuto... na pewno znacie ten program w CNBC. Trzymali mnie przez godzinę w świetle reflektorów, zanim weszliśmy na wizję. Myślałem, że się rozpuszczę, mówię wam. Pociłem się jak nigdy w życiu. Już mamy wchodzić na wizję, kiedy Susan...

Właśnie, pomyślał Timothy. Susan. Muszę to w końcu zapamiętać.

— No więc Susan oświadczyła wtedy: „Chyba nie pokażecie go w ogólnokrajowej telewizji w takim stanie? Wygląda jak zmokła kura. Albo go wysuszycie, albo stąd wychodzimy”. — Michael Stanton roześmiał się i popatrzył na żonę. — Zgadza się?

— Tak. Nadal jesteś moją zmokłą kurką.

— Dziękuję ci, kochanie.

— Świetna historia — mruknął Timothy.

— Szczerze mówiąc, bardzo się cieszę, że widzę was dwoje razem — dodał Stanton. — Przychodząc tu z Susan, czułem się jak stary satyr z powodu różnicy wieku. Wygląda jednak na to, że teraz będę miał towarzystwo.

— Zamierzamy przychodzić tu z Timothyem tak często, jak to tylko możliwe — zapewniła go Tricia.

— Wcale się wam nie dziwię — stwierdziła Susan. — To takie cudowne. Czasami kiedy się budzę, muszę się uszczypnąć, bo nie wierzę własnemu szczęściu.

Timothy zastanawiał się, czy miała na myśli oferowane przez klub atrakcje, czy należąca do Michaela Stantona willę z sześcioma sypialniami w Atherton. A może jego ośmiocyfrowe konto?

— Cieszę się, że poznałam kogoś w moim wieku — oświadczyła Tricia.

— Nie przesadzajmy — odparła skromnie Susan, ale widać było, że jest zadowolona.

— Drogie panie — wtrącił Michael Stanton — nie róbcie z nas takich starców. Timothy i ja jeszcze nieźle się trzymamy. — Po chwili -

dodał: — Proponuję toast. — Uniósł kieliszek. — Za drugą szansę.
— Za drugą szansę — powtórzyła Tricia.
— Za drugą — zawtórował jej Timothy.



Opuścili Circus Club o szesnastej i ruszyli w stronę domu. Klub znajdował się na uboczu, w mieszkalnej części Atherton. Od miasta odgradzały go małe jednokierunkowe uliczki. Była to bardzo spokojna okolica i Timothy często przejeżdżał kilka przecznic, zanim zobaczył jakiś samochód, toteż zdziwił się, kiedy po drugiej stronie ulicy, naprzeciw wyjazdu z klubu, zauważył czarną impalę. Samochód stał z włączonym silnikiem.

Timothy minął kilka przecznic, zerkając co chwila we wsteczne lustro. Impala cały czas trzymała się z tyłu za nim. Kiedy skręcił w lewo, w Valparaiso, znów spojrzął w lustro. Czarny samochód również skręcił i ruszył za nim.

— Dziwne — mruknął.

— Co takiego? — spytała Tricia.

— Nie, nic, tak tylko... — odparł Timothy.

Zjechał na lewy pas i ostro skręcił w lewo. Impala podążyła za nim.

— Dokąd jedziesz? — zdziwiła się Tricia.

Timothy wcisnął gaz do dechy i wyprzedził jadący przed nim samochód. Wyjechał z bocznych uliczek i skręcił w prawo, w ruchliwą Santa Cruz z czterema pasami ruchu.

Impala także przyspieszyła, uparcie trzymając się jego ogona.

— Co u diabła? — zaklął Timothy, znowu wciskając pedał gazu.

Tricia złapała się tablicy rozdzielczej.

— Timothy, zwolnij!

Oba samochody gnały jak szalone wzdłuż Santa Cruz.

— Dostyc tego! — krzyknął rozwścieczony Timothy.

Skręcił ostro w prawo i z piskiem opon wjechał na parking przed supermarketem na Santa Cruz. Wcisnął hamulec i bmw zatrzymało się przed solarium.

Wyłączył silnik, otworzył drzwi i wyskoczył z samochodu. Odwrócił się w stronę wjazdu na parking i czekał na impalę.

Chwilę później czarny wóz wjechał na parking. Miał opuszczoną i szeroką jak pysk rekina młotą maskę. Jechał wolno w stronę Timothy'ego. Za kierownicą siedział młody mężczyzna z długimi blond włosami w strąkach i patrzył na Timothy'ego. Kiedy go mijają, uniósł palec do szyi i powoli przejechał nim po skórze ze złowieszczym uśmiechem. Trudno o bardziej wymowny znak.

Zaraz potem silnik impali ryknął, zapuszczając opony i wóz wyskoczył z parkingu. Po chwili zniknął Timothy'emu z oczu.

— Widziałaś to?! — zawołał Timothy, odwracając się do Tricii. Serce waliło mu jak oszalałe i czuł, jak do jego żył napływa adrenalina. Spojrzał na swoje dłonie zaciśnięte w pięści. — Widziałaś? — zapytał jeszcze raz.

Tricia była blada jak prześcieradło.

— Wracajmy do domu — poprosiła cicho.

— Znasz go?

— Nie — odparła.

Timothy wszedł do samochodu i włączył silnik.

— Widziałaś, co on mi pokazał? Zrobił taki gest, jakby groził mi śmiercią!

— Pewnie był pijany — stwierdziła Tricia.

— Nie wyglądał na pijanego.

Popatrzył na nią.

— Co to u diabła miało znaczyć? Pokręciła głową.

— Nie mam pojęcia.



Kiedy przyjechali na miejsce, Timothy obawiał się, że na podjeździe będzie na niego czekać długowłosa młodzieniec w impali. Jednak nikogo nie było.

Po kilku godzinach się uspokoił. Przeróżająca jeszcze niedawno sytuacja teraz wydawała mu się śmieszna. Pewnie po prostu jakiś naćpany dzieciak chciał nastraszyć bogatego snoba z Circus Club. Cały ten pościg po Menlo Park z parkowaniem z piskiem opon przed solarium i wyskakiwanie z wozu z zaciśniętymi pięściami wydały mu się absurdalne. Co on sobie właściwie wyobrażał, startując w swoim białym stroju tenisowym do jakiegoś ćpuna? Że walnie go rakieta z bek-hendu?

Przy obiedzie mogli się już z Tricią śmiać z całego zdarzenia.

— Co za dzień — westchnął Timothy, gdy siedzieli w pokoju stołowym przy pieczonych na ruszcie stekach i do połowy opróżnionej butelce wina. — Najpierw mecz tenisa z o połowę młodszą kobietą, a potem chronienie jej przed naćpanym małolatem. Brakuje mi tylko peleryny i bluzy z literą S na piersiach.

— Supermanie, rozegrałeś tylko dwa sety.

— Ale za to jak!

— Kuśtykająco.

— Dobra, nie mówmy o tenisie. Jednak obroniłem cię przed naćpanym małolatem.

— Mój ty bohaterze... — Wypiła wino i odstawiła pusty kieliszek.

— Wyglądałeś tak komicznie na tym parkingu.

— Myślałem, że naprawdę jestem twoim bohaterem.

Zsunęła but i pogłaskała stopą jego nogę pod stołem.

— Bo jesteś — odparła. — Byłeś bardzo dzielny. Jechałeś chyba stową po Menlo Park. A potem wyskoczyłeś z wozu, gotów do walki.

— Najlepszą obroną jest atak.

— Jasne.

— Musiałem bronić mojej kobiety.

— Byłeś zajebisty — przyznała Tricia. Timothy'emu uśmiech zastąpił na twarzy. Spojrzał na nią.

— Co powiedziałaś?

Wyglądała na zdumioną.

— Nic. Powiedziałam, że... — urwała i pokręciła głową.

Schylił się, złapał jej stopę i odepchnął od siebie.

— Co powiedziałaś?

Tricia popatrzyła na niego i w jej oczach pojawił się lęk.

— Powtórz, co powiedziałaś — nalegał.

— Timothy, o co ci chodzi?

Minęło już kilka tygodni od powrotu Katherine i Timothy nie miał już wątpliwości, że to naprawdę ona. Ale teraz to słowo, jedno słowo, którego Katherine nigdy by nie użyła, a którym tak często posługiwała się jego głupia sekretarka, z powrotem obudziło w nim wszystkie wątpliwości.

— Timothy, nie strasz mnie... — jęknęła.

Przez chwilę przyglądał się jej uważnie. Patrzył w jej niebieskie oczy i na czarne włosy spięte z tyłu elegancką spinką ze skorupy żółwia. Seksowne ubrania, które nosiła Tricia, zastąpiły blezery w zgaszonych kolorach i pastelowe spódnice, które kupili pewnego popołudnia na wielkich zakupach w Talbott i u Ann Taylor. Ale czy w tym ubraniu rzeczywiście była Tricia? Starał się wyczytać to z jej oczu, dostrzec w nich coś złowieszczonego, podstępного i zdradzieckiego. Jednak oczy siedzącej naprzeciw niego kobiety były puste i nic nie ujawniały. Może po prostu nie ma nic do ujawniania, pomyślał.

— Przepraszam — mruknął w końcu. — To przez ten okropny dzień. Nic się nie stało.

Potrząsnęła głową i wróciła do swojego steku. Mięso było krwiste, tak jak lubiła Katherine, i to go trochę uspokoiło.



Tej nocy, kiedy położyli się do łóżka i zgasili światła, nie mógł zasnąć.

Słyszał, jak leżąca obok niego kobieta pochrapuje cicho. Uświadomił sobie, że cały czas dręczyło go jedno pytanie. Chodziło mu po głowie przez cały dzień i pewnie by o nim zapomniał, gdyby Tricia nie użyła przy obiedzie słowa „zajebicie”.

Dotyczyło to wczorajszego dnia, kiedy założyła diamentowy naszyjnik z szafirem, który podarował Katherine w Big Sur. Przypomniał sobie ich rozmowę: „Co to jest?” — zapytał wtedy. „Prezent, który od ciebie dostałam w rocznicę ślubu” — odparła.

Pamiętał, że coś mu nie pasowało w tej odpowiedzi. Z początku pomyślał, że po prostu nie podoba mu się widok naszyjnika Katherine na szyi Tricii.

Leżąc w łóżku uświadomił sobie, że chodzi o coś zupełnie innego. Skąd wiedziała, że naszyjnik był prezentem na rocznicę ślubu?

Kobieta, która leżała obok niego, nie była oryginalną Katherine van Bender. Była jej kopia. Kopią zapasową. Kopia została wykonana dzień przed ich wyjazdem do Big Sur. Katherine potwierdziła to, kiedy kontaktowali się ze sobą za pośrednictwem komputera („Jak było w Big Sur? — zapytała wtedy. — Zaliczyłeś?”).

Skąd więc teraz wiedziała, że naszyjnik był prezentem, zastanawiał się Timothy. Nie mogła tego wiedzieć. Śpiąca obok kobieta nie mogła pamiętać wyprawy do Big Sur ani tego, że dostała wtedy od niego prezent. Gdyby znalazła naszyjnik w pudełku z biżuterią, nie miałyby pojęcia, co to takiego.

Odwrócił się do niej w ciemności.

— Tricia — powiedział cicho. Pochrapywanie umilkło.

— Tricia — powtórzył.

— Hmm... — zamruczała.

— Skąd wiedziałaś o naszyjniku? Skąd wiedziałaś, że to prezent na rocznicę?

— Hmm... — W dalszym ciągu sprawiała wrażenie półprzytomnej, ale w ciemności trudno to było stwierdzić. Może leżała zupełnie rozbudzona, a jej umysł gorączkowo szukał odpowiedzi na pytanie Timothy'ego.

— Wiedziałaś, że to prezent na rocznicę, ale ja ci go podarowałem w Big Sur. Po tym, jak zostałaś skopiovana. Nie mogłaś tego wiedzieć.

— Hmm... — mruknęła znowu sennie.

— Skąd wiedziałaś, co to jest?

Westchnęła, obróciła się na łóżku i zapaliła lampkę na nocnym stoliku. Oboje zmrużyli oczy.

— Stąd, że niby co to innego mogłoby być? — odparła, nagle zupełnie rozbudzona i bardzo wściekła. — Na miłość boską, Timothy, nie jestem kretynką. Myślisz, że jestem tak samo głupia jak twoja sekretarka? Od dwudziestu lat jestem twoją żoną. Znam cię jak zły szeląg. Potrafię odgadnąć, o czym myślisz. Znam wszystkie twoje zagrania. Powiedziałeś, że kupiłeś mi coś pięknego i kosztownego na naszą podróż do Big Sur, żebym nie czuła się taka nieszczęśliwa, prawda? Założę się, że nie miałeś jeszcze prezentu, kiedy tam jechaliśmy. Kupiłeś go gdzieś po drodze. Zgadza się?

Sprytnie, pomyślał. Naprawdę znasz mnie, jakbyś była moją żoną. Aż za dobrze.

— Mam rację? — spytała ze złością.

— Masz — odparł.

Westchnęła z irytacją i zgasiła światło. W ciemności odwróciła się do niego plecami, pociągając za sobą kołdrę.

Bardzo sprytnie, pomyślał znowu. Ale może naprawdę tak było. Rzeczywiście zna mnie jak zły szeląg.

Zamknął oczy i próbował zasnąć. Chciał zapomnieć o naszyjniku.

W poniedziałek wstał wcześnie.

Chciał o ósmej trzydzieści być w biurze, żeby przygotować się do spotkania o dziewiątej ze swoim prawnikiem, Frankiem Arnheimem. Mieli razem przeciwzyć zeznania Timothy'ego i zastanowić się, jakie dokumenty powinien przedstawić komisji.

Rzucił okiem na Tricię, która jeszcze smacznie spała. Po cichu włożył szlafrok i zszedł po schodach do przedpokoju. Postanowił zacząć dzień w cywilizowany sposób, od gazety i filiżanki kawy. Całkowity spokój.

Wyjrzał przez wizjer we frontowych drzwiach. Zapakowana w żółtą folię gazeta „San Jose Mercury News” leżała na podjeździe.

Otworzył drzwi. Na dworze było ciepło i pogodnie. Na niebie ani jednej chmurki. Zszedł po schodkach i ruszył brukowaną ścieżką po gazetę. Kiedy się po nią schylał, usłyszał, że ktoś go woła:

— Panie van Bender!

Podniósł wzrok i zobaczył Neiderhoffera, który przechodził przez ulicę, kierując się w jego stronę. Policjant niósł w rękach dwa kubki

kawy. Jak to się stało, że nie zauważył jego samochodu?

— Detektywie... — zaczął Timothy.

— Nazywam się Neiderhoffer — przypomniał mu policjant.

— Tak, pamiętam.

Policjant podszedł do niego bliżej.

— Miałem nadzieję, że złapię pana przed pracą. Ma pan może wolną minutkę?

— O co chodzi?

Detektyw wzruszył ramionami.

— Chciałbym pogadać o pańskiej żonie. — Pokazał dwa kubki kawy. — Wziąłem dla pana kawę, żeby wynagrodzić panu stracony czas.



Timothy, który był jeszcze w szlafroku, zaprosił go do kuchni. Usiedli przy stole i policjant zaczął przerzucać kartki w swoim notatniku.

— Jak pan się trzyma? — zapytał.

— Dobrze.

— Cieszę się. Wiem, jakie to dla pana musi być trudne. — Przez chwilę wpatrywał się w otwarty notatnik, po czym zapytał: — A przy okazji, czy udało się panu dowiedzieć, który lekarz ostatnio zajmował się pana żoną?

— Nie.

— Chyba musiała zmienić lekarza, prawda?

— Nie mam pojęcia — mruknął Timothy.

— Dziwna historia. Żona dzwoni do pana w dniu swojej śmierci i mówi, że jest bardzo chora. Ale jej lekarz rodzinny, doktor... — przerzucił kilka kartek notesu — doktor Charles, nie widział jej od ponad roku, a kiedy badał ją po raz ostatni, była zdrowa jak rydz.

— Jak pan sam zauważył, musiała zmienić lekarza.

— To tylko jedno możliwe wytłumaczenie — odparł Neiderhoffer.

Timothy zorientował się, że detektyw wcale nie wpadł do niego, by pogawędzić przy kawie.

— A jakie jest inne? — zapytał.

— Może wcale nie była chora.

— Przecież powiedziała mi, że jest śmiertelnie chora — oświadczył Timothy.

Neiderhoffer spojrział na niego.

— Tak, kiedy zadzwoniła do pana tego rana. Ten tajemniczy telefon, który miał wszystko wyjaśnić. Wtedy, kiedy dała panu do zrozumienia, że zamierza popełnić samobójstwo. Oczywiście, pamiętam. — Zapisał coś w notatniku i zapytał: — Czy wyraża pan zgodę, żebyśmy wydali operatorowi telefonicznemu nakaz przedstawienia wszystkich połączeń z pańskim numerem?

— Proszę bardzo.

Neiderhoffer kiwnął głową.

— Doskonale. — Znowu zaczął przewracać kartki notatnika. — Wybrałem się w końcu do Big Sur — powiedział po chwili. — Przepiękne miejsce. Czy uwierzy pan, że chociaż wychowałem się w San Jose, nigdy nie byłem w Big Sur? To chyba prawda, że najciemniej jest pod latarnią.

Przez parę sekund czekał, czy Timothy coś odpowie, a kiedy się nie doczekał, dodał:

— Tak więc w końcu się tam wybrałem. Wie pan, żeby sprawdzić, czy wszystko się zgadza.

— No i co?

— Zatrzymaliście się w Ventana Inn, zamówiliście... jak to się nazywało? „Organiczna maska z morskich enzymów”, prawda? Jedliście w restauracji hotelowej, potem wziął pan masaż u Tony'ego i po dwóch

dniach wyjechaliście. Wszystko było tak, jak pan mówił.

— Więc?

— Zastanowiło mnie kilka rzeczy. Pokazałem pana zdjęcie obsłudze hotelowej. W niedzielę podjechał pan do wejścia dla nowych gości. Gонец hotelowy zapamiętał pana, ponieważ dał mu pan dwadzieścia dolarów i poprosił, żeby popilnował wozu. Był pan spocony i zziębnięty. W samochodzie nie było pana żony.

— Och, to nic niezwykłego. Katherine zapomniała wziąć okulary z pokoju hotelowego, więc wysłała mnie po nie.

Neiderhoffer znowu coś zanotował.

— Pytał pan kogoś w hotelu o te okulary? Może w recepcji?

— Nie.

Detektyw kiwnął głową.

— Musiałem iść do toalety — dodał Timothy.

— Jasne, wszyscy musimy czasem iść do toalety. Jednak rozumie pan, że to wygląda... dziwnie.

— Nie, nie rozumiem. Co pan sugeruje? Że zabiłem swoją żonę i wróciłem do hotelu sam, żeby zwrócić na siebie uwagę? Po co miałbym to robić?

— Panie van Bender, niech się pan uspokoi. Nikt pana o nic nie oskarża. Po prostu prowadzę sprawę zaginięcia kobiety. Proszę nie brać tego do siebie.

— Jasne — mruknął Timothy. Upił łyk kawy i zauważył, że drży mu ręka. Odstawił szybko kubek, zanim detektyw mógł to zauważyć.

— Jest jeszcze sprawa tego naszyjnika — powiedział Neiderhoffer.

— Jakiego naszyjnika? — zapytał Timothy, choć oczywiście wiedział, o jakim naszyjniku mowa.

— Sprzedawczyni z... co to był za sklep? Aha, Biżuteria Artystyczna Michaela Shermana. Ekspedientka natychmiast pana rozpoznała, bo

nieczęsto trafiają się tacy klienci. Wszedł pan do sklepu i po sześćdziesięciu sekundach wyszedł z biżuterią wartą piętnaście tysięcy dolarów. Pańskiej żony nie było wtedy z panem.

— Została w restauracji.

— Wiem, to miała być niespodzianka. Tak powiedziała sprzedawczyni. Najwyraźniej zapada pan ludziom w pamięć. Ta kobieta w sklepie nie mogła przestać o panu mówić. Piętnaście tysięcy dolarów w minutę. Diamenty i szafiry. Zupełnie jakby chciał pan, żeby go dobrze zapamiętano.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— To oczywiście nie musi nic znaczyć — dodał Neiderhoffer. — Może jednak oznaczać, że chciał pan sprawić wrażenie, że bardzo kocha żonę. Piętnaście tysięcy dolarów to sporo pieniędzy, nawet dla kogoś tak zamożnego jak pan.

— Naprawdę kochałem moją żonę — odparł Timothy.

Zaczynała go ogarniać złość. Chciał, żeby Neiderhoffer popatrzył mu w oczy, i zamierzał zmusić go do spuszczenia wzroku. Musi mu pokazać, kto tu rządzi. Rzucił detektywowi ostre spojrzenie, ale Neiderhoffer nie przyjął wyzwania. Jego uwagę przyciągnęło coś innego, coś za plecami Timothy'ego. Timothy odwrócił się, podążając za wzrokiem policjanta. W drzwiach kuchni stała Tricia. Miała na sobie szarą spódnicę i białą koszulę, a jej dekolt ozdabiał diamentowy naszyjnik z szafirem.

— Dzień dobry — przywitał ją z uśmiechem Neiderhoffer, jakby dwudziestoparoletnia dziewczyna śpiąca ze starszym od siebie mężczyzną, którego żona zmarła kilka tygodni temu, i w dodatku nosząca jej naszyjnik była najnormalniejszą rzeczą pod słońcem.

— Witam — powiedziała Tricia.

Posłała Timothy'emu zdziwione spojrzenie, a potem podeszła do niego, by go pocałować. Odsunął się od niej.

— Tricia Fountain — przedstawił ją policjantowi. — Detektyw Neiderhoffer prowadzi sprawę zaginięcia mojej żony.

Tricia usiadła.

— Myślałam, że twoja żona nie żyje.

— Bo tak jest — odparł z naciskiem Timothy. Uświadomił sobie, że niepotrzebnie nalega na to rozróżnienie. — Rozumiem jednak, że sprawa jest otwarta — dodał łagodniejszym tonem, patrząc na Neiderhoffera.

— To tylko formalność — zapewnił go policjant, nie spuszczać wzroku z Tricii. — A pani jest... — zawiesił głos.

— Pracowałam razem z Timothyem.

— Naprawdę?

— Jako sekretarka. Ale rzuciłam pracę.

— No tak — mruknął policjant i pokiwał głową.

Timothy spodziewał się dalszych pytań, jednak Neiderhoffer zamknął notatnik, wsunął go do kieszeni marynarki i wstał.

— Przepraszam za najście — powiedział. — Domyślam się, że spieszy się pan do pracy.

— Tak — przyznał Timothy i również się podniósł, by odprowadzić go do drzwi.

— Miło mi było panią poznać, panno Fountain — rzucił Neiderhoffer przez ramię. — Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy.

Timothy otworzył drzwi wejściowe i uśmiechnął się ponuro.

— Nie wygląda to najlepiej, prawda?

— Co? — zapytał detektyw. — To, że znalazł pan sobie dziewczynę zaledwie kilka tygodni po śmierci żony? Czy to, że ta dziewczyna nosi naszyjnik, który kupił pan żonie w prezencie? Bo to jest ten sam naszyjnik, prawda?

Timothy kiwnął głową.

— Mogło być gorzej — pocieszył go Neiderhoffer. — Na przykład mogły być ślady krwi w całym domu. — Rozejrzał się szybko po korytarzu, jakby rzeczywiście szukał tych śladów, po czym teatralnym gestem otarł pot z czoła i roześmiał się.

Timothy również się zaśmiał.

— No cóż — powiedział detektyw. — Nie przejmowałbym się tym tak bardzo. W moim fachu często widzi się rzeczy, które nie wyglądają najlepiej na pierwszy rzut oka. Zazwyczaj jednak okazuje się, że to nic istotnego.

Timothy uściskał mu dłoń.

— Dziękuję.

Neiderhoffer przekroczył próg i zaczął schodzić po schodkach.

Timothy już miał zamknąć drzwi, kiedy detektyw zawołał:

— Panie van Bender!

Timothy szerzej otworzył drzwi.

— Mimo wszystko trochę za wcześnie na nową dziewczynę. Ile czasu minęło od śmierci pańskiej żony? Cztery tygodnie? Pięć?

— Pięć.

— No to rzeczywiście trochę za wcześnie. Chyba że spotykaliście się, zanim pana żona popełniła samobójstwo.

Timothy nic na to nie odpowiedział.

— Tak czy nie? — naciskał policjant. — Mielście wcześniej romans?

Timothy zastanawiał się, co powinien powiedzieć. Co Neiderhoffer wiedział? Może go tylko podpuszczał? Jeśli przyzna, że zdradzał żonę przed śmiercią, czy będzie to świadczyło przeciw niemu? Może okaże się, że zabił Katherine, aby uniknąć skomplikowanego rozwodu? A może Neiderhoffer podejrzewał, że zabił ją podczas awantury, kiedy jego zdrada wyszła na jaw?

— Nie — odparł w końcu. — Nie romansowałem z nią. Do widzenia.

Zamknął drzwi.

Kiedy wrócił do kuchni, wybuchnął:

— Jezus Maria, Tricia! Musiałaś akurat dzisiaj założyć ten naszyjnik?

Roześmiała się.

— Masz jakąś obsesję na jego punkcie. Możesz go sobie zabrać. — Sięgnęła do tyłu, odpięła naszyjnik i rzuciła na stół kuchenny. — Trzymaj.

— Nie o to mi chodziło.

— Uważasz, że ten policjant cię podejrzewa? Sądzi, że mnie zabiłeś?

— Nie, sądzi, że zabiłem moją żonę. O tobie sądzi, że pieprzę cię od paru miesięcy.

— A pieprzysz?

— Nie, Katherine.

— Tricia — poprawiła go.

— Tricia. — Podszedł do rozsuwanych drzwi i wyjrzał na patio. Po trawniku kicał zając. — Problem polega na tym, że to źle wygląda. Wszystko to źle wygląda. To, że wprowadziłaś się tutaj w tak krótkim czasie od śmierci mojej żony.

— Przecież to ja jestem twoją żoną.

— Ja to wiem i ty to wiesz. Ale kto w to uwierzy? Dla wszystkich innych jesteś tylko moją dwudziestotrzyletnią sekretarką. Nie wziąłem tego pod uwagę. Powinienem być wybrać kogoś innego. Kogoś starszego.

— Jakoś tego nie widzę — stwierdziła Tricia.

Oczywiście miała rację. Dobrze go znała. Czasami nawet lepiej niż on sam. Mógł wybrać tylko Tricię. Gdy doktor Ho wyjaśnił mu, co zamierza zrobić, wiedział, że wybierze właśnie ją. Katherine w ciele Tricii też to wiedziała.

— Czemu go nie przekupisz? — spytała. — Przecież zawsze dasz policji łapówki, żeby uniknąć kłopotów.

Timothy domyślił się, o czym mówi. Kiedy kilka lat temu jechali do opery w San Francisco i drogowka zatrzymała go na drodze numer 101 za przekroczenie szybkości, podał policjantowi dwieście dolarów włożonych do prawa jazdy. Katherine była wściekła na niego, gdyż obrażało to jej poczucie uczciwości i przyzwoitości.

— To trochę inna sytuacja — zaprotestował. — Jest pewna różnica między przekroczeniem szybkości i morderstwem.

— Przestań dramatyzować. Nikogo nie zabiłeś. Popełniłam samobójstwo.

— Ale nie znaleziono ciała. Jedynym dowodem jest twój telefon do mnie. Całe alibi opiera się na moim słowie.

— Chyba twoje słowo jest coś warte?

Odwrócił się, żeby na nią spojrzeć. Kpiła sobie z niego?

— Poza tym to bzdura — dodała. — Niby dlaczego miałbyś mnie zabijać? Bez problemu dostałbyś rozwód. Przecież spisaliśmy intercyzę. Pokaż mu ją po prostu. To tylko jedna strona.

Kolejna szpila? Prawdopodobnie zasłużył sobie na to. Był okropnym mężem. Aż dziw, że Katherine wytrzymała z nim tyle lat.

Westchnął.

— Może masz rację.

Wstała od stołu i podeszła do niego, położyła mu dłonie na ramionach i zaczęła masować napięte mięśnie.

— Tego właśnie potrzebowałem — mruknął.

— Może to nie jest najlepszy czas, żeby o tym mówić, ale uważam, że... powinniśmy wziąć ślub.

Odwrócił się do niej.

— Znowu ten ślub? Tricia, dlaczego to dla ciebie takie ważne?

— Ponieważ nie jestem Tricią — odparła. Jestem twoją żoną Katherine. Ponieważ cię kocham. To takie dziwne uczucie być kimś innym i nie być twoją żoną. Wiem, że tego nie zrozumiesz. Nie możesz tego zrozumieć. Spróbuj jednak to sobie wyobrazić. Patrzysz w lustro i widzisz obcą twarz. Wiesz, jak ja się czuję? Jak... — przez chwilę szukała właściwego słowa — jakbym była zupełnie bezbronna. Jakbym dryfowała. Chcę, żeby wszystko było po staremu. Chcę być twoją żoną. Chcę mieć przynajmniej to.

— Dobrze — odparł Timothy, zastanawiając się jednocześnie, co zrobi Neiderhoffer. Jeśli sprawdzi jego rozmowy telefoniczne, przynajmniej pozwoli to ustalić, że Katherine naprawdę dzwoniła do niego rano w dniu śmierci. Może rzeczywiście nie miał się czym przejmować.

— Możemy wziąć cichy ślub — dodała Tricia. — Możemy pojechać do urzędu w San Jose i pobrać się w dziesięć minut. Zróbmy to, jak tylko otrzymasz świadectwo zgonu.

— Zgadzam się. — Może nawet ten ślub z Tricią będzie przemiał na jego korzyść, pomyślał. Może przekona to Neiderhoffera, że nie chodzi o zwykły romans, ale o prawdziwe uczucie. — Spotykam się dzisiaj z Frankiem Arnheimem. Powiem mu, żeby coś szybko przygotował.

Tricia popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

— O czym ty mówisz? Kto to jest Frank Arnheim?

— Mój prawnik. Weźmiemy stary dokument i wstawi się twoje nazwisko. Jak tylko dostanę akt zgonu Katherine...

— Jaki stary dokument? O czym tym mówisz? — powtórzyła. Wciąż się uśmiechała, ale był to uśmiech, pod którym krył się ból.

— Mówię o naszej umowie. O intercyzie. Daj spokój, chyba nie zamierzasz się znowu o to kłócić.

Z niedowierzaniem potrząsnęła głową.

— Jesteśmy razem dwadzieścia lat, a ty chcesz intercyzy?

— Tricia, wiesz przecież...

— Wiem co? — przerwała mu. — Wiem, że jesteś największym... kutasem, jakiego kiedykolwiek spotkałam. To właśnie wiem!

Odwróciła się i wybiegła z kuchni. Po chwili wróciła, podeszła do stołu, złapała naszyjnik i schowała go do kieszeni.

— To moje — oświadczyła i wyszła.

36

Przez Neiderhoffera Timothy był już spóźniony.

Wyjechał z domu pięć po wpół do dziewiątej i popędził wzdłuż Waverly w stronę centrum Palo Alto. Przejazd zajął mu półtorej minuty. Wjechał na podziemny parking biurowca Bank of America, wziął bilet z automatu i zjechał dwa poziomy niżżej, by zaparkować wóz na miejscu oznaczonym napisem „Miesięczne”.

Wysiadł z samochodu i zaniknął go pilotem. Bmw zapiszczało w odpowiedzi. Timothy skierował się w stronę wind. Stukot jego obcasów odbijał się echem w niskim pomieszczeniu. Mimo że na zewnątrz było dwadzieścia sześć stopni, w garażu panował przyjemny chłód. Było tu także bardzo cicho.

Idąc stromym podjazdem, myślał o Tricii i o jej upieraniu się przy ślubie, o spotkaniu z Frankiem Arnheimem i zeznaniach przed Komisją Giełdową.

Nagle usłyszał za sobą odgłos szybkich kroków. Odwrócił się.

Był to młody człowiek z włosami w strąkach, który ścigał go poprzedniego dnia po Menlo Park w impali. Miał na twarzy dziwny uśmiezek.

Timothy zatrzymał się, czując gwałtowny napływ adrenaliny, od której zaczęło walić mu serce, a jądra skurczyły się do wielkości dwóch zamrzniętych groszków.

— Hej — powiedział. Było to coś pośredniego między powitaniem a pogroźką. W ustach zupełnie mu zaschło i jego głos brzmiał ochryple.

Długowłosy blondyn szedł w jego stronę, wciąż uśmiechając się niepokojąco. Jego obcasy stuknęły metalicznie po betonie. Timothy spojrział w dół i zobaczył buty robocze o noskach okutych metalem.

— Hej — powtórzył głośniejsze.

Uświadomił sobie, że jest całkowicie bezbronny. Przez całe życie miał wszystko pod kontrolą. Dzięki swojemu majątkowi, nazwisku i pozycji mógł decydować nie tylko o swoim losie, ale także o losie innych ludzi. Jednak teraz zdał sobie sprawę, jak ulotna była jego władza. Była to tylko gra w asertywność, która zależała od tego, czy wszyscy zgadzali się w niej uczestniczyć. W konfrontacji z przemocą reguły tej gry przestawały obowiązywać.

Zastanawiał się, co powinien powiedzieć. To właśnie słowa, które zawsze w ostatniej chwili przychodziły mu do głowy, ratowały go z opresji. Tak samo będzie w tym przypadku. W odpowiednim momencie same się pojawiają, niespodziewane i zaskakujące.

Długowłosy młodzieniec wciąż szedł w jego stronę. Z bliska, z odległości nie większej niż kilka metrów, nie wyglądał na niegroźnego, naćpanego małolata. Był też starszy, niż Timothy sądził. Miał pociągłą, chudą twarz i zapadnięte oczy. Jego proste włosy były przetłuszczone i pozlepiane w strąki. Widocznie miał ważniejsze sprawy na głowie niż higiena.

Timothy spodziewał się, że chłopak coś powie. Bójki zawsze zaczynały się od słów. Ale nie tym razem. Długowłosy zamachnął się i z całej siły uderzył go pięścią w brzuch.

Timothy zgiął się wpół i złapał za żołądek. Jeszcze nigdy nikt go nie uderzył. Otworzył usta w bezgłośnym „Auu”, przerażony i zszokowany. Napastnik złapał go za krawat marki Hermes i pociągnął mocno w dół. Timothy upadł na betonową podłogę. Wyciągnął ręce, ale zrobił to za późno i walnął brodą w beton. Kiedy poczuł coś ciepłego na twarzy, domyślił się, że to krew.

— Jeśli nie odpieprzysz się od mojej dziewczyny, to cię zabiję — zagroził młody mężczyzna.

— Twojej dziewczyny? — Timothy poczuł ulgę. Nie miał pojęcia, o czym ten facet mówi. To było zwykłe nieporozumienie, nic więcej. Wyjaśni, że to pomyłka, i...

— Jeżeli jeszcze raz zobaczę cię z Tricią, nie użyję pięści — warknął długowłosa.

Wyjął z kieszeni nóż sprężynowy i otworzył go. Pomachał nim przed twarzą Timothy'ego, a potem odwrócił się na pięcie i odszedł. Timothy nie podnosił się z ziemi, słuchając oddalających się kroków. W końcu stukot obcasów przeszedł w bieg i po chwili ucichł.

Timothy ukląkł, podpierając się rękami. Zza zakrętu wyjechał jaguar z włączonymi światłami. Kierowca spostrzegł Timothy'ego na ziemi i zahamował. Otworzyły się drzwi i z samochodu wyskoczył mężczyzna w średnim wieku, ubrany w elegancki ciemny garnitur z kosztownym czerwonym krawatem Ferragano.

— Nic panu nie jest? — zapytał, pochylając się nad Timothyem, który zdołał usiąść, trzymając się za żołądek. — Potrzebuje pan pomocy?

Timothy pokręcił przecząco głową.

Biznesmen popatrzył na niego. Jesteśmy bezradni, pomyślał Timothy. Nasze pieniądze i władza nic nie znaczą dla tych, którzy wybrali przemoc. Jesteśmy bezbronni.



Kiedy jechał windą do swojego biura na dwudziestym trzecim piętrze, ludzie przyglądali mu się podejrzliwie. Wiedział, że to jego wygląd wzbudza sensację. Koszula wystawała mu ze spodni, krawat był pomięty, miał rozczochrane włosy i ślady krwi na brodzie. W tej chwili niewiele różnił się od bezdomnych, którzy każdego popołudnia gromadzili się na placu. Aż dziw, że nikt go nie zatrzymał i nie wyprowadził z budynku.

W biurze przywitała go Natasza, jego gruba rosyjska sekretarka.

— Timothy! Co się stało?

— Napadnięto mnie.

— Mam wezwać policję?

Pokręcił głową. Na dzisiaj miał dosyć policji. Do sekretariatu wszedł Dzieciak.

— Timothy, Frank Arnheim przyjechał na spotkanie. Czekają w... — urwał, kiedy podniósł głowę i spojrzał na Timothy'ego. — Jezu, co ci się stało?

— Nic — odparł Timothy. — Mała sprzeczką.

— Z kim?

— Uwierzysz, jeśli ci powiem, że z rozgniewanym inwestorem?

— Przynieść ci lodu?

— Nie — odparł Timothy i machnął ręką. — Nic mi nie jest. Muszę się tylko umyć. Powiedz Frankowi, że muszę przełożyć spotkanie. Umów go na jutro.

Poszedł do łazienki i przyjrzał się swojemu odbiciu w lustrze. Nie było tak źle, jak się obawiał. Na brodzie miał tylko niewielkie otarcie. Obejdzie się bez szycia. Długowłose chciał go jedynie nastraszyć.

Ochlapał twarz zimną wodą i delikatnie osuszył brodę papierowym ręcznikiem. Tak, z pewnością ten facet chciał go tylko nastraszyć.

Tricia zapomniała o porannej kłótni, gdy wrócił wieczorem do domu. Zaprowadziła go do ich sypialni na górze i kazała mu się położyć. Kiedy usiadła obok niego, opowiedział jej, co się wydarzyło w podziemnym parkingu.

— Ten facet cię znał, więc ty też musisz go znać — stwierdził.

— Ale nie znam.

— No tak, to Tricia musiała go znać. Pewnie był jej chłopakiem. Nawet o nim wspomniała raz czy dwa...

Usiłował sobie przypomnieć, co takiego dziewczyna mówiła. Chyba powiedziała, że jej towarzyszył, kiedy postanowiła wyjechać z Los Angeles i wyruszyć na północ.

Jednak z jej słów wynikało, że tamten chłopak był niegroźnym luzakiem palącym trawkę. Nie pasowało to do mężczyzny z podziemnego garażu. Poza tym jednym razem Tricia nigdy więcej o nim nie wspomniała. Sprawiała wrażenie, jakby w jej życiu nie było nikogo.

A jednak... przypomniawszy sobie nagle ten szalony wieczór, kiedy pojechał za nią z BBC do jej mieszkania z drzwiami, na których wisiało odwrócone D. Czy nie zachowywała się wtedy, jakby bała się, że ktoś

może być w mieszkaniu? Czy to możliwe, że mieszkała z tym niebezpiecznym facetem i nic mu o nim nie powiedziała?

— Najwyraźniej moja głupiutka sekretarka miała kilka sekretów — mruknął.

Pogłaskała go po strupie na brodzie.

— Nie powinniśmy mieć za złe ludziom, że mają sekrety.



Kiedy się kochali, zaskoczył go sposób, w jaki to robili. Katherine zawsze lubiła kochać się przed zaśnięciem. Seks był lepszy, gdy miała ciało Tricii, ale poza tym nic się nie zmieniło. Zawsze przed zaśnięciem i zawsze w tej samej pozycji.

Jednak tym razem przejęła inicjatywę. Timothy leżał na plecach z brzuchem obolałym od uderzenia długowłosego, a ona pieściła go i całowała. Zdjęła mu krawat i koszulę, a potem ściągnęła spodnie i delikatnie pocałowała go w brzuch.

— Boli? — spytała.

— Nie — odparł.

Zaczęła całować jego uda. Wsunęła palce za gumkę majtek i ściągnęła je do kolan, po czym pochyliła się i wzięła jego penisa do ust. Było to niezwykle, Katherine prawie nigdy tego nie robiła. Pierwszy raz zrobiła to w domu swoich rodziców, kiedy przyjechali do Cambridge kilka miesięcy po ślubie. Znajdowali się w pokoju, w którym dorastała, i być może podniecił ją fakt, że robi coś zakazanego z mężem w tym samym łóżku, w którym spała jako dziecko, pod dachem swoich rodziców.

Tricia pieściła go, całowała i lizała, a jej jedwabiste czarne włosy ocierały się o jego skórę. Mimo bólu brzucha było to cudowne uczucie i wkrótce było po wszystkim. Tricia położyła się obok niego i pocałowała

go, a on poczuł smak swojej spermy na jej ustach.

— Pamiętasz, kiedy robiłaś to pierwszy raz? — zapytał.

Uśmiechnęła się do niego.

— Mam wrażenie, że to było wczoraj — odparła rozmarzonym głosem.

Dotknęła palcem jego nosa. Ten gest mógł znaczyć wszystko: radość, zachętę do dalszej zabawy, lecz nie był odpowiedzią na jego pytanie. Katherine przypomniałaby mu wszystkie szczegóły tamtego pierwszego razu i rozłożyła je na czynniki pierwsze, opowiadając mu, jak się wtedy czuła. Była zapamiętałą kronikarką — zapisywała każdy tost zbożowy z dżemem, który zjadła na śniadanie. Była świadoma każdego szczegółu swojego życia.

Spróbował usiąść, podpierając się na łokciach, ale poczuł przeszywający ból żołądka. Opadł na łóżko i podniósł głowę, żeby na nią spojrzeć.

— Pamiętasz? — zapytał ponownie. Ton jego głosu się zmienił. Teraz było to wyzwanie. — Powinnaś pamiętać. Gdzie byliśmy, kiedy pierwszy raz to robiłaś?

Nie sprawiała wrażenia zdenerwowanej czy przestraszonej. Pokręciła głową i powiedziała:

— Nie pamiętam.

— Byliśmy wtedy w domu twoich rodziców. Pamiętasz gdzie dokładnie?

Uśmiechnęła się znowu. Timothy nie wiedział, czy jest to uśmiech kochającej żony, czy blefującego pokerzysty.

— Oczywiście. Byliśmy w mojej sypialni. W łóżku, w którym spałam jako dziecko. W moim łóżku.

Timothy poczuł ulgę.

Pochyliła się nad nim i pocałowała go w usta.

— Znowu ci odbija?

— Nie — mruknął. — Przepraszam.

— Wiesz, kim jestem?

— Tak.

— No to powiedz kim.

— Jesteś Katherine.

— Właśnie — odparła, znowu całując go delikatnie w usta. — Jestem twoją żoną. Kobieta, z którą się ożeniłeś i która ponownie chce za ciebie wyjść. Rozumiesz to?

— Tak — odparł.



Tej nocy miał sen.

W tym śnie Katherine wspinała się ścieżką wijącą się na szczyt skalnego występu w Big Sur. Jej palce obejmowały gruby łańcuch zabezpieczający podejście. Potem ujrzał jej ciało roztrzaskane na skałach wystających z morza. Długie blond włosy falowały w płytkiej wodzie, połamane nogi i ręce były rozrzucone. Przyśnił mu się też doktor Ho, w małych okularach, z czerwoną pręgą odcisniętą na czole przez oprawki, oraz długowłosa mężczyzna z podziemnego garażu, z nożem w ręku i w roboczych butach okutych stałą. Potem znowu był z Katherine w domu jej rodziców, w jej dziewczęcym łóżku: leżała na nim, robiąc mu fellatio, a on palcami odgarniał włosy z twarzy żony, żeby móc spojrzeć jej w oczy.

Obudził go odgłos kroków.

Wokół panowała ciemność. W pierwszym momencie pomyślał, że to długowłosa mężczyzna z nożem sprężynowym, który groził, że go zabije, jeśli nie zostawi Tricii.

— Tricia? — szepnął.

Sięgnął do niej w ciemności, żeby się upewnić, czy nic jej nie jest. Łóżko było puste. Spojrzał na nocny stolik. Cyfrowy budzik pokazywał, że jest 2.33. Zapalił nocną lampkę. Tricii nie było.

Spróbował usiąść na łóżku i zdziwił się, czując ból w brzuchu.

Przypomniął sobie cios, jaki zainkasował wczoraj rano. Dotknął palcami brody i namacał strup.

Ponownie spróbował usiąść, tym razem nie tak gwałtownie, powoli opuszczając nogi na podłogę i podpierając się rękami. Po chwili udało mu się wstać.

Pomyślał z niepokojem o Tricii. Gdzie ona poszła? Chciał ją zawołać, ale doszedł do wniosku, że lepiej tego nie robić. A co, jeśli w domu jest długowłosa? Może dostał się jakoś do środka przez drzwi ogrodowe albo przez okno w piwnicy. Czy mógł wiedzieć, gdzie on mieszka?



Podszedł do drzwi sypialni i wyjrzał na korytarz. Było ciemno i nic nie widział. Nie zapalił jednak światła. Znał swój dom lepiej niż jakkolwiek włamywacz i ciemność dawała mu przewagę. Wyszedł na korytarz. Podłoga pod jego stopami zaskrzypiała. Zatrzymał się i przez chwilę nasłuchiwał. Czy ktoś obcy był w domu?

Na końcu korytarza dostrzegł jasną poświatę, wąską strugę światła pod drzwiami. Były to drzwi prowadzące na strychnię. Ostrożnie ruszył po ciemku w ich stronę, powoli, krok za krokiem, jak idący przez las Indianie, w których bawił się jako dziecko. Przesuwał dłonie po ścianie, żeby nie stracić równowagi. Pod opuszkami palców czuł wyrzuczenia i nierówności chłodnego muru.

W końcu dotarł do wejścia na strychnię. Nawet po ciemku wiedział, gdzie jest klamka. Nacisnął ją delikatnie. Otworzył drzwi, zdziwiony, że nie skrzypnęły.

Na strychnię paliło się światło.

Powoli zaczął wspinać się na górę. Bał się, że za chwilę zobaczy okute stałą buty, potem brudne dżinsy i wreszcie nóż sprężynowy.

Przy trzecim kroku podłoga ponownie zatrzeszczała. Zamarł i

nasłuchiwał przez chwilę. Z góry dobiegał szelest papierów. Wszedł na czwarty stopień, na piąty. Szedł teraz szybciej, nie dbał już o zachowanie ciszy, chciał jak najszybciej stanąć twarzą w twarz z człowiekiem, który był na strychu. Chciał pozbyć się wreszcie lęku, ścisającego mu żołądek.

Kiedy znalazł się na szczycie schodów, zobaczył Tricię. Siedziała tyłem do niego na podłodze, a wokół niej porozkładane były pamiętniki Katherine. Czytała jakiś fragment, przerzucała strony i znowu czytała. Wyglądało to tak, jakby czegoś szukała.

— Co robisz? — zapytał.

Jeśli jego wejście ją zaskoczyło, nie okazała tego po sobie. W dalszym ciągu przerzucała kartki. Nawet się do niego nie odwróciła.

— Piszę w moim pamiętniku — odpowiedziała spokojnie.

— Piszesz? — powtórzył. — A może raczej czytasz? — Zaczął iść w jej stronę. — Chcesz sprawdzić, czy zgadzają się szczegóły?

Odwróciła się do niego i ze zdziwieniem spostrzegł, że płacze. Łzy ciekły jej po policzkach.

— Przyszłam na górę, żeby wpisać coś do dziennika, ale teraz tylko czytam. Przypominam sobie stare zapiski sprzed lat.

— Kim jesteś? — zapytał. — Katherine czy Tricią?

— O Boże... — jęknęła, potrząsając głową. — Znowu?

— Co tu robisz, czytając pamiętniki Katherine o drugiej nad ranem?

— Już ci mówiłam. Przyszłam coś napisać. W moich pamiętnikach. Są moje. Moje, rozumiesz? Nie wierzysz mi? Po co je tu w ogóle przyniosłeś? Myślałeś, że ich nie znajdę? Chcesz mi wszystko zabrać?

Takie szarżowanie, na skraju hysterii, było typowe dla Katherine. Zawsze potrafiła obrócić wszystko przeciwko niemu, stosując werbalne judo, żeby wyładować na nim złość.

— Przyniosłem je tutaj, kiedy Katherine... kiedy umarłaś — odparł.
— Zapomniałem ci o tym powiedzieć.

— Czytałeś je?

— Nie — skłamał.

Pociągnęła nosem i otarła łzy.

— Chciałam napisać o dzisiejszym dniu. O tym, jak zostałeś napa-
dnęty. Zaczęłam rozmyślać i czytać stare zapiski. Nigdy wcześniej
tego nie robiłam. Piszę te cholerne dzienniki od dwudziestu lat i nigdy
ich nie czytałam. Ale dzisiaj poczułam potrzebę, żeby przeczytać, co
kiedyś napisałam. Chciałam się upewnić, że jestem... sobą. Dobry
Boże, Timothy, nie masz pojęcia, jak to jest. Czasami myślę, że osza-
lałam. Wyobraź sobie, że budzisz się w czyimś ciele. A jakby tego nie
było dość, twój własny mąż ci nie wierzy.

— Wierzę, że to ty — odparł. Patrząc na łzy lśniące na jej policz-
kach, wierzył w każde jej słowo.

— No to czemu ciągle mnie wypytyjesz? Myślisz, że kim jestem?

Timothy nic na to nie odpowiedział.

— Naprawdę wierzysz, że to wszystko jest tylko jakimś straszli-
wym oszustwem? Że jestem dwudziestotrzyletnią sekretarką, która
chce cię wykorzystać? Ale po co? Żeby cię przelecieć, Timothy? My-
ślisz, że musiałabym się uciekać do oszustwa, żeby to zrobić? Z takim
ciałem?

— Powiedziałem przecież, że ci wierzę — mruknął.

— No to skończ z tym wreszcie. Przestań mnie wypytywać.

— Wracaj do łóżka — poprosił i wyciągnął do niej rękę.

Chwyliła ją i Timothy pomógł jej wstać. Poczul ukłucie w żołąd-
ku, kiedy ją podciągał, ale zignorował ból. Objęła go i przytuliła się
mocno, wycierając łzy w jego pizamę.

— Kocham cię — wyszeptwała. — Bardzo cię kocham.

— Więc chodź do łóżka — powiedział i poprowadził ją na dół.

Następnego dnia spotkał się z Frankiem Arnheimem na śniadaniu w Buck's, kafejce położonej w Woodside.

— Nie wygląda to dobrze... możesz pójść do więzienia — oświadczył Frank.

Timothy jadł omlet z białek i cheddara, ale po tych słowach odłożył widelec. Nie tego się spodziewał. Spotkał się ze swoim adwokatem, żeby z nim omówić, jak powinien zeznawać przed Komisją Giełdową. Miał się stawić w Chicago za niecałe dwa tygodnie.

— Za dwieście pięćdziesiąt dolarów na godzinę mógłbyś mieć dla mnie lepsze wieści.

— Wielu ważniaków straciło pieniądze w Osirisie. Ludzie z KNHKT uważają, że ktoś musi za to zapłacić.

— Może i tak — odparł Timothy. — Ale wolałbym, żebym to nie był ja.

Nigdy wcześniej nie przyszło mu do głowy, że może pójść do więzienia.

— O tym właśnie chcę z tobą porozmawiać. Kiedy wczoraj czekałem na ciebie, pogadałem sobie z twoim asystentem, Jayem Straussem.

— Jay to dobry dzieciak — powiedział Timothy.
— Nie sądzę — mruknął Frank.
— Co ty gadasz? — zdziwił się Timothy.
— Przekonasz się, że mam rację — odparł Frank. — Kiedy będzie zeznawał, zniszczy cię. Masz to jak w banku.
— Jesteś pewien?
— Musiałeś mu nadebrać na odcisk. Pozwól, że o coś cię zapytam. Ile on wie? Kazałeś mu kiedykolwiek kłamać? Poleciałeś mu, żeby przekazywał inwestorom nieprawdziwe informacje?
— Nie — zaprzeczył Timothy i zawahał się. Powiedział Dzieciakowi, żeby nie mówił prawdy Pinky'emu. — Może. Nie wiem.
— Postaw się na jego miejscu. To tylko przestraszony dwudziestoczteroletni chłopak. Martwi się o swoją przyszłość. Pamiętaj, że on nie interesuje ludzi z KNHKT. Jest dla nich nikim. Chcą ciebie. Mogą zrobić z tego pokazówkę, żeby udowodnić, jak wszechpotężna i wszechwiedząca jest Komisja Giełdowa. Rozumiesz, do czego zmierzam?
— Spróbują zawrzeć z nim układ?
— Już mogli to zrobić. Mogli mu powiedzieć: „Jeśli wydasz van Bendera, będziesz wolny. Możesz dalej pracować w branży, nie będziesz miał nawet plamki na życiorysie ani żadnego wpisu w aktach”. Mogę się założyć, o co chcesz, że chłopak nazmyśla na twój temat ile wlezie. Przedstawi cię w najgorszym świetle. — Frank rozerwał zębami tost na dwie połówki. — Dlatego chcę ci powiedzieć, żebyś przygotował się na najgorsze.
— Więc co mam robić?
— Możesz go zabić — odparł ze śmiechem Frank. — Oczywiście żartuję.
— Oczywiście.

— Myślę, że powinieneś z nim pogadać. Zorientuj się, jak on to widzi. Kiedy go wyczujesz, zastanowimy się, co z tym zrobić.



Zanim Timothy mógł wybadać, czy Dzieciak zamierza go zdradzić, musiał jeszcze coś zrobić. Wrócił do biura i zadzwonił do domu.

— Co porabiasz? — zapytał Tricię.

— Właśnie sprzątałam.

— Idziesz gdzieś na lunch?

— Miałam się spotkać z Ann Beatty, ale mogę się jeszcze wycofać.

— Nie, nie — powiedział. — Powinnaś ją bliżej poznać. Nasi sąsiedzi muszą lepiej poznać Tricię, to bardzo ważne. Ja zjem tutaj, w barze obok biura.

— Na pewno?

— Oczywiście — odparł.

Odkładając słuchawkę, miał gotowy plan. Kiedy tylko Tricia wyjdzie, pojedzie do domu.



Problem polegał na tym, że już jej nie wierzył. Nie chodziło tylko o zdarzenie z zeszłej nocy, kiedy o drugiej nad ranem przyłapał ją na czytaniu pamiętników Katherine na strychu. To był cały splot wydarzeń: fakt, że użyła słowa „zajebicie”; że wiedziała, iż naszyjnik był prezentem na rocznicę ślubu; że nie pamiętała ich erotycznej zabawy w pokoju dziecięcym Katherine; że nalegała na ślub bez intercyzy.

Na trzeźwo i bez otumaniającego go pożądanego, które odbierało mu rozsądek, Timothy doszedł do wniosku, że prawdopodobnie dał się podejść jak dziecko. Całkiem możliwe, że kobieta dzieląca z nim łóżko i zajmująca ciało Tricii jest tylko Tricią. Jak dawno temu zaczęła to

wszystko planować? Może już przyszła do Osirisa z postanowieniem, że go usidli. A może jej plan powstał dopiero wtedy, gdy dowiedziała się o samobójstwie Katherine.

Na pewno zdawała sobie sprawę z tego, że jako Tricia może zaciągnąć go do łóżka, ale nigdy nie zdobędzie jego zaufania i nigdy nie dobierze się do jego pieniędzy. Natomiast jako Katherine, kobieta, z którą był przez dwadzieścia lat, którą kochał ponad wszystko, za którą tęsknił i której bezgranicznie ufał, miała szansę. Właśnie dlatego tak jej było spieszo do ołtarza i dlatego tak się wściekła o intercyzę.

Pomyślał, że to genialny plan. Cała ta historia była przekonująca właśnie dlatego, że chciał w nią wierzyć. Tak bardzo chciał odzyskać żonę. Tak bardzo chciał dostać drugą szansę. Ale jednocześnie pożył Tricii. A ona mu to wszystko umożliwiła. Realizacja tego planu nie wymagała zbyt wielkiego zachodu. Wystarczyło wynajęcie biura na Sand Hill Road, kilka tanich komputerów ustawionych na półkach i chiński aktor udający naukowca. Oczywiście, że dał się nabrać. Chciał, żeby go oszukano. Był słaby i tęsknił za żoną. A Tricia była taka piękna.

Zdradziły ją pamiętniki. Całe szczęście, że Katherine okazała się taką zapamiętałą kronikarką i wszystko zapisywała. Ale jak Tricia się o tym dowiedziała? On sam musiał wspomnieć przy niej coś na ten temat. Pewnie rzucił jakąś uwagę o dziwacznej obsesji żony, tak jak czasami zdarzało mu się to powiedzieć przy innych ludziach. Nie pamiętał, kiedy jej to powiedział, ale wiedział, że mógł to zrobić.

Gdy Tricia znalazła pamiętniki na strychu, musiała nauczyć się ich niemal na pamięć, niczym studentka prawa przygotowująca się do egzaminów i wkuwająca wszystkie paragrafy.

Możliwe, że nawet włamała się do jego domu, żeby je przeczytać,

zanim mogła pojawić się tam jako Katherine. Nie mógł tego wykluczyć. A kiedy już u niego zamieszkała, mogła zaglądać do nich każdego dnia, coraz lepiej poznając jego żonę.

Jednak całe to udawanie na nic się nie zdało. To była zasadnicza słabość jej planu. Znała tylko fakty zapisane przez Katherine.

Zorientował się po tej wpadce z seksem. Katherine zapisywała, ile zjadła tostów na śniadanie, ale sprawy łóżkowe były dla niej zbyt intymne. Dlatego Tricia „pamiętała” tylko niektóre szczegóły z życia Katherine. Mogła wiedzieć o łapówce, jaką dał policjantowi, żeby uniknąć mandatu za przekroczenie dozwolonej szybkości, ale nie miała pojęcia o jej życiu erotycznym, na przykład o tym, kiedy jego żona po raz pierwszy zrobiła mu laskę w swoim dziewczęcym pokoju. Nie mogła o tym wiedzieć, ponieważ Katherine tego nie zanotowała.

Musiał się jednak upewnić, czy rzeczywiście tak było. Zamierzał przeczytać pamiętniki, aby mieć absolutną pewność, że Tricia zna odpowiedzi tylko na pytania dotyczące spraw, które Katherine w nich opisała, a nie wie nic o innych.

Przyjechał do domu pięć po dwunastej. Na podjeździe nie było samochodu Tricii. Na wszelki wypadek zadzwonił i zastukał do drzwi. Musiał być sam, żeby spokojnie przejrzeć pamiętniki swojej żony.

Otworzył drzwi kluczem i wszedł do domu.

— Tricia? — zawołał w korytarzu.

W domu nikogo nie było.

Udał się prosto na piętro. Otworzył drzwi prowadzące na strych i zapalił światło. Powietrze w środku było ciepłe, wilgotne i pachniało stęchlizną. Wspiął się na górę. Na końcu strychu znalazł pamiętniki ułożone w równą stertę, tak jak poprzedniej nocy zostawiła je Tricia.

Spojrzał na zegarek. Miał jakąś godzinę, zanim dziewczyna wróci z lunchu. Usiadł na podłodze i zaczął przeglądać pamiętniki.



Oczywiście miał rację.

Tak jak zapamiętał, Katherine opisała incydent z mandatem i łapówką.

Kiedy policjant nas zatrzymał, Timothy uśmiechnął się i próbował dać mu łapówkę. Zrobił to w swój czarujący sposób — nie wyglądało to wcale jak próba przekupienia. To takie typowe dla niego. Co on sobie myśli, że jest ponad prawem, że wszystko mu wolno? Przypuszczam, że ludziom, z którymi pracuje, daje to poczucie bezpieczeństwa: są przekonani, że pewnie stoi u steru i potrafi przeprowadzić ich przez wszystkie katastrofy. Ale według mnie to ohydne.

Czytał już kiedyś ten fragment, kilka lat temu, kiedy po raz pierwszy zakradł się do szafy, żeby zajrzeć do jej pamiętników. Słowo „ohydne” zostało dwukrotnie podkreślone, a druga linia była tak mocna, że długopis omal nie przedziurawił papieru.

Musiał teraz potwierdzić swoje przypuszczenia, szukając opisu seksu w jej dziecięcym łóżku. Był pewien, że go nie znajdzie.

Próbował sobie przypomnieć, kiedy to było. Jakoś niedługo po ich ślubie, w 1979 roku. Pojechali wtedy na wschód, żeby odwiedzić jej rodziców. Przejrzał daty na grzbietach dzienników: 1977, 1978... jest. 1979.

Wyciągnął notes z leżącej na podłodze sterty i zaczął go kartkować. Nie musiał długo szukać. Listopad. Pojechali do rodziców na

Święto Dziękczynienia. Wraz z opisami poszczególnych dni napływały wspomnienia. Ich przylot na lotnisko Logan, pani Sutter ściskająca jego dłoń i zwracająca się do niego „synu”, zimny wiatr, który przywitał ich, gdy wyszli z terminalu, Katherine pokazująca mu dom w Cambridge i swój stary pokój. To było pierwszej nocy po przyjeździe.

20 listopada, 1979. Jestem w Cambridge. Przyjechaliśmy tu dzisiaj z Timothyem. Pokazałam mu mój rodzinny dom. To takie dziwne uczucie, kiedy pomyślę, że w łóżku, w którym spałam jako dziecko, zanim się dowiedziałam, co to jest seks czy małżeństwo, teraz śpi mężczyzna. Leży pod moją różową kołdrą i chrapie. Przed chwilą się kochaliśmy. Jakie to dziwne.

To było wszystko. Żadnych szczegółów, nawet nie wspomniała, że mu obciągnęła; nie było też nic o tym, jak się potem czuła.

Dlatego właśnie Tricia nie wiedziała o tym zdarzeniu, pomyślał. Nie mogła wiedzieć, bo nie znalazła tego w pamiętniku.



Przeglądając dzienniki, zupełnie stracił poczucie czasu. Tak bardzo go wciągnęły, że nie mógł się od nich oderwać. Czuł, że musi przejść razem z Katherine całą drogę — od jej dziewczęcej ekscytacji, kiedy poprosił ją o rękę, przez uświadomienie sobie, że mąż nie spełnia jej oczekiwań, aż do jej okropnej, coraz bardziej pogłębiającej się samotności. Proces ten narastał stopniowo przez pamiętniki obejmujące kolejne lata, w których historię ich małżeństwa przeplatały szczegółowe zapiski dotyczące tego, co jadła i w co się ubierała.

Poznanie tej historii przypominało oglądanie książek z rysunkami, które zdawały się poruszać, jeśli dostatecznie szybko przesuwało się strony.

Czytał o depresji, która ją dopadła po tym, jak poroniła; jej radości, kiedy udało jej się donosić kolejną ciążę do szóstego miesiąca, i o przygnębieniu, kiedy ponownie poroniła.

Nie znalazł jednak nigdzie żadnych fragmentów dotyczących jego romansów. Najpierw wydało mu się to dziwne. Przerzucał kolejne strony, zastanawiając się, kiedy spadnie ostrze gilotyny; kiedy natrafi na akapit opisujący jej podejrzenia, że mąż ją zdradza, kiedy przeczyta, że jest ostatnim draniem.

W końcu uświadomił sobie, że nigdzie takiego opisu nie znajdzie. Nie przeczyta o swojej niewierności z tego samego powodu, z którego nie znalazł szczegółowych opisów jej życia erotycznego. Katherine była zbyt delikatna i za bardzo się wstydziła, żeby o tym pisać. W pamiętnikach nie było ani jednego gniewnego słowa na temat jego skoków w bok. Opisy jego zrad zostały oszczędzone potomności.

Miał już gotowy plan. Wiedział, w jaki sposób się dowie, kim jest Tricia. Na sto procent.

Ponownie przejrzał grzbiety notesów i znalazł dziennik z 1996 roku. W tym właśnie roku po raz ostatni zdradził swoją żonę. Pojechał wtedy do Palm Beach i odwiedził Macka Gladwella, producenta płyt i kokainistę. Kelnerka, z którą się wtedy przespał, zadzwoniła do Katherine.

Był pewien, że tego zdarzenia żadne z nich nie zapomni, ale wiedział, że jego opisu nie znajdzie w pamiętniku. Otworzył dziennik i przejrzał wpisy z dni poprzedzających jego wyjazd do Palm Beach. Szybko znalazł właściwą stronę.

30 kwietnia Katherine napisała: „Timothy wyjechał do Palm Beach. Wraca w piątek”.

W piątek, 3 maja, cały wpis ograniczył się do trzech słów: „Dziś przyjechał Timothy”.

4 maja napisała: „Śniadanie: tosty z powidłami”.

5 maja: „Śniadanie: jajka na miękko”.

Przez cały tydzień nic, poza lakonicznymi zapiskami. Wreszcie 11 maja zanotowała: „Wrócił”.

Dalej nie musiał czytać. Nigdzie ani słowa o Macku Gladwellu, o telefonie od kelnerki czy o tym, że go wyrzuciła z domu, zmuszając do mieszkania przez cały tydzień w hotelu Hyatt. Teraz już wiedział, o co ma spytać Tricię, żeby się upewnić, czy go nie okłamuje. Zamknął dziennik i odłożył go na miejsce. Wyrównał grzbiety, żeby sterta notesów wyglądała tak jak poprzednio.

Usłyszał brzęk kluczy i odgłos otwierania drzwi frontowych. Spokojnie zszedł ze strychu i poszedł przywitać Tricię.

Nie zrobił tego od razu i nie chodziło tylko o to, że pragnął nacieszyć się swoim sekretem. Prawda była taka, że wcale nie chciał, żeby iluzja się skończyła. Był szczęśliwy, wierząc w bajeczkę o powrocie Katherine — o tym, że jakiś nawiedzony naukowiec zdołał skopiować jej umysł tak samo, jak kopiuje się pliki na komputerze, a potem wgrał go w ciało młodej kobiety.

Kiedy szedł za Tricią i słuchał, jak opowiada o lunchu z Ann Beatty, uświadomił sobie, że tygodnie spędzone z dziewczyną podszywaną się pod jego żonę były najszcześniejszymi chwilami w jego życiu. Miał to, czego zawsze pragnął: każdego dnia kochał się z młodą i piękną żoną. Było jak w bajce. Zrozumiał, że właśnie dlatego tak łatwo w to uwierzył. Z tego samego powodu nie chciał, żeby ten piękny sen się skończył.

Usiedli na patio i Tricia skończyła opowiadać mu o spotkaniu z Ann Beatty.

— Masz ochotę na lampkę wina? — zapytał nagle.

Przekrzywiła głowę.

— Trochę wczesna pora, nie sądzisz? Nawet jak na ciebie.

— Jest takie piękne popołudnie, że warto to uczcić — powiedział.

— No dobrze — zgodziła się i uśmiechnęła do niego.

Zszedł do piwniczki i wybrał butelkę chardonnay, Whitehall Lane rocznik 1998. Wrócił z nią na patio.

— Ważne dni zasługują na najlepsze wino — oświadczył.

— Co czyni ten dzień takim godnym uwagi?

— Zobaczysz — odparł.

Otworzył butelkę i napełnił kieliszki, a potem przysunął swój wiklinowy fotel bliżej Tricii, tak że ich kolana się zetknęły. Pogłaskał ją po nodze. Pod lnianymi spodniami wyczuł jej jędrne ciało i pomyślał, że będzie mu go bardzo brakowało.

— Myślę, że Ann mnie polubiła — powiedziała Tricia. — Chyba jej się spodobało, że może wziąć młodą dziewczynę pod swoje skrzydła. Pewnie sama czuje się dzięki temu młodsza. Nawet nie wiesz, jak trudno mi było się nie wygadać, że to ja. Tyle razy chciałam powiedzieć: „Ann, już mi to mówiłaś”. Albo po prostu oznajmić: „To ja, Katherine”.

— Naprawdę? — Głaskał jej udo i zastanawiał się: czy powinien przespać się z nią ostatni raz, zanim ujawni, że wie o jej grze. — To musiało być trudne.

— Nawet nie wiesz jak bardzo — odparła Tricia.

— Możliwe, że wiem.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— O co tym razem chodzi, Timothy? Masz kolejny napad? — spytała.

— Jeśli tak to chcesz nazwać... — mruknął i ścisnął jej udo. Nie była to groźba, ale w każdej chwili mogła się nią stać. Ogarnęło go dziwne podniecenie, zmieszane z gniewem. Miał ochotę ją przelecieć i zaraz potem rozbić jej głowę o kamienną podłogę patio.

— O co ci chodzi? — zapytała ponownie.

— To był doskonały plan — stwierdził. — Idealny. Dać każdemu to, czego najbardziej pragnie, prawda? Ja chciałem odzyskać żonę i chciałem ciebie. Więc załatwiłaś mi jedno i drugie. Dwa w jednym.

— O Boże, tylko nie to... — jęknęła.

Powiedziała to ze smutnym uśmiechem, jakby naprawdę była Katherine i nie mogła znieść myśli, że własny mąż jej nie wierzy.

— Możesz sobie odpuścić, Tricia — wycedził. — Po prostu skończ z tym.

— Powoli zaczynam mieć tego dosyć — oświadczyła. Uśmiech wciąż błąkał się na jej ustach, ale teraz stał się tak blady, jakby zaraz miał się zamienić w atak złości.

Timothy upił łyk wina.

— Powiedz mi, jaki miałaś plan. Chciałaś, żebym się z tobą ożenił?

— Chcę, żebyś się ze mną ożenił. Jestem twoją żoną.

— Więc tylko o to chodzi? Nie o pieniądze?

— Timothy, jestem twoją żoną. Jestem Katherine.

— Dosyć tego! — Uderzył kieliszkiem o stół tak mocno, że się rozbił. Rozlane wino rozpląnęło się powoli po stole. Tricia chciała się odsunąć, ale Timothy nie puszczał jej uda, przyszpilając ją do fotela. Wino spłynęło ze stołu na jej spodnie i jego dłoń.

— Timothy, weź się w garść.

— Wziąłem się w garść — zapewnił ją, nadal ściskając jej nogę. — Wszyscy chcecie mnie wydymać. Najpierw Dzieciak chce mnie posłać do pudła, a teraz ty zamierzasz dobrać się do moich pieniędzy. Aż tak bardzo są dla ciebie ważne, żeby posunąć się do czegoś takiego? Musisz być nienormalna.

— Puść mnie!

Jednak Timothy nie miał zamiaru jej puścić. Próbowwała wyswobodzić

się kopnięciem, ale jego uścisk był jak ze stali. Wiedział, że będzie miała na udzie odciski jego palców.

— Powiedz mi coś... Katherine. Odpowiedz mi na jedno pytanie. Odpowiedz poprawnie tylko na jedno pytanie i zgarniesz główną nagrodę. Ale jeśli nie odpowiesz, wszystko przegrasz.

— Timothy...

— Jesteś gotowa, Katherine? Opowiedz mi o ostatnim razie, kiedy cię zdradziłem. Powiedz mi, jak się o tym dowiedziałaś. Powiedz mi, jak to się stało.

Potrząsnęła głową.

— Wiesz, jak to było? Tego nie było w jej pamiętniku, prawda? Trudne pytanie, co?

— Timothy, posłuchaj mnie...

— Myśl, myśl, myśl — powiedział. — Myśl, myśl, myśl. Zawsze potrafisz znaleźć zadowalającą odpowiedź. Ale nie tym razem. Bo tego nie da się odgadnąć, prawda?

Pokręciła z odrazą głową.

— No dalej, Katherine. Albo Tricia. Kimkolwiek jesteś. Pewnie zaraz zaczniesz udawać, że się na mnie wściekasz, ale nic ci to nie pomoże. Nie dam się nabrać. Słuchaj, wystarczy, że odpowiesz na to jedno pytanie. Jedno prościutkie pytanko. Kiedy ostatnio cię zdradziłem? Jak się o tym dowiedziałaś? Powiedz mi, co się zdarzyło, a uwierzę ci.

Złapała go za rękę i spróbowała oswobodzić nogę, ale Timothy nie puścił jej.

— Jestem twoją żoną Katherine, ty głupi sukinsynu — wycodziła przez zaciśnięte zęby. — Jestem twoją żoną. Uwierz mi.

— Nie wierzę ci, bo nie znasz odpowiedzi. Nie było jej w pamiętniku, więc nie wiesz, o czym mówię.

— Jestem twoją żoną! — krzyknęła.

Zamachnęła się i lewą ręką wymierzyła mu siarczysty policzek. Nie

spodziewał się tego, więc nie zdążył się uchylić i jej palec trafił go prosto w gałkę oczną. Puścił jej nogę i przycisnął dłoń do oka.

— O Boże, przepraszam! — zawołała. — Nic ci się nie stało?

Zerwała się na równe nogi, odpychając fotel, który wylądował na kamiennej posadzce.

Timothy także wstał, wciąż trzymając lewą dłoń przy oku. Prawą złapał Tricię za bluzkę i przyciągnął ją do siebie. Przsusnął twarz do jej twarzy, trzymając ją z całej siły, żeby nie mogła uciec.

— Opowiedz mi, jak to było... — wyszeptał. — Zdradziłem cię. Przyznaję się do tego. Pieprzyłem się z inną. I to jak się pieprzyłem! Musisz o tym wiedzieć, jeśli jesteś moją żoną. Więc mów. Powiedz, jak cię zdradziłem. Wiesz?

Błagała go wzrokiem, żeby przestał.

— Timothy, kocham cię — powiedziała cicho.

— Pieprzyłem się z inną, Katherine. Opowiedz mi o tym. Powiedz, skąd się dowiedziałas, że cię zdradziłem.

— Timothy... — jęknęła.

W jej głosie było tyle bólu, jakby jego słowa raniły ją prosto w serce.

— Nie możesz mi tego powiedzieć, ponieważ nie wiesz.

— Timothy, kocham cię — powtórzyła.

— Mów! — wrzasnął, plując śliną. — Pieprzyłem się z inną. Powiedz z kim. I gdzie.

Wyglądała, jakby za chwilę miała się rozplakać. Otworzyła usta, ale tylko dyszała ciężko. Była w szoku, głęboko zraniona i zagubiona. Z satysfakcją zauważył, że zupełnie nie wie, co odpowiedzieć.

— Mów!

— Palm Beach — wyszeptała.

— Co?

— Palm Beach. Pojechałeś do Macka Gladwella. — Mówiła coraz szybciej, gorączkowo wyrzucając z siebie słowa. — Pieprzyłeś się z jakąś kobietą, a ona zadzwoniła do mnie i opowiedziała mi o wszystkim. Kiedy wróciłeś do domu, pokazałam ci drzwi.

Potrząsnął głową.

— Przeniosłeś się do Hyatta. Zadowolony? Cieszysz się, że zmusiłeś mnie do powiedzenia tego? Wiedziała nawet o pieprzyku na twoim udzie. Powinłam była cię wtedy zostawić.

— Nie... to niemożliwe...

— Powinłam od ciebie odejść, ale nie mogłam, bo cię kocham.

— Nie... — wymamrotał.

— Czemu mi nie wierzysz? Dlaczego nie chcesz uwierzyć, że to ja, Katherine? Nie możesz tego zaakceptować? To przecież dar — wyszeptwała. — To dar. Otrzymaliśmy dar. Zrozum to.

Pocałowała go, cofnęła się szybko i spojrzała na niego. Jego oko było zaczerwienione i łzawiło. Strup na brodzie pękł i ciekła z niego krew.

— To dar — powtórzyła. — Przyjmij go.

Przytulił ją mocno i zaczął całować jak oszałały. Wiedział już, że to Katherine, że to musi być ona, że wróciła do niego i już nigdy go nie opuści.

Spędzili resztę popołudnia w łóżku, najpierw kochając się, a potem drzemiąc. Kiedy zadzwonił telefon, Timothy obudził się, odwrócił w stronę nocnej szafki i sięgnął po słuchawkę. Spojrzał na budzik. Była czwarta po południu.

— Halo?

Nikt się nie odezwał. W słuchawce najpierw słysząc było czyjś oddech, a później dwie serie trzasków, jakby ktoś wyłamywał palce.

— Halo? — powtórzył Timothy.

Tricia poruszyła się w łóżku i odwróciła w jego stronę.

— Kto dzwoni? — wymruczała sennie.

Dzwoniący musiał ją usłyszeć, bo zapytał:

— To ona? To Tricia?

— Na moim telefonie wyświetlił się pana numer — oświadczył Timothy. — Zamierzam zgłosić to na policji.

— Nie zgłosisz — odparł mężczyzna. — Pamiętasz, co ci mówiłem? O tym, co ci zrobię? — Przez chwilę czekał, jakby spodziewał się, że Timothy odpowie na to pytanie, ale kiedy tak się nie stało, dodał: — Zamierzam cię zabić. Ostrzegłem cię.

Rozłączył się.

Timothy sięgnął do szafki i odłożył słuchawkę.

— Kto to był? — dopytywała się Tricia.

— Twój... były chłopak Tricii. Facet, który na mnie napadł.

— Czego chciał?

— Powiedział, że mnie zabije.

— Zadzwońmy na policję.

Zanim zdążył odpowiedzieć, telefon znowu zadzwonił. Tricia usiadła na łóżku.

— Nie odbieraj — poradziła Timothy'emu. Telefon cały czas dzwonił.

— Nie będę ciągle żył w strachu — powiedział Timothy. Usiadł na łóżku i złapał słuchawkę.

— Posłuchaj mnie, ty w dupę jebany skurwysynu! — rzucił wściekle. — Wiesz, co ja tobie zrobię? Wiesz? Zajebię cię! Wytropię cię jak pieprzonego kundla i zabiję. Zrozumiałeś, gnoju?

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza, a potem czyjś głos zażytał:

— Pan van Bender?

Z pewnością nie był to głos długowłosego mężczyzny z impali. Timothy'emu wydał się znajomy.

— Tak?

— Tu Ned Neiderhoffer. Wszystko w porządku?

— Przepraszam pana, detektywie.

— To w ten sposób rozmawiają ze sobą finansiści? „Albo kupisz sto akcji IBM, albo rozwalę cię jak psa”?

Timothy westchnął.

— Ta sprawa jest trochę poważniejsza.

— To znaczy?

— Ktoś mi groził. Wczoraj pewien facet poturbował mnie w garażu w pracy i oświadczył, że mnie zabije.

— Zgłosił to pan?

— Nie.

— Może chce pan, żebym kogoś do pana przysłał? Jeśli nam pan powie, kto na pana napadł, znajdziemy tego gościa i pogadamy z nim.

Ostatnią rzeczą, jakiej życzyłyby sobie w tej chwili Timothy, był kolejny policjant w domu, węszący i zadający pytania. W końcu musiałby wyjaśnić, że chodzi o byłego chłopaka Tricii, a wtedy policja zaczęłaby ją wypytywać. Problem w tym, że Tricia nie potrafiłaby odpowiedzieć na ich pytania, ponieważ... nie była już Tricią. A to doprowadziłoby w końcu do mało wygodnego pytania, co się stało z Tricią. Och, nic takiego, odpowiedziałby wtedy. Uśpiłem ją, a potem kazałem zapisać w jej ciele kogoś innego.

— Nie, dziękuję — odparł. — To pewnie nic takiego, zwykły głupi dowcip.

— Proszę dać mi znać, jeśli zmieni pan zdanie — powiedział Nelderhoffer.

— Oczywiście. W jakiej sprawie pan do mnie dzwoni?

— Mam jedno pytanie — odparł detektyw.

— Niech pan strzela.

— Kiedy żona zadzwoniła do pana tamtego ranka... wtedy, kiedy zniknęła... czy powiedziała panu, gdzie dokładnie się znajduje?

— Nie.

— No właśnie. Ale w czasie naszej wcześniejszej rozmowy stwierdził pan, że była gdzieś w pobliżu oceanu. Skąd pan to wiedział?

— Bo w tle było słycać fale rozbijające się o skały.

— Aha... — mruknął policjant. — No tak, to ma sens.

— To wszystko?

— Tak. Szykuję się do zamknięcia tej sprawy i chcę, żeby wszystkie szczegóły się zgadzały. Dziękuję, panie van Bender.

— Nie ma za co.

— Proszę dać mi znać, gdyby zmienił pan zdanie i chciał, żebym podesłał panu jakiegoś policjanta.

— Oczywiście. Detektyw rozłączył się.

— Czego chciał? — spytała Tricia.

— Myślę, że chciał mi coś dać do zrozumienia — odparł Timothy.

— Chce, żebym wiedział, że nie zapomniał o mnie.

Następnego dnia wszedł do biura Osirisa na dwudziestym trzecim piętrze i z uśmiechem przywitał Nataszę.

— Dzień dobry. Jak samopoczucie?

Jej wielkie ciało wypełniało całą przestrzeń za biurkiem. Czasy, kiedy gości witała seksowna Tricia, a Osiris był gwiazdą na firmamencie funduszy inwestycyjnych, najwyraźniej się skończyły. Teraz Osiris zbankrutował, przeciw jego właścicielowi prowadzone było śledztwo, a sekretarka pachniała blinami.

— Świetne. Dziękuję, Timothy.

— Widziałaś gdzieś Dzieciaka? — zapytał. Miał zamiar posłuchać rady Franka Arnheima i wy badać Dzieciaka w sprawie zbliżającego się przesłuchania przez Komisję Giełdową.

— Jest u siebie — odparła Natasza.

Timothy ruszył korytarzem do gabinetu Dzieciaka. Drzwi były zamknięte. Otworzył je bez pukania.

Dzieciak siedział przy biurku i rozmawiał przez telefon. Rzucił Timothy'emu zdziwione spojrzenie.

— Muszę kończyć — mruknął do słuchawki. — Właśnie przyszedł.

— Osoba, z którą rozmawiał, coś mu odpowiedziała, a on uśmiechnął

się, jakby usłyszał dowcip. — Aha, dobrze — powiedział i kiwnął głową. — Ja ciebie też — dodał i rozłączył się. Timothy uniósł brwi.

— To brzmiało jak wyznanie miłosne. Masz nową dziewczynę?
Dzieciak wzruszył ramionami.

— Nie, skąd.

— Możesz mi poświęcić chwilę? Chciałem z tobą porozmawiać. Wpadnij do mojego gabinetu za pięć minut. Muszę jeszcze skorzystać z toalety.



Kiedy wszedł do swojego gabinetu, Dzieciak siedział w fotelu naprzeciw biurka i czekał na niego. Timothy obszedł biurko i usiadł.

— Co tam słycać? — Starał się, żeby jego głos brzmiał swobodnie, żeby nie było w nim słycać niepokoju. Jakby nawet nie przeszło mu przez głowę, że może spędzić dziesięć lat w więzieniu. — Masz już jakąś propozycję pracy? Kiedy jesteś ostatni dzień w Osirisie? W piątek?

— Tak, w piątek — potwierdził Dzieciak. — Myślałem o tym, żeby zrobić sobie krótkie wakacje po odejściu z firmy. Wiesz, chciałbym trochę odpocząć po tych wszystkich sensacjach.

— Dobry pomysł — przyznał Timothy. — Ja też myślałem o wakacjach. — Przez dziesięć lat, w więzieniu o średnim rygorze, dodał w myślach. — Słuchaj, chciałem z tobą pogadać o...

— Zanim zaczniesz, muszę ci coś powiedzieć — wpadł mu w słowo chłopak.

Timothy wyprostował się w fotelu.

— Chciałem ci to zwrócić... — Dzieciak wyciągnął w jego stronę

czek na pięćdziesiąt tysięcy dolarów, który od niego dostał. — Mój prawnik twierdzi, że to może być źle zrozumiane.

— Twój prawnik? Masz na myśli Franka Arnheima?

— Nie, mam teraz własnego prawnika. Z Brobeck. Myślę, że tak będzie lepiej dla nas obu.

Nieprawda, nie dla nas obu, pomyślał Timothy. Dla ciebie.

Dzieciak jeszcze dalej wyciągnął rękę i czek znalazł się parę centymetrów od twarzy Timothy'ego. Ale on siedział z założonymi rękami i nie miał zamiaru przyjąć zwrotu. W końcu Dzieciak opuścił ramię i położył niechciany prezent na biurku takim gestem, jakby składał kwiaty na nagrobku.

Timothy przez dłuższą chwilę patrzył na czek, a potem podniósł wzrok na swojego asystenta.

— Pozwól, że o coś cię spytam — powiedział. — Co dokładnie zamierzasz powiedzieć ludziom z KNHKT, kiedy będziesz zeznawał?

— Tylko prawdę.

Timothy uśmiechnął się.

— A jaka jest prawda?

Dzieciak miał minę pokerzysty. Nie wyglądał na przestraszonego czy rozszoszczonego. Wyglądał jak... dzieciak.

— Czy chcesz, żebym czegoś im nie powiedział?

Timothy przyjrzał mu się uważnie. Może to pułapka? Czy

Dzieciak mógł nagrywać ich rozmowę? Miał ochotę sięgnąć nad biurkiem i obmacać jego marynarkę, ale byłoby to wariactwem. Tylko czy na pewno?

— Nie — odparł. — Powinieneś powiedzieć prawdę. Zawsze mów prawdę. To podstawa w interesach i zawsze cię tego uczyłem.

Uśmiechnął się, wstał i puścił do Dzieciaka oko. Mrugnięcie mogło oznaczać wszystko. Jednak w tym przypadku, ponieważ Timothy wstał, znaczyło po prostu, że skończyli rozmowę.

Jadąc do domu po pracy, zadzwonił z komórki do Franka Arnheima.

— Dzieciak zamierza urwać mi jaja — powiedział.

— Odniosłem takie samo wrażenie — przyznał adwokat. — Co dokładnie powiedział?

— Że będzie mówił prawdę.

— Nie brzmi to najlepiej — stwierdził Frank. Po chwili dodał: — Jest jeszcze jedna sprawa, o której musimy pogadać.

— O co chodzi?

— Przeprowadziłem ostatnio kilka rozmów z Johnem Allenem z kancelarii Shearman i Sterling. To prawnik Pinky'ego Dewera. Prowadzi sprawę przeciwko tobie z prywatnego oskarżenia, wiesz, tę o odszkodowanie w wysokości dwudziestu milionów dolarów.

— Wiem.

— Myślę, że mogą wygrać.

— Naprawdę?

— Nie twierdzę, że nie mamy żadnych szans. Jednak z powodu twoich nieprzemyślanych działań interes Pinky'ego rzeczywiście nie

wypalił i teraz może zażądać wyrównania poniesionych strat. To grubo ponad dwadzieścia milionów dolarów. Masz w ogóle takie pieniądze?

— Tak, trzymam je w skarpecie.

— Jako twój prawnik radzę ci zawrzeć ugodę.

— Co miałbym mu zaproponować?

— Nie wiem. Jakąś okrągłą sumkę.

— Zero?

— Na pewno nie. Jakąś inną okrągłą sumkę. Dwa albo trzy.

— Miliony?

— Tak. A jeśli chodzi o KNHKT, możemy spróbować zagrać na liłość. Przyznasz się do winy, wyrównasz straty inwestorom i obiecasz, że nigdy już nie będziesz pracował w tej branży. Myślę, że to mogłoby cię uchronić przed więzieniem.

— Mam wyrównać straty? Frank, moi klienci stracili pięćdziesiąt milionów dolarów!

— No cóż, chyba lepsze to od więzienia.

Ale Timothy nie widział różnicy pomiędzy więzieniem a pozostaniem bez grosza przy duszy. W pudle, jeśli wyrabiasz się na zmywaku, przynajmniej zarobisz na fajki.

— Nie wiem, Frank.

— Zastanów się. Mamy jeszcze trzy tygodnie do twoich zeznań.

— Więc to jest twój genialny plan obrony? Rzucić ręcznik na ziemię i przyznać się do winy, tak? To ma być wszystko, na co stać najtęższe prawnicze umysły w Perkins Coie?

— Mniej więcej.

Timothy dodał gazu. Na końcu ulicy widział już swój dom. Zwolnił i wjechał na podjazd.

— Postaraj się myśleć pozytywnie — poradził mu Frank. — Górzej już być nie może.

— Nie byłbym tego taki pewien — odparł Timothy.
Przed jego domem stał wóz policyjny.



— Detektyw Neiderhoffer, jaka miła niespodzianka — powiedział, wchodząc do kuchni.

Neiderhoffer stał przy stole ze swoim notatnikiem w ręku, a Tricia siedziała na krześle z niezbyt szczęśliwą miną.

— Właśnie pytałem pannę Fountain, jak się poznaliście — wyjaśnił policjant. — To bardzo romantyczna historia.

— Tak.

— Ma pan wolną chwilę, panie van Bender?

— Oczywiście. — Timothy odłożył teczkę i przysunął sobie krzesło. — Gdybym nie znał pana, pomyślałbym, że pan mnie o coś podejrzewa.

— Zaginiona żona, nowa dziewczyna... — mruknął Neiderhoffer.
— Gdzieżbym śmiał pana posądzać.

— Nie zaginiona. Martwa.

— Ale nie ma ciała, więc nie znamy przyczyny zgonu. Wie pan, mordercy bez wyobraźni zazwyczaj dają plamę. Kiedy kogoś zastrzełą, wciskają ofierze broń do lewej ręki, podczas gdy denat był praworęczny. Albo topią swoją ofiarę w wannie, a potem wrzucają zwłoki do basenu z chlorowaną wodą. Albo rozwalają komuś głowę młotkiem i podpalają dom, a my znajdujemy podejrzane i nawzajem wykluczające się dowody: zwłoki z pękniętą czaszką i tajemniczy pożar. Tymczasem ktoś naprawdę sprytny, na przykład absolwent Yale umiejący logicznie myśleć, z pewnością by nie dopuścił do takich absurdów. Wystarczy pozbyć się ciała i powiedzieć, że to samobójstwo. Minimalistyczna szkoła zabijania. Im mniej śladów, tym lepiej.

— Ile spraw o morderstwo zdarzyło się panu prowadzić? Tutaj, w Palo Alto?

— Była jedna czy dwie. — Neiderhoffer uśmiechnął się. — Zajmowałem się tym w wolnych chwilach, kiedy nie ściągałem kotów z drzew.

— Detektywie Neiderhoffer, ma pan moje słowo: nie zabiłem żony — oświadczył Timothy.

Policjant zmrużył oczy, jakby zastanawiał się nad wartością tego słowa.

— Rozmawiałem z pana sąsiadką, Ann Beatty — powiedział po chwili. — To dobra przyjaciółka pana żony, prawda?

— Ale nie moja.

— Tak, wspomniała o tym. Wspomniała także, że jakiś rok temu pańska żona mówiła o rozwodzie. Pani Beatty poleciła jej nawet własnego prawnika. Widziałem jej dom, więc sądzę, że ten prawnik musi być naprawdę niezły. Ann Beatty uważa, że wasza intercyza była nie do obronienia, ponieważ została zawarta kilka dni przed ślubem. Wiedział pan o tym?

— Nie — odparł Timothy, rzucając Tricii wściekłe spojrzenie.

— Tak przypuszczałem.

— Mam wrażenie, że powinienem zakończyć tę rozmowę — stwierdził Timothy.

— Oczywiście. Jak pan sobie życzy. — Neiderhoffer zamknął notatnik i uśmiechnął się. — Nie ma sprawy.

Timothy wstał i podał mu rękę. Neiderhoffer uścisnął ją, ale nie ruszył do wyjścia.

— Mogę pana o coś jeszcze spytać?

Timothy uśmiechnął się. Zawsze jeszcze jedno pytanie przed wyjściem.

— Jedna rzecz nie daje mi spokoju... Chodzi o ten telefon od pańskiej żony, wie pan, ten z plaży. To dosyć ważny punkt w tej całej historii, prawda? Właśnie wtedy powiedziała panu, że zamierza popełnić samobójstwo. Nikomu poza panem tego nie powiedziała. Nie

zostawiła żadnego listu. Nie mamy też ciała.

— Mówiłem już panu, że może pan sprawdzić wykazy moich rozmów.

— Już to zrobiłem — odparł Neiderhoffer. — Wszystko się zgadza. Tak jak pan mówił, we wtorek rano był do pana telefon.

Timothy wiedział, że „wszystko się zgadza” nie załatwia sprawy. Na pewno jest jakiś haczyk. Czym Neiderhoffer go teraz zaskoczy?

— Nagle uświadomiłem sobie, co mi tu nie pasuje — powiedział detektyw. — Pańska żona dzwoniła do pana z plaży. Skąd? Nie ma tam przecież żadnego automatu telefonicznego.

— Dzwoniła z komórki — odparł Timothy.

Gorączkowo analizował wszystkie możliwości, niczym szczur w labiryncie, badający wszystkie alejki i cofający się, gdy tylko natrafił na ślepą uliczkę. Czemu ten telefon komórkowy był taki ważny?

— Zgadza się. Potwierdza to operator sieci. Połączenie z pana domowym telefonem zostało wykonane z komórki pana żony. Tak jak pan mówił.

— Więc nie ma problemu.

Neiderhoffer kiwnął głową. Kiedy jednak znowu się odezwał, jego słowa nie brzmiały jak potwierdzenie.

— Wie pan, co jest nie tak z tym telefonem? To jedyny dowód, że pana żona żyła jeszcze tego ranka.

— Nie rozumiem...

— Gdzie jest ta komórka?

— Słucham? — spytał Timothy, ale natychmiast zrozumiał, o co policjantowi chodzi.

— Nie znaleziono jej w samochodzie. Nie było jej na skałach poniżej urwiska. Pańska żona zdjęła ubranie przed skokiem, więc nie mogła

schować jej do kieszeni. Gdyby pojechała do Big Sur, żeby się zabić, i zadzwoniła do pana z plaży, telefon powinien zostać znaleziony gdzieś w pobliżu, prawda?

— Chyba tak.

— Ta rozmowa telefoniczna jest jedynym dowodem na to, że w chwili jej śmierci był pan sto pięćdziesiąt kilometrów od tego miejsca. Bez tego telefonu nikt nawet nie wiedziałby, czy żona wróciła z panem do domu po tym weekendzie. Goniec hotelowy nie widział jej w samochodzie. Nikt jej nie widział w Palo Alto w niedzielę ani w poniedziałek wieczorem. Twierdzi pan, że wróciliście razem. Ale może wrócił pan sam, kiedy pogrzebał ją pan gdzieś niedaleko Big Sur? Zwrócił pan po drodze uwagę na te olbrzymie okoliczne lasy?

— Nie.

— Są bardzo piękne — powiedział Neiderhoffer. Milczał przez chwilę, jakby chciał przywołać wspomnienie tych lasów, a potem dodał: — Co pan powie na taki scenariusz: we wtorek rano dzwoni pan z telefonu komórkowego żony na telefon domowy, będąc w domu. W ten sposób zapewnia pan sobie alibi... to dowód, że we wtorek rano, kiedy jest pan we własnym domu, żona jeszcze żyje i jest w Palo Alto. To by było bardzo sprytne, nie sądzi pan?

Timothy poczuł, że robi mu się niedobrze.

— Przecież to łatwo sprawdzić. Operator potrafi powiedzieć, skąd było połączenie.

— Ależ oczywiście. Przy tych nowych telefonach cyfrowych wszystko jest możliwe. Jeśli miałby pan telefon CDMA, GSM albo TDMA. Jeśli kupiłby pan nowy telefon w ciągu ostatnich pięciu lat, nie byłoby problemu. Nie byłoby nawet tej rozmowy. Ale niestety mamy tu do czynienia z kolejnym dziwnym zbiegiem okoliczności... Mieliście oboje najnowsze samochody, najnowsze modele telewizorów, najnowsze zabawki. Tylko telefon pana żony był stary.

Czteroletni analogowy model, którego nie da się zlokalizować. Można z niego dzwonić, skąd się chce, i nikt się o tym nie dowie. Ale oczywiście nie wiedział pan o tym, panie van Bender?

— Nie.

— No właśnie. A już myślałem, że mam na pana haczyk!

Timothy pokręcił głową.

— Czy jest coś, co chciałby mi pan powiedzieć? — zapytał NeiderhofFer, uśmiechając się do niego. — Teraz jest najlepszy moment.

— Nie zabiłem mojej żony.

— No dobrze, panie van Bender — mruknął detektyw i skinął głową Tricii. — Życzę państwu miłego dnia.

Odwrócił się i wyszedł.



Gdy Timothy upewnił się, że policjant odjechał, wrócił do kuchni.

— Kiedy zamierzałaś mi powiedzieć, że prosiłaś Ann o adwokata, który zająłby się naszym rozwodem?

Tricia potrząsnęła głową.

— Timothy, to nie tak. Ja wcale nie... To nie było na poważnie. Tak tylko gadałyśmy. Wpadłam któregoś dnia na Ann, no i akurat byłam w złym nastroju, nawet już nie pamiętam dlaczego, a ona zaczęła mnie namawiać... wiesz przecież, jaka ona jest, ale oświadczyłam, że nie interesuje mnie to.

— Czemu nic mi o tym nie powiedziałaś?

— Bo nie było nic do powiedzenia. Po co miałabym się rozwodzić? Myślisz, że chcę skończyć tak jak Ann? Sama w wielkim domu w Palo Alto, z kotem do towarzystwa? Wcale nie chciałam od ciebie odejść.

— Spotkałaś się z tym prawnikiem?

Potrząsnęła głową.

— Tak czy nie?

— Raz. Tylko raz. Rozmawialiśmy przez jakieś dziesięć minut. To było, zanim zachorowałam. Kilka miesięcy wcześniej. Chciałam tylko... zobaczyć...

— Jak wygląda sprawa intercyzy, tak?

— Nie możesz mieć mi tego za złe.

— Nie mogę? Czy ty nic nie rozumiesz? Teraz mają motyw. Myślałam, że cię zabiłem.

— No to możemy im powiedzieć, że nie zrobiłeś tego. To proste. Mogę im udowodnić, że to ja.

Timothy roześmiał się. Wziął krzesło, obrócił je i usiadł okrakiem naprzeciw niej. Przeczesał palcami włosy.

— Chyba żartujesz. Nawet jeśli uwierzą, że jesteś moją żoną... zakładając, że doktor Ho wyjaśni, o co w tym wszystkim chodzi, co nie wydaje mi się zbyt prawdopodobne, ale nawet jeśli tak było, to co powiemy na temat Tricii? Że zrobiliśmy tej dziewczynie lobotomię bez jej zgody? Nie rozumiesz? Albo cię zabiłem, albo zrobiłem krzywdę Tricii. To patowa sytuacja.

Wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia.

— Przesadzasz. Nie zabiłeś Katherine i nie zabiłeś Tricii. Taka jest prawda. Nie możesz o tym zapominać. Nie ma przeciwko tobie żadnych dowodów. To same poszlaki. Ten policjant łowi w mętnej wodzie, bo nie wszystko mu pasuje do siebie i nie wie, jak poskładać to do kupy. Ale tak naprawdę co właściwie ma? Nic.

— A gdzie jest twoja komórka?

— Nie wiem — odparła.

— Pojechałaś tego ranka do Big Sur, stanęłaś na urwisku i zadzwoniłaś do mnie. Co zrobiłaś ze swoim telefonem?

— Przecież już to przerabialiśmy. Tego dnia to nie byłam ja. Jestem tylko jej kopia. Nie mam pojęcia, co się zdarzyło tamtego dnia. Może wyrzuciłam telefon do oceanu.

— Zastanów się. Wyobraź sobie, że chcesz popełnić samobójstwo. Czy wyrzuciłabyś w takim momencie telefon do oceanu?

— Nie wiem. Może.

Timothy pokręcił głową.

— Posłuchaj: jeśli dobiorą mi się do dupy i pójde na dno, to i ty ze mną też. — Chciał powiedzieć, że jeżeli będą się trzymali razem, wygrają, ale zabrzmiało to tak, jakby jej groził. — Koniecznie musimy coś wymyślić — dodał szybko. — Potrzebujemy jakiegoś planu. Nie mam zamiaru być w ciągłej defensywie.

Pojechali do rezerwatu Arestradero w dolinie Portola, żeby pochodzić po wzgórzach, z dala od policji, prawników i pogróżek. Timothy musiał oczyścić umysł i spokojnie pomyśleć.

Wszystko wymykało się spod kontroli. Świrnięty chłopak Tricii chciał go zabić, Pinky Dewer wytoczył mu proces, Dzieciak zamierzał go zdradzić, władze zaś planowały wpakować go do więzienia, a teraz jeszcze policja posądzała go o zamordowanie żony. Przez czterdzieści siedem lat Timothy van Bender był panem swojego życia. Nigdy nie był najbystrzejszym, najambitniejszym czy choćby najprzystojniejszym mężczyzną, ale odnosił sukcesy. A to z kolei dawało mu pewność siebie. Sukces pozwalał mu chodzić z podniesionym czołem i ujmującym uśmiechem, który zjednywał mu ludzi, co przyczyniało się do kolejnych sukcesów.

Jednak teraz szczęście go opuściło i wszystko się zaczęło psuć, a on nie potrafił dostrzec końca kłopotów. Wiedział, że zbyt rozpaczliwe pragnienie sukcesu uniemożliwia jego osiągnięcie. Łatwo rozpoznać zdesperowanego człowieka. Zdradzają go wygłodniałe oczy i sztuczny uśmiech. Bez względu na to, jak bardzo nonszalancką przyjmuje pozę, zawsze jest krok od krawędzi i wszyscy to widzą. Do

takich potępionych dusz sukces nigdy nie przyjdzie.

Próbował zrozumieć, kiedy zaczął się ten zjazd po równi pochyłej. Od momentu, gdy pojechał za Tricią do jej mieszkania? Od hazardowego zagrania z jenem? Od chwili, kiedy postanowił zatrzymać pieniądze Pinky'ego? To wszystko było działaniem na pół gwizdka — i oczywiście nie miało szans powodzenia.

Jedynym jego osiągnięciem w życiu było odzyskanie Katherine. Wygrał, ponieważ nie bał się ryzyka. Uśpił Tricię, zawłókł ją do laboratorium i pozwolił, by poddano ją zwariowanemu eksperymentowi medycznemu. To było szaleństwo i nikt by w to nie uwierzył, ale się udało. Teraz potrzebował równie śmiałego planu, diametralnej zmiany w swoim życiu. Nie mógł siedzieć z założonymi rękami i czekać, aż Dzieciak pośle go do więzienia, nie mógł oddać inwestorom całego swojego majątku ani żyć w ciągłym strachu, że zabije go jakiś wariat albo policja oskarży go o morderstwo.

Musi znaleźć rozwiązanie tych wszystkich problemów. Kiedy szedł przez rezerwat, czując promienie wrześnieego słońca palące go w głowę i wdychając gorące powietrze pełne kurzu, wiedział już, co zrobi.



Wspięli się szlakiem Meadowlark na najwyższe wzniesienie w parku. Tricia szła powoli, żeby Timothy nie zostawał z tyłu. Jednak szybko zaczęło mu dokuczać kolano, bolał go brzuch i miał coraz większe kłopoty z nadążaniem za swoją odmłodzoną żoną.

W końcu weszli na szczyt. Ich oczom ukazał się widok, dla którego zawsze lubili tu przychodzić. Pod nimi falowały trawiaste pagórki, na horyzoncie przecinał zatokę most Mateo, a białe solne jeziorka wyglądały jak baseny pełne śmietanki.

— Spójrz tylko na mnie... — wysapał Timothy.

Jego koszula przesiąkła potem i z trudem łapał oddech. Młodsza o ponad dwadzieścia lat Tricia nawet nie wyglądała na zmęczoną. Jej czoło błyszczało od potu, ale poza tym była pełna energii.

— Po prostu jesteś bez kondycji.

— Jestem stary — mruknął.

— Nie rozczulaj się nad sobą.

— Wcale się nad sobą nie rozczulałem, tylko przyznaję się do porażki — odparł. — To tak, jakbym przegrał partię szachów. Chciałbym rzucić wszystkie figury z szachownicy i zacząć od początku.

— Nie rozumiem.

— Nie mam szans. Jeśli Dzieciak będzie zeznawał, to już po mnie. Mogę pójść do więzienia. W najlepszym razie stracę cały majątek. Ale to wcale nie koniec kłopotów, bo jest jeszcze Neiderhoffer, który cały czas szuka czegoś na mnie. Poza tym czekają mnie kolejne procesy, a jakiś świrnięty gnojek chce mnie zabić. Nie wiem, czy uda mi się z tego wybrnąć.

Zmrużyła oczy, patrząc na niego pod słońce.

— Mężczyzna, za którego wyszłam, tak by nie mówił.

— Ale ja właśnie to chciałem powiedzieć. Timothy van Bender nie ma szans. Timothy van Bender przegrał. I dlatego nie chcę już być Timothyem van Benderem.



Zadzwoił do doktora Ho i po krótkiej rozmowie umówił się z nim na spotkanie, w jego biurze na Sand Hill Road, następnego dnia o dziewiątej rano. Pojechał na nie razem z Tricią.

Doktor Ho wpuścił ich do poczekalni.

— Witam, pani van Bender — powiedział i skinął głową Timothy'emu.

Tricia objęła go i przytuliła się do niego.

— Doktorze, tak bardzo jestem panu wdzięczna. Bardzo, bardzo dziękuję.

Oczy Chińczyka ledwo wystawały sponad jej ramienia. Miał zdziwioną minę.

— Dobrze, już dobrze — wymamrotał i oswobodził się z jej uścisku. — Chodźmy do mojego biura — zaproponował.



Zaprowadził ich do malutkiego pokoiku, który służył mu jako gabinet. Niemal całą przestrzeń zajmowało stare metalowe biurko. Sterty dokumentów i papierowych teczek ułożonych na podłodze zasłaniały dywan. Timothy i Tricia przestąpili je ostrożnie i usiedli na niewygodnych krzesłach stojących przed biurkiem.

— Przepraszam za bałagan — powiedział Ho.

Znalazł teczkę Katherine, otworzył ją i szybko przejrzał swoje zapiski.

— No i co tam u pani słyszeć? — spytał Tricię. — Czy jest tak, jak to pani opisywałem?

Kiwnęła głową.

— Z początku było to dość dziwne uczucie. Potrzebowałam czasu, żeby do niego przywyknąć. Jednak poza tym czuję się jak... ja. Czuję się zupełnie zdrowa. I wie pan co? Jestem teraz bardzo szczęśliwa. O wiele szczęśliwsza niż kiedyś. To, co pan zrobił, doktorze, było wspaniałe. Nigdy nie zdołam się panu odwdzięczyć.

Ho uśmiechnął się z zadowoleniem.

— To doskonale — odparł, po czym zamknął teczkę i spojrzał na Timothy'ego. — Ale przyszli tu państwo w zupełnie innym celu, prawda?

— Owszem.

— Panie van Bender, chce pan, żebym stworzył pańską kopię zapasową, czy tak?

— Właśnie.

— No cóż... Po naszej wczorajszej rozmowie telefonicznej zastanawiałem się nad pana prośbą, ale niestety nie będę mógł panu pomóc.

Timothy nie ukrywał zdziwienia.

— Ale przecież...

— Przykro mi, panie van Bender. Jestem lekarzem. To zabieg medyczny, a nie wyjście awaryjne. Nie po to poświęciłem dwadzieścia lat życia i miliony dolarów moich sponsorów, żeby umożliwić komuś popełnienie oszustwa bankowego.

— Nie robię tego, żeby okraść bank — zaprotestował Timothy.

— Więc po co?

Bo chcę dostać drugą szansę, pomyślał Timothy. Chcę zrzucić wszystkie figury z szachownicy i ustawić je od nowa.

— Bo nie mam innego wyjścia — odpowiedział.

Doktor Ho splótł dłonie.

— Panie van Bender, zgodziłem się pomóc pana żonie, ponieważ była chora. Śmiertelnie chora. Ale pan jest zdrowy. Nic panu nie dolega. Nie mogę dać panu nowego nazwiska. To nie na tym polega. — Przez chwilę szukał właściwego słowa. — To by było nie w porządku.

— Nie w porządku? — powtórzył Timothy. — Nie w porządku? Oszalał pan? Nic z tego, co pan zrobił, nie jest w porządku. Niech pan spyta mojej sekretarki, której mózg pan wykasował, czy to w porządku.

— Mam jej kopię — odparł doktor Ho. — Kiedy tylko będzie to możliwe, mogę ją odtworzyć...

— Jasne — prychnął Timothy. — To dla niej na pewno wielka pociecha. Musi być bardzo szczęśliwa jako plik na pana komputerze.

Jest pan prawdziwym filantropem. — Wstał i pochylił się nad biurkiem. — Niech pan mnie uważnie posłucha... Razem w tym siedzimy. Pomógł pan mojej żonie i jestem panu za to bardzo wdzięczny. Ale zrobił to pan z egoistycznych pobudek. Może chciał pan udowodnić swoim sponsorom, że interes cały czas się kręci. Może potrzebował pan forsy, a może po prostu chciał pan sprawdzić, czy wszystko przebiegnie jak należy. Możliwe, że Katherine była dla pana tylko królikiem doświadczalnym. Ale nic niedobrego się nie stało, wszystko poszło jak trzeba i tylko to się liczy. Jesteśmy jednak współnikami w zbrodni. Rozumiesz to, Panie Frankenstein? Ukradliśmy komuś ciało i wykasowaliśmy tej osobie mózg. Wątpię, żeby spodobało się to pana sponsorom czy policji, gdyby się o tym dowiedzieli.

— Panie van Bender, grozi mi pan?

— Dobrze się pan domyśla — odparł Timothy. Pochylił się jeszcze bardziej. Patrzył teraz wprost w oczy doktora Ho, ukryte za okularami, których oprawka wciskała się w jego brwi. — Jeśli pan mi nie pomoże, pociągnę pana na dno za sobą.

Jego twarz była tylko kilka centymetrów od twarzy lekarza. Patrzył na delikatne rysy i gładką skórę Chińczyka i czekał.

— No cóż, myślę, że mogę panu pomóc — powiedział w końcu Ho.



Timothy miał przelać sto pięćdziesiąt tysięcy na to samo konto w Citibanku, z którego miesiąc wcześniej skorzystała Katherine. Doktor Ho powtórzył instrukcje dotyczące „naczynia”, w którym Timothy chciałby się odrodzić po skopowaniu. Pojawił się jednak problem, o którym Timothy wcześniej nie pomyślał.

— Będzie pan musiał odebrać sobie życie — poinformował go Chińczyk.

Timothy spojrział na niego zdziwiony.

— To samo powiedziałem pana żonie. Nie mogą istnieć dwa identyczne umysły w dwóch różnych ciałach — wyjaśnił Ho. — Nie chodzi tylko o kwestie etyczne. Pojawiłyby się także inne komplikacje. Nie możemy do tego dopuścić. Idealnym rozwiązaniem byłoby ucięcie jednej gałęzi, gdy tylko zakończę procedurę kopiowania i przenoszenia.

— Ucięcie gałęzi? — powtórzył zdezorientowany Timothy.

— Zabicie pana. Ale ja nie chcę mieć nic wspólnego z pana śmiercią. Musi pan to zrobić sam.

— Rozumiem.

— Wolę, żeby zdawał pan sobie sprawę, jakie to może być trudne — dodał Chińczyk. — Będzie pan w dalszym ciągu sobą. Po zakończeniu procedury kopiowania będzie pan wciąż tą samą osobą, niezależną od kopii. Czy pan to rozumie?

Timothy rozumiał. Nie miał tylko pojęcia, czy będzie miał dosyć siły, żeby odebrać sobie życie.

— Proszę pamiętać, że pana kopia będzie żyła własnym, zupełnie niezależnym od pana życiem — dodał Ho. — To powinno być dla pana pewnym pocieszeniem.



Jego plan był genialny i jednocześnie prosty. Mógł rozwiązać wszystkie swoje problemy jednym śmiałym pociągnięciem. Timothy van Bender jest podejrzany o zabójstwo żony? W takim razie po jego śmierci problem przestanie istnieć.

Timothy'ego van Bendara czekała utrata reputacji i seria niekończących się procesów? Jakiś zwariowany narkoman groził Timothy'emu van Benderowi śmiercią? Wszystkie te problemy znikną, gdy odbierze sobie życie.

Realizacja tego planu wymagała poszukania jakiegoś „naczynia”. Oczywiście powinien to być ktoś młody i zdrowy.

Nie musiał być zamożny, ale nie może budzić podejrzeń, jeśli zbyt szybko „dorobi się” majątku. Powinien to być ktoś, kto mógłby przejąć wszystkie miłe strony życia Timothy'ego van Bendera, ale bez jego obciążeń. Wybór był prosty.



— Cześć, Dzieciak — powiedział Timothy do telefonu komórkowego, kiedy wracali z Tricią od doktora Ho. — Co u ciebie słysząc? Jeśli dobrze pamiętam, piątek to twój ostatni dzień w pracy.

Głos Dzieciaka brzmiał, jakby dochodził z bardzo daleka.

— Tak, zgadza się, piątek. Słuchaj, chciałem ci powiedzieć, że głupio mi, że to wszystko tak się kończy. Mam nadzieję, że nie żywisz do mnie urazy.

— Oczywiście, że nie — zapewnił go Timothy. — Może w przyszłym tygodniu, kiedy trochę odpoczniesz, wybralibyśmy się na drinka? Ty, Tricia i ja. Jak za dawnych czasów. Co ty na to?

— Super... — mruknął Dzieciak. W jego głosie słysząc było nutę zdziwienia.

— Cieszę się — odparł Timothy. — No dobra, widzimy się jutro w biurze. Na razie.



Pozostała jeszcze tylko kwestia pieniędzy.

Fajnie będzie powrócić do życia jako Dzieciak, bez bagażu policyjnego śledztwa, oskarżenia o sprzeniewierzenie funduszy i kłopotów z kolanem. Ale utrzymywanie się z osiemdziesięciu tysięcy rocznej pensji i mieszkanie w bliźniaku za centrum handlowym nie wchodziło w grę.

Dzieciak musiał mieć pieniądze, przynajmniej kilka milionów — wystarczająco dużo, żeby Timothy mógł żyć na poziomie, do którego zdążył przywyknąć.

Następnego dnia zamknął się w swoim gabinecie i zadzwonił do Franka Arnheima.

— Cześć, Frank — powiedział. — Mam dla ciebie kwestię prawną do rozwiązania. Powiedzmy, że niedługo umrę i chciałbym zostawić trochę gotówki pewnej osobie, ale tak, aby uniknąć postępowania spadkowego. Jak to można zrobić?

— Chodzi ci o podatek?

— Nie.

— No to masz dwie opcje — odparł Frank. — Jedna to fundusz powierniczy. Ale na założenie go trzeba trochę czasu. Szybciej i prościej jest pójść do banku i otworzyć konto PWZ, Płatne na Wypadek Zgonu. Musisz podać tylko nazwisko beneficjenta i to wszystko. Kiedy umrzesz, beneficjent idzie do banku ze świadectwem zgonu i dowodem osobistym i odbiera pieniądze. — Frank zamilkł na chwilę, po czym zapytał: — Czemu to cię interesuje?

— To nic ważnego — odparł Timothy.

— Nie zamierzasz zrobić niczego głupiego, prawda?

— Nie — zapewnił go Timothy.



Otworzył konto PWZ w Union Bank jeszcze tego samego dnia. W ciągu godziny mógł zacząć proces upłynniania całego swojego majątku i przelewania gotówki na konto. Najpierw sprzedał wszystkie papiery wartościowe, które były warte jakieś sześć milionów dolarów, i spieniężył ubezpieczenie emerytalne (czteryście tysięcy). Niestety, miał za mało czasu, żeby wziąć drugą hipotekę na dom w Palo Alto, bo zajęłoby to kilka tygodni. Nie mógł także od razu przenieść na PZW funduszy z kont van Benderów. Te pieniądze będą musiały poczekać na zakończenie postępowania spadkowego, ale po jego śmierci do sądu na pewno wpłynęło wiele pozwów i nie wiadomo, co z nich zostanie. Obliczył jednak, że po zapłaceniu podatku Dzieciak będzie

miał do dyspozycji jakieś cztery miliony dolarów. Niezły początek. Timothy mógł żyć z tych pieniędzy przez rok albo dwa, spokojnie czekając, aż Tricia otrzyma pieniądze ze spadku.



Niestety, nie mógł poślubić Tricii, ponieważ wciąż jeszcze nie otrzymał aktu zgonu Katherine. W tej sytuacji mógł zrobić tylko jedno: zmienić testament i przekazać cały swój majątek byłej sekretarce. Poświęcił na to godzinę w piątkowe popołudnie. Pojechał z Tricią do San Jose, do Jacka Deckera, Esq., który od lat był prawnikiem rodziny van Benderów. Jack Decker od razu sporządził nowy testament i potwierdził go notarialnie w obecności swoich dwóch sekretarek jako świadków.

Kiedy wyszli z jego biura, Tricia uściskała Timothy'ego.

— Wkrótce będzie po wszystkim — zapewniła go.

Cały proces przekazywania majątku van Benderów nowemu „naczyniu” nie trwał dłużej niż siedemdziesiąt dwie godziny.

Timothy van Bender zaplanował własną śmierć na środę wieczorem, 29 września.

Miał zamiar zatruć się spalinami we własnym garażu, podłączając wąż ogrodowy do rury wydechowej bmw.

Tricia i Dzieciak, którzy byli spadkobiercami, nie mogli być obecni przy jego śmierci. Musieli mieć niepodważalne alibi i znajdować się jak najdalej od jego domu w Palo Alto.

Plan Timothy'ego był następujący: w środę wieczorem zaprosi Dzieciaka do domu na obiad i wsypie mu do drinka valium, tak samo jak zrobił to z Tricią kilka tygodni wcześniej. Kiedy Jay straci przytomność, Timothy i Tricia zawiozą go do gabinetu doktora Ho. Tam Chińczyk wykona kopię zapasową, umysłu Timothy'ego, po czym przeniesie ją do ciała chłopaka.

Następnie Dzieciak — a raczej jego ciało zamieszkiwane teraz przez Timothy'ego — pojedzie z Tricią na lotnisko San Francisco, gdzie złapią bezpośrednie połączenie do Nowego Jorku o dwudziestej drugiej. Kupno biletów, kontrola dokumentów i wejście na pokład samolotu będą najlepszym alibi. W tym samym czasie, czyli dokładnie o dwudziestej drugiej, kiedy samolot będzie kołował na pas startowy, Timothy van Bender — oryginalny Timothy van Bender —

zakończy życie w swoim garażu.

Timothy wiedział, że najsłabszym punktem planu będą ostatnie minuty. Czy da radę odebrać sobie życie? Przecież w dalszym ciągu będzie tym samym Timothy van Benderem, z tym samym starzejącym się ciałem i tą samą wolą życia. Jego kopia będzie wtedy siedzieć wraz z Tricią w samolocie. Czy nie zabraknie mu sił i nie zechce do nich dołączyć?

Jednak im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej wierzył, że da radę. Ostatecznie była to tylko kwestia silnej woli i wiary. A ślepa wiara, że zawsze sobie poradzi, bez względu na okoliczności, nigdy go nie zawiodła. Poradzi sobie i tym razem. Robił już trudniejsze rzeczy. Zresztą szklaneczka whisky i kilka tabletek valium powinny ułatwić mu zadanie.

We wtorek wieczorem, w noc poprzedzającą własną śmierć, kochał się ze swoją żoną.

Po raz ostatni mógł to zrobić w swoim starym ciele. Za kilkanaście godzin stanie się Dzieciakiem. Będzie dwudziestoparoletnią wschodzącą gwiazdą MBA z całym życiem przed sobą. Będzie mógł się cieszyć zdrowymi kolanami, głową pełną włosów, niskim cholesterolem i wysokim poziomem testosteronu. Czuł się jak dziecko w noc poprzedzającą Gwiazdkę. Obietnica prezentów wydawała się o wiele słodsza niż same prezenty.

Kochali się inaczej niż wcześniej. W ciągu kilku tygodni, które upłynęły od chwili odzyskania Katherine, ich miłość była pełna namiętności i pasji. Timothy niemal pochłaniał jej ciało, chcąc wtopić się w nie, wejść w nią i nigdy jej nie opuścić. Była to namiętność człowieka, który boi się ponownie utracić ukochaną.

Jednak tego ostatniego wieczoru ich miłość była inna. Kochali się bardzo powoli, jakby każde z nich chciało zapamiętać stare ciało Timothy'ego z siwymi włosami na piersiach i miękkim brzuchem. Tricia

całowała każdy skrawek jego skóry, a on leżał na plecach, starając się zapisać to w pamięci — tak, żeby zawsze móc przywołać to wspomnienie. Bez względu na to, kim będzie.

Kiedy było po wszystkim, położyła głowę na jego piersi, słuchając bicia serca.

— Będę tęskniła za tym Timothyem — stwierdziła.

— Przecież nadal będziemy razem — przypomniał jej.

— Jestem ciekawa, jak to będzie wyglądało. Pewnie będę się czuła nieswojo z takim młodym mężczyzną. Jak te śmieszne stare kobiety, o których piszą brukowce. Stare gwiazdy z Hollywood z młodymi kochankami.

— Czemu mówisz jak stara kobieta? Spójrz tylko na siebie. Masz dwadzieścia trzy lata.

Uniosła rękę i spojrzała na swoją skórę.

— Chyba tak. Ale czasami o tym zapominam.

— Wszystko się ułoży, zobaczysz — obiecał jej.

Ile razy w życiu już tak obiecywał, choć sam w to nie wierzył? Jednak dzisiejszego wieczoru musiał uwierzyć, żeby móc zrobić następny krok, żeby wykonać plan.

Leżeli w milczeniu. Jej głowa otarła się o jego brodę i poczuł miętowy zapach szamponu Katherine. Mimo że pachniał trochę obco na głowie Tricii, obudził w nim stare wspomnienia — wspomnienia letnich wieczorów na werandzie w klubie Circus, spoconych pocałunków przy siatce na korcie, tańców w sali balowej klubu.

— Pamiętasz naszą pierwszą randkę? — spytała Tricia. — W Nowym Jorku?

— Nasza pierwsza randka? — Przez chwilę udawał, że się zastanawia. — Jakże mógłbym zapomnieć? Spacerowaliśmy po centrum i nagle ogarnęło nas takie pożądanie, że nie mogliśmy czekać. Kochaliśmy się w łazience Port Authority. Pamiętam, że jakiś włóczęga dobił się do toalety, ale nie zwracaliśmy na to uwagi i...

Zamachnęła się, jakby chciała go uderzyć, ale jej palce zatrzymały się tuż przed jego twarzą. Pogłaskała go po policzku.

— Przestań! — zawołała. — Jesteś okropny.

Uśmiechnął się do niej.

— Więc co z tą pierwszą randką? — spytał.

— Poszliśmy do muzeum. Chyba do Met, jeśli dobrze pamiętam.

Teraz przypomniał sobie. Młoda Katherine, wtedy jeszcze studentka Smith, pewna siebie i piękna. Szła po marmurowej podłodze, trzymając go za rękę...

— Oglądaliśmy obraz Ducreux. Portret księcia Bougainville.

Zanim skończyła zdanie, Timothy poczuł, że go ściska w gardle. To nie były wspomnienia kochającej żony. To był wstęp do mowy oskarżycielskiej.

— Nie wiedziałam, jak to się poprawnie wymawia i przeczytałam bou-żę-wile — mówiła dalej. — Pamiętasz?

— Tak.

— Roześmiałeś się wtedy i poprawiłeś mnie przy tych wszystkich ludziach. Powiedziałeś: „To brzmi jak nazwa włoskiej knajpki. Powinniśmy tam wpaść” — zacytowała go, próbując naśladować jego niski głos.

Zamilkła na chwilę i odwróciła się do niego. Czekala, że może coś odpowie, ale on miał pustkę w głowie, więc tylko mruknął:

— Tak.

— Poczułam się zraniona. Nawet po tylu latach to pamiętam. Oczywiście to był znak, ale się tego nie domyśliłam.

Mimo że dokładnie wiedział, w jakim kierunku zmierza ich rozmowa, i nie chciał jej kontynuować, nie miał pojęcia, jak się wycofać.

— Domyślić czego? — zapytał.

— Że nie jesteś miłym człowiekiem. Ale byłam zbyt młoda. I nie za bardzo pewna siebie. Gdyby to się zdarzyło później, gdybyśmy się poznali, kiedy miałabym czterdzieści lat, a nie dwadzieścia, wyszłabym z tego muzeum w tej samej chwili i nigdy bym nawet nie pomyślała o tobie.

To była cała Katherine. Z miłego, spokojnego wieczoru zrobiła melodramat. Ale miała rację. Wtedy nie był miłym człowiekiem.

— Katherine... nie wiem, co powiedzieć.

— Nic — odparła. — Nie ma nic do powiedzenia. Nie czuję do ciebie żalu. — Po chwili dodała: — Już nie.

— To się zdarzyło dwadzieścia lat temu. Ja też byłem młody. Teraz jestem innym człowiekiem. Wszystko się zmieniło.

— Wszystko?

Roześmiał się, bo pytanie było niedorzeczne — zresztą tak samo niedorzeczne jak to, co się działo. Najlepszy dowód tego leżał obok niego w łóżku. Jego żona w ciele sekretarki. On sam miał przenieść swój umysł do ciała asystenta. Jego kariera legła w gruzach, a on był głównym podejrzanym w sprawie o morderstwo.

— Oczywiście, że teraz wszystko wygląda inaczej.

— Nie to miałam na myśli — odparła i popatrzyła na ciało Tricii, które teraz należało do niej. — Chciałam powiedzieć... — urwała, odwróciła się w drugą stronę, przesunęła na łóżku i usiadła przodem do niego. Piękne dwudziestotrzyletnie piersi Tricii znalazły się parę centymetrów od niego. Widział też jej gładki, umięśniony brzuch, ale mimo to nie czuł podniecenia. Uświadomił sobie, że czuje się zastraszony. Często tak się czuł, kiedy Katherine przechodziła do ataku. Najlepszą strategią w takich wypadkach było przyjmowanie ciosów. Po chwili jej przejdzie. Poza tym, jak zwykle, zasłużył sobie na to.

— Chciałam powiedzieć, że mamy drugą szansę. Możemy zacząć wszystko od początku. Tylko czy to coś zmieni?

— Na pewno.

— Ale jak może zmienić, jeśli my się nie zmieniliśmy?

— Nieprawda — zaprotestował. — Nie jesteśmy już tacy jak przedtem. — Zamilkł na moment, po czym dodał: — A przynajmniej ja nie jestem tym samym człowiekiem. Na miłość boską, minęło dwadzieścia lat. Myślisz, że niczego się nie nauczyłem przez ten czas? Myślisz, że jestem taki sam jak kiedyś? Nie jestem. Katherine, uwierz mi, że się zmieniłem.

— Tricia.

— Katherine — powtórzył z uporem. — Nie jestem taki jak kiedyś.

— Przekonamy się.

Przyglądała mu się przez dłuższą chwilę, jakby szukała w jego twarzy dowodów na to, że się zmienił, a potem znowu położyła się na łóżku i wymruczała do sufitu:

— Przekonamy się.

Sięgnęła do nocnej szafki i zgasiła lampkę. Leżeli po ciemku, nie odzywając się do siebie. W końcu Timothy powiedział w ciemność:

— Przepraszam cię za każde podłe słowo, jakie kiedykolwiek ode mnie usłyszałaś. I za każde świństwo, jakie ci zrobiłem.

Przez chwilę czekał na jej reakcję, a kiedy odpowiedziała mu cisza, spróbował inaczej:

— Kocham cię.

— Ja też cię kocham — odparła. — Zawsze będę cię kochała. Pamiętaj o tym.

Było to pokrzepiające i Timothy mógł teraz zasnąć spokojnie.

W środę wieczorem Dzieciak przyszedł do nich na obiad.

Timothy dziwił się, że w ogóle przyjął zaproszenie. Bał się, że jego prawnik poradzi mu, żeby trzymał się od niego z daleka, albo że bę-

Kiedy Timothy do nich dołączył, Dzieciak wręczył mu wino.

— Nie miałem pojęcia, co kupić. Mam nadzieję, że wybrałem odpowiednie.

Timothy spojrzął na etykietę.

— Wygląda niezłe — odparł. — Podamy je do obiadu. — Uścisnął chłopakowi dłoń. — Miło cię widzieć, Jay.

Zaprowadził go do salonu i posadził na sofie obok Tricii.

— Przygotuję drinki — powiedział. — Jay, co będziesz pił? Może dołączysz do mnie i napijesz się whisky na kościach?

— Brzmi doskonale.

Timothy podszedł do barku we wnęce. Słyszał, jak Tricia pyta Jaya, czym się teraz zajmuje. Czy znalazł już posadę? Miał jakieś oferty? Czy wciąż mieszka w starym mieszkaniu?

Otworzył nową butelkę dwudziestojednoletniego dalmore. Włożył po parę kostek lodu do dwóch szklaneczek i dołał alkoholu. Z kieszeni wyjął trzy tabletki valium, wrzucił je do drinka Jaya, po czym zamieszał palcem, żeby proszki się rozpuściły.

Wrócił do pokoju i wręczył Dzieciakowi zaprawioną whisky.

— Trzymaj — powiedział. — Za dwudziestojednoletniego pana Dalmore — dodał i uniósł swoją szklaneczkę.

Jay wstał z sofy i stuknął się z nim.

— Za starych przyjaciół.

— Kto tu jest stary? — obruszył się Timothy.

Roześmiali się.



Zjedli w jadalnym przy lśniącem mahoniowym stole, w świetle przygaszonego żyrandola i migających świeczek. Jay skończył pierwszego drinka i był już przy drugim, co oznaczało, że wypijał teraz

piątą i szóstą tabletkę valium. Jednak poza tym, że zwracając się do Timothy'ego mówił trochę niewyraźnie i wymawiał jego imię „Timofii”, nie sprawiał wrażenia zamroczonego. Timothy przypisywał to jego młodemu wiekowi i dobrej kondycji, którymi już wkrótce sam miał zamiar się cieszyć. Może nawet jeszcze tego wieczoru, kiedy będzie popijał przyzwoitego caberneta.

Zjedli steki z rukolą i parmezanem oraz gotowaną kukurydzą. Timothy wybrał takie menu dla uczczenia ostatniego posiłku w starym ciele. Dzieciak pochłoniął swój stek z wilczym apetytem.

— To wspaniale, że jesteście oboje szczęśliwi — oświadczył. — Muszę przyznać, że z początku byłem trochę zazdrosny... — Popatrzył na Timothy'ego, który siedział naprzeciwko niego. — Ale widzę, że naprawdę się kochacie, i bardzo się z tego cieszę.

— Dzięki, Jay — odparła Tricia. — To było miłe.

— Bardzo miłe — potwierdził Timothy.

— Wiecie, niełatwo jest znaleźć prawdziwą miłość — stwierdził Dzieciak, upił duży łyk szkockiej i trochę zbyt gwałtownie odstawił szklaneczkę. — HUU... Super.

— Wszystko w porządku? — spytał Timothy.

— Jasne. Czuję się rewelacyjnie. Ale chyba trochę przystopuję z tą whisky.

Światło świec tworzyło migoczące cienie pod jego oczami. Wyglądał na zmęczonego, a na jego czole pojawiły się kropelki potu.

— Oczywiście — odparł Timothy. — Skończ tylko tę szklaneczkę, bo szkoda, żeby taki świetny trunek się zmarnował.

— Jasne — mruknął Dzieciak. — No to chlup — dodał i wychylił whisky jednym haustem.

— Dobra robota — pochwalił go Timothy.

— Trochę mnie przymuliło — przyznał chłopak. — Nie będzie wam przeszkadzało, jeśli się na chwilę położę?

— Pewnie, że nie.

Pomogli mu dojść do sofy. Kiedy tylko usiadł, opadł na poduszki.

— O kurcze, przepraszam... — wymamrotał. — Nie wiem, co się ze mną dzieje. Może jak odpocznę minutę...

Zamknął oczy. Po chwili otworzył usta i zaczął chrapać. Tricia lekko dźgnęła go palcem.

— Jay?

Ale chłopak był już nieprzytomny.

— No dobra — mruknął Timothy. — Bierzmy się do roboty.

Zaciągnęli Dzieciaka do garażu i wcisnęli go na tylne siedzenie bmw. Z trudem im się to udało, bo chłopak miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Timothy musiał zgiąć mu nogi i oprzeć je na tylnej szybie, żeby go jakoś zmieścić.

— Tim-fii? — wymamrotał nieprzytomnie Jay.

— Trochę za dużo wypiteś. Odwieziemy cię z Tricią do domu.

— Dziękii, Tim-fii.

Timothy przeszukał jego kieszenie i znalazł kluczyki do samochodu.

— Trzymaj — powiedział i rzucił je Tricii. Spojrzał na zegarek. — Robi się późno. — Procedura kopiowania i zapisywania potrwa pewnie kilka godzin, a przecież samolot do Nowego Jorku nie będzie czekał.

— Zdążymy — uspokoiła go Tricia. — Nie jedź za szybko.

Timothy wycofał swoje bmw z garażu i wyjechał na ulicę, a Tricia ruszyła za nim w jetcie Dzieciaka. Skierowali się w stronę Sand Hill Road. Timothy znowu sprawdził czas i mocniej wdepnął pedał gazu. Strzałka prędkościomierza wskazywała siedemdziesiąt pięć kilometrów na godzinę.

Spojrzał w tylne lusterko. Tricia została z tyłu. Najwyraźniej wolała nie jechać zbyt szybko.

Timothy uświadomił sobie, że whisky, którą wypił do obiadu, trochę go zamroczyła. Nawet bez valium dalmore potrafił dać kopa. Zdjął nogę z gazu i wskazówka opadła do sześćdziesięciu na godzinę.

Niestety, było już za późno. Za nim rozbrzysły czerwono-niebieskie światła policyjnego koguta. Po chwili oślepiły go długie światła i zawyła elektroniczna syrena.

— Szlag by to trafił! — zaklął.

Zjechał na pobocze. Znajdował się na Sand Hill, jakiś kilometr od biura doktora Ho. Gdyby tylko był trochę ostrożniejszy...

Spojrzał w tylne lusterko. Odbijały się w nim długie światła policyjnego wozu, więc musiał zmrużyć oczy. Zobaczył, że jetta jedzie dalej. Kiedy go mijała, Tricia popatrzyła na niego.

Z radiowozu wysiadł policjant i podszedł do bmw. Timothy słyszał chrzęst żwiru pod jego obcasami.

— Poproszę o prawo jazdy i dowód rejestracyjny.

Timothy starał się nie otwierać ust, żeby nie rozsiewać wokół siebie zapachu whisky. Otworzył schowek na rękawiczki, wyjął dowód rejestracyjny i wręczył go policjantowi.

— Proszę także o prawo jazdy.

Timothy sięgnął do kieszeni i wyjął portfel. Jego palce dotknęły grubego zwoju studolarowych banknotów. Szybko myślał, rozważając różne opcje. Pieniądze pozwoliły mu uniknąć kłopotów, kiedy kilka lat temu zatrzymano go na drodze numer 101 za zbyt szybką jazdę.

Przypomniał sobie rozmowę z żoną poprzedniej nocy, kiedy przekonywał ją, że się zmienił. Stary Timothy wyciągnąłby harmonijkę banknotów i pomachał nią policjantowi przed nosem, pewien, że i tym razem pieniądze załatwią sprawę. A co zrobi nowy Timothy? Nie dziwił się wcale, kiedy jego palec wskazujący wsunął się do przegródki, w

której trzymał prawo jazdy. Wyjął dokument i podał go policjantowi, jednocześnie zamykając portfel.

— Wszystko z nim w porządku? — zapytał policjant.

Timothy potrzebował sekundy, żeby się zorientować, że gliniarz pyta o Jaya leżącego na tylnym siedzeniu i chrapiącego w najlepsze.

— Trochę za dużo wypił — wyjaśnił. — Ja robię dzisiaj wieczorem za kierowcę. Chcę go bezpiecznie odstawić do domu. To parę metrów stąd.

— Pił pan? — zapytał policjant.

Timothy zawahał się. Gliniarz na pewno wyczuł alkohol w jego oddechu. Może nawet mówił trochę niewyraźnie.

— O wiele mniej od niego — zapewnił. — Po prostu nie chciałem pozwolić mu się zabić.

Policjant spojrział na prawo jazdy, przeniósł wzrok na Timothy'ego i oddał mu dokumenty.

Timothy wziął je i spojrział na swoje zdjęcie. Zrobił je zaledwie dwa lata temu, ale teraz ze zdziwieniem stwierdził, że wygląda na nim znacznie młodziej. Przyjrzał się swojemu odbiciu we wstecznym lusterku. Pod oczami miał worki, a jego skóra w światłach radiowozu była chorobliwie blada. Posiwiwały mu też włosy i wyglądał na zmęczonego.

— No dobrze — powiedział gliniarz. — Niech pan go odwiezie i zostanie tam jakąś godzinę czy dwie, aż będzie pan mógł bezpiecznie wrócić do domu. Jeśli spotkam pana jeszcze raz tej nocy, spędzi ją pan w celi.

— Dziękuję bardzo, panie władzo.



Kiedy dojechał do kompleksu budynków przy Sand Hill Road 3600, na parkingu stała jedynie jetta Dzieciaka z Tricią w środku.

Timothy zaparkował obok niej i wysiadł z samochodu.

— Miałeś jakieś kłopoty? — zapytała.

— Nic, z czym nie potrafiłbym sobie poradzić — odparł. — Pomóż mi go wyciągnąć z samochodu.

Wyciągnęli Dzieciaka z bmw i posadzili ostrożnie na beton. Potem wzięli go pod pachy i podnieśli na nogi.

— Wszystko w porządku? — zapytał go Timothy.

Chłopak wymamrotał coś w odpowiedzi.

— No dobra — zakomenderował Timothy. — Idziemy.

Wtaczyci Jaya na trzecie piętro, na którym znajdował się gabinet doktora Ho. Kiedy zastukali do drzwi, Chińczyk od razu im otworzył.

— Czemu tak późno? — zapytał, patrząc na zegarek.

— Przepraszam, doktorze — wysapał Timothy.

Poprowadzili Dzieciaka korytarzem do laboratorium numer jeden i ułożyli go na podłodze. Timothy ciężko dyszał.

Doktor Ho podszedł do komputera i wpisał jakieś polecenie. Potem podszedł do stanowiska laboratoryjnego w centrum sali, wziął strzykawkę i pstryknął w nią kilka razy palcami.

— Jest pan gotów, panie van Bender? To środek nasenny. Będzie pan spał w czasie zabiegu. Sam zabieg jest bezbolesny.

— Gdzie to się odbędzie? — zapytał Timothy.

Ho wskazał na drzwi w końcu pokoju z napisem: „Nie wchodzić”. Prowadziły do laboratorium numer dwa.

— Czy mogę zobaczyć aparaturę? — spytał Timothy.

— Przykro mi, ale nie — odparł Ho. — Takie są zasady. Nikt nie może oglądać aparatury ani laboratorium. Także pacjenci, którzy poddali się zabiegowi. Pańska żona również spała w czasie jego trwania.

— Tak było — potwierdziła Tricia.

— Decyzja należy do pana — powiedział Chińczyk. — Może pan się jeszcze wycofać.

Timothy zastanawiał się przez chwilę. Czy rzeczywiście miał jakiś

wybór? Nie mógł dalej żyć jako Timothy van Bender. Dotarł do końca swojej drogi.

— W porządku — odparł.

Doktor Ho podszedł do niego ze strzykawką.

— Gotów?

Timothy odwrócił się do Tricii.

— Kocham cię, Katherine.

Pocałowała go.

— Ja też cię kocham — odparła, po czym dodała: — Nie ma się czego bać. Zobaczymy się, jak tylko się obudzisz... Jay.

Uśmiechnął się do niej. Będzie musiał do tego przywyknąć. Kiedy się obudzi, będzie Jayem Straussem, Dzieciakiem. A przynajmniej jeden z nich nim będzie. Ten, któremu przeznaczone jest długie życie.

— Możemy zaczynać — powiedział do doktora.

Podwinął rękaw koszuli i wyciągnął ramię. Ho zawiązał gumę na jego bicepsie.

— Proszę zacisnąć dłoń — polecił i rozmasował tętnicę na jego ręku.

Timothy odwrócił się, żeby spojrzeć na Tricię, i w tym momencie poczuł ukłucie, a potem ciepło rozchodzące się po całym ciele.

— Już po wszystkim — oznajmił doktor. — Wkrótce poczujesz się pan bardzo zrelaksowany.

Po chwili Timothy poczuł ogarniającą go senność.

— Proszę usiąść — powiedział Ho i podprowadził go do plastikowego krzesła stojącego przed monitorem.

Timothy usiadł. Chciał poprosić o szklanekę wody, ale zanim zdążył otworzyć usta, zasnął.

Kiedy się obudził, siedział na tym samym krześle. Nad nim stał doktor Ho.

— Panie van Bender? Panie van Bender?

Timothy zamrugał. Był półprzytomny — najwyraźniej środek nasenny jeszcze nie przestał działać. Wiedział, że uczestniczy w czymś niezwykle istotnym, ale nie mógł sobie przypomnieć, co to takiego. Rozejrzał się po sali. Jego wzrok przykuły komputery, setki komputerów. Spojrzał na stojący tuż obok monitor, na którym przewijały się linie kodu binarnego.

— Gotowe, panie van Bender — oświadczył doktor Ho. — Procedura kopiowania w pełni się powiodła. Pana kopia została przeniesiona do nowego naczynia.

Timothy dopiero po chwili pojął, o czym Chińczyk mówi. Dzieciak. Miał stać się Dzieciakiem. Spojrzał na swoje ubranie i własne ciało. Miał na sobie te same spodnie i tę samą białą koszulę, które włożył do obiadu. Spod rękawa wystawały siwe włosy na rękę.

— Ale ja nadal jestem...

— Jest pan Timothy van Banderem. Tym Timothy van Banderem, którego ciągłość nie zostanie zachowana.

Timothy rozejrzał się po sali. Z końca pokoju dochodził szum komputerów.

— Gdzie jest Katherine? Gdzie...

— Pojechali na lotnisko. Nie mogą się spóźnić na samolot. Powiedzieli, że wie pan, o co chodzi.

Powoli wszystko zaczynało stawać się jasne. Był tym pechowym Timothyem van Benderem, który miał ze sobą skończyć. Ten drugi, który miał więcej szczęścia, jechał teraz z żoną na lotnisko. Spojrzał na zegarek. Była za pięć dziesiąta. Tricia i Dzieciak — czy raczej Katherine i Timothy — za chwilę będą wchodzili na pokład samolotu lecącego do Nowego Jorku.

— Czy pamięta pan, co ma pan teraz zrobić, panie van Bender? — zapytał doktor Ho, przyglądając mu się przez swoje malutkie okulary. Miał smutną minę, jakby było mu z tego powodu przykro.

— Wiem — odparł Timothy. — Muszę odciąć tę gałąź.

— Im szybciej pan to robi, tym lepiej — stwierdził Ho. — Proszę pamiętać, że żyje pan już innym życiem, w innym ciele. W tej chwili jedzie pan samochodem ze swoją żoną.

— Tak, wiem — odparł Timothy.

— Dam panu środek uspokajający — powiedział doktor. — Nie uśpi pana, ale... ułatwi sprawę. — Wziął kolejną strzykawkę i uniósł ją igłą do góry.

Timothy był zbyt zamroczony, żeby protestować. Poczul ukłucie i gorąco, które wdarło się do jego żył.

— Da pan radę się podnieść? — spytał Ho.

Timothy wstał z krzesła na miękkich nogach, z trudem utrzymując równowagę.

— Wie pan, co musi pan teraz zrobić, panie van Bender?

Kiwnął głową. Wiedział. Rozejrzał się po sali, objął wzrokiem rzędy komputerów, monitor i drzwi z napisem: „Nie wchodzić”, wiedząc, że nigdy już tu nie wróci.

— Tak, wiem — odparł i niepewnym krokiem wyszedł z laboratorium.



Wracał do Palo Alto tą samą drogą, bojąc się, że znowu zobaczy w tylnym lusterku czerwono-niebieskie światła radiowozu i zostanie zatrzymany przez tego samego policjanta. Tym razem musiałby się tłumaczyć nie tylko z wypitego alkoholu, lecz także z tego, że jest pod wpływem środka uspokajającego. Światła się nie pokazały, ale przez cały czas pilnował, żeby wskazówka prędkościomierza zawsze była poniżej sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Spojrzał na zegar na desce rozdzielczej. Było dziesięć po dwudziestej drugiej. W tym momencie Dzieciak — a raczej drugi Timothy van Bender — leciał do Nowego Jorku z Tricią Fountain, która tak naprawdę była jego żoną Katherine. Wydawało mu się to niepojęte. Czuł, że kręci mu się w głowie. Może to skutek uboczny leku, który dał mu Ho, pomyślał. Miał kłopoty z koncentracją i nie mógł skupić się na niczym, co się działo tego wieczoru. Czuł jednak, że coś go gnębi, jakaś myśl nie dawała mu spokoju. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że to strach. Bał się tego, co miało nastąpić.

Rozumiał teraz, co doktor miał na myśli, mówiąc, że im szybciej to zrobi, tym lepiej. Każda minuta życia w starym ciele coraz bardziej odgradzała go od tego drugiego Timothy'ego van Bendara. Gdyby skończył to już teraz — wjeżdżając na przykład z dużą szybkością na słup telefoniczny albo podłączając w garażu rurę wydechową do węży ogrodniczego — istniałby niezależnie od swojej kopii tylko przez kilka minut. Mógł się jedynie pocieszać, że jego egzystencja jest w tej chwili ograniczona do jazdy samochodem po Sand Hill Road. Jazdy nic nieznaczącej, gdyż pokonywał tę drogę tysiące razy.

Im dłużej zwlekał, tym większa przepaść tworzyła się pomiędzy nim i tym drugim, Dzieciakiem-Timothym. Cały czas napływały nowe bodźce — takie jak zapach jaśminu, który wiatr przynosił z okolicznych wzgórz — i nowe myśli. To było tak, jakby on i ten drugi Timothy stali obok siebie, ale nagle otworzyła się między nimi szczelina w ziemi i zaczęła ich rozdzielać coraz bardziej powiększającą się przepaścią. Im dłużej będzie to odkładał, tym dalej znajdą się od siebie i tym bardziej niezależne będą ich życia. Z każdą chwilą będzie mu trudniej.



Jechał w stronę domu, wiedząc, że musi to jak najszybciej zrobić. Po prostu wjedzie do garażu, zamknie za sobą drzwi, zostawi samochód na chodzie i spokojnie zaśnie. Jednak zamiast tego uchylił okno i kiedy poczuł ciepłe nocne powietrze, zdecydował, że zatrzyma się gdzieś na jednego drinka.

Zaparkował przed Starą Tawerną naprzeciw stacji kolejowej. Zawsze lubił to miejsce z powodu panującego w środku przytulnego półmroku i dlatego, że można było tam palić.

Zostawił otwarte bmw — jeśli ktoś zechce je ukraść, proszę bardzo. Przeszedł trzy metry, jakie dzieliły go od wejścia.

W środku był typowy dla tej pory tłok, w większości siedzieli tam studenci z uniwerku i kilku biznesmenów w szytych na miarę garniturach, rozglądających się za dziewczynami, których w pubie nie było.

Timothy podszedł do baru, usiadł na stołku i zamówił szkoocką. Jedną na drogę. Na bardzo długą drogę.

— Już się robi, kolego! — zawołał barman.

Był to starszy łysiejący mężczyzna. Po chwili pchnął szklaneczkę whisky w stronę Timothy'ego.

W sali za nim nagle zrobiło się bardzo hałaśliwie. Jakies dzieciaki

śmiały się zbyt głośno, waląc rękami o nogi. Timothy próbował ich zignorować i zająć się tym, co istotne — whisky. Upił duży łyk i poczuł, jak alkohol szczypie go w język i pali w gardle. To moja ostatnia whisky, pomyślał.

Nie miał wątpliwości, że da radę zrobić to, co postanowił. Zrealizuje do końca swój plan. Wiedział, że to właśnie on — ten siedzący samotnie przy barze czterdziestosiedmioletni mężczyzna — jest jedyną przeszkodą uniemożliwiającą Timothy'emu van Benderowi osiągnięcie sukcesu. Za kilka godzin tamten drugi Timothy van Bender wylądował w Nowym Jorku wraz z Tricią Fountain. Wiedział nawet, gdzie się udadzą, ponieważ on sam też by tam pojechał. Do Four Seasons na Manhattanie. Zameldują się w hotelu, zejdą do baru na jednego, a potem pójdą do łóżka i zasną w czystej, chłodnej pościeli. Za tydzień lub dwa, kiedy wszystko ucichnie, Jay Strauss wróci do Palo Alto i pójdzie do Union Bank na University Avenue, skąd podejmie cztery miliony dolarów. Wtedy będzie mógł zacząć nowe życie. Nie będzie ścigany przez władze, przez rozwścieczonych inwestorów, policję podejrzewającą go o morderstwo czy byłego chłopaka Tricii w butach okutych metalem.

Będzie mógł żyć spokojnie u boku żony, z którą spędził dwadzieścia lat. Oboje dostaną swoją drugą szansę.

Dokończył drinka i postawił szklaneczkę na kontuarze. Czuł się trochę zmęczony i kręciło mu się w głowie.

— Jeszcze jednego? — spytał barman.

Timothy pokręcił głową. Pora to zakończyć. Czuł smak szkockiej w ustach i przyjemne ciepło w żołądku.

Barman podał mu rachunek. Timothy wyjął portfel i położył sto dolarów na kontuarze, kiedy wstał i już miał wyjść, usłyszał, że ktoś woła go szorstkim i lekko bełkotliwym głosem:

— Timothy?

Odwrócił się, żeby zobaczyć, kto to taki. Głos był znajomy, ale zajęło mu dobrą chwilę, zanim skojarzył go z właściwą osobą. Mężczyzna miał szopę blond włosów na głowie, dwudniowy zarost, worki pod oczami i ziemistą cerę kogoś, kto zamiast spać, spędza zdecydowanie za dużo czasu w zadymionych barach.

— Timothy? To ty?

Był to Mack Gladwell, kolega z Exeter i były arystokrata, a teraz producent muzyczny o podejrzanej reputacji i kokainista. Timothy widział go ostatnio trzy lata temu, kiedy Mack zabrał go na zabawę „w stylu Gladwella”.

— Cześć, Mack — powiedział.

— Jak leci, stary? — Mack włożył papierosa do ust i klepnął Timothy'ego w plecy. — Widzę, że jesteś dzisiaj przy kasie. — Wskazał wypchany portfel, który Timothy trzymał w ręku. — Tylko uważaj, żebyś znowu nie zostawił go u jakiejś laleczki!

Wybuchnął głośnym, chrapliwym śmiechem, który po chwili zamienił się w kaszel.

— Pamiętasz Palm Beach? — zapytał. — Kiedy to było? Chyba jakieś kilka lat temu.

— Trzy.

— Nieźle się wtedy narąbałeś. Pamiętasz? Ta mała zadzwoniła potem do twojej żony. Ale numer! Kto by w to uwierzył? Zostawiasz portfel u jakiejś dupy, a ona dzwoni do twojej żony! To najśmieszniejsza rzecz, jaką słyszałem!

— Tak — mruknął Timothy. — To rzeczywiście śmieszne.

— Ale była dobra w te klocki, prawda? — powiedział Mack i znowu się roześmiał. Śmiech szybko przeszedł w kaszel i Mack potrzebował dobrej chwili, żeby dojść do siebie. Kiedy wreszcie znowu mógł mówić, zapytał: — Co tam u ciebie słychać?

— Nieźle. A u ciebie?

— Super. Nadal zajmuję się muzyką. — Machnął ręką, jakby w tym geście chciał zamknąć całą swoją muzyczną karierę lub pozbyć się dymu, który gryźł go w oczy.

— Co tu robisz?

— Wiesz, teraz kasa jest tutaj. Chcę zdobyć trochę funduszy na inwestycje.

Timothy spróbował go sobie wyobrazić, jak zachęca inwestorów z Sand Hill Road do zainwestowania w swoją internetową firmę nagraniową. Było to niedorzeczne.

Położył rękę na jego gorącym i spoconym ramieniu.

— Muszę już lecieć. Miło było cię spotkać, Mack.

— Ciebie też.

Timothy odwrócił się do wyjścia.

— Hej, poczekaj! — zawołał Mack.

Zatrzymał się.

— Co?

— Jak się udało to przyjęcie-niespodzianka?

Timothy potrząsnął głową.

— Nie rozumiem...

— Użyli tego fragmentu ze mną? Tego, w którym opowiadam tę historyjkę z portfelem? Nie wiedziałem, czy to wykorzystają, bo pewnie ta historia przywołuje niemiłe wspomnienia, ale była przekomiczna, więc pomyślałem sobie, że ją opowiem.

Timothy zmrużył oczy.

— O czym ty mówisz?

— O twoim przyjęciu-niespodziance. Nie zrobili ci balangi kilka miesięcy temu? Na twoje czterdzieste siódme?

Timothy pokręcił głową.

— Nie było żadnego przyjęcia.

— No popatrz — zdziwił się Mack. — A niech to. Przyleciała do mnie na Florydę jakaś młoda laska, żeby mnie nagrać. Wiesz, wszystko było bardzo profesjonalne, z kamerą i mikrofonem. Pracowała w

firmie organizującej przyjęcia i mieli nakręcić taśmę wideo na twoje urodziny. Miało to być wideo ze wszystkimi twoimi przyjaciółmi opowiadającymi jakieś zabawne historyjki. Chyba wiedziała, że chodziliśmy razem do szkoły. Poprosiła, żebym opowiedział jej o jakimś ciekawym zdarzeniu. Domyślasz się, o czym jej opowiedziałem?

— Pewnie o tej mojej wpadce z portfelem.

— Właśnie — potwierdził Mack. — Z tą dupą, która zadzwoniła do twojej żony, a ona wykopała cię na tydzień do hotelu. Ale to były jaja!

— Jak wyglądała ta dziewczyna?

— Która?

— Ta, która przeprowadzała z tobą wywiad.

— Niezła laska. Naprawdę świetna dziewczyna.

— Jak wyglądała? — zapytał ponownie Timothy.

— Miała czarne włosy, okulary...

— Niebieskie oczy?

— Tak, chyba niebieskie.

— Pamiętasz, jak się nazywała?

— Nie bardzo — przyznał Mack. — Wiesz, kiedy widzę takie laski, chcę je przelecieć, a nie wysłuchiwać opowieści o ich życiu.

Timothy poczuł, że znowu kręci mu się w głowie. Musiał przytrzymać się kontuaru, żeby nie upaść. Jego kolana zrobiły się jak z waty.

Dziewczyną, która rozmawiała z Maćkiem Gładwellem kilka miesięcy temu, była oczywiście Tricia. Nie potrzebowała pamiętników Katherine. Sprawdziła całe jego życie, znała każdy szczegół.

— Wszystko w porządku? — zaniepokoił się Mack. — Nie wyglądasz najlepiej.

Przysunął się bliżej, ale Timothy go odepchnął.

— Stary, wyluzuj! — zaprotestował Mack.

Timothy chwiejnym krokiem wyszedł na dwór. Ciepłe nocne powietrze pachniało jaśminem i tymiankiem.



Jechał sześćdziesiąt na godzinę Sand Hill Road do biura doktora Ho. Jeśli policja chciała go ścigać, proszę bardzo. Światła jadących z naprzeciwka samochodów pozostawiały smugi w jego polu widzenia. Czym Ho go nafaszerował? Próbował poskładać w całość wszystkie fakty, ale kiedy koncentrował się na jednym, pozostałe rozpląwały się jak mgła. Nie potrafił się na niczym skupić. Kiedy poznał Tricię? Złożyła podanie o pracę pół roku wcześniej. Usiłował cofnąć się pamięcią i przypomnieć sobie historyjkę, którą mu opowiedziała. Absolwentka UCLA? Urodzona w Los Angeles? Nie poprosił o referencje, nawet nie pomyślał, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście studiowała. Czy to możliwe, że Tricia Fountain nie była głupiutką sekretarką, tylko przebiegłą oszustką? Czyżby zaplanowała cały ten przekręt, jeszcze zanim się poznali?

Nie, to zrobił Dzieciak. Oczywiście, że Dzieciak. To on był mózgiem. Timothy wiedział, że Jay miał analityczny umysł. I to właśnie on przedstawił mu Tricię. Twierdził, że poznał ją pewnego popołudnia w kawiarni i namówił, żeby zatrudniła się jako sekretarka w Osirisie. A teraz będzie mógł za kilka dni pójść do Union Bank i podjąć cztery miliony Timothy'ego. Niezła forsa za trochę aktorstwa.

Spróbował jeszcze raz cofnąć się pamięcią. Czy pomysł postawienia na jena też nie był pomysłem Dzieciaka? Jay dobrze wiedział, jak Timothy zareaguje na wiadomość o stratach: z brawurą hazardzisty i pewnością siebie typową dla głupców. Czy właśnie na tym polegał jego plan? Żeby przez cały czas starać się wytrącić go z równowagi, doprowadzić do desperacji i jednocześnie podsuwać mu Tricię, która

zawsze była na niego napalona? Zbyt napalona, uświadomił sobie nagle. Co dwudziestotrzyletnia dziewczyna mogła chcieć od takiego starego grzyba jak on? Przez cały czas się oszukiwał.

Choć dostrzegał ogólne zarysy planu, czuł, że gubi się w detalach. Tricia nie była Katherine. Oczywiście, że nie. Jak mógł być aż tak głupi? Tricia była Tricią. Zaplanowali to wszystko bardzo dokładnie, nawet polecieli na drugi koniec kraju, żeby wypytać jego starych kolegów o różne szczegóły z jego życia. Tricia zachowywała się i mówiła jak Katherine, ale nią nie była.

A kim był doktor Ho? Czy w ogóle był lekarzem? Z pewnością nie. Był kolejnym oszustem w ich paczce. Mały Chińczyk w roli szalonego naukowca.

Niemal im się udało. Prawie go przekonali, że Tricia to Katherine, że jego żona była śmiertelnie chora i przeniesiono ją do ciała Tricii, a on sam został odtworzony w ciele Dzieciaka. Przecież to śmieszne. Ale mimo to im uwierzył. Dobrze wiedzieli, że jest technofobem i da się nabrać na komputerowe hokus-pokus. Niemal udało im się go namówić, do popełnienia samobójstwa, żeby Dzieciak i Tricia mogli dostać jego pieniądze. Niemal.

Wjechał na parking kompleksu biurowego na Sand Hill Road 3600, sięgnął pod siedzenie i nacisnął guzik otwierający bagażnik. Wyskoczył z wozu, podbiegł do bagażnika i wyjął łyżkę do opon. Zatrzaskał drzwi i ruszył w stronę biura doktora Ho.



Wbiegał na trzecie piętro, potykając się na stopniach. Ból kolana był przeszywający, ale biegł coraz szybciej, łapiąc się poręczy jedną ręką, a drugą trzymając metalową łyżkę.

Po chwili stanął przed drzwiami biura numer 301, ale okazały się

zamknięte. Dyszał ciężko i wciąż miał zawroty głowy — od wypitej whisky albo od środka zaaplikowanego mu przez „doktora”. Zdrową nogą z całej siły kopnął drzwi z taniej sklejki. Otworzyły się z hukiem.

Wpadł do środka. W poczekalni było pusto i ciemno. Pod ścianami stały krzesła dla pacjentów, którzy nigdy nie mieli tu przyjść. Po drugiej stronie poczekalni za szybą recepcji zobaczył puste biurko.

— Ho! — wrzasnął. — Gdzie jesteś?

Nie czekając na odpowiedź, pobiegł przez ciemną poczekalnię do drzwi prowadzących na korytarz. Szarpnął klamkę i otworzył je.

— Ho!

Lampy na korytarzu były przyciemnione i dawały tylko tyle światła, żeby sprzątaczkę mogły odkurzyć pomieszczenia.

Gdzie ten mały drań się podział? Nie mógł tak szybko wyjść. Ile czasu minęło od chwili, gdy on sam opuścił laboratorium? Spojrzał na zegarek. Mniej niż godzina. Nie, Ho musiał tu jeszcze być, tylko pewnie się gdzieś schował.

— Wiem, że tam jesteś, Ho! — krzyknął Timothy.

Pokuśtykał wzdłuż korytarza, ciągnąc metalową łyżkę po wykładzinie. Kiedy dotarł do drzwi gabinetu, nacisnął klamkę. Były zamknięte.

— Doktorze Ho? — Timothy ściszył głos i starał się udawać, że jest spokojny i zrównoważony. — Wiem, że pan tam jest. Proszę otworzyć drzwi. Chcę tylko z panem porozmawiać. Chyba zaszło pewne nieporozumienie... — Zastukał do drzwi. — Doktorze!

Przez chwilę czekał na odpowiedź, ale ze środka nie dochodził żaden dźwięk.

Do diabła z rozsądkiem. Uniósł łyżkę nad głowę i zamachnął się nią z całej siły. Opadając, łyżka zahaczyła o osłonę lampy fluorescencyjnej i rzuciła ją na podłogę. Ostry kawałek plastiku zranił Timothy'ego w

policzek. Metalowa łyżka wyorała w drzwiach podłużną dziurę od góry do dołu, jakby ktoś otworzył w nich zamek błyskawiczny.

— Doktorze! — zawołał znowu Timothy.

Wyciągnął łyżkę z drzwi i kopnął je z całej siły. Jego noga przeszła na wylot, ale drzwi utrzymały się w zawiasach. Timothy stał z jedną nogą w gabinecie lekarza a drugą na korytarzu, jak duch, który ugrzązł w ścianie podczas przechodzenia przez nią.

— Doktorze Ho! — krzyknął.

Jego usta niemal dotykały rozprutych drzwi. Czuł własny rozgrzany oddech oraz zapach alkoholu, śliny i krwi. Odwrócił łyżkę i wałnął jej rękojeścią w drzwi, powiększając otwór. Zajrzał przez szczelinę, próbując dojrzeć Ho. Biuro tonęło w ciemnościach.

Wsunął rękę do środka i namacał gałkę klamki, a potem znalazł zamek i otworzył go. Wyswobodził się z pułapki w drzwiach, wszedł do gabinetu i zapalił światło.

W pomieszczeniu nikogo nie było. Nadal znajdowały się w nim te same meble co przedtem: metalowe biurko zajmujące większą część pokoju, regały na ścianach — ale dokumenty, które wcześniej leżały na podłodze i na biurku, zniknęły. Żadnych teczek. Żadnego śladu po wynikach badań Katherine van Bender. Żadnego dowodu, że kiedykolwiek spotkała się z człowiekiem podającym się za doktora Ho.

Timothy spojrzął na ścianę za biurkiem Chińczyka. Oprawione dyplomy, które miały świadczyć o wiarygodności tego człowieka, zniknęły. Ze ściany wystawały tylko dwa gwoździe.

Podszedł do biurka. Domyślał się, że nic w nim nie znajdzie, ale chciał się upewnić. Zaczął gwałtownie otwierać szuflady, niemal wyrywając je z prowadnic. Puste. Żadnych papierów. Żadnych dokumentów. Tylko kurz, spinacze i kilka zapomnianych długopisów.

— Ty sukinsynu — powiedział cicho do pustego pokoju.

Odwrócił się i wyszedł z gabinetu, kierując się do laboratorium numer jeden.

Zatrzymał się przed drzwiami i wziął głęboki oddech. Była to ostatnia szansa, żeby dopaść doktora. Może Ho zacierał ślady oszustwa i własnego istnienia, a kiedy usłyszał, że ktoś włamuje się do biura, ukrył się w laboratorium. Może znajdował się kilka metrów od Timothy'ego, ukryty za drzwiami. Pewnie gorączkowo wymyślał jakieś kolejne monstualne kłamstwo, które pozwoliłoby mu wybrnąć z kłopotów. Bo niby czemu nie miałby spróbować znowu oszukać Timothy'ego? Przecież tak długo udawało mu się wodzić go za nos. Stworzył jakąś niesamowitą opowiadkę, w którą Timothy uwierzył. I to bardzo chętnie uwierzył. Czemu miałby teraz zmieniać plany, skoro gra jeszcze się nie skończyła? Jeśli Timothy go złapie, z pewnością opowie mu jakąś nową bajeczkę. Będzie próbował go przekonać, że może mieć wszystko, czego tylko zapragnie, absolutnie wszystko, jeśli tylko go wysłucha...

Poczuł, jak narasta w nim złość. Miał ochotę zabić Ho — czy jak tam ten drań się nazywał. Niemal udało mu się go namówić, żeby odebrał sobie życie. Razem z Dzieciakiem i Tricią zaplanowali doskonały przekręt, jednocześnie absurdalny i diabelsko sprytny. Posłużyli się Katherine, żeby móc nim manipulować, wykorzystali jego słabości, łapiąc go w sidła jego własnych lęków.

Nacisnął klamkę. Był gotów znowu posłużyć się łomem, przywalić z całych sił w drzwi. Chciał poczuć, jak drewno pęka pod naporem jego furii. Chciał zobaczyć, jak drzwi rozpadają się w drzazgi, rozwalić je jednym potężnym kopniakiem, a potem wejść do środka i stanąć przed kulącym się ze strachu Ho niczym anioł mściciel.

Nacisnął klamkę i poczuł zawód, kiedy drzwi otworzyły się bez oporu. W jednej chwili uszło z niego całe powietrze.

— Doktorze Ho? — zawołał cicho.

W pomieszczeniu było bardzo zimno. Z końca sali dobiegał szum komputerowych wentylatorów. Rzędy maszyn mrugały światłkami, niczym falanga robotów: niemych i niczego nieświadomych. Zwykła dekoracja.

— Doktorze? — powtórzył Timothy.

Bał się teraz, że może Ho już wyszedł. Może się z nim rozminął. Może nawet minęli się na parkingu, ale Timothy był w takim stanie, że go nie spostrzegł.

Spróbował znowu obudzić w sobie złość. Chciał stłuc Ho na kwaśne jabłko, jednak Chińczyk gdzieś się schował. Może nawet nie było go w budynku. Timothy pomyślał, że musi zadowolić się czymś innym. Podszedł do półek z komputerami i zamachnął się, wydając z siebie nieartykułowany zwierzęcy wrzask, który odbił się od betonowej podłogi i sufitu. Nastawił się na niezbyt trudną przeszkodę, jakiś łamliwy plastik, ale trafił na metalową szynę półki i uderzenie posłało wibracje wzdłuż jego ramienia. Wymierzył kolejny cios, tym razem celując w beżowy komputer.

— Zabiję cię, Ho! — ryknął. Komputer pękł jak skorupka jajka. — Zabiję cię! — wrzasnął Timothy i zamachnął się ponownie.

Zaczął uderzać raz po raz. Cios, pękająca obudowa komputera, zamach, kolejny cios i kolejna obudowa.

— Giń! Giń! Giń! — wrzeszczał.

Złapał regał z komputerami i potrząsnął nim z całych sił. Jego podstawa była przymocowana śrubami do podłogi, ale cała konstrukcja zaczęła się chwiać. Szarpnął jeszcze raz, tym razem mocniej, wyrwał regał z podłogi i popchnął go na sąsiedni. Komputery zaczęły spadać na podłogę, wrywając kable z gniazdek.

Podszedł do ostatniego rzędu komputerów i zamachnął się na coś, co wyglądało jak serce całego systemu — była to czarna metalowa

skrzynka z rzędami migoczących światełek, opleciona kablami. Miał nadzieję, że uderzenie spowoduje jakiś wybuch, że zobaczy przynajmniej dym i iskry. Ale kiedy metalowa łyżka trafiła w pudełko, rozległ się tylko metaliczny dźwięk i światełka zgasły. Żadnych iskier, żadnego dymu.

Zostawił komputery w spokoju i podszedł do stalowych drzwi z napisem: „Nie wchodzić” na końcu sali. Może Ho ukrył się za nimi? Więcej kryjówek nie było.

To właśnie tutaj miał się odbywać cud, o którym mówił Ho: wykonywanie kopii zapasowych mózgu, zapisywanie osobowości w postaci cyfrowych danych. Tutaj miał się znajdować zaawansowany sprzęt komputerowy, technologia tak tajemna, że nikt nie mógł jej zobaczyć, nawet uczestnicy eksperymentu.

Stojąc z ręką na klamce, Timothy pomyślał, że kiedy otworzy drzwi, zobaczy jedynie puste pomieszczenie o zwyczajnej betonowej podłodze i suficie. Żadnych maszyn, komputerów, żadnej niesamowitej technologii służącej do kopiowania umysłów. Pusta przestrzeń po jedenaście dolarów za metr, opłacona za trzy miesiące z góry. Cały koszt przekreśtu. Pusta przestrzeń na Sand Hill Road. Nic więcej. Jak mógł być aż tak głupi?

— Ho, jesteś tam? — zawołał.

Nacisnął klamkę, ale drzwi były zamknięte. Uniósł łom i wałnął w nie z całej siły. Jednak w przeciwieństwie do drzwi w biurze te były ze stali i łyżka do opon tylko się od nich odbiła. Timothy wałnął ponownie. W miejscu uderzenia pojawiło się wgłębienie, ale drzwi mocno siedziały w zawiasach.

— Otwieraj, Ho! — wrzasnął Timothy. — Otwieraj!

Uderzał raz za razem w to samo miejsce, mając nadzieję, że w końcu przedziurawi metal i dostanie się do środka, jednak drzwi nawet nie drgnęły.

— Ho! Ot-wie-raj!

Wymierzył ostatni cios, uderzając najmocniej, jak potrafił.

Rozległ się brzęk metalu, ale drzwi pozostały zamknięte.

— Niech cię szlag, Ho — syknął Timothy. Nie miał już sił. Był zupełnie wyczerpany.

Odrzucił łyżkę, która z brzękiem odbiła się od betonowej podłogi, po czym odwrócił się i wyszedł z laboratorium.



Nie miał pojęcia, co dalej robić, więc pojechał do domu. Dzieciak i Tricia wystawili go. Wynajęli Ho i zainstalowali go na Sand Hill Road, wynajmując mu biuro i wyposażając w podrabiane komputery. Teraz, tak samo jak Chińczyk, z pewnością zniknęli. Może są w Nowym Jorku, a może gdzieś jeszcze dalej. Za jakiś czas wrócą do Palo Alto, żeby podjąć pieniądze Timothy'ego. Tyle że jego przy tym nie będzie.

Prawdopodobnie będzie wtedy siedział w więzieniu za zamordowanie żony albo za finansowe oszustwa. Gdyby opowiedział policji i sędziemu, jak go wrobiono i jak uwierzył, że jego żona Katherine wróciła do niego w ciele sekretarki, pewnie pomyślano by, że próbuje uniknąć kary, udając niepoczytalność.

Może nawet policja wysłałaby kogoś na Sand Hill Road, gdyby należał. Jednak teraz było tu tylko puste biuro, a zajmujący je wcześniej aktor, grający chińskiego lekarza, z pewnością został przeniesiony w jakieś bezpieczne miejsce, w którym mógł cieszyć się swoją działką z czterech milionów. Niewykluczone, że komputery też by do tej pory zniknęły.

Próbował jeszcze raz przemyśleć to wszystko, ale męciło mu się w głowie od alkoholu i narkotyków.

Jechał cichymi ulicami Palo Alto. Zegar na desce rozdzielczej wskazywał północ. Domy na Waverly Drive, które mijał, były ciemne i pozamykane na noc. Ludzie wyjdą z nich dopiero wtedy, kiedy wstanie nowy dzień i znowu będzie można zarabiać pieniądze.

Wjechał na podjazd przed swoim domem, czując chrzęst żwiru pod kołami. Wysiadł i ruszył wyłożoną kamiennymi płytami ścieżką, słuchając letniego ćwierkania świerszczy, mijając ozdobne trawy kołyszące się na wietrze i powyginane drzewko morelowe. Zatrzymał się przed drzwiami wejściowymi. Były lekko uchylone, a przecież kiedy wychodził, dokładnie je zamknął. Gdy je popchnął, otworzyły się z cichym skrzygnięciem.

Przemknęło mu przez głowę, że może to były chłopak Tricii włamał się do domu i czeka na niego w środku z nożem w rękę. A może on też był częścią planu? Może to wynajęty aktor, mający jeszcze bardziej zestresować Timothy'ego? Wszystko zmierzało do tego, żeby uwierzył, że jest tylko jedno wyjście z tej całej sytuacji — że powinien dać się skopować i przenieść do innego ciała. Ale może długowłosy był jakimś niedopatrzaniem z ich strony, może rzeczywiście był chłopakiem Tricii, który popsuł doskonały plan?

Wszedł do holu i zapalił światło. W środku nikogo nie było.

Pomyślał, że pewnie wychodząc w pośpiechu, zapomniał zamknąć za sobą drzwi. Był trochę na rauszu i chciał jak najszybciej zawieźć nieprzytomnego Dzieciaka do doktora Ho, żeby mógł zacząć transformację.

Jednak coś tu się nie zgadzało. Wzrok Timothy'ego zatrzymał się na czarnym stoliku stojącym w pobliżu wejścia. Był pusty. Biała abstrakcyjna rzeźba, którą Katherine kupiła w Big Sur i która zawsze na nim stała, zniknęła.

Timothy zamknął drzwi. Gdzieś na końcu holu paliło się światło, więc poszedł w jego stronę. Było zapalone w kuchni.

Na podłodze, w kałuży krwi, leżała skulona Tricia w czarnej wieczorowej sukni. Obok niej Timothy zobaczył białą rzeźbę, poplamioną krwią, do której przykleiły się włosy. Przyjrzał się uważnie głowie Tricii. Jej tył był ciemny i mokry od krwi, a przez skłębione włosy prześwitywały fragmenty mózgu.

Cofnął się o krok. Zawroty głowy, które dokuczały mu przez cały wieczór, nasiliły się gwałtownie. Potknął się i złapał brzeg stołu, żeby nie upaść.

Nic z tego wszystkiego nie miało sensu. To przecież Tricia Fountain go wrobiła, była częścią planu, więc czemu leży martwa na podłodze?

Ścisnął głowę rękami, próbując zmusić się do myślenia, jakby dłonie przyłożone do skroni mogły zapobiec ucieczce szczegółów — takich jak obraz nieprzytomnego Dzieciaka na sofie, jak on sam i Tricia w łóżku czy Katherine leżąca twarzą w dół w morskiej wodzie w Big Sur, z włosami unoszącymi się wokół głowy.

Kiedy usłyszał głos Tricii, z początku wziął go za jeden z głosów, które słyszał we własnej głowie, ale po chwili znowu coś wyszeptać. Spojrzał w dół i zobaczył, że ma otwarte oczy, a jej usta się poruszają.

Ukląkł jednym kolanem w kałuży krwi. Poczuł, jak przesiąka przez nogawkę spodni, wznosząc się coraz wyżej po udzie.

— Co mówisz? — zapytał.

Powtórzyła coś szeptem, ale nie zrozumiał, co powiedziała. Słyszał tylko jej słaby oddech. Pochylił się nad nią.

— Timothy... przepraszam — powiedziała.

— Kto ci to zrobił? — zapytał.

Położył dłoń na jej odsłoniętym ramieniu, powyżej ramiączka satynowej sukni. Dotknął delikatnej skóry, którą pieścił poprzedniej nocy, i zdziwił się, że jest taka zimna.

— Przepraszam — powtórzyła szeptem.

— Tricia... — zaczął.

Na jej ustach pojawił się cień uśmiechu.

— Nie Tricia...

— Przestań — przerwał jej Timothy. — Możesz już przestać.

— Kocham cię, Kuśtyk.

— Kto ci to zrobił?

— Jay. I...

Jej szczęka opadła i przestała oddychać. Nieruchome oczy patrzyły martwo w górę.

Timothy podniósł się. Jego spodnie były uwalane krwią i kiedy szedł, zostawiał krwawe ślady na podłodze. Podeszedł do telefonu i wziął słuchawkę do ręki. Chciał wezwać policję, ale nagle uświadomił sobie, że gdy przyjadą i zobaczą dziewczynę z roztrzaskaną czaszką, jego dni na wolności dobiegną końca. Odłożył słuchawkę. Zobaczył, że pozostawił na niej krwawe odciski, ale ich nie wytarł. I tak nie miał szans.

Usiadł na krześle, na którym przez lata siedał wraz z żoną do obiadu, i próbował się skoncentrować, przebić przez watę kłębiącą się w jego głowie.

Tricia leżała martwa na podłodze, zamiast lecieć do Nowego Jorku z Jayem Straussem. A to oznaczało, że była mu niepotrzebna. Dzieciak podstępnie ją zabił. Pewnie była kolejnym luźnym końcem, wyeliminowanym przez matematyczny umysł Jaya. Więcej pieniędzy dla niego, jeden świadek mniej, kolejne morderstwo, które można przypisać Timothy'emu van Benderowi.

Spojrzał na ciało Tricii. Nawet z okropną raną na głowie wciąż była piękna i nie mógł się powstrzymać od patrzenia na jej długie nogi, rysujące się pod wieczorową suknią.

Trochę jej współczuł, że dała się nabrać Dzieciakowi. Ufała mu, a on ją zdradził. Była tylko młodą dziewczyną. W innych okolicznościach mogłaby wyciągnąć wnioski z własnych pomyłek, jak każda kobieta zdradzona przez mężczyznę, i stałaby się twardsza. Jednak nie dostała drugiej szansy, żeby opanować tę lekcję.

Postanowił, że zgłosi się na policję albo zrealizuje swój pierwotny plan i wsiądzie do bmw z włączonym silnikiem w zamkniętym garażu. Najpierw jednak chciał załatwić jeszcze jedną sprawę. Choć wiedział, że to mało prawdopodobne, żeby udało mu się złapać Dzieciaka, chciał się upewnić, czy chłopak przypadkiem nie popełnił błędu i nie został w mieście.

Wszedł do salonu, pozostawiając na podłodze krwawe ślady, i podszedł do znajdującego się w małej wnęce barku. Wyjął butelkę whisky, nalał sobie szklaneczkę i wychylił ją duszkiem. Dzięki za wszystko, panie Dalmore. Teraz był gotów.

Wsiadł do bmw i wrócił do Palo Alto, przejeżdżając przez tory kolejowe i kierując się w stronę Menlo Park. Minął rześkie oświetlony parking czynnego całej doby Safeway, na którym było mnóstwo ludzi, przede wszystkim studentów uzupełniających zapasy piwa i jedzenia.

Skręcił w długi podjazd prowadzący do bliźniaka, w którym był kilka tygodni temu. Z mieszkania po prawej stronie, na piętrze, przez otwarte balkonowe drzwi dobiegała głośna muzyka. Tanie lniane zasłony falowały na wietrze. Ze środka dochodził śmiech młodzieży i głosy rozmów. Timothy wiedział, że ich jedyną troską jest to, co może

przynieść następny dzień. Ile bym dał, żeby być jednym z nich, pomyślał, nieświadomym przyszłości, pozbawionym bagażu przeszłości...

Mieszkanie Dzieciaka znajdowało się bezpośrednio pod lokalem, w którym odbywała się impreza. Timothy wszedł po schodkach i zadzwonił do drzwi. Nie spodziewał się, że ktoś otworzy, więc się nie zdziwił, gdy nikt tego nie zrobił.

Zastukał, najpierw cicho, a potem mocniej. Obejrzał się szybko, żeby się upewnić, czy na klatce nikogo nie ma, po czym nacisnął klamkę. Drzwi nie były zamknięte.

Wszedł do środka. Gipsowe ściany i tanie dywany wytłumiały trochę dobiegającą z piętra muzykę.

— Jay? — zawołał Timothy.

Rozejrzał się. W mieszkaniu panował bałagan, jakby ktoś pakował się w pośpiechu, wkładając jedne rzeczy do torby, a inne odrzucając. Zajrzał do łazienki, znajdującej się na końcu krótkiego korytarza. Uchwyt na szczoteczkę do zębów był wilgotny i pobrudzony zaschniętą pastą do zębów, ale samej szczoteczki nie było.

Timothy przyjrzał mu się uważniej. Nie jeden, ale dwa uchwyty były wilgotne. Może jeszcze przed chwilą były w nich dwie szczoteczki?

Przypomniawszy sobie, jak przyjechał bez uprzedzenia do domu Dzieciaka, żeby wręczyć mu łapówkę, i chłopak nie chciał go zaprosić do środka. Podejrzywał, że może być u niego jakaś dziewczyna, ale nie wydawało mu się to wtedy istotne.

Rozejrzał się po łazience i natychmiast dostrzegł ślady obecności kobiety. W kabinie prysznicowej leżała damska jednorazowa maszynka do golenia i szampon miętowy, który wydał mu się dziwnie znajomy.

Przeszedł korytarzem do sypialni. Tutaj ślady obecności kobiety były jeszcze bardziej widoczne. Dwie pogniecione poduszki na nie

zasłanym łóżku, dwa odciski ciał śpiących razem osób.

Teraz był już pewien, że Jay wyjechał z miasta, zabierając ze sobą swoją kobietę, ale to nie była Tricia. Jakaś inna dziewczyna miała cieszyć się pieniędzmi Timothy'ego ze swoim młodym i nagle wzbogaconym chłopakiem.

Pokręcił głową. Nic z tego nie miało sensu. Taki skomplikowany plan jedynie po to, żeby mu ukraść pieniądze? Chyba chodziło nie tylko o pieniądze, ale przede wszystkim o to, żeby go upokorzyć, zdradzić, zranić, sprawić, żeby wił się z bólu. Ktoś musiał go bardzo nienawidzić.

Kiedy się nad tym zastanawiał, nagle wszystko zrozumiał.

Ta osoba rzeczywiście go nienawidziła. Zdradził go ktoś, kto był bardzo blisko. Ktoś o wiele sprytniejszy od niego. Ktoś, kto mógł to planować od lat, rozważać wszystkie opcje, analizować wszystkie możliwe rozwiązania.

Ten ktoś znał go na wylot. Wiedział, jak zareaguje na każdy bodziec, znał wszystkie jego wady: jego arogancką pewność siebie, jego naiwność, jego egoizm. Znał go lepiej niż ktokolwiek inny na świecie, lepiej niż on sam.

Wiedział już, czemu szampon w łazience wydał mu się znajomy. To był szampon, którego używała Katherine.

Przypomniał sobie także, co powiedział Neiderhoffer, kiedy oskarżył go o zamordowanie żony. Coś nie dawało mu spokoju, a teraz także Timothy, stojąc w sypialni Dzieciaka, poczuł, że i jemu nie daje to spokoju. Jeśli Katherine zadzwoniła z Big Sur przed popełnieniem samobójstwa, to gdzie był telefon? Dlaczego nie znaleziono go na urwisku, z którego skoczyła? Czemu nie leżał na ułożonym w kostkę ubraniu, które zostawiła na skale, zanim rzuciła się do morza? Dlaczego nie znaleziono go na skałach poniżej? Dlaczego zniknął w dniu jej śmierci wraz z ciałem?

Nie wiedział, skąd się to wzięło, lecz w tym momencie zobaczył

następne pół minuty swojego życia tak jasno, jakby siedział na widowni, oglądając sztukę i czytając scenariusz dwie strony do przodu. Wiedział dokładnie, co się zaraz stanie. Wyjął z kieszeni komórkę i otworzył ją.

Wybrał numer Katherine.

Ile razy w życiu dzwonił na ten numer? W drodze do biura albo wybiegając z pracy i jadąc do domu; aby uprzedzić, że później wróci; skłamać, że ma wiele pracy — albo powiedzieć, że bardzo za nią tęskni i nie może się doczekać, kiedy ją zobaczy. Tysiące razy wybierał ten numer i za każdym razem niewiele to znaczyło. Teraz jednak było to siedem najważniejszych cyfr na świecie i trzęsły mu się ręce, kiedy je wybierał.

Trzeba było kilku sekund, żeby radiowy sygnał dotarł do anteny i żeby kolejny sygnał odnalazł odbiorcę.

W mieszkaniu panowała cisza i w pierwszym momencie nic się nie działo, ale po chwili w pokoju Dzieciaka odezwała się elektroniczna melodyjka, dzwonek telefonu — dzwonek telefonu Katherine. Podążył za tym dźwiękiem z własną komórką przy uchu. Znalazł telefon na stoliku do kawy, pod gazetą. Była to czarna analogowa motorola, z którą jego żona nie chciała się rozstać. Uświadomił sobie, że to także było częścią planu. Zatrzymała swój stary telefon, ponieważ nie można było namierzyć wykonanej z niego rozmowy. Ile lat wcześniej zaczęła to wszystko planować?

Zrobiło mu się niedobrze i pomyślał, że musi usiąść, ale zanim zdążył to zrobić, zwymiotował na podłogę.

Otarł usta wierzchem dłoni, a potem zamknął komórkę i schował ją do kieszeni. Po chwili czarna motorola także umilkła.

Usiadł na sofie Dzieciaka, nie mając pewności, czy zaraz znowu nie zwymiotuje. Nic z tego nie rozumiał. Wiedział tylko, że zdradziła go kobieta, którą kochał najbardziej na świecie.

Tylko po co cały ten cyrk? Do czego potrzebne były te bajki o zamianie ciał, kopiowaniu umysłów, chiński naukowiec, sfingowane samobójstwo, napalona sekretarka? Czemu po prostu nie odeszła od niego i nie obaliła intercyzy w sądzie? Czyżby aż tak bardzo go nienawidziła?

Siedząc na sofie, czując w ustach smak rzygowin i krew Tricii na spodniach, uświadomił sobie, że chyba rzeczywiście tak było.

Cztery godziny po tym, gdy ogrodnik ciekaw, czemu drzwi do domu van Benderów są uchylone, wszedł do środka i znalazł w kuchni zwłoki młodej kobiety, detektyw Neiderhoffer dotarł do miasteczka Wells na wybrzeżu Big Sur.

Jego honda civic zjechała z szutrowej drogi zwanej Mule Canyon na punkt widokowy nad Pacyfikiem i zatrzymała się obok radiowozu z napisem: „Policja miasta Wells”. Neiderhoffer pierwszy raz widział taki napis na wozie policyjnym. Sugerował on, że w radiowozie urzęduje cała policja miasta Wells. Jak się po chwili zorientował, właśnie tak było.

Na masce radiowozu siedział policjant w koszuli koloru khaki z krótkim rękawem i brązowych spodniach. Miał zamknięte oczy i twarz zwróconą do słońca. Neiderhoffer wysiadł ze swojego samochodu i podszedł do niego.

— Posterunkowy Billings? — zapytał.

Policjant otworzył oczy, wyraźnie zły, że go budzą.

— Tak.

— Ned Neiderhoffer. Palo Alto.

Billings skinął głową.

— Znaleźliście go? — zapytał Neiderhoffer.

Gliniarz wskazał coś palcem. W kępie jeżyn tkwiło czarne bmw Timothy'ego van Bendera. Samochód zjechał z punktu widokowego do rowu i jego tylne koła unosiły się kilka centymetrów nad ziemią.

Słońce było już wysoko na niebie, ale od oceanu wiała zimna bryza. Z powodu wiatru Neiderhoffer nie czuł się pewnie, zbliżając się do krawędzi skały. Tylko cienki czarny łańcuch sięgający do kolan odgradzał zwiedzających i fotoamatorów od przepaści. Trzymał się w bezpiecznej odległości od niej, idąc z wyciągniętą ręką, gotów w każdej chwili złapać się łańcucha, gdyby uderzył w niego gwałtowniejszy podmuch wiatru. Spróbował wyrzeć za krawędź nawisu skalnego. Urwisko miało jakieś trzydzieści metrów wysokości, może trochę więcej. Poniżej z wody wystawało rumowisko skalne przypominające gigantyczne zęby. Fale z całej siły uderzały o skały, które znikwały pod wodą i za chwilę znów się z niej wynurzały.

— Ostrożnie! — zawołał Billings.

Musiał podnieść głos, żeby przekrzyczeć łoskot fal i wycie wiatru.

Neiderhoffer obejrzał się, ale policjant wrócił już do opalania i zamknął oczy.

Detektyw podszedł do bmw. Spodziewał się, że zobaczy Timothy'ego van Bendera za kierownicą, z mózgiem rozprysniętym na przedniej szybie i pistoletem w ręku. Jednak samochód był pusty. W środku nie było żadnych śladów. Brakowało też listu pożegnalnego.

Wrócił na krawędź skały i trzymając się łańcucha, wysunął się jak najdalej i spojrzał w przepaść. Skały i ocean. Fale rozbryzgujące się w powietrzu. Łoskot fal. O wiele głośniejszy, niż się spodziewał. Nigdzie nie było widać ciała. Ani ubrania.

— Ostrożnie!

Jakaś ręka schwyciła go wpół. Za nim stał Billings. Ogłuszony hukiem fal Neiderhoffer nie usłyszał, jak się zbliża.

— Wie pan, ilu ludzi ginie co roku na tych skałach? — zapytał policjant. Jego usta znajdowały się tuż przy uchu Neiderhoffera i detektyw czuł jego oddech.

— Ilu?

Billings wzruszył ramionami.

— Nikt tu nigdy nie przychodzi.

Neiderhoffer wyswobodził się i rzucił jeszcze jedno spojrzenie w dół.

— Nie znaleźliście ciała?

— Trochę ciężko się tam dostać. Musimy podpłynąć od drugiej strony zatoczki.

Detektyw popatrzył na wodę, nie dostrzegł jednak żadnej łodzi.

— Ale i tak nie znajdziemy — dodał Billings.

— Czego? — zapytał Neiderhoffer.

— Ciała. Nie ma szans. W zatoczce jest bardzo silny prąd. Wszystko, co tu wpada, roztrzaskuje się na skałach i zostaje wyniesione daleko w morze. Pewnie mija już Tijuane.

— Może.

— Poza tym i tak długo nie popływa. Żarcie dla rekinów.

Ale Neiderhoffer nadal przeszukiwał wzrokiem skały, wy patrując śladów Timothy'ego van Bendera.

— Jeśli chce pan znać moją opinię, facet nie żyje. Nie mógł przeżyć takiego upadku.

— Może — powtórzył detektyw.

— To takie poetyckie — stwierdził Billings.

Neiderhoffer pomyślał, że pewnie ma na myśli piękno tych skał. Było w tym miejscu coś mrożącego krew w żyłach i jednocześnie poetyckiego.

— Facet jedzie kilkaset kilometrów, żeby popełnić samobójstwo w tym samym miejscu co jego żona... — dodał Billings. — To musiały być prawdziwa miłość. Być ze swoją kobietą do końca. Do samego końca. Ja bym dla mojej starej tego nie zrobił. — Milczał przez chwilę.

— No, może pojechałbym za nią, żeby jej pomóc, gdyby chciała się rozmyślić. Ale na pewno bym za nią nie skakał.

Detektyw uśmiechnął się.

— Jak bardzo trzeba kochać kobietę, żeby coś takiego zrobić? — spytał Billings.

— No cóż... — zaczął Neiderhoffer. Chciał mu wyjaśnić, że się myli, że Timothy van Bender zamordował swoją żonę, zrzucając ją do morza z tej skały.

— Nieczęsto spotyka się takie uczucie — mruknął policjant.

Neiderhoffer postanowił mu niczego nie tłumaczyć. Patrząc na skały w dole, na rozbijające się fale i unoszącą się na wodzie pianę, zastanawiał się, co ma o tym sądzić. Może to była miłość. Ale czy można nienawidzić kogoś tak mocno, żeby go zabić, i jednocześnie kochać go nad życie? Małżeństwo to dziwna rzecz.

— Nic o tym nie wiem — odparł, po czym odwrócił się i poszedł do swojego wozu, żeby napisać raport.

Palo Alto Daily News, 1 października 1999 roku

Podjezany zabija swoją przyjaciółkę, a potem popełnia samobójstwo

Jak podają źródła policyjne były właściciel funduszu hedgingowego, Timothy van Bender, zamordował swoją sekretarkę ciosem w głowę, a następnie popełnił samobójstwo, rzucając się do oceanu w środę w nocy.

Denatka, Tricia Fountain, lat 23, została znaleziona martwa w posiadłości van Benderów przez ogrodnika. Zgon nastąpił w wyniku rozległego urazu spowodowanego ciosem w potylicę. „Wszystko wskazuje na to, że zbrodnię tę popełnił Timothy van Bender”, poinformował nas detektyw Alexander Neiderhoffer. Timothy van Bender, lat 47, był podejrzany o zamordowanie swojej żony Katherine w sierpniu tego roku, jednak nie postawiono go w stan oskarżenia. Van Bender utrzymywał, że jego żona popełniła samobójstwo.

Timothy van Bender, którego rodzina od pokoleń mieszkała w Palo Alto, przez wiele lat z sukcesem kierował

założonym przez siebie funduszem hedgingowym, przeznaczonym dla zamożnych inwestorów. Jednak według ujawnionych wczoraj przez K.NHK.T dokumentów fundusz van Bendera, Osiris, popadł w poważne kłopoty. Timothy van Bender został oskarżony o sprzeniewierzenie milionów dolarów swoich inwestorów.

„Nie mogę w to uwierzyć — powiedziała nam Ann Beatty, która mieszka kilka domów od miejsca zbrodni. — Znałam Katherine van Bender od lat. Poznałam też tę zamordowaną dziewczynę. To była pełna życia osoba. Nie wyobrażam sobie większej tragedii”.

Przeprowadzono już sekcję zwłok panny Tricii Fountain, a jej wyniki jeszcze dziś zostaną podane do publicznej wiadomości. Ciało pana van Bendera nie odnaleziono, ale straż przybrzeżna nadal prowadzi poszukiwania, jak poinformował nas wydział policji w Palo Alto.

„Jesteśmy przekonani, że Timothy van Bender zabił swoją żonę i swoją kochankę, po czym popełnił samobójstwo — oświadczył detektyw Neiderhoffer. — Jest odpowiedzialny za śmierć dwojga osób i kradzież milionów dolarów z powierzonych mu pieniędzy. Kiedy pan van Bender zrozumiał, że nie zdoła uniknąć kary, odebrał sobie życie, kończąc tę przerażającą historię”.

VENTURE-GRAM

Informacje o nowych inwestycjach,
14 października 1999 roku

Doniesiono nam o podniesieniu wysokości kapitału tajemniczej korporacji o nazwie Amber Corp. z siedzibą w Palo Alto, CA. Nasze źródła podają, że korporacja ta po raz trzeci zebrała kapitał inwestycyjny w wysokości 30 milionów dolarów. Wartość spółki wyceniana jest obecnie na ponad 120 milionów dolarów. Założyciel firmy, dr Clarence Ho, zrobił niesamowite wrażenie na inwestorach czymś, co nasz informator nazywa „oszałamiającą technologią”. W skład grupy inwestorów wchodzi Kleiner Perkins, Sutter Hill i Sequoia. Dokładny charakter tej nowej technologii nie jest na razie znany, ale poinformowano nas, że firma zajmuje się interfejsami łączącymi ludzkie mózgi z maszynami.

Bar w hotelu Four Seasons na Manhattanie powoli wypełniał się typowym dla poniedziałkowego wieczoru tłumem. Wszystkie światła w wyłożonej marmurem sali z wysokim sufitem były lekko przytłumione.

Kelnerzy prowadzili do ustawionych pod ścianami stołów ubranych w garnitury od Armaniego biznesmenów z Wall Street wraz z ich pięknymi, znacznie młodszymi od nich towarzyszkami. Większość z nich wpadła tu tylko na jednego drinka przed udaniem się do Village, gdzie czekały na nich zarezerwowane stoliki.

Z przodu sali pianista grał standardy jazzowe. Obok niego, w kącie, siedziała wyróżniająca się z tłumu para. Także i oni byli w różnym wieku, tyle że tym razem obok kobiety w średnim wieku siedział młody atrakcyjny mężczyzna.

Kobietą tą była Katherine van Bender, a jej towarzyszem Jay Strauss, Dzieciak.

Patrzyli sobie w oczy i uśmiechali się. Jay ujął jej dłonie i uściskał w milczeniu.

Do stolika podeszła kelnerka z drinkami. Postawiła przed Katherine szklaneczkę.

— Cosmopolitan dla pani — powiedziała. Drugą szklaneczkę postawiła przed Jayem. — Dla pana dalmore bez wody. Czy państwo życzą sobie coś jeszcze?

Dzieciak potrząsnął głową. Kelnerka uśmiechnęła się i odeszła. Katherine uniosła swoją szklaneczkę.

— Za nas.

Dzieciak poszedł za jej przykładem.

— Za dwudziestojednoletniego pana Dalmore.

POSŁOWIE

Musée National du Château et des Trianons,
Versailles — dziewięć miesięcy później

Kiedy weszła do sali, nie zauważył jej z początku, zajęty obrazem. Był to osiemnastowieczny portret młodego mężczyzny w upudrowanej peruce. Trzymał uniesione pióro, jakby miał zamiar dźgnąć nim w oko malarza, żeby trochę urozmaicić sobie nudne pozowanie.

Dziewczyna, która weszła do sali, była młoda, raczej bliżej dwudziestki niż trzydziestki, i bardzo ładna. Długie blond włosy spływały jej na ramiona. Miała na sobie żółtą letnią sukienkę, a pod pachą wynieciony egzemplarz przewodnika Fodora po Francji. Mężczyzna zwrócił na nią uwagę dopiero wtedy, gdy zatrzymała się obok niego i spojrzała na obraz. Mimo że próbowała to ukryć, wszystko zdradzało jej amerykańskie pochodzenie: kupiona w centrum handlowym mapa Paryża wystająca z Fodora, tenisówki na nogach i mała torebka zawieszona na pasku.

Przez chwilę podziwiała portret, a potem zaczęła kartkować przewodnik. Przewracała strony, najwyraźniej czegoś szukając. Nie mogąc znaleźć informacji, zmarszczyła brwi.

Odwróciła się do stojącego obok niej mężczyzny.

— Pardon — powiedziała ze znośnym francuskim akcentem. — Parlez-vous anglais?

Timothy van Bender przyjrzał jej się uważnie i pomyślał, że to nie może być pułapka. Nieznajoma była zbyt młoda, zbyt naiwna. Zresztą ryzyko, że ktoś mógłby go rozpoznać, było minimalne. Od czasu swojego „samobójstwa” i ucieczki ze Stanów zmienił się nie do poznania. Zapuścił brodę, miał długie włosy, a koszule od Brooks Brothers zamienił na flanelowe, które bardziej pasowały do drelichowych spodni.

Rozejrzał się po sali, upewniając się, czy nikt im się nie przysłuchuje, i przytaknął.

Uśmiechnęła się z ulgą i Timothy zauważył, że ma bardzo sympatyczny uśmiech.

— Czy to sala Josepha Ducreux? — spytała.

— Jedna z nich — odparł.

W dziewczynie było coś znajomego. Przyglądał jej się uważnie, próbując zrozumieć, co to takiego. Po chwili uświadomił sobie, że przypomina mu Katherine sprzed dwudziestu lat. Była młoda i nieco zagubiona. Trochę brakowało jej klasy, ale była bardzo pociągająca.

Wskazała na portret, przed którym stali, i zrobiła to jak Amerykanka, wyciągając palec wskazujący.

— Czy to... — Zajrzała do swojego Fodora i obróciła go w lewo, a potem w prawo, próbując się zorientować, gdzie dokładnie stoi.

— Pomogę pani. — Timothy delikatnie wyjął jej przewodnik z rąk i tak go obrócił, że na górze strony znalazła się ściana z portretem księcia Bougainville. — Tutaj — powiedział. — Patrzy pani na ten portret.

Dziewczyna wzięła od niego Fodora i kiwnęła głową. Teraz wszystko się zgadzało.

— Dzięki — odparła. — To książkę Bou-żę-wile? — przeczytała z przewodnika.

Timothy zamarł. Przez chwilę miał uczucie, że wydarzył się cud. Katherine Sutter, kobieta, którą poślubił, wróciła w ciele tej amerykańskiej turystki. Ale to przecież niemożliwe. Przekonał się przecież, że nie ma czegoś takiego jak przenosiny osobowości z ciała do ciała. Zapłacił za tę lekcję wysoką cenę. Nie. Stojąca przed nim dziewczyna nie mogła być jego żoną. To zwykła turystka, która po prostu nie zna dobrze wymowy — tak samo jak Katherine dwadzieścia lat wcześniej. Zwykły zbieg okoliczności, nic więcej.

Dziewczyna popatrzyła na niego, czekając na odpowiedź.

— Tak, to on — potwierdził Timothy, z trudem powstrzymując narastający w gardle śmiech — ale pani wymowa...

Uniosła brwi i spojrzała na niego z wyczekującą miną, prawdopodobnie spodziewając się, że ją poprawi. Jednak Timothy utknął w pół zdania, jakby nagle coś mu się przypomniało. Stał jak sparaliżowany, z otwartymi ustami i pochyloną głową.

W końcu uśmiechnął się i dokończył:

— Pani wymowa jest doskonała.